

JEFFREY
ARCHER

DWANASCI
FAŁSZYWYCH
TROPÓW

Prószyński i S-ka

Jeffrey Archer

Dwanaście fałszywych tropów

** Opowiadania oznaczone gwiazdkami oparte są na autentycznych wydarzeniach (niektóre z nich nieco upiększyłem). Pozostałe - to wyłącznie twór mojej wyobraźni.*

J.A. lipiec 1994

Omyłka sądowa

Właściwie nie wiem, od czego zacząć. Może więc najpierw wyjaśnię, dlaczego siedzę w więzieniu.

Proces trwał osiemnaście dni. Od chwili, gdy sędzia po raz pierwszy pojawił się na sali, miejsca dla publiczności były wypełnione do ostatniego. Ława przysięgłych sądu w Leeds naradzała się przez niemal dwa dni. Plotki głosiły, że sytuacja jest beznadziejna, że sędziowie przysięgli nie mogą dojść do porozumienia; w ławach obrońców mówiło się o pacie i o ponownym procesie, już przed ośmioma godzinami bowiem sędzia Cartwright oznajmił przewodniczącemu ławy, że werdykt nie musi być jednomyślny, że wystarczy przewaga głosów dziesięć do dwóch.

Nagle na korytarzach wszczął się ruch. Przysięgli powoli i spokojnie zajmowali miejsca.

Przedstawiciele prasy i publiczność na gwałt wracali na salę. Oczy wszystkich obecnych były zwrócone na przewodniczącego ławy - tęgawego, niewysokiego jegomościa, najwyraźniej o pogodnym usposobieniu, ubranego w garnitur z dwurzędową marynarką, pasiastą koszulę i szeroki kolorowy krawat - bardzo starał się wyglądać jak najdostojniej. Sprawiał wrażenie kogoś, z kim w normalnych okolicznościach chętnie wstąpiłbym do pubu na piwo, ale okoliczności trudno byłoby do normalnych zaliczyć.

Kiedy wszedłem po schodkach na ławę oskarżonych, spojrzałem na siedzącą na miejscach dla publiczności śliczną blondynkę, która nie opuściła ani jednego dnia rozprawy. Zastanawiałem się, czy chodzi na wszystkie sensacyjne procesy o morderstwo, czy po prostu akurat ten tak ją fascynuje.

Dziewczyna nie interesowała się mną w najmniejszym stopniu, lecz jak wszyscy wpatrywała się z napięciem w przewodniczącego ławy.

Urzędnik sądowy, w peruce i długiej czarnej todze, wstał i odczytał z kartki słowa, które - jak sądzę - od dawna już doskonale znał na pamięć.

- Panie przewodniczący ławy przysięgłych, proszę wstać.

Wesolutki grubasek wstał z miejsca.

- Na następne pytanie proszę odpowiedzieć „tak” lub „nie”. Sędziowie przysięgli, czy uzgodniliście werdykt, za którym głosowało co najmniej dziesięciu spośród was?

- Tak, uzgodniliśmy.

- Sędziowie przysięgli, czy uznaliście obecnego tu oskarżonego za winnego, czy też za niewinnego zarzucanego mu przestępstwa?

W sali zapadła absolutna cisza.

Jak zahipnotyzowany wpatrywałem się w mężczyznę w kolorowym krawacie. Przewodniczący odchrząknął i powiedział: Jeremy'ego Alexandra spotkałem po raz pierwszy w 1978 roku na seminarium Stowarzyszenia Przemysłowców Brytyjskich w Bristolu. Pięćdziesiąt sześć firm pragnących rozszerzyć działalność na Europę wysłało przedstawiciele

na wykłady dotyczące prawa handlowego Wspólnoty Brytyjskiej.

Kiedy zapisywałem się na to seminarium, Cooper's - firma, którą kierowałem - dysponowała stu dwudziestu siedmioma pojazdami różnego tonażu oraz wielkości i szybko stawała się jedną z największych firm przewozowych w Wielkiej Brytanii.

Mój ojciec założył ją w 1931 roku, zaczynając z trzema wozami - w tym dwoma konnymi - i trzymając się zasady, by zadłużenie firmy w miejscowym banku Martins nie przekraczało nigdy dziesięciu funtów. Kiedy zmieniliśmy nazwę na „Cooper and Son”, w 1967 roku, mieliśmy już siedemnaście pojazdów cztero - i więcej kołowych, dostarczaliśmy towary na terenie całej północnej Anglii, lecz starszek nadal nie chciał zwiększyć limitu kredytowego powyżej dziesięciu funtów.

Kiedyś podczas załamania koniunktury wyraziłem pogląd, że powinniśmy poszukać nowych rynków, być może nawet na kontynencie. Ale ojciec nie chciał o tym słyszeć. „Nie warto podejmować takiego ryzyka” - powiedział. Nie ufał nikomu urodzonemu na południe od Humber, nie mówiąc już o ludziach, którzy urodzili się po drugiej stronie kanału La Manche. „Bóg, który rozdzielił nas pasem wody, musiał mieć po temu ważny powód” - tymi słowami zakończył dyskusję.

Roześmiałybym się, gdybym nagle nie zdał sobie sprawy, że mówi najzupełniej poważnie.

Ojciec przeszedł na emeryturę - niechętnie, mając siedemdziesiąt lat - w 1977 roku. Zająłem jego miejsce i zacząłem wcielać w życie pomysły, które opracowałem w ostatnim dziesięcioleciu, choć wiedziałem, że jemu by się nie spodobały. Europa była tylko pierwszym krokiem planowanej przeze mnie ekspansji; w ciągu pięciu lat pragnąłem przekształcić firmę w spółkę akcyjną notowaną na giełdzie. Zdawałem sobie sprawę, że do tego będziemy musieli mieć linię kredytową wysokości co najmniej miliona funtów, a więc powinniśmy przenieść konto do banku uznającego, że świat nie kończy się na granicach Yorkshire.

Mniej więcej wtedy usłyszałem o seminarium w Bristolu i zgłosiłem chęć uczestnictwa w zajęciach.

Seminarium zaczynało się w piątek przemówieniem powitalnym przewodniczącego Oddziału Europejskiego Stowarzyszenia. Po przemówieniu podzielono nas na osiem grup roboczych, z których każdej przewodził specjalista od prawa handlowego Wspólnoty. W mojej grupie był nim Jeremy Alexander.

Zacząłem go podziwiać już w chwili, gdy wypowiedział pierwsze zdanie - w rzeczywistości bez wielkiej przesady można by rzec, że mnie oczarował. Był człowiekiem o niezniszczalnej pewności siebie; w przyszłości miałem się dowiedzieć, że na zawołanie umie przedstawić przekonujące argumenty na dowolny temat, począwszy od wyższości Kodeksu Napoleońskiego, a skończywszy na niedoskonałości brytyjskiego krykieta.

Przez godzinę wykladał nam podstawowe różnice w prawie i praktykach poszczególnych krajów Wspólnoty, a potem odpowiadał na wszystkie nasze pytania dotyczące spółek i samego prawa handlowego, znajdując nawet czas na wyjaśnienie znaczenia Rundy Urugwajskiej. Podobnie jak ja, wszyscy inni członkowie naszej grupy pilnie notowali każde jego słowo.

Kilka minut przed pierwszą zrobiliśmy sobie przerwę na lunch, a mnie udało się usiąść przy stoliku obok Jeremy'ego. Już wtedy zaczynałem nabierać pewności, że jeśli ktoś może mi pomóc w realizacji moich europejskich planów, to tylko on.

Kiedy jedząc rybę w cieście z czerwoną papryką słuchałem, jak opowiada o swej karierze, zauważyłem, że - choć byliśmy mniej więcej w jednym wieku - trudno by chyba spotkać dwóch innych mężczyzn tak dalece różniących się od siebie wychowaniem. Ojciec Jeremy'ego, z zawodu bankier, uciekł z Europy Wschodniej tuż przed wybuchem drugiej wojny światowej. Osiedlił się w Anglii, zmienił nazwisko i posłał syna do Westminsteru. Z Westminsteru Jeremy poszedł do londyńskiego King's College na wydział prawa, który ukończył z wyróżnieniem.

Mój ojciec pochodził z równin Yorkshire, doszedł do wszystkiego sam i nalegał, bym rzucił naukę po ukończeniu gimnazjum. „Ode mnie w miesiąc więcej się dowiesz o prawdziwym świecie niż od tych uniwersyteckich typków przez całe życie” - powtarzał. Zgodziłem się z nim bez wahania; naukę skończyłem w tydzień po szesnastych urodzinach. Następnego dnia rozpocząłem pracę w firmie jako chłopiec do wszystkiego. Pierwsze trzy lata spędziłem w warsztatach pod czujnym okiem Bustera Jacksona, który nauczył mnie, jak rozłożyć na części każdy z naszych pojazdów i - co ważniejsze - jak złożyć go z powrotem.

Z garaży awansowałem do księgowości, gdzie dwa lata poznawałem sekrety kalkulacji kosztów i odbierania nieściągalnych długów. Kilka tygodni po dwudziestych pierwszych urodzinach zdałem egzamin na prawo jazdy na ciężarówkę i przez następne parę lat rozjeżdżałem się po krętych, bocznych drogach północnej Anglii, dostarczając wszystko - od ananasów począwszy na kurczakach skończywszy - naszym najbardziej nawet odległym klientom. Jeremy spędził mniej więcej tyle czasu na Sorbonie, przygotowując pracę magisterską z Kodeksu Napoleona.

Kiedy Buster Jackson przeszedł na emeryturę, wróciłem do warsztatów w Leeds jako majster.

Jeremy był wówczas w Hamburgu pisząc pracę doktorską o barierach w światowym handlu. Kiedy wreszcie opuścił świat akademicki i zaczął pracować - w dużej firmie doradców handlowych w City - ja zarabiałem na życie już od ośmiu lat.

Choć zaimponował mi podczas seminarium, pod jego ujmującym sposobem bycia wyczuwałem piorunującą mieszankę ambicji i intelektualnego snobizmu, której z pewnością nie zaufałyby mój ojciec. Czuję, że rozmawia z nami tak po przyjacielsku tylko dlatego, że być może kiedyś, w przyszłości, któryś z nas grubo posmaruje maselkiem jego chlebek. Teraz zdaję sobie sprawę, że już wtedy, podczas naszego pierwszego spotkania czuł, że u mnie może liczyć na miód.

Na moją opinię o nim wpłynęło także i to, że Jeremy był ode mnie o kilkanaście centymetrów wyższy i szczuplejszy w pasie. Nie wspominając o tym, że najładniejsza uczestniczka kursu już sobotniej nocy znalazła się w jego łóżku.

Spotkaliśmy się w niedzielę rano na partii squasha; zameczył mnie podczas gry, choć sam nawet się nie spocił.

- Musimy znów się kiedyś spotkać - powiedział, kiedy szliśmy pod prysznic. - Jeśli rzeczywiście zamierza pan rozszerzyć zakres usług na Europę, wkrótce odkryje pan zapewne, że mógłbym się panu przydać.

Ojciec nauczył mnie, że przyjaciele i koledzy po fachu to nie zawsze to samo (jako przykład podawał często rząd). Tak więc, choć nie polubiłem Jeremy'ego, opuszczając Bristol

po zakończeniu seminarium upewniłem się, że dysponuję rozlicznymi numerami jego telefonów i faksów.

Do Leeds wróciłem samochodem w niedzielę późnym wieczorem. Wbiegłem na piętro, usiadłem w nogach łóżka i zacząłem opowiadać zaspanej Rosemary, jaki to opłaczalny miałem weekend.

Rosemary była moją drugą żoną. Pierwsza, Helen, chodziła do szkoły dla dziewcząt w Leeds, kiedy ja uczęszczałem do pobliskiej podstawówki. Obie szkoły miały wspólną salę gimnastyczną; zakochałem się w Helen jako trzynastolatek patrząc, jak gra w siatkówkę. Wykorzystywałem każdy pretekst, by znaleźć się w pobliżu, by widzieć jej niebieskie spodenki, gdy z wysoku bezbłędnie posyłała piłkę w stronę siatki. Ponieważ uczniowie i uczennice spotykali się często na wspólnych zajęciach, zacząłem interesować się teatrem, choć nie miałem ani krzty talentu aktorskiego.

Chodziłem na dyskusje, podczas których ani razu nie otworzyłem ust. Zapisalem się do mieszanej orkiestry, w której grałem na bębenu. Kiedy rzuciłem szkołę i zacząłem pracować w firmie ojca, nadal widywałem się z Helen uczącą się pilnie do matury. Mimo że tak się kochaliśmy, do łóżka poszliśmy dopiero mając osiemnaście lat i nawet wówczas nie byłem pewien, co (i czy coś)

właściwie między nami zaszło. Sześć tygodni później, zalana łzami, poinformowała mnie, że jest w ciąży. Chociaż jej rodzice pragnęli, żeby córka skończyła studia, jednak przygotowano pośpieszne wesele. Ja natomiast, ponieważ przez resztę mych dni nie miałem zamiaru nawet spojrzeć na inną kobietę, w głębi serca cieszyłem się, że z naszego młodzieńczego niedoświadczenia to właśnie wynikło. *

* Helen zmarła o zmierzchu 14 września 1964 roku, podczas porodu. Nasz syn, Tom, przeżył tylko tydzień. Sądziłem, że nie pozbieram się po tej tragedii i wcale nie jestem pewien, czy mi się to udało.

Przez wiele lat nie zainteresowałem się żadną kobietą, całą energię poświęcając firmie.

Po pogrzebie mej żony i syna ojciec, choć nie był człowiekiem miękkim i sentymentalnym - niewielu takich spotka się w Yorkshire - ujawnił ten rys swego charakteru, którego istnienia nawet nie podejrzewałem. Często dzwonił wieczorami, pytał, jak mi się wiedzie, i nalegał, bym w soboty pojawiał się u jego boku w dyrektorskiej łoży na Elland Road. Dopiero wtedy zacząłem rozumieć, dlaczego po ponad dwudziestu latach małżeństwa matka nadal jest w nim zakochana po uszy.

Rosemary poznałem cztery lata później, na balu rozpoczynającym Festiwal Muzyki Poważnej w Leeds. Nieczęsto obracałem się w tym środowisku, ale ponieważ wykupiliśmy całostronicową reklamę w programie, brygadier Kershaw, szeryf hrabstwa York i przewodniczący komitetu organizacyjnego, zaprosił nas jako swych gości. Nie miałem wyboru. Wbiłem się w rzadko używany smoking i poszedłem z rodzicami na bal.

Posadzono mnie przy stoliku numer 17, obok panny Kershaw, która okazała się córką przewodniczącego. Miała na sobie elegancką błękitną suknię bez ramiączek, doskonale podkreślającą jej wspaniałą figurę, na głowie burzę rudych włosów, a na twarzy uśmiech, który sprawił, że natychmiast poczułem się, jakbym ją znał od lat. Przy potrawie, która w menu figurowała jako „avocado z koperkiem”, poinformowała mnie, że właśnie ukończyła

anglistykę na uniwersytecie w Durham i nie jest całkiem pewna, co dalej począć ze swym życiem.

- Nie chcę być nauczycielką - powiedziała. - A z pewnością nie nadaję się na sekretarkę.

Kelnerzy roznosili wciąż nowe dania, a my rozmawialiśmy, zupełnie nie dostrzegając siedzących obok ludzi. Po kawie wyciągnęła mnie na parkiet, gdzie tłumaczyła, jak trudno jest dokonać wyboru zajęcia przy tak wyczerpujących obowiązkach towarzyskich.

Poczytywałem sobie za zaszczyt, że córka samego szeryfa hrabstwa wykazuje takie zainteresowanie mą skromną osobą i mówiąc szczerze nie wziąłem zbyt poważnie słów, które pod koniec wieczora szepnęła mi do ucha:

- Zobaczymy się jeszcze, prawda?

Po kilku dniach jednak zadzwoniła i zaprosiła mnie na niedzielny lunch do wiejskiej rezydencji rodziców.

- Później może zagramy w tenisa - dodała. - Pan oczywiście gra w tenisa, prawda?

W niedzielę pojechałem więc do Church Fenton. Rezydencja Kershawów wyglądała dokładnie tak, jak się spodziewałem: była wielka i podupadająca, a ten opis - jeśli się zastanowić - doskonale pasował i do ojca Rosemary. Ale w gruncie rzeczy nie najgorszy był z niego facet. Z matką, niestety, sprawa miała się zupełnie inaczej. Pochodziła z Hampshire i nie umiała ukryć, że - choć odpowiedni na jakiś tam bal dobroczynny - nie jestem osobą, w towarzystwie której chciałaby spożywać niedzielny lunch. Rosemary ignorowała jej kąśliwe uwagi i gawędziła ze mną mile na temat mojej pracy.

Całe popołudnie padało, więc w tenisa nie zagramy. Rosemary wykorzystała wolny czas, żeby mnie uwieść w małym pawilonie przy kortach. Z początku nieco mnie peszyło, że kocham się z córką takiej osoby, ale wkrótce do tego przywykłem. Mijały jednak tygodnie i w końcu zacząłem się poważnie zastanawiać, czy może jest w tym coś więcej niż marzenia arystokratycznej pani o kierowcy ciężarówki. Zastanawiałem się tak, aż wreszcie Rosemary pierwsza zaczęła rozmowę o małżeństwie. Pani Kershaw nie potrafiła ukryć oburzenia, że ktoś taki jak ja miałby stać się jej zięciem. Nie miało to jednak najmniejszego znaczenia, ponieważ Rosemary była nieugięta. Ślub wzięliśmy po półtorarocznej znajomości.

Ponad dwustu zaproszonych gości brało udział w wiejskiej ceremonii w parafialnym kościele Najświętszej Marii Panny. Muszę szczerze przyznać, że gdy patrzyłem na pannę młodą zbliżającą się do ołtarza, myślałem wyłącznie o moim pierwszym ślubie.

Przez kilka lat Rosemary bardzo się starała być dobrą żoną. Interesowała się firmą, nauczyła się nazwisk wszystkich jej pracowników, zaprzyjaźniła się nawet z żonami paru naczelnych dyrektorów.

Ja w tym okresie wiele pracowałem i czasami przychodziło mi na myśl, że poświęcam jej za mało czasu. Rozumiecie - Rosemary tęskniła za życiem, na które składały się wieczory w operze i następujące po nich przyjęcia kończące się o brzasku, ja natomiast wołałem pracę w weekendy i na ogół kładłem się spać przed dwunastą. Rosemary zaczynała powoli rozumieć, że nie jestem mężem ze sztuki Oscara Wilde'a, na którą mnie ostatnio zabrała - a w dodatku wcale nie pomogło mi to, że zasnąłem w połowie drugiego aktu.

Po czterech latach wysiłków mających na celu splodzenie potomstwa - daremnych, choć Rosemary była bardzo energiczna w łóżku - nasze drogi zaczęły się rozchodzić. Jeśli miała

jakieś przygody (a ja miałem, gdy tylko udało mi się znaleźć wolną chwilę), zachowywała się bardzo dyskretnie. A potem poznała Jeremy'ego Alexandra.

Mniej więcej jakieś sześć tygodni po seminarium w Bristolu po raz pierwszy zdarzyła się okazja, by zadzwonić do Jeremy'ego po radę. Zamierzałem podpisać umowę z francuskimi producentami serów na dostarczanie ich wyrobów do brytyjskich supermarketów. W zeszłym roku straciłem sporo na podobnym układzie z niemieckim browarem; nie stać mnie było na popelnienie po raz drugi tego samego błędu.

- Chcę poznać szczegóły kontraktu - powiedział Jeremy. - Przejrzę papiery podczas weekendu i zadzwonię w poniedziałek.

Dotrzymał słowa. Przez telefon wspomniał, że w czwartek będzie w Yorku przeprowadzał rozmowy z klientem, więc w piątek moglibyśmy się spotkać, by podyskutować o umowie.

Zgodziłem się. Prawie cały dzień spędziliśmy zamknięci w sali konferencyjnej, sprawdzając każdą kropkę, każdy przecinek kontraktu. Aż przyjemnie było patrzeć na prawdziwego zawodowca przy pracy, nawet jeśli miał on irytujący zwyczaj bębnienia palcami po stole, kiedy nie od razu rozumiałem, o co mu chodzi.

Okazało się, że Jeremy rozmawiał już z rezydującym w Tuluzie prawnikiem Francuzów i omówił z nim wszystkie swe terażniejsze i przyszłe zastrzeżenia. Zapewnił mnie, że choć *monsieur* Sisley nie mówi po angielsku, udało mu się doskonale wytłumaczyć przyczyny naszego niepokoju. Uderzyło mnie, że użył zaimka „nasz”.

Kiedy skończyliśmy przeglądać ostatnią stronę, zorientowałem się, że w budynku nie ma już nikogo - ludzie rozjechali się na weekend. Zaprosiłem więc Jeremy'ego na kolację do domu. Jeremy spojrzął na zegarek, przez chwilę w milczeniu rozważał propozycję, po czym powiedział: „Dziękuję.

To bardzo uprzejmie z twojej strony”. W drodze powrotnej podrzuciłem go do Queen's Hotel, żeby mógł się przebrać.

Rosemary nie była zachwycona, że w ostatniej chwili zaprosiłem na kolację człowieka zupełnie obcego, nawet jej o tym nie uprzedzając. Nie pomogły zapewnienia, że z pewnością polubi naszego gościa.

Jeremy zapukał do drzwi kilka minut po ósmej. Kiedy przedstawiłem go żonie, skłonił się lekko i pocałował ją w rękę. Potem, przez cały wieczór, nie odrywali już od siebie wzroku. Tylko ślepiec nie dostrzegłby, co się święci, lecz mój podziw dla Jeremy'ego, jeśli nawet nie uczynił mnie ślepy, to przynajmniej kazał mi przymknąć oczy.

Jeremy stale znajdował powody, by spędzać coraz więcej czasu w Leeds. Muszę przyznać, że to nagłe uczucie, jakim zapalał do północnej Anglii, sprawiło, iż znacznie szybciej niż zakładałem w najśmielszych snach mogłem zrealizować swe ambicje dotyczące Cooper's. Już od pewnego czasu zdawałem sobie sprawę, że powinniśmy mieć własnego doradcę prawnego; po roku znajomości zaproponowałem więc Jeremy'emu miejsce w radzie nadzorczej z zadaniem przygotowania firmy do wejścia na giełdę.

Bardzo wiele czasu spędzałem wówczas w Madrycie, Amsterdamie i Brukseli negocjując nowe kontrakty, do czego Rosemary tylko mnie zachęcała. Jeremy tymczasem zrecznie kierował firmą wśród prawnych i finansowych raf. Dzięki jego pracowitości i znajomości rzeczy już dwunastego lutego 1980 roku złożyliśmy podanie o wpisanie Cooper's na listę

przedsiębiorstw notowanych na londyńskiej giełdzie, co miało nastąpić jeszcze w tym samym roku. Wtedy właśnie popełniłem pierwszy błąd: zaproponowałem Jeremy'emu stanowisko wiceprezesa.

Zgodnie z prospektem emisyjnym pięćdziesiąt jeden procent akcji miało należeć do Rosemary i do mnie. Jeremy wyjaśnił mi, że ze względów podatkowych będzie lepiej, jeśli każde z nas obejmie połowę tego pakietu. Moja księgowość potwierdziła jego opinię, toteż wówczas nie poświęciłem temu faktowi więcej uwagi. Pozostałe 4 900 000 jednofuntowych akcji zostało wykupione przez instytucje i prywatnych inwestorów. W ciągu kilku pierwszych dni naszego istnienia na giełdzie ich cena podskoczyła do 2.80 funta.

Ojciec, który umarł przed rokiem, nigdy zapewne nie zaakceptowałby możliwości wzbogacenia się o kilka milionów funtów tak po prostu, z dnia na dzień. Mam wrażenie, że podobny pomysł wzbudziłby jego gwałtowny sprzeciw; nawet będąc na łożu śmierci wierzył głęboko, że dziesięcio-funtowy limit zadłużenia najzupełniej wystarczy, by prowadzić dobrze prosperujący biznes.

Lata osiemdziesiąte cechował stały wzrost gospodarczy Wielkiej Brytanii. W marcu 1984 roku cena akcji Cooper's osiągnęła wartość 5 funtów; cenę podbiły plotki prasowe o możliwości przejęcia firmy. Jeremy zachęcał mnie, bym przyjął jedną z takich propozycji, ale powiedziałem, że nigdy się nie zgodzę na to, by Cooper's wymknęło się spod kontroli rodziny. Potem jeszcze trzykrotnie dokonywaliśmy splitu akcji. W 1989 roku „Sunday Times” szacował nasz wspólny majątek na jakieś trzydzieści milionów funtów.

Nigdy nie myślałem o sobie jako o człowieku bogatym. W końcu, przynajmniej jeśli o mnie chodzi, akcje były tylko kawałkami papieru przechowywanymi przez Joego Ramsbottoma, naszego radcę prawnego. Nadal mieszkalem w domu ojca, jeździłem pięcioletnim jaguarem i pracowałem po czternaście godzin na dobę. Wakacje nigdy nie wydawały mi się czymś szalenie atrakcyjnym i z natury nie byłem ekstrawagancki. Bogactwo niewiele mnie jakoś obeszło. Byłbym szczęśliwy żyjąc jak dotychczas, gdybym pewnego dnia niespodziewanie nie wrócił do domu.

Po zakończeniu długich i szczególnie wyczerpujących negocjacji w Kolonii złapałem ostatni samolot do Londynu. Początkowo zamierzałem zatrzymać się tam na noc, ale miałem już dość hoteli i po prostu chciałem wrócić do domu, mimo że oznaczało to długą jazdę samochodem. Do Leeds dotarłem kilka minut po pierwszej. Na podjeździe stało białe BMW Jeremy'ego.

Gdybym w ciągu dnia zadzwonił do Rosemary, pewnie nigdy nie wylądowałbym w więzieniu.

Zaparkowałem koło BMW i kiedy szedłem ku drzwiom, zauważyłem, że światło pali się tylko w jednym oknie: od frontu, na pierwszym piętrze. Nie trzeba było Sherlocka Holmesa, by zrozumieć, co się tam najprawdopodobniej dzieje.

Stanałem, jakby mi nogi wrosły w ziemię, i wpatrywałem się w zaciągnięte zasłony. Ani drgnęły, najwyraźniej nie usłyszeli samochodu i nie zdawali sobie sprawy, że przyjechałem. Odwróciłem się, wsiadłem do jaguara i ruszyłem w stronę centrum. Podjechałem do Queen's Hotel i zapytałem, czy pan Jeremy Alexander zarezerwował sobie pokój. Recepcjonista sprawdził rejestr rezerwacji i potwierdził.

- Wezmę go - oświadczyłem. - Pan Alexander spędza tę noc gdzie indziej.

Mój ojciec byłby dumny, że tak oszczędnie używam funduszy firmy.

Leżałem w łóżku nie mogąc zasnąć, a z każdą mijającą godziną rosła moja wściekłość. Nie darzyłem już Rosemary głębokim uczuciem - a nawet zaczynałem rozumieć, że prawdopodobnie nigdy nie było go w naszym związku - natomiast Jeremy'ego znienawidziłem. Lecz dopiero nazajutrz zrozumiałem, jak wielka była ta nienawiść.

Następnego ranka zadzwoniłem do mojej sekretarki i powiadomiłem ją, że przyjadę do biura prosto z Londynu. Przypomniała mi, że na drugą jest wyznaczone zebranie rady nadzorczej, któremu pan Alexander pragnął przewodniczyć. Byłem bardzo zadowolony, że nie może zobaczyć, jak się uśmiecham z satysfakcją. Podczas śniadania zerknąłem na porządek spotkania i natychmiast zdałem sobie sprawę, dlaczego Jeremy chce przewodniczyć temu właśnie posiedzeniu. Ale jego plany nie miały już najmniejszego znaczenia. Zdecydowałem, że pokażę członkom rady, do czego zmierza wiceprezes i pozbędę się go, gdy tylko będzie to możliwe.

Przyjechałem do firmy tuż przed pierwszą trzydziestą. Zaparkowałem na miejscu oznaczonym „Prezes”. Miałem dość czasu, by przed zebraniem przejrzeć dokumenty. Z ciężkim sercem uświadomiłem sobie, jak wielki pakiet akcji kontroluje Jeremy i co planują wraz z Rosemary - z pewnością już od dłuższego czasu.

Gdy tylko wszedłem do sali konferencyjnej, Jeremy bez słowa wstał z fotela przewodniczącego, ustępując mi miejsca. Nie zdradzał szczególnego zainteresowania obradami, póki wreszcie nie dotarliśmy do punktu porządku dziennego obejmującego sprawę akcji. Zgłosił pozornie niewinny wniosek, który - gdyby został przyjęty - pozbawiłby Rosemary i mnie pakietu większościowego, uniemożliwiając mi przeciwstawienie się planom przejęcia firmy. Może dałbym mu się nawet zwieść, gdybym nie przyjechał do Leeds zeszłej nocy, nie zastał przed domem jego samochodu i nie zobaczył światła w oknie sypialni.

Kiedy Jeremy był już pewien, że jego wniosek zostanie przyjęty, poprosiłem księgowość firmy, by przygotowała pełne sprawozdanie finansowe na następne zebranie rady nadzorczej; dałem do zrozumienia, że przed podjęciem decyzji powinniśmy poznać wszystkie fakty. Jeremy nie okazał nawet śladu emocji, zaczął tylko bębnić palcami po stole. Uważałem, że przygotowany przez księgowość raport powinien stać się gwoździem do jego trumny. Gdybym nie był tak zirytowany, z pewnością znalazłbym lepszy sposób, by się go pozbyć.

Ponieważ nikt nie zgłosił wolnych wniosków, zamknąłem posiedzenie. Była za dwadzieścia szósta. Zaproponowałem Jeremy'emu, by zjadł kolację z Rosemary i ze mną. Nie wydawał się uszczęśliwiony tym pomysłem, ale zacząłem tłumaczyć, że niezbyt dobrze rozumiem całą tę sprawę z akcjami, że także żona powinna zostać we wszystko wprowadzona, i w końcu się zgodził. Kiedy zadzwoniłem do Rosemary, by jej o tym powiedzieć, zorientowałem się, że cieszy ją to nawet mniej niż jego.

- Być może powinniście sami pójść do restauracji - zaproponowała. - Tam byłoby wam wygodniej porozmawiać o wszystkim, co działo się tu pod twą nieobecność. - Z wysiłkiem opanowałem wybuch śmiechu. - W domu nie ma prawie nic do jedzenia - dodała jeszcze.

Zapewniłem, że nie musi się tym martwić.

Jeremy spóźnił się, co nie leżało w jego zwyczaju. Gdy tylko przekroczył próg,

poczęstowałem go tradycyjną szklaneczką whisky z wodą sodową. Muszę przyznać, że przy jedzeniu grał wręcz błyskotliwie, Rosemary natomiast była znacznie mniej przekonująca.

W salonie, przy kawie, zdołałem wreszcie doprowadzić do konfrontacji, której unikał tak zrećnie na zebraniu rady nadzorczej.

- Dlaczego tak bardzo zależy ci na uchwale w sprawie nowych zasad alokacji akcji? - strzeliłem, kiedy sączył drugą brandy. - Z pewnością zdajesz sobie sprawę, że Cooper's może znaleźć się poza kontrolą moją i Rosemary. Nie rozumiesz, że natychmiast zostałby przejęty?

Spróbował kilku wyświechtanych frazesów.

- To leży w najlepszym interesie firmy, Richardzie. Z pewnością zdajesz sobie sprawę, jak szybko się ona rozwija. Cooper's nie jest już rodzinnym biznesem. Na dłuższą metę to najlepsze wyjście dla was i dla akcjonariuszy. - Nie wspomniał, których akcjonariuszy ma przede wszystkim na myśli. Zaskoczyło mnie jednak, że Rosemary nie tylko go poparła, lecz w dodatku miała wyjątkowo dobrą orientację nawet w zawiłych kwestiach związanych z alokacją; rozwodziła się nad tym szeroko, mimo że Jeremy rzucał jej gniewne spojrzenia. Doskonale znała wszystkie argumenty, których użył on na zebraniu rady - zdumiewające, jeśli weźmie się pod uwagę, że nigdy przedtem nie interesowała się firmą. Kiedy odwróciła się do mnie ze słowami: „Musimy pomyśleć wreszcie o naszej przyszłości, kochanie”, straciłem w końcu cierpliwość.

Ludzie z Yorkshire słyną z tego, że nigdy niczego nie owijają w bawełnę. Następnym pytaniem potwierdziłem tę opinię.

- Czy wy dwoje nie jesteście przypadkiem kochankami?

Rosemary zaczerwieniła się po białka oczu. Jeremy roześmiał się nieco zbyt głośno.

- Mam wrażenie, że wypiliśmy o jeden kieliszek za dużo - powiedział.

- Nie wypilem ani jednego - zapewniłem go. - Jestem kompletnie trzeźwy. Tak trzeźwy jak wczoraj w nocy, kiedy podjechałem pod dom i zobaczyłem na podjeździe twój samochód.

Po raz pierwszy od kiedy się poznaliśmy, całkowicie zbilem Jeremy'ego z pantałyku, choć - trzeba przyznać - zaledwie na chwilkę. Zaczął bębnić palcami po szklanym blacie stolika do kawy.

- Po prostu wyjaśniałem jej kwestie związane z akcjami - stwierdził niemal bez wahania. -

Wymagają tego przepisy giełdowe.

- A czy przepisy giełdowe wymagają, by takie wyjaśnienia odbywały się w łóżku?

- Och, nie bądź śmieszny. Tę noc spędziłem w Queen's Hotel. Jeśli nie wierzysz, zadzwoń do recepcji. - Podał mi telefon. - Potwierdzą, że zarezerwowałem ten sam pokój co zawsze.

- Jestem o tym przekonany. Potwierdzą także, że to ja spędziłem noc w twoim łóżku.

W zapadłej nagle ciszy wyjąłem z kieszeni klucz do hotelowego pokoju i pomachałem mu nim przed nosem. Jeremy skoczył na równe nogi. Ja również wstałem, choć nieco wolniej. Patrzyliśmy sobie w oczy. Zastanawiałem się, co teraz powie.

- To wszystko twoja wina, ty cholerny głupcze - wykrztusił w końcu. - Przede wszystkim powinienes bardziej interesować się Rosemary, a nie ganiać jak dureń po całej Europie. Nic dziwnego, że możesz stracić firmę.

Zabawne, ale to nie fakt, że Jeremy sypiał z moją żoną, sprawił, że wreszcie straciłem panowanie nad sobą, lecz jego arogancka pewność, że może mnie także pozbawić firmy. Nie odpowiedziałem, tylko zrobiłem krok do przodu i strzeliłem go w tę gładko wygoloną głowę. Może i byłem kilkanaście centymetrów niższy, ale przez dwadzieścia lat obracałem się wśród kierowców ciężarówek i nie zapomniałem, jak wyprowadza się dobry cios. Jeremy zatoczył się najpierw w tył, potem w przód, a następnie zwałił się na podłogę. Padając uderzył głową w kant stolika do kawy, wylewając na siebie brandy. Leżał nieruchomo, na dywan zaczęła się sączyć smużka krwi.

Muszę przyznać, że byłem z siebie zadowolony, zwłaszcza wtedy, gdy Rosemary przyskoczyła do niego, a mnie zaczęła obrzucać stekiem wyzwisk.

- Nie wysilaj swojego gardła dla mnie - powiedziałem. - Musi ci go wystarczyć dla kochanka.

Kiedy oprzytomnieje, powiedz mu, żeby nie martwił się o pokój w Queen's. Dziś znowu prześpię się w jego łóżku.

Wybiegłem z domu i pojechałem do hotelu. Samochód zostawiłem na parkingu. W holu było pusto. Pojechałem windą wprost na górę, do pokoju. Położyłem się, ale z podniecenia nie mogłem zasnąć.

Drzemałem tylko, kiedy do pokoju wtargnęło czterech policjantów i wyciągnęło mnie z łóżka.

Jeden z nich oświadczył, że jestem aresztowany, i odczytał przysługujące mi prawa, po czym bez żadnych dodatkowych formalności zostałem odwieziony na posterunek na Milligarth. Parę minut po piątej rano przekazano mnie oficerowi dyżurnemu. Zabrano mi wszystko, co miałem w kieszeniach, i wrzucono do wielkiej szarej koperty. Dowiedziałem się wówczas, że mam prawo do jednej rozmowy telefonicznej, zadzwoniłem więc do Joego Ramsbottoma, obudziłem jego żonę i poprosiłem, by Joe jak najszybciej przyjechał na posterunek. Następnie zamknięto mnie w małej celi i zostawiono samego.

Siedziałem na drewnianej pryczy próbując dojść powodu aresztowania. Nie wierzyłem, by Jeremy okazał się na tyle głupi, by oskarżyć mnie o napaść.

Joe pojawił się jakieś czterdzieści minut później. Opowiedziałem mu, co zaszło tego wieczora.

Słuchał z poważną miną, nic nie mówiąc. Gdy skończyłem, obiecał, że spróbuje się zorientować, o co mam zostać oskarżony.

Kiedy wyszedł, pomyślałem, że Jeremy mógł dostać ataku serca, a może nawet poniósł śmierć na skutek uderzenia głową w stół, i ogarnął mnie strach. Dosłownie szalałem, wyobrażając sobie wszystko co najgorsze; nie mogłem się doczekać chwili, kiedy wreszcie dowiem się, co naprawdę zaszło. Doczekałem się jednak tylko wizyty dwóch policjantów po cywilnemu. Za nimi do celi wszedł także i Joe.

- Jestem nadinspektor Bainbridge - przedstawił się wyższy z policjantów. - A to mój kolega, sierżant Harris. - W ich oczach odbijało się zmęczenie, garnitury mieli wymięte, jakby całą noc byli na nogach; obaj zdecydowanie powinni się ogolić. Potarłem szczękę i stwierdziłem, że dotyczy to również mnie.

- Chcielibyśmy zadać panu parę pytań na temat tego, się wydarzyło wieczorem w pańskim

domu - powiedział Bainbridge.

Zerknąłem na Joego Ramsbottoma, który tylko pokręcił przecząco głową.

- Bardzo by nam pomogło w śledztwie, gdyby zechciał pan z nami współpracować - mówił dalej nadinspektor. - Czy jest pan gotów złożyć oświadczenie na piśmie lub w postaci nagrania magnetofonowego?

- Obawiam się, że w obecnej chwili mój klient nie ma nic do powiedzenia, panie nadinspektorze - oznajmił Joe. - I nie udzieli żadnych wyjaśnień, dopóki nie otrzymam dodatkowych informacji.

Zaimponował mi. Nigdy nie słyszałem u niego tak stanowczego tonu - chyba że wobec własnych dzieci.

- Pragniemy tylko uzyskać oświadczenie, panie Ramsbottom - tłumaczył nadinspektor, nie zwracając na mnie najmniejszej uwagi. Zupełnie jakbym nie istniał. - Nie mamy nic przeciwko temu, by był pan obecny przy jego złożeniu.

- Nie - sprzeciwił się stanowczo Joe. - Albo oskarżacie mojego klienta, albo zostawiacie nas samych. Natychmiast!

Nadinspektor wahał się chwilę, po czym skinął na kolegę i obaj wyszli bez słowa.

- Oskarżenie? - spytałem, gdy tylko drzwi się za nimi zamknęły. - Na miłość boską, o co właściwie mają mnie oskarżyć?

- Przypuszczam, że o morderstwo. Po tym, co powiedziała im Rosemary...

- Morderstwo? - wykrztusiłem. - Ależ...

Z niedowierzaniem przyjąłem informacje, które Joe zdołał uzyskać na temat oświadczenia złożonego wczesnym rankiem przez moją żonę.

- Przecież nic takiego nie miało miejsca! - zaprotestowałem. - Z pewnością nikt nie uwierzy w tak idiotyczną historyjkę!

- Być może uwierzy... zwłaszcza kiedy dowie się, że policja znalazła ślady krwi prowadzące od domu do miejsca, w którym był zaparkowany twój samochód.

- To niemożliwe! Kiedy wychodziłem, Jeremy nadal leżał nieprzytomny na podłodze.

- W bagażniku także odkryto krew. Są pewni, że Jeremy'ego.

- O mój Boże - jęknąłem. - Jest sprytny. Jest bardzo sprytny. Nie rozumiesz, co zaplanowali?

- Nie, nie rozumiem - przyznał szczerze Joe. - Jestem doradcą finansowym i nieczęsto stykam się z tego rodzaju sprawami. Udało mi się jednak złapać telefonicznie sir Matthew Robertsa, radcę królewskiego, nim rano wyszedł z domu. Będzie dziś występował przed sądem Yorku; zgodził się spotkać z nami natychmiast po sesji. Jeśli jesteś niewinny, Richardzie - pocieszył mnie Joe - to z sir Matthew jako obrońcą nie musisz się niczego obawiać. Tego możesz być pewien.

Po południu zostałem formalnie oskarżony o zamordowanie Jeremy'ego Anatole'a Alexandra; policja wyjawiała memu adwokatowi, że nie ma jeszcze ciała, lecz wyraziła także pewność, że wkrótce zostanie ono odnalezione. Ja zaś wiedziałem, że jest to niemożliwe. Następnego dnia Joe powiedział mi, że przekopano ogródek przy domu; w dwadzieścia cztery

godziny policjanci wykonali w nim więcej pracy, niż ja przez dwadzieścia cztery lata.

Wieczorem, około siódmej, drzwi mojej celi otworzyły się ponownie. Do środka wszedł Joe w towarzystwie tęgiego, bardzo dystyngowanego mężczyzny. Sir Matthew Roberts był mojego wzrostu, ważył jednak z pewnością kilkanaście kilogramów więcej. Rumiany, uśmiechnięty, sprawiał wrażenie człowieka, który uwielbia dobre wino i wesołe towarzystwo. Jego ciemne, gęste włosy przypominały starą reklamę brylantyny Denisa Comptona, ubrany był zaś jak przystało na przedstawiciela palestry: ciemny garnitur z kamizelką i srebrzysty krawat. Polubiłem sir Roberta już w chwili, kiedy zostaliśmy sobie przedstawieni. Zaczął od wyrażenia żalu, że spotykamy się w tak przykrych okolicznościach.

Resztę wieczoru spędziłem z sir Matthew, powtarzając kilkakrotnie w kółko, co właściwie zaszło. Wiedziałem, że nie wierzy w ani jedno słowo, ale z wyraźną chęcią zgodził się mnie reprezentować. Wyszli razem z Joem kilka minut po jedenastej, a ja zacząłem przygotowywać się do spędzenia pierwszej w życiu nocy za kratkami.

Pozostałem w areszcie, póki policja nie zebrała dowodów i nie przedstawiła ich prokuraturze.

Następnego dnia wyznaczono rozprawę przed sądem królewskim w Leeds. Mimo elokwencji sir Matthew nie zwolniono mnie za kaucją.

Czterdzieści minut później zostałem przewieziony do więzienia Armley.

Godziny zmieniały się w dni, dni w tygodnie, tygodnie w miesiące. Zmęczyło mnie powtarzanie każdemu, kto tylko chciał słuchać, że nikt nigdy nie znajdzie ciała Jeremy'ego, ponieważ nie ma żadnych zwłok.

Kiedy dziewięć miesięcy później moja sprawa znalazła się wreszcie na wokandzie, pojawiły się oczywiście tłumy reporterów, radośnie publikujących każde wypowiedziane na sali słowo.

Multimilioner, afera miłosna i zaginione ciało - to, rzecz jasna, dla prasy był smakowity kąsek.

Szmatławce przeszły siebie, opisując Jeremy'ego jako „lorda Lucana” z Leeds, mnie zaś jako napalonego kierowcę ciężarówki. Bawiłyby mnie te relacje, gdyby nie fakt, że to ja siedziałem na ławie oskarżonych.

W mowie wstępnej sir Matthew bronił mnie wręcz wspaniale. Nie ma ciała, więc na jakiej podstawie oskarża się jego klienta o morderstwo? A jak mogłem pozbyć się ciała, skoro całą noc spędziłem w pokoju w Queen's Hotel? Jakże żałowałem, że nie zameldowałem się na kolejną noc, tylko po prostu pojechałem wprost na górę. Nie pomogło mi też to, że policja znalazła mnie leżącego na łóżku w ubraniu.

Patrzyłem na twarze przysięgłych, kiedy oskarżyciel kończył mowę wstępną. Byli oszołomieni i najwyraźniej pełni wątpliwości co do mej winy. Wątpili, póki na miejscu dla świadków nie znalazła się Rosemary.

Przez godzinę prokurator delikatnie wypytywał moją żonę o wydarzenia tamtego wieczora.

Mówiła całą prawdę i tylko prawdę - aż do momentu, gdy uderzyłem Jeremy'ego.

- Co się stało potem? - pytał przedstawiciel Korony.

- Mąż pochylił się. Sprawdził puls pana Alexandra - szepnęła Rosemary. - Potem zbladł i powiedział tylko: „Nie żyje. Zabiłem go”.

- I co pan Cooper zrobił później?

- Podniósł ciało, przerzucił je sobie przez ramię i poszedł w kierunku drzwi. Krzyknęłam za nim:

„Co robisz, Richardzie?”

- Czy odpowiedział?

- Stwierdził, że chce się pozbyć ciała, póki jest jeszcze ciemno, i że ja mam zadbać o to, by nie pozostał nawet ślad czyjejkolwiek wizyty w naszym domu. Powiedział, że kiedy wychodzili z biura, nie było tam już nikogo, więc ludzie będą pewni, że Jeremy wrócił do Londynu wieczornym pociągiem. „Upewnij się, że nie zostały ślady krwi” - to były ostatnie słowa, jakie od niego usłyszałam. Wyszedł, niosąc zwłoki pana Alexandra. To chyba wtedy zemdlalam.

Zdumiony siedziałem na ławie oskarżonych. Sir Matthew zerknął na mnie pytająco. Gwałtownie potrząsnęłam głową. Patrzył ponuro na oskarżyciela, zajmującego właśnie miejsce za stołem.

- Czy chce pan przesłuchać świadka, sir Matthew? - spytał sędzia.

Adwokat wstał powoli.

- Z całą pewnością, Wysoki Sądzie - odparł, wyprostował się, poprawił togę i popatrzył przenikliwie na swą najgroźniejszą przeciwniczkę.

- Pani Cooper, czy nazwałaby się pani przyjaciółką pana Alexandra?

- Oczywiście, ale tylko w tym sensie, że był on kolegą mego męża z pracy - odparła spokojnie Rosemary.

- Więc nie widywaliście się, kiedy pani mąż wyjeżdżał w sprawach zawodowych z Leeds lub nawet z kraju?

- Spotykaliśmy się przy różnego rodzaju okazjach towarzyskich, na których pojawiałam się wraz z mężem, lub w biurze, do którego przyjeżdżałam, by odebrać jego pocztę.

- Jest pani pewna, że kontaktowaliście się tylko w opisanych przez panią okolicznościach, pani Cooper? Czy nie spędzała pani dłuższych okresów wyłącznie w towarzystwie pana Alexandra? Na przykład nocy z 17 na 18 września 1989 roku, kiedy to pani mąż wrócił niespodziewanie z podróży po Europie; czy nie była pani wówczas co najmniej kilka godzin sam na sam z Jeremym Alexandrem?

- Nie. Przywiózł mi do domu pewien dokument do przestudiowania, ale nie miał nawet czasu wypić drinka.

- Pani mąż twierdzi jednak...

- Wiem, co twierdzi mój mąż - przerwała Rosemary, jakby ćwiczyła te słowa wiele razy.

- Rozumiem - powiedział sir Matthew. - Przejdźmy do rzeczy, zgoda, pani Cooper? Czy miała pani romans z Jeremym Alexandrem w czasie bezpośrednio poprzedzającym jego zniknięcie?

- Czy to istotne, sir Matthew? - przerwał mu sędzia.

- Ależ z całą pewnością, Wysoki Sądzie. Na tym opiera się cała sprawa - zapewnił go niewzruszonym, opanowanym głosem obrońca.

Wszyscy obecni na sali wpatrywali się w moją żonę. Siłą woli próbowałem zmusić ją do powiedzenia prawdy. Rosemary nie wahała się ani chwili.

- Nie, nie miałam z nim romansu - stwierdziła. - Choć mąż nieraz bezpodstawnie mnie o to oskarżał.

- Rozumiem - powtórzył sir Matthew i umilkł na chwilę. - Czy kocha pani swego męża, pani Cooper? - spytał w końcu.

- Doprawdy, sir Matthew! - Sędzia nie próbował nawet ukryć rozdrażnienia. - Jestem zmuszony zapytać jeszcze raz: czy to ważne?

- Ważne?! - wybuchnął sir Matthew. - To najważniejsza kwestia w tej sprawie, a Wysoki Sąd nie pomaga mi bynajmniej swymi ledwie maskowanymi próbami osłonięcia świadka!

Sędzia zdenerwował się i zaczął coś bełkotać. Rosemary odpowiedziała jednak spokojnie.

- Zawsze byłam dobrą i wierną żoną, w tej sytuacji jednak nie mogę ochraniać mordercy.

Przysięgli spojrzeli na mnie. Z twarzy większości odczytałem żal, że w moim przypadku nie można przywrócić kary śmierci.

- W takim razie jestem zmuszony zapytać, dlaczego zwlekała pani dwie i pół godziny, nim zawiadomiła pani policję? - spytał sir Matthew. - Zwłaszcza że, jak pani twierdzi, mąż pani popełnił morderstwo i miał właśnie zamiar pozbyć się ciała.

- Jak już mówiłam, zemdlałam, kiedy wychodził z domu. Zadzwoiłam na policję, jak tylko odzyskałam przytomność.

- No tak, prawdziwe to szczęście, że straciła pani przytomność. A może prawda jest inna - może wykorzystywała pani te dwie i pół godziny, by zastawić na męża pułapkę i umożliwić kochankowi ucieczkę?

W cichej sali pomruk tłumu zabrzmiał bardzo wyraźnie.

- Sir Matthew! - Sędzia poderwał się gwałtownie. - Posuwa się pan za daleko!

- Wysoki Sądzie, z całym szacunkiem muszę zaprzeczyć. Nie posuwam się za daleko!

Adwokat odwrócił się i stanął twarzą w twarz z moją żoną.

- Twierdzę, pani Cooper, że Jeremy Alexander był pani kochankiem, że pozostaje nim nadal i że jest pani świadoma tego, iż on żyje i ma się dobrze!

Mimo stukotu młotka sędziego, mimo wrzasku, jaki się podniósł na sali, przygotowana z góry odpowiedź Rosemary była doskonale słyszalna.

- Bardzo żałuję, że tak nie jest, bo gdyby żył, stanąłby tutaj i potwierdził, że mówię prawdę - powiedziała Rosemary cichym, łagodnym głosem.

- Przecież pani zna prawdę, pani Cooper - głos sir Matthew podnosił się stopniowo. - Prawdą jest, że pani mąż wyszedł z domu sam. Prawdą jest, że pojechał do Queen's Hotel, gdzie spędził resztę nocy, podczas gdy pani i jej kochanek fabrykowaliście ślady po całym Leeds - ślady, jeśli wolno mi dodać, wskazujące na winę pani męża w sprawie o morderstwo. Lecz jednej rzeczy sfabrykować nie byliście w stanie: ciała. Wie pani doskonale, że Jeremy Alexander żyje i że wspólnie wymyśliliście całą tę bajeczkę, sami i dla własnej korzyści. Czy

nie jest to prawda, pani Cooper?

- Nie! Nie! - krzyknęła Rosemary łamiącym się głosem i wreszcie wybuchnęła płaczem.

- Och, dajmy sobie z tym spokój, pani Cooper. Po cóż te krokodyle łzy? - powiedział spokojnie sir Matthew. - Teraz, kiedy wszystko zostało już powiedziane, przysięgli rozstrzygną, czy płacze pani szczerze.

Spojrzałem na przysięgłych. Dali się nabrać na grę mojej żony, a na dodatek zaczęli nienawidzić nie tylko mnie, lecz i mojego gruboskórnego adwokata, który ośmielił się tak napaść na łagodną, cierpiącą kobietę. Na każde celne pytanie sir Matthew Rosemary miała gotową ripostę, w której bez problemu wyczuwało się zawodowe doświadczenie Jeremy'ego Alexandra.

Kiedy ja z kolei zająłem miejsce dla świadków, śliczna blondynka znów siedziała w pierwszym rzędzie dla publiczności. Miałem wrażenie, że raduje ją każda sekunda tych tortur.

Odpowiadając na pytania sir Matthew wiedziałem, że moja wersja jest mniej wiarygodna niż opowieść Rosemary... choć prawdziwa.

Mowa oskarżycielska była śmiertelnie nudna - z akcentem na śmiertelnie. Sir Matthew natomiast przytoczył subtelne argumenty z doskonałym wyczuciem efektu dramatycznego, obawiałem się jednak, że wydadzą się znacznie mniej przekonujące.

Jeszcze jedna noc w Armley i powróciłem na salę, by wysłuchać dokonanego przez sędziego podsumowania. Okazało się, że nie ma on najmniejszych wątpliwości co do mej winy. Dowody do omówienia wybrał jednostronnie - wyłącznie te, które mnie obciążały, a kiedy przypomniał sędziom, że jego opinia nie powinna mieć wpływu na ich werdykt, był to tylko akt hipokryzji.

Po całym dniu obrad sędziów przysięgłych z konieczności umieszczono w hotelu - jak na ironię w Queen's, a kiedy wesołego tłuściocha w kolorowym krawacie zapytano wreszcie: „Sędziowie przysięgli, czy uznaliście obecnego tu oskarżonego za winnego, czy też za niewinnego zarzucanego mu przestępstwa?”, nie byłem zdziwiony słysząc wyraźnie wypowiedziane: „Winny”. Zaskoczyło mnie tylko, że werdyktu nie wydano jednomyślnie. Cały czas zastanawiam się, których to dwóch ławników nie przekonał proces, którzy to przysięgli z uporem uważali mnie za niewinnego.

Pragnąłbym im podziękować.

Sędzia popatrzył na mnie z góry.

- Richardzie Wilfredzie Cooperze, uznano pana za winnego zamordowania Jeremy'ego Anatole'a Alexandra...

- Nie zabiłem go, Wysoki Sądzie - przerwałem spokojnym głosem. - Jeremy Alexander nie umarł.

Mam nadzieję, że będzie pan żył dostatecznie długo, by poznać prawdę.

Sir Matthew spojrzał zaniepokojony, kiedy na sali wybuchła wrzawa.

Sędzia nakazał ciszę i jeszcze bardziej szorstkim głosem dokończył:

- ...zostaje pan skazany na dożywocie. Taki wyrok nakazuje prawo. Zabrać go.

Dwaj policjanci wstali, chwycili mnie mocno pod ramiona i wyprowadzili z ławy

oskarżonych przez tylne wyjście do celi, którą zajmowałem każdego ranka przez osiemnaście dni procesu.

- Przykro mi, stary - powiedział policjant, który pilnował mnie od samego początku procesu. - O wszystkim przesądziła ta suka, twoja żona. - Zamknął celę i przekręcił klucz, nim zdołałem powiedzieć, że w pełni się z nim zgadzam.

W kilka chwil później drzwi otworzyły się i do środka wszedł sir Matthew. Patrzył na mnie przez dłuższą chwilę bez słowa, wreszcie rzekł:

- To, co się stało, jest straszliwą niesprawiedliwością, panie Cooper. Natychmiast złożę apelację. Jednego może pan być pewien - nie spocznę, póki nie odnajdę Jeremy'ego Alexandra i nie oddam go w ręce sprawiedliwości.

Wtedy dopiero zdałem sobie sprawę, że sir Matthew wie, iż jestem niewinny.

Posadzono mnie w celi z drobnym złodziejaszkiem o ksywie „Paluch” Jenkins. Czy możecie uwierzyć, że niemal u progu XXI wieku istnieje człowiek, na którego mówią „Paluch”? Jenkins najwyraźniej uczciwie zapracował sobie na to przydomek. Za ledwie wszedłem do celi, a już miał na rękę mój zegarek. Oddał go, gdy tylko zauważyłem stratę.

- Przepraszam - powiedział. - Stary nawyk.

W kryminale zapewne wiodłoby mi się znacznie gorzej, gdyby współwięźniowie nie wiedzieli, że jestem milionerem, i gdybym nie zapłacił za kilka drobnych przywilejów. Każdego ranka znajdowałem przy pryczy „Financial Times”, dzięki któremu orientowałem się, co właśnie dzieje się w City. Niemal się pochorowałem, kiedy przeczytałem o pierwszej próbie przejęcia Cooper's. Nie dlatego, że oferowano dwanaście i pół funta za akcję, co czyniło mnie jeszcze bogatszym, lecz dlatego, że nareszcie stało się całkowicie jasne, do czego zmierzają Rosemary i Jeremy. Akcje Jeremy'ego były teraz warte kilka milionów - milionów, których nigdy by nie dostał, gdybym był na miejscu i sprzeciwił się przejęciu firmy.

Spędzałem całe godziny na pryczy czytając „Timesa” od deski do deski. Jeśli wspomiano gdzieś Cooper's, wracałem do tego miejsca, póki nie nauczyłem się na pamięć każdego słowa. Firma została wreszcie przejęta - po trzynastu funtach czterdzieści trzy pensy za akcję. Z wielkim zainteresowaniem śledziłem dalej jej losy i zacząłem poważnie kwestionować fachowość nowego zarządu, kiedy z pracy wylecieli moi najbardziej doświadczeni ludzie, między innymi Joe Ramsbottom. W tydzień później poleciłem maklerom sprzedać wszystkie moje akcje, gdy tylko będzie po temu okazja.

W czwartym miesiącu po wyroku poprosiłem o papier. Postanowiłem opisać wszystko, co mi się przydarzyło, począwszy od tej nocy, kiedy niespodziewanie wróciłem do domu. Każdego dnia główny klawisz na moim pięttrze przynosił nowe arkusze liniowanego papieru, na których ołówkiem zanotowałem to, co właśnie czytałem. Miałem też dodatkową korzyść - pisanie pozwoliło mi zaplanować kolejny krok.

Na moją prośbę „Paluch” przeprowadził wśród więźniów ankietę z jednym pytaniem:

„Wymieńcie najlepszego policjanta spośród tych, z którymi mieliście kiedykolwiek do czynienia”. W trzy dni później znałem już nazwisko: główny nadinspektor Donald Hackett, znany jako Don.

Wymieniła go ponad połowa pytanym. To pewniejsze niż prognozy Gallupa - pomyślałem.

- W czym ten Hackett jest lepszy od innych? - spytałem „Palucha”.

- To uczciwy i sprawiedliwy gość, a do tego nie daje się przekupić. Kiedy już wie, że jesteś winien, stanie na głowie, żeby cię wpakować za kratki.

Powiedziano mi też, że Hackett pochodzi z Bradford.

Wśród starszych stażem więźniów krążyły plotki, że odmówił awansu na stanowisko zastępcy okręgowego komisarza policji w zachodniej części Yorkshire. Nie zależało mu na awansie, podobnie jak obrońcy sądowemu, który nie chce zostać sędzią.

- Kiedy ma kogoś aresztować, jest w swoim żywiole - stwierdził z przekonaniem „Paluch”.

- Szukam właśnie kogoś takiego - zapewniłem. - W jakim jest on wieku?

„Paluch” zamyślił się chwilę.

- Z pewnością przekroczył już pięćdziesiątkę - ocenił. - To on przecież wsadził mnie za kradzież torby z narzędziami, a było to - zastanowił się - dobre dwadzieścia lat temu.

Kiedy w najbliższy poniedziałek odwiedził mnie sir Matthew, zdradziłem mu swój plan, i zapytałem, co myśli o Donie. Chciałem usłyszeć opinię zawodowca.

- Cholernie trudno wziąć go w krzyżowy ogień pytań - stwierdził mój obrońca.

- A to czemu?

- Nie naciąga faktów, nie koloryzuje i nigdy nie kłamie, co sprawia, że nie sposób zastawić na niego pułapkę. Tak, nigdy chyba nie udało mi się zapędzić pana głównego nadinspektora w kozi róg.

Pozwolę sobie jednak wyrazić wątpliwość, czy zechce zadawać się z odsiadującym wyrok kryminalistą, niezależnie od tego, co mu pan zaproponuje.

- Aleja przecież...

- Wiem, panie Cooper. - Sir Matthew nie potrafił się przezwyciężyć i mówić mi po imieniu. - Ale trzeba o tym przekonać Hacketta, nim zgodzi się z panem spotkać.

- Jak mam mu udowodnić, że jestem niewinny, gdy siedzę w więzieniu?

- Spróbuję go o tym przekonać - powiedział adwokat po chwili namysłu. A potem dodał: -

Przypominam sobie, że jest mi winien przysługę.

Kiedy sir Matthew wyszedł, poprosiłem o papier i zacząłem pisać list do Donalda Hacketta.

Kilka wersji wylądowało w koszu. W końcu spłodziłem coś takiego:

Adres zwrotny:

Numer: A47283

Nazwisko: Cooper, R.W.

NAPŁYWAJĄCA
KORRESPONDENCJA
MUSI BYĆ OPATRZONA
NAZWISKIEM I ADRESEM
NADAWCY

ZAKŁAD KARNY
ARMLEY
LEEDS LS122TJ

Szanowny Panie Główny Nadinspektorze,
Jak pan widzi, obecnie korzystam z gościny
Jej Królewskiej Mości. Mimo to chciałbym zaprosić
Pana do odwiedzenia mnie. Mam do Pana prywatną
sprawę, która może zawazyć na przyszłości nas obu.
Pragnę Pana zapewnić, że moja propozycja jest
zarówno legalna, jak i uczciwa. Jestem także
przekonany, że będzie odpowiadała Pańskiemu
poczuciu sprawiedliwości. Może to poświadczyć mój
adwokat, sir Matthew Roberts, radca królewski,
z którym, jak wiem, zetknął się Pan kilkakrotnie
wykonując swe obowiązki zawodowe. Oczywiście jestem
skłonny zadośćuczynić wydatkom i kłopotom, które
może sprawić Panu przyjęcie mojego zaproszenia.
Czekam na pańską odpowiedź.

Z poważaniem

Przeczytałem list po raz kolejny, poprawiłem jeden błąd ortograficzny i podpisałem się u dołu kartki.

Na mą prośbę sir Matthew doręczył go Hackettowi do rąk własnych. „Jest pan pierwszym w historii brytyjskiej poczty listonoszem, zarabiającym tysiąc funtów dziennie” - powiedziałem mu.

Następnego poniedziałku podczas wizyty sir Matthew poinformował mnie, że zgodnie z obietnicą przekazał list adresatowi. Hackett przeczytał go. Powiedział tylko, że będzie musiał porozmawiać z przełożonymi. Obiecał, że w ciągu tygodnia powiadomi adwokata o swojej decyzji.

Już od chwili ogłoszenia wyroku sir Matthew zaczął przygotowywać się do rozprawy apelacyjnej. Choć nigdy nie rozbudzał we mnie fałszywych nadziei, nie krył uciechy spowodowanej tym, co odkrył w biurze Sądu Spadkowego.

Okazało się, że Jeremy w testamencie zapisał Rosemary cały swój majątek - także udziały w Cooper's, warte trzy miliony funtów. Prawo stanowiło jednak, że Rosemary nie może nimi rozporządzać przez okres siedmiu lat.

- Ława przysięgłych mogła uznać pana za winnego - powiedział mi adwokat - ale twardegłowych poborców podatkowych nie da się tak łatwo przekonać. Nie przekażą aktywów Jeremy'ego Alexandra, póki nie zobaczą jego ciała lub póki nie minie siedem lat.

- Czyżby sądzili, że Rosemary zabiła go z chęci zysku, a potem pozbyła się...

- Nie, nie! - Sir Matthew niemal roześmiał się na tę uwagę. - Chodzi tylko o to, że skoro mogą, będą siedzieli na jego aktywach nie ryzykując, że Alexander nadal żyje. W każdym razie, gdyby pana żona rzeczywiście go zabiła, nie miałaby gotowej odpowiedzi na każde moje pytanie. Tego jestem więcej niż pewien.

Uśmiechnąłem się. Po raz pierwszy w życiu z radością przyjąłem wiadomość, że urzędnik skarbowy wtyka nos w moje sprawy.

Sir Matthew obiecał, że da mi znać natychmiast, gdy tylko wyjdzie na jaw coś nowego. -

Dobranoc, Richardzie - powiedział, wychodząc. Kolejny ewenement.

Wydawało się, że całe więzienie skądś wie, iż spodziewam się wizyty głównego nadinspektora Hacketta na długo przedtem, nim do tej wizyty doszło.

Stary Dave Adams z sąsiedniej celi wyjaśnił mi, dlaczego kumple sądzą, że Hackett jednak się pojawi.

- Dobry gliniarz nie zniesie myśli, że ktoś trafia za kratki niewinnie. We wtorek Hackett dzwonił do szefa. Według Maurice'a ci dwaj rozmawiali ze sobą co nieco - dodał tajemniczo.

Ciekawe, jakim cudem zaufany przełożonego więzienia zdołał dowiedzieć się o tej rozmowie, ale zdecydowałem, że nie czas teraz na sprawy błahe.

- Nawet najtwardsi tu uważają, że jesteś niewinny - mówił dalej Dave - i czekają tylko, kiedy w twojej celi zamieszka pan Jeremy Alexander. Możesz być pewien, że ci z najdłuższymi wyrokami zgotują mu tu gorące przyjęcie.

Następnego ranka dostałem list z Bradford. Hackett informował mnie, że pojawi się w więzieniu w najbliższą niedzielę o czwartej po południu. Stawiał sprawę jasno: nasze spotkanie będzie trwało najwyżej pół godziny i musi być przy nim obecny świadek.

Po raz pierwszy od chwili aresztowania zacząłem liczyć godziny. Nie są one ważne, kiedy wiesz, że do końca życia będziesz mieszkał w tym samym hotelu.

W niedzielę, idąc na spotkanie, słuchałem wiadomości, które więźniowie mieli do przekazania nadinspektorowi.

- Przekaż Donowi moje pozdrowienia - powiedział „Paluch”. - I powiedz, że przykro mi, iż tym razem się nie zobaczymy.

- Kiedy z nim skończysz, zapytaj, czy nie wpadłby do mojej celi na szklaneczkę i pogawędkę o dawnych czasach - zawołał inny więzień.

Jeden z więźniów chciał się nawet dowiedzieć czegoś, co ja już wiedziałem.

- Spytaj go, kiedy idzie na emeryturę. Nie wyjdę wcześniej niż następnego dnia.

Gdy wszedłem do sali widzeń i po raz pierwszy zobaczyłem Hacketta, pomyślałem, że musiało zajść jakieś nieporozumienie. Nie zapytałem „Palucha”, jak nadinspektor wygląda, a w ciągu tych kilku dni wyrobiłem w sobie przekonanie, że musi być kimś w rodzaju supermana. Tymczasem człowiek, który stał przede mną, był ode mnie o kilka dobrych centymetrów niższy - ja zaś mam zaledwie metr siedemdziesiąt pięć - a do tego wydawał się chudy jak szczapa. Nosił soczewkowe okulary w rogowej oprawie, sprawiające wrażenie, jakby był na pół ślepy. Gdyby włożył niechlujny płaszcz, łatwo można by go wziąć za komornika.

Sir Matthew postąpił krok i dokonał prezentacji. Mocno uściśnąłem dłoń policjanta.

- Dziękuję bardzo, że zdecydował się pan mnie odwiedzić, panie nadinspektorze - powiedziałem.

- Może pan usiądzie? - dodałem, jakbyśmy za chwilę, w moim domu, mieli wypić po kieliszku sherry.

- Sir Matthew nalegał na to spotkanie - oznajmił Hackett basem z szorstkim akcentem z Yorkshire, niezbyt pasującym do jego wątego ciała. - Powiedźcie mi więc, Cooper, co mógłbym dla was zrobić? - spytał siadając. W jego głosie wyczułem cień lekceważenia.

Nim odpowiedziałem na to pytanie, położył na stoliku przed sobą notatnik.

- Wyłącznie do prywatnego użytku - zapewnił. - Gdybym kiedyś, w przyszłości, chciał odświeżyć sobie w pamięci jakiś szczegół.

Dwadzieścia minut później skończyłem skróconą opowieść o życiu Richarda Coopera. W ciągu ostatniego tygodnia kilkakrotnie powtarzałem sobie tę wersję. Starłem się zostawić trochę czasu na pytania, gdyby Hackett chciał mi je zadać.

- Jeśli nawet uwierzyłbym w tę waszą historię - powiedział nadinspektor, kiedy umilkłem - a zwróćcie uwagę, że mówię „jeśli”, to nadal nie wiem, na czym miałyby polegać moje zadanie.

- Za pięć miesięcy przechodzi pan na emeryturę. Ciekaw jestem, czy ma pan jakieś plany na przyszłość.

Zawahał się. Najwyraźniej go zaskoczyłem.

- Dostałem propozycję pracy w Group 4, jako szef oddziału na West Yorkshire.

- Z jakim wynagrodzeniem? - spytałem bez ogródek.

- Na razie będę miał pół etatu. Trzy dni w tygodniu. - Hackett znów się zawahał. - Dwadzieścia tysięcy funtów rocznie, gwarantowane na trzy lata.

- Zapłacę panu sto tysięcy rocznie, ale będzie pan musiał pracować siedem dni w tygodniu.

Zakładam, że będzie panu potrzebna sekretarka i asystent... niejaki inspektor Williams, ten, który odchodzi z panem, mógłby się chyba nadać. Opłacę panu także innych niezbędnych pracowników, wynajmę również biuro.

Na twarzy nadinspektora pojawił się cień szacunku - po raz pierwszy w trakcie naszej rozmowy.

Zapisał coś w notesie.

- A czego spodziewa się pan po mnie w zamian za tak znaczną sumę pieniędzy?

- To proste. Spodziewam się, że odnajdzie pan Jeremy'ego Alexandra.

Tym razem się nie wahał.

- Mój Boże, pan rzeczywiście jest niewinny. Sir Matthew i szef bardzo starali się przekonać mnie o tym.

- A jeśli znajdzie go pan przed upływem siedmiu lat - dodałem, pomijając tę uwagę - przekażę na pańskie konto dodatkowe pół miliona funtów do wybranego przez pana banku na świecie.

- Midland w Bradford najzupełniej mi wystarczy. Tylko kryminaliści zmuszeni są przechodzić na emeryturę za granicą. W każdym razie chcę spędzać w Bradford co drugie niedzielne popołudnie przyglądając się, jak nasza drużyna przegrywa. - Hackett wstał. Przez chwilę przyglądał mi się w milczeniu. - Ostatnie pytanie, panie Cooper? Dlaczego akurat siedem lat?

- Po siedmiu latach bowiem moja żona będzie mogła sprzedać akcje Alexandra, co z dnia na dzień uczyni go multimilionerem.

Nadinspektor skinął głową ze zrozumieniem.

- Dziękuję, że zaprosił mnie pan na rozmowę - powiedział. - Wiele czasu upłynęło od chwili, gdy z przyjemnością odwiedziłem kogoś w więzieniu... zwłaszcza kogoś skazanego za morderstwo.

Rozważę pańską propozycję, panie Cooper. Rozważę bardzo dokładnie. Przekażę panu moją decyzję przed końcem tygodnia.

Z tymi słowami wyszedł.

Trzy dni później listownie powiadomił mnie, że przyjmuje warunki. Nie musiałem nawet czekać pięciu miesięcy, żeby zaczął dla mnie pracować. Złożył rezygnację następnego dnia - ale dopiero gdy zgodziłem się płacić składkę emerytalną za niego i dwójkę partnerów, których dobrał sobie do współpracy. Pozbywszy się wszystkich akcji Cooper's i wpłaciwszy pieniądze na konto, z samych procentów miałem przeszło czterysta tysięcy funtów rocznie, a ponieważ nie płaciłem za dach nad głową, wikt i opierunek, wymagania Hacketta nie wydały mi się wygórowane.

Chętnie podzieliłbym się z wami każdym szczegółem tego, co zdarzyło się w ciągu kilku

następnych miesięcy, ale niestety byłem tak zajęty, że zapisałem zaledwie trzy kartki więziennego papieru. Powinienem jednak wspomnieć o jednym: przeczytałem kilka prawniczych książek, by upewnić się, że dobrze rozumiem znaczenie terminu *autrefois acquit*.

Kolejną ważną datą w pamiętniku był termin rozprawy apelacyjnej.

Matthew - na jego własną prośbę już dawno temu przestałem tytułować go „sir Matthew” - dzielnie próbował mi nie okazywać, że jest coraz pewniejszy wyroku sądu apelacyjnego. Ja jednak poznałem adwokata już na tyle dobrze, że niczego nie potrafił przede mną ukryć. Wmawiał mi, jak bardzo zachwycił go skład sędziowski. „Uczciwi i sprawiedliwi” - powtarzał bez przerwy.

Później, tego samego wieczora, oznajmił mi ze smutkiem, że kilka tygodni temu zmarła na raka jego żona, Victoria.

- Ciężka choroba i błogosławione wyzwolenie - tak to ujął.

Po raz pierwszy poczułem się nieswojo w jego obecności. Przez półtora roku dyskutowaliśmy tylko o moich problemach.

Z pewnością niewielu było w Armley więźniów, którzy jak ja sprowadzili sobie do kryminału krawca. To Matthew stwierdził, że przed trybunałem apelacyjnym powinienem stanąć w nowym garniturze, a od chwili aresztowania straciłem dobre siedem kilogramów. Kiedy krawiec skończył już brać miarę i zaczął zwijać centymetr, poprosiłem „Palucha”, żeby mu oddał zapalniczkę (ani słowem nie wspomniałem jednak o papierosach).

W dziesięć dni później, o piątej rano wyprowadzono mnie z celi. Kiedy szedłem korytarzem, więźniowie zaczęli tłuc aluminiowymi kubkami w zamknięte drzwi, zgodnie z tradycją dając w ten sposób znać strażnikom, że uważają idącego na proces za niewinnego. Brzęk kubków dodał mi otuchy niczym najpiękniejsza symfonia.

Do Londynu zawieziono mnie samochodem policyjnym w towarzystwie dwóch funkcjonariuszy.

W ciągu całej podróży nie zatrzymaliśmy się ani razu; dojechaliśmy na miejsce parę minut po dziewiątej. Pamiętam, jak przyglądałem się przez okno spieszącym do pracy ludziom. Gdyby ktoś spojrział na mnie, siedzącego w policyjnym samochodzie w nowym, eleganckim garniturze - nie widząc kajdanek, z pewnością wziąłby mnie co najmniej za komisarza.

Matthew czekał przy wejściu do Old Bailey; oburącz dźwigał stertę dokumentów.

- Ładny garnitur - pochwalił, nim po kamiennych schodach poprowadził mnie do wejścia, a dalej do sali, gdzie miał się zdecydować mój los.

Po raz kolejny siedziałem nieruchomo na ławie oskarżonych, mój adwokat zaś przemawiał; tym razem do trójki sędziów apelacyjnych. Mowa wstępna trwała niemal godzinę; miałem wrażenie, że sam mógłbym ją wygłosić całkiem swobodnie, choć zapewne bez jego elokwencji i z pewnością bez takiej siły przekonywania. Matthew podkreślał z werwą, że Jeremy pozostawił cały swój majątek Rosemary, Rosemary zaś sprzedała mój rodzinny dom oraz - w kilka miesięcy po przejęciu - także wszystkie akcje Cooper's, przeprowadziła pospieszny rozwód, a potem znikła z powierzchni ziemi z majątkiem ocenianym na jakieś siedem milionów funtów. Nie mogłem powstrzymać się od myślenia, ile z tych siedmiu milionów już wylądowało w kieszeni Jeremy'ego.

Sir Matthew nie omieszkiał przypomnieć sędziom, że policja nie zdołała jeszcze odnaleźć ciała, choć najwyraźniej do tej pory przekopała już co najmniej połowę Leeds.

Kiedy adwokat uprzytamniał sędziom każdy nowy fakt, moja nadzieja rosła. Skończył, a ja miałem jeszcze przed sobą trzy dni oczekiwania na wyrok.

Apelację odrzucono. Bez podania powodów.

Matthew przyjechał do Armley w piątek tylko po to, by wyjaśnić mi, dlaczego, jego zdaniem, apelację odrzucono bez podania powodów. Twierdził, że sędziowie nie byli jednomyślni i potrzebują czasu, by stworzyć pozory, że właśnie byli.

- Ile czasu?

- Na mojego nosa zwolnią cię warunkowo za kilka miesięcy. Najwyraźniej nie podobało im się, że policja do tej pory nie odnalazła ciała, nie zachwyciła ich mowa sędziego procesowego, natomiast ty chyba zrobiłeś dobre wrażenie.

Podziękowałem Matthew, który przynajmniej tym razem rozstał się ze mną z uśmiechem na ustach.

Zastanawiacie się, co przez ten czas porabiał główny nadinspektor Hackett - czy raczej były główny nadinspektor Hackett?

Otóż bynajmniej nie próżnował. Wraz z nim pracę w policji porzucili inspektor Williams i niejaka Jenny Kenwright. W niespełna tydzień otworzyli niewielkie biuro nad Klubem Konstytucyjnym w Bradford i wszczęli śledztwo. Don składał mi raport co niedzielę, o czwartej po południu.

Miesiąc zabrało mu kompletowanie informacji dotyczących Rosemary, Jeremy'ego, firmy i mnie samego. Całymi godzinami zapoznawałem się ze zgromadzonymi przez niego danymi; niektóre nawet uzupełniłem. Wkrótce zrozumiałem, dlaczego więźniowie tak go cenili. Badał każdy trop, zbaczał w każdą boczną dróżkę, choćby wyglądała najmniej zachęcająco. Twierdził, że od czasu do czasu takie boczne dróżki okazują się autostradami.

Po czterech miesiącach, w pierwszą niedzielę października, powiedział mi, że najprawdopodobniej zlokalizowali Rosemary. Kobieta odpowiadająca jej opisowi mieszkała w małej posiadłości nazwanej Villa Fleur na południu Francji.

- Jak udało ci się ją wytropić? - spytałem.

- Dzięki listowi, który jej matka wrzuciła do skrzynki pocztowej przy domu - wyjaśnił Hackett. -

Listonosz bardzo uprzejmie pozwolił mi zerknąć na adres. Nie potrafię powiedzieć, ile czasu spędziliśmy przy tej cholernej skrzynce, ile listów obejrzelśmy i do ilu drzwi zapukaliśmy w ciągu tych czterech miesięcy - a rezultatem jest jeden trop. Pani Kershaw namiętnie pisze listy, ale ten był pierwszym do córki. A przy okazji - dodał - twoja żona wróciła do panieńskiego nazwiska.

Skinąłem głową, nie chcąc mu przerywać.

- Williams w środę poleciał do Cannes. Siedzi w sąsiedniej wiosce udając turystę. Dom pani Kershaw otacza trzymetrowy kamienny mur. W posiadłości jest więcej tresowanych psów niż drzew.

Sąsiedzi najwyraźniej wiedzą o niej jeszcze mniej od nas. No, przynajmniej zrobiliśmy

jakiś początek.

Po raz pierwszy poczułem, że pan Jeremy Alexander spotkał kogoś, kto może mu dorównać.

Minęło jednak pięć niedziel, dostałem pięć kolejnych raportów, nim na zwykłe zaciśniętych wargach Hacketta wreszcie pojawił się cień uśmiechu.

- Pani Kershaw umieściła ogłoszenie w lokalnej gazecie - oznajmił. - Najwyraźniej potrzebuje nowego lokaja. Najpierw planowałem, że przesłuchamy poprzedniego, gdy tylko opuści dom, ale nie możemy ryzykować, że do pańskiej byłej żony dotrze jakaś plotka. Zdecydowałem, że inspektor Williams zgłosi się jako kandydat.

- Przecież kilka chwil wystarczy, by okazało się, że inspektor nie ma pojęcia o tej pracy!

- Niekoniecznie. - Uśmiech Hacketta stał się wyraźniejszy. - Inspektorowi nie wolno opuścić dotychczasowej pracy u księżnej Rutland przed upływem miesięcznego wymówienia. Zapisaliśmy go na szesciotygodniowy kurs w szkole lokajów Ivora Spencera. Williams szybko się uczy.

- A co z referencjami?

- Nim pani Rosemary Kershaw w ogóle się z nim spotka, będzie miał takie referencje, że zaimponowałyby nawet księżnej.

- Mówiono mi, że nigdy nie postąpił pan nieuczciwie!

- Tylko wtedy, kiedy mam do czynienia z uczciwymi ludźmi, panie Cooper. A to para zwykłych oszustów. Wpakuję ich za kratki, choćby miała to być ostatnia rzecz, jaką zrobię w życiu.

Nie pora było informować Hacketta, że - według moich planów - historia ta bynajmniej nie miała zakończyć się wpakowaniem Jeremy'ego za kratki.

Kiedy już Williams znalazł się na liście chętnych do objęcia posady lokaja Rosemary, w niewielki sposób pomogłem mu ją sobie zapewnić. Kolejna lektura proponowanych warunków umowy podsunęła mi pewien pomysł.

- Niech zażąda piętnastu tysięcy franków miesięcznie i pięcioletnich wakacji - odpowiedziałem Hackettowi, kiedy razem z Matthew odwiedzili mnie w niedzielę.

- Dlaczego? - zdziwił się były policjant. - W ofercie jest mowa o jedenastu tysiącach i trzytygodniowych wakacjach.

- Stać ją, żeby zapłacić więcej - oznajmiłem - a z jego referencjami... - *zajrzałem* w leżące przede mną papiery - ...mogłaby nabrać podejrzeń, gdyby zgodził się bez targów.

Matthew uśmiechnął się i skinął głową.

Rosemary zgodziła się w końcu na trzynaście tysięcy franków i czterotygodniowe wakacje, na co, po zażądaniu czterdziestoośmiogodzinnego czasu do namysłu, Williams przystał. Podjął jednak pracę dopiero po miesiącu, w trakcie którego uczył się, jak rozkładać gazety, układać pod linię na stole karteczki z nazwiskami gości i rozróżniać kieliszki do porto, sherry i likieru.

Kiedy już rozpoczął pracę, spodziewałem się, że natychmiast osiągnie jakieś rezultaty. Niedziela za niedzielą Hackett wbijał mi do głowy, że to całkowicie nierealistyczne podejście

do sprawy.

- Williams musi się najpierw zadomowić - tłumaczył mi. - Musi zdobyć jej zaufanie, musi się pilnować, by nie dać jej powodów do najmniejszych nawet podejrzeń. Kiedyś przez pięć lat polowałem na przemytnika narkotyków, mieszkającego niespełna kilometr ode mnie!

Bardzo chciałem przypomnieć mu, że to ja siedzę w więzieniu i że znacznie bardziej odpowiadałoby mi pięć dni, ale widziałem, jak ciężko pracują dla mnie ci ludzie, więc starałem się pohamować niecierpliwość.

W pierwszym miesiącu Williams dostarczył nam fotografie i kompletne życiorysy wszystkich pracowników posiadłości oraz opisy wszystkich gości Rosemary - nawet księdza, który pojawił się z prośbą o datek na pomoc dla Somalijszyków.

Dowiedzieliśmy się, że:

1. Kucharką jest Gabrielle Pascal - nie mówiąca po angielsku, znakomicie gotująca, pochodząca z Marsylii. Rodzina została sprawdzona.

2. Ogrodnikiem jest Jacques Reni - niezbyt rozgarnięty, bez wyobraźni komponujący rabaty róż, miejscowy i doskonale znany.

3. Osobistą pokojówką Rosemary jest Charlotte Merieux, znająca trochę angielski, zręczna, seksowna, pochodząca z Paryża, nadal sprawdzana.

Wszyscy oni zostali zatrudnieni przez Rosemary zaraz po jej przyjeździe na południe Francji.

Najwyraźniej nic nie łączyło ich ani między sobą, ani z jej przeszłością.

- Aha! - Hackett z namysłem studiował zdjęcie pokojówki. - Myślałem właśnie o tym, co przeżywa Williams mając taką dziewczynę przy boku we dnie i w nocy... zwłaszcza w nocy - dodał. -

Już byłby nadinspektorem, gdyby nie jego słabość do kobiet. Cóż, miejmy nadzieję, że tym razem wyjdzie to nam na dobre.

Leżałem na pryczy, godzinami przyglądając się zdjęciom. Nic mi nie mówiły. Kolejny raz czytałem informacje o każdym, kto odwiedzał Rosemary, i coraz bardziej wyglądało mi na to, że nie utrzymuje kontaktu z nikim z byłego życia - oprócz matki. Jeśli ktoś coś wiedział, to w każdym razie nie próbował się z nią skontaktować. Nie znalazłem nawet najdrobniejszego śladu Jeremy'ego Alexandra.

Zacząłem się obawiać, że zerwała z nim, lecz pewnego dnia Williams poinformował nas, że przy jej łóżku stoi zdjęcie ciemnowłosego, przystojnego mężczyzny. Na zdjęciu widniała dedykacja:

„Zawsze będziemy razem. J.” W ciągu kilku tygodni po rozprawie apelacyjnej bezustannie wzywali mnie kuratorzy, pracownicy opieki społecznej, nawet więzienny psycholog. Z wysiłkiem utrzymywałem na twarzy ciepły uśmiech, konieczny - zdaniem Matthew - by biurokraci poczuli się szczęśliwi.

Minęło co najmniej jedenaście tygodni, nim otworzyły się drzwi celi, wszedł szef klawiszowy mojego korytarza i oznajmił:

- Dyrektor chce was widzieć, Cooper.

„Paluch” był zaniepokojony. Dla niego te słowa oznaczały jedno: karcer.

Idąc długim korytarzem prowadzącym do biura dyrektora słyszałem, jak głośno bije mi serce.

Strażnik delikatnie zastukał do drzwi, nim je otworzył. Dyrektor wstał zza biurka, wyciągnął do mnie rękę i powiedział:

- Jestem szczęśliwy, że jako pierwszy mogę panu przekazać dobrą nowinę.

Usadził mnie w wygodnym fotelu po drugiej stronie biurka i zaczął omawiać warunki zwolnienia.

Rozmawialiśmy przy kawie, jakbyśmy byli dobrymi przyjaciółmi.

Rozległo się stukanie do drzwi. Wszedł Matthew z mnóstwem papierów wymagających podpisania. Kiedy układał je na biurku, wstałem, by się z nim przywitać. Nagle Matthew obrócił się, objął mnie mocno i przygarnął. Był to gest, którego nigdy bym się po nim nie spodziewał.

Gdy złożyłem już ostatni podpis, Matthew spytał:

- Powiedz mi, co pierwsze zrobisz po zwolnieniu?

- Kupię broń - wyjaśniłem zgodnie z prawdą. Obaj z dyrektorem parsknęli śmiechem.

Trzy dni później otworzyły się przede mną wielkie wrota więzienia Armley. Wyszedłem z niego z jedną niewielką skórzaną walizeczką. Nie obejrzałem się za siebie. Zatrzymałem taksówkę i kazałem się zawieźć na stację, nie zamierzałem bowiem pozostać w Leeds dłużej niż to absolutnie konieczne.

Kupiłem bilet pierwszej klasy, następnie zadzwoniłem do Hacketta i poinformowałem go, że przyjeżdżam, po czym wsiadłem do najbliższego pociągu do Bradford. W pociągu zjadłem śniadanie - Brytyjskie Koleje Państwowe nie serwowały go na blaszanej misce - i przeczytałem „Financial Times”, który wręczyła mi śliczna sprzedawczyni w stoisku z gazetami, a nie drobny złodziejaszek.

Nikt się na mnie nie gapił - bo i niby czemu, skoro jechałem pierwszą klasą i miałem na sobie nowiutki garnitur? Oglądałem się za każdą przechodzącą kobietą, niezależnie od tego jak była ubrana, ale kobiety nie wiedziały oczywiście, jaki tego był powód.

Na peronie dworca w Bradford czekali już Hackett i jego asystentka Jenny i zabrali mnie do małego, umeblowanego mieszkania na przedmieściu. Kiedy się rozpakowałem - a nie zajęło mi to wiele czasu - we troje poszliśmy na lunch. W pewnej chwili przestaliśmy rozmawiać o bzdurach; Jenny akurat nalewała mi wina, gdy Don spytał:

- Teraz, kiedy już jesteś wolny, nadal chcesz, żebyśmy szukali Alexandra?

- Tak - odparłem bez chwili namysłu. - Tym bardziej teraz, kiedy posmakowałem wolności, którą on cieszył się przez te trzy lata. Nie zapominaj, że ten człowiek ukradł mi nie tylko wolność, ale także żonę, firmę i ponad połowę majątku. O tak, Donaldzie, nie spocznę, póki nie stanę twarzą w twarz z panem Alexandrem.

- To doskonale, bo Williams sądzi, że pańska żona zaczyna mu ufać i, jeśli damy jej trochę czasu, pewnie zacznie mu się nawet zwierzać. Zdaje się, że uczynił z siebie człowieka nie do zastąpienia.

Fakt, że Williams zarabia dwie pensje - jedną otrzymuje ode mnie, a drugą od mojej byłej żony - zakrawał na ironię. Spytałem, czy są jakieś nowiny o Jeremym.

- Nic szczególnego - odparł Donald. - Pańska była żona nigdy nie dzwoni do niego z domu, mamy także niemal całkowitą pewność, że on nie próbuje się z nią skontaktować. Williams poinformował nas jednak, że co piątek, w południe, ma obowiązek zawieźć panią Kershaw do Majesticu, jedyne hotelu w wiosce. Rosemary wchodzi do środka i przebywa tam co najmniej czterdzieści minut. Nie ośmielił się iść za nią, ponieważ dostał polecenie, by nie oddalał się od samochodu. Nie może pozwolić sobie na utratę pracy z powodu łamania rozkazów chlebodawczyni.

Skinąłem głową.

- Ale nikt go nie może powstrzymać, kiedy ma wychodne, przed wypiciem od czasu do czasu szklaneczki w hotelowym barze. To i owo więc obilo mu się o uszy. Jest przekonany, że Rosemary wykorzystuje te czterdzieści minut na przeprowadzenie rozmowy międzynarodowej. Czasami przed pójściem do Majesticu każe się wieźć na pocztę, skąd wychodzi z rulonikiem monet. Barman twierdzi, że zawsze dzwoni z jednego z dwóch automatów naprzeciw recepcji. Nie pozwala łączyć się przez hotelową centralę, wykorzystuje połączenie automatyczne.

- Jak możemy się dowiedzieć, do kogo dzwoni?

- Czekamy, by Williams znalazł okazję do wypróbowania tych umiejętności, których nie nabył na kursie dla lokai.

- Jak długo to może potrwać?

- Nie sposób powiedzieć, ale za parę tygodni ma dostać urlop, więc będzie mógł wszystko nam wyjaśnić.

Kiedy pod koniec miesiąca Williams pojawił się w Bradford, zacząłem mu zadawać pytania, jeszcze nim zdążył odstawić walizkę. Miał mi do przekazania mnóstwo ciekawych informacji o mojej byłej żonie, mnie zaś interesowały nawet najdrobniejsze szczegóły.

Rosemary przytyła. To sprawiło mi niejaką przyjemność. Robiła wrażenie samotnej i przygnębionej. Doskonale. Garściami wyrzucała pieniądze. To sprowadziło mnie na ziemię.

Najważniejsze było jedno - jeśli w ogóle kontaktowała się z Alexandrem, to tylko w piątki, w trakcie przeprowadzanych z hotelu rozmów telefonicznych. Jednak nadal nie można było stwierdzić, do kogo lub gdzie dzwoni.

Od Williamsa dowiedziałem się o mojej byłej żonie więcej niż przez wszystkie lata naszego małżeństwa.

Jak się często zdarza w życiu, sprawa ruszyła z miejsca, kiedy się tego najmniej spodziewałem.

Był poniedziałek, właśnie minęło wpół do trzeciej, gdy zadzwonił telefon.

Słuchawkę podniósł Donald i ogromnie się zdziwił, usłyszawszy w niej głos Williamsa.

Natychmiast przełączył go na głośnik.

- Słyszmy cię we trójkę - powiedział - więc lepiej wytłumacz, dlaczego dzwonisz. Przecież to nie twój wolny dzień.

- Wyleciałem z roboty - oznajmił Williams na powitanie.

- Przespałeś się z pokojówką - stwierdził bez wahania Don.

- O niczym innym nie marzę, szefie, ale zdarzyło się coś o wiele głupszego. Kiedy wiozłem dziś do miasta panią Kershaw, musiałem stanąć na czerwonych światłach tuż przy Majesticu. Po pasach przechodził jakiś człowiek. Zatrzymał się i spojrzał w moją stronę. Ja poznałem go natychmiast i tylko modliłem się, by ruszyć, nim sobie mnie przypomni, on jednak uśmiechnął się i podszedł.

Potrząsnąłem głową, ale zastukał w szybę od strony kierowcy. Wie pan, co powiedział? Powiedział:

„Co tam u pana, inspektorze Williams?”

- Kto to był?

- Neil Case. Pamięta go pan, szefie?

- Jak mógłbym zapomnieć! Tępawy Neil. Mogłem się tego domyślić.

- Oczywiście nie zareagowałem, a pani Kershaw też milczała. Myślałem, że może mi się upiecze.

Ale kiedy wróciliśmy, wezwała mnie do gabinetu i zwolniła nawet o nic nie pytając. Powiedziała, że mam się wynieść z jej domu w ciągu godziny albo wezwie miejscową policję.

- Cholera! Musimy zaczynać od nowa!

- Niekoniecznie - stwierdził spokojnie Williams.

- Jak to? Skoro cię wyrzuciła, nie mamy u niej żadnej wtyczki. A co gorsza, nie zdołamy podstawić jej kolejnego lokaja, gdyż z pewnością będzie się miała już na baczności.

- Wiem, wiem, szefie. Ale na myśl, że mogę być policjantem, spanikowała. Poszła do sypialni i natychmiast chwyciła za słuchawkę. Nie musiałem się już bać, że mnie zdemaskuje, więc podsłuchałem rozmowę z aparatu na korytarzu. Usłyszałem tylko kobiecy głos podający numer w Cambridge, a potem połączenie zostało przerwane. Przypuszczam, że Rosemary spodziewała się, iż odpowie kto inny, i słysząc obcy głos rzuciła słuchawkę.

- Jaki to był numer?

- 6407-coś-7.

- Jak to „coś”? - zdziwił się Donald, zapisując podane przez Williamsa cyfry.

- Nie miałem nic do pisania. Nie zapamiętałem wszystkiego.

Na szczęście Williams nie widział wyrazu twarzy Hacketta.

- A co potem? - spytał rozeźlony Don.

- W szufladzie znalazłem pióro i zapisałem na dłoni to, co zdążyłem zapamiętać. Potem znowu podniosłem słuchawkę. Usłyszałem kobiecy głos mówiący: „Dyrektor jest w tej chwili nieobecny, ale spodziewamy się go w ciągu godziny”. Musiałem ją szybko odłożyć, bo ktoś szedł w moim kierunku korytarzem. Okazało się, że to Charlotte, pokojówka. Chciała wiedzieć, dlaczego mnie wywalono. Nie potrafiłem tak od razu wymyślić przekonującego powodu, wreszcie Charlotte oskarżyła mnie, że próbowałem poderwać panią. Nie zaprotestowałem, więc dostałem po pysku.

Wybuchnąłem śmiechem, Hackett i Jenny zachowali kamienne twarze.

- To co mam teraz robić, szefie? - spytał w końcu Williams. - Wracać do Anglii?

- Nie. Na razie siedź na miejscu. Weź sobie pokój w Majesticu i obserwuj ją dwadzieścia cztery godziny na dobę. Daj mi znać, gdyby zrobiła coś niezwykłego. My tymczasem pojedziemy do Cambridge. Jak tylko się tam rozlokujemy, natychmiast się z tobą skontaktuję.

- Zrozumiałem, szefie. - Williams odłożył słuchawkę.

- A więc jutro ruszamy do Cambridge - stwierdziłem.

- Nie jutro. Dziś - odparł Donald. - Jak tylko zadzwonię w kilka miejsc.

Zaczął kolejno wykręcać dziesięć numerów, używając cyfr, które podał mu Williams. 0223 640707 - okazał się numerem szkoły.

- Przepraszam, pomyłka - powiedział Donald. Numer zakończony na 717 należał do drogerii, 727

- do warsztatu samochodowego, pod 737 odpowiedział starszy mężczyzna.

- Przepraszam, pomyłka.

Pod 747 zgłosił się kiosk z gazetami, pod 757 - żona któregoś z miejscowych policjantów.

Próbowałem się nie roześmiać, ale Donald tylko chrząknął. Pod 767 odpowiedział kobiecy głos. 777

- Gimnazjum Świętej Katarzyny, pod 787 - kobiecy głos na automatycznej sekretarce, pod 797 -

fryzjer: - Strzyżenie, czy tylko podcieniować?

Donald spojrział na kartkę, na której zapisywał rezultaty uzyskanych połączeń.

- To musi być albo 737, albo 767, albo 787. Czas wykorzystać znajomości.

Zadzwonił pod jakiś miejscowy numer, w Bradford. Poinformowano go, że zastępca komisarza okręgowego policji w hrabstwie Cambridge został tam przeniesiony w zeszłym roku z West Yorkshire.

- Leeke. To Allan Leeke - zorientował się natychmiast Donald i wyjaśnił: - Był sierżantem, kiedy dostałem awans na inspektora. - Podziękował rozmówcy w Bradford, zadzwonił do informacji, a potem na komendę w Cambridge.

- Policja, czym mogę panu służyć? - spytał kobiecy głos.

- Proszę z zastępcą komisarza okręgowego.

- Mogę wiedzieć, kto mówi?

- Donald Hackett.

Następnie w słuchawce rozległ się męski głos:

- Don, co za miła niespodzianka. Przynajmniej mam nadzieję, że miła, bo jak cię znam, nie dzwonisz po to, by dowiedzieć się, co u mnie słychać. Może szukasz pracy? Słyszałem, że odszedłeś z policji.

- Owszem, złożyłem rezygnację, ale nie szukam pracy, Allan. Nie sędzę, by policja Cambridgeshire mogła zapłacić mi tyle, ile teraz dostaję.

- Więc co mogę dla ciebie zrobić, Don?

- Potrzebuję informacji o trzech numerach telefonów na twoim terenie.
- Masz pozwolenie?
- Nie, ale te dane mogą doprowadzić do aresztowania pewnych osób. Na twoim podwórku.
- Dobra, ten argument, a także twoja osoba zupełnie mi wystarczają.

Donald podał trzy numery. Leeke kazał mu poczekać chwilę przy telefonie. Korzystając z przerwy Hackett wyjaśnił:

- Musi tylko wcisnąć kilka guzików i dane zostaną wyświetlone na monitorze. Sporo się zmieniło od czasu, kiedy zacząłem pracować. Kiedyś trzeba było nieźle się nabiegać.

Leeke wrócił do telefonu.

- Dobra, mam pierwszy numer. 640737 to pułkownik lotnictwa Danvers-Smith. W domu, w którym mieszka, jest zameldowany tylko on.

Przeczytał nam adres w Great Shelford, leżącym - jak nam wyjaśnił - na południu, ale tuż obok właściwego Cambridge. Jenny notowała.

- 767 to profesor Balcescu z żoną. Oboje mieszkają w Great Shelford. 787 to dama Julia Renaud, śpiewaczka operowa. Mieszka w Grantchester. Znamy ją całkiem nieźle. Prawie nie ma jej w domu, koncertuje po całym świecie. W tym roku włąmywano się do niej trzykrotnie, zawsze pod jej nieobecność.

- Dziękuję. Bardzo mi pomogłeś.

- Nie zechcesz powiedzieć mi niczego więcej? - W głosie policjanta zabrzmiała nadzieja.

- Nie w tej chwili - odparł Don.-Ale obiecuję, że kiedy tylko skończę śledztwo, ty pierwszy się dowiesz o wszystkim.

- No, skoro tak... - Leeke odłożył słuchawkę.

- Doskonale. - Donald znowu zwrócił się do nas. - Za parę godzin wyjeżdżamy do Cambridge.

Musimy się jeszcze spakować, a Jenny powinna mieć trochę czasu, żeby zarezerwować pokoje w hotelu w centrum miasta. Spotkamy się tu - spojrzął na zegarek - o szóstej.

Wyszedł, nie mówiąc więcej ani słowa. Pomyślałem, że dobrze by mu się pracowało z moim ojcem.

Dwie godziny później, jadąc równo setką, Jenny wiozła nas autostradą A1.

- Teraz zacznie się najnudniejsza część policyjnej roboty - poinformował mnie Donald. -

Połowanie na informacje i nie kończąca się obserwacja. Mam wrażenie, że możemy dać sobie spokój z Julią. Jenny, zabierzesz się za naszego lotnika. Chcę wiedzieć o nim wszystko od dnia, w którym opuścił szkołę, do dnia, w którym przeszedł na emeryturę. Jutro z samego rana możesz zacząć od skontaktowania się ze szkołą RAF-u w Cranwell i przesłania dokładnego przebiegu jego służby. Ja wezmę na siebie profesora. Zacznę od biblioteki uniwersyteckiej.

- A ja? - spytałem.

- Panie Cooper, na razie ma pan nie rzucać się w oczy. Zachodzi możliwość, że lotnik albo profesor zaprowadzą nas do Alexandra; nie życzę sobie, by kręcił się pan wokół podejrzanych.

Jeszcze ich pan spłoszy.

Choć niechętnie, musiałem zgodzić się z jego rozumowaniem.

Nieco później tego wieczora wprowadziłem się do apartamentu w Garden House Hotel - będącym nieco bardziej luksusową wersją więzienia, lecz mimo miękkich poduszek i wygodnego materaca nie mogłem zasnąć. Zerwałem się z łóżka wczesnym rankiem. Niemal cały dzień spędziłem oglądając nie kończące się wiadomości na Sky News, odcinki australijskich seriali i nadawany co dwie godziny „film tygodnia”. Myślami byłem jednak albo w Cranwell, albo w bibliotece.

Kiedy tego wieczora spotkaliśmy się w pokoju Donalda, i on, i Jenny stwierdzili, że na pierwszy rzut oka obaj mężczyźni robią wrażenie ludzi, za których się podają.

- Byłem pewien, że jeden z nich okaże się Alexandrem - powiedziałem głęboko rozczarowany.

- Miło byłoby, gdyby wszystko zawsze układało się tak prosto - pocieszył mnie Donald. - Nie znaczy to jednak, że żaden z nich nie doprowadzi nas do Alexandra. - Zwrócił się do Jenny. -

Zacznijmy od tego, czego ty się dowiedziałas.

- Pułkownik Danvers-Smith, odznaczony Krzyżem Lotniczym, skończył studia w Cranwell w 1938 roku. Podczas drugiej wojny światowej służył w drugim dywizjonie w Binbrook w Lincolnshire. Ma na koncie kilkadziesiąt lotów nad Niemcami i okupowaną Francją. W 1943 roku dostał medal za odwagę. Przeniesiony do służby naziemnej w 1958 roku. Został instruktorem w Cottesmore, w Gloucestershire. Ostatnie stanowisko: zastępca dowódcy bazy RAF-u w Locking, w Somerset. Na emeryturze od 1977 roku. Zamieszkał wraz z żoną w Great Shelford, gdzie dorastał.

- Dlaczego mieszka sam?

- Żona zmarła trzy lata temu. Mieli dwójkę dzieci, syna Sama i córkę Pamelę. Oboje założyli rodziny, lecz żadne z nich nie mieszka na tym terenie. Odwiedzają go od czasu do czasu.

Miałem ochotę zapytać Jenny, jakim cudem zdołała zdobyć tyle informacji w tak krótkim czasie, ale się nie odezwałem. O wiele bardziej interesowało mnie, co wyszperał Donald.

Hackett podniósł z podłogi plik notatek, które przedtem leżały u jego stóp.

- No dobrze, powiem wam, czego dowiedziałem się o naszym czcigodnym profesorze. Profesor Balcescu uciekł z Rumunii w 1989 roku, po tym, jak Ceausescu skazał go na areszt domowy.

Przeszmuglowała go za granicę dysydencka grupa studentów, najpierw do Bułgarii, a potem do Grecji. To wydarzenie jest doskonale udokumentowane w pochodzących z tego okresu gazetach.

Poprosił o azyl w Anglii. Zaproponowano mu posadę wykładowcy w College Gonville i Caius w Cambridge. W trzy lata później został rektorem wydziału Europy Wschodniej. Doradca rządowi w sprawach Rumunii, napisał na ten temat rozprawę naukową. W ubiegłym roku, w urodziny królowej otrzymał Krzyż Imperium Brytyjskiego.

- Skąd któryś z nich ma znać Rosemary? - zdziwiłem się. - Williams musiał się pomylić

zapisując numer.

- Williams nie popełnia takich błędów, panie Cooper - stwierdził Hackett. - Gdyby popełniał, nie współpracowałby ze mną. Pańska żona dzwoniła do jednego z nich, musimy się tylko dowiedzieć do którego. Tym razem jest nam potrzebna pańska pomoc.

Wymamrotałem przeprosiny, ale wcale nie czułem się przekonany.

- Ile czasu zabierze nam droga do naszego pilota? - zwrócił się Hackett do Jenny.

- Mniej więcej kwadrans, proszę pana. Mieszka w małym domku w Great Shelford, na południe stąd.

- Dobrze. Zaczniemy od niego. Spotykamy się koło recepcji o piątej rano.

W nocy znowu źle spałem, przekonany, że znaleźliśmy się na fałszywym tropie. Ale przynajmniej miałem się włączyć w śledztwo, zamiast siedzieć w pokoju i oglądać australijskie seriale.

Zamówiłem budzenie na wpół do piątej, lecz niepotrzebnie. Kiedy zadzwonił telefon, już brałem prysznic. Parę minut po piątej wyszliśmy w trójkę na ulicę, starając się nie robić wrażenia, że uciekamy nie zapłaciwszy rachunku. Ranek był chłodny; dygotałem wsiadając do samochodu.

Jenny wywiozła nas z miasta na autostradę prowadzącą do Londynu. Po niespełna dwóch kilometrach skręciliśmy w drogę, która doprowadziła nas do uroczej wioski; po obu stronach stały dobrze utrzymane domy. Po lewej mineliśmy wielki sklep ogrodniczy, przejechaliśmy jeszcze z kilometr, a potem Jenny zρέcznie zawróciła i zatrzymała się przy krawężniku, wyłączając silnik.

Wskazała nam mały domek; furtka była pomalowana na lotniczy, granatowy kolor.

- Właśnie tu mieszka - powiedziała. - Numer 47.

Donald zaczął obserwować dom przez małą lornetkę.

Na ulicy wzrastał ruch. W kierunku stacji jechały samochody; ludzie spieszyli na pierwszy poranny pociąg do Londynu. Gazeciarzem okazała się starsza pani, powoli pchająca ciężko obciążony rower. Po niej pojawił się mleczarz w typowym elektrycznym wózku - tu zostawiał pół litra, tam litr mleka, czasami na progu kładł też karton jajek albo soku pomarańczowego. W oknach domów jedno po drugim zapalały się światła.

- Kazał sobie dostarczyć chude mleko i „Daily Telegraph” - powiedział Donald.

Domy w sąsiedztwie tego, który obserwowaliśmy, dawno już opustoszały, nim na piętrze pod numerem 47 pojawiło się światło. Kiedy jednak wreszcie się zapaliło, Donald wyprostował się i już nie spuszczał z niego oka.

Wszystko to szybko mi się znudziło. W którymś momencie zapadłem nawet w drzemkę.

Obudziłem się z nadzieją, że zrobimy sobie przerwę na śniadanie, ale tego rodzaju przyziemne sprawy nie interesowały dwójki zamkniętych ze mną zawodowców. Oboje uważnie obserwowali dom i jego najbliższe otoczenie, niemal nie zamieniając ze sobą słowa. Dziewiętnaście po dziesiątej w ogródku pojawił się szczupły, starszy mężczyzna, dziarsko zmierzający w kierunku prowadzącej na ulicę furtki. Z tej odległości widziałem tylko jego sumiaste, siwe wąsy. Sprawiały wrażenie, jakby ciało było tylko do nich dodatkiem. Donald nie spuszczał z niego oka.

- Czy pan go rozpoznaje? - spytał, podając mi lornetkę.

Dokładnie przyjrzałem się mężczyźnie.

- Z całą pewnością nie - powiedziałem, kiedy zatrzymał się przy poobijanym, starym austinie allegro. - Te wąsy zapamiętałbym przecież na całe życie.

- Z pewnością nie zapuścił ich wczoraj - stwierdził Don.

Austin ruszył. Jenny zaklęła pod nosem.

- Myślałam, że jeżeli w ogóle gdzieś dzisiaj pojedzie, to raczej do Cambridge. - Zawróciła zrećnie, choć musiała cofać się przy tym dwukrotnie, i pojechała za lotnikiem. Wystarczyło kilka minut i już mieliśmy go na oku.

Danvers-Smith nie należał do ludzi przekraczających dozwoloną szybkość.

- Pewnie już zapomniał, że był kiedyś oblatywaczem - zauważył Don. Wlekliśmy się za austinem do następnej wioski. Jakies dwa kilometry dalej samochód skręcił na stację benzynową.

- Za nim! - rozkazał Don. Jenny zjechała na stację i zatrzymała się przy następnym dystrybutorze.

- Głowa w dół, panie Cooper - rozkazał Don otwierając drzwi. - Nie może pana zobaczyć.

- Co teraz? - spytałem, wyglądając przez szczelinę między oparciami przednich siedzeń.

- Zagram starego kumpla - odparł Don.

Wysiadł, obszedł samochód i otworzył wlew paliwa dokładnie w chwili, kiedy stary pilot zaczął tankować swojego austina. Zaczął powoli łać benzynę w nasz, skądinąd pełny, zbiornik i nagle się odwrócił.

- Pan pułkownik Danvers-Smith? - spytał niskim, dźwięcznym głosem.

Pułkownik natychmiast podniósł głowę. Na jego ogorzalej twarzy malowało się wyraźne zdumienie.

- Jestem Baker, panie pułkowniku. Wykładał nam pan w Locking. Vulcany, o ile dobrze pamiętam.

- Macie cholernie dobrą pamięć, Baker. Gratuluję. - Danvers-Smith odwiesił wąż. - Miło mi cię widzieć, stary. Co porabiasz?

Jenny stłumiła śmiech.

- Pracuję dla British Airways, panie pułkowniku. Nie mogę już latać z powodu wady wzroku.

Jestem pilotem z za biurka, tylko to mi zaproponowano.

- A to pech, mój drogi - orzekł; obaj ruszyli w stronę kasy i przestaliśmy ich słyszeć.

Kiedy kilka minut później wracali do samochodów, rozmawiali jak najlepsi kumple, a pułkownik nawet obejmował Hacketta za ramiona. Na pożegnanie uściśnęli sobie dłonie. Usłyszałem, jak Donald mówi do wsiadającego do swego allegro pułkownika „Do zobaczenia”. Austin wyjechał na drogę i ruszył w kierunku Great Shelford. Don usiadł obok Jenny.

- Obawiam się, że ten nie doprowadzi nas do Alexandra - westchnął. - Pułkownik

Danvers-Smith jest postacią najzupełniej autentyczną. Tęskni za żoną, skarży się, że dzieci odwiedzają go zbyt rzadko, jest bardzo samotny. Zaprosił mnie nawet do siebie na lunch.

- Dlaczego nie przyjąłeś jego zaproszenia? - spytałem. Donald zastanawiał się chwilę.

- Miałem nawet taki zamiar - przyznał - ale kiedy wspomniałem, że jestem z Leeds, pułkownik odparł, że był tam tylko raz, na inspekcji. Nie, ten człowiek w życiu nie słyszał o Rosemary Cooper i Jeremym Alexandrze - stawiam na to swoją emeryturę. Teraz kolej na profesora. Jedźmy do Cambridge, Jenny. Tylko powoli. Nie chcę dogonić pana pułkownika. Zaciągnąłby do siebie całą naszą trójkę.

Jenny wyjechała na drogę. Lewym, najwolniejszym pasem ruszyliśmy w kierunku miasta. Po kilku kilometrach Don kazał jej zatrzymać się na poboczu, tuż za oznaczeniem wjazdu do klubu rugby Shelford.

- Profesor wraz z żoną mieszkają za tym żywopłotem. - Donald wskazał na posiadłość leżącą po przeciwnej stronie drogi. - Niech pan się uspokoi, panie Cooper. To może nam zabrać trochę czasu.

O wpół do pierwszej Jenny poszła do wioski kupić rybę z frytkami. Pochłonałem swoją porcję. O trzeciej zacząłem umierać z nudów. Ciekawe, kiedy wreszcie Donald zrezygnuje i pozwoli nam wrócić do hotelu. Przypomniałem sobie, że o szóstej dają „Happy Days”.

- Przesiedzimy tu całą noc, jeśli okaże się to konieczne - powiedział Hackett, jakby czytał w mych myślach. - Raz wytrzymałem bez snu czterdzieści dziewięć godzin. To mój rekord. A twój, Jenny?

- Trzydzieści jeden, szefie.

- Więc może będziesz miała szansę go pobić - zauważył. Chwilę później na drodze wyjazdowej z posiadłości pojawiło się białe BMW. Zatrzymało się na chodniku, prowadząca go kobieta rozejrzała się i skrzyła w prawo, w kierunku Cambridge. Kiedy nas mijala, dostrzegłem jasne włosy i śliczną twarz.

- Już ją kiedyś widziałem - wykrztusiłem.

- Za nią, Jenny - rozkazał ostro Donald. - Nie za blisko - dodał i zwrócił się do mnie: - Gdzie ją pan widział? - spytał, podając mi lornetkę.

- Nie pamiętam - odparłem, wpatrzony w burzę gęstych, kręconych, jasnych włosów.

- Myśl, człowieku, myśl! - rzucił Hackett, bardzo starając się, by nie przypominało to przesłuchania starego kryminalisty.

Byłem całkowicie pewien, że widziałem kiedyś tę twarz i równie pewien, że nigdy nie zamieniliśmy ze sobą nawet słowa. Musiałem bardzo się starać. W końcu niemal pięć lat minęło od czasu, kiedy w ogóle widywałem kobiety, nie mówiąc już o kobietach tak pięknych. Nic mi nie przyszło do głowy.

- Proszę myśleć dalej - rozkazał Hackett - a tymczasem spróbujemy czegoś nieco prostszego.

Jenny, nie podjeżdżaj za blisko. Nie zapominaj, że ma wsteczne lusterka. Pan Cooper jej nie pamięta, ale ona może pamiętać jego.

Chwycił radiotelefon i wykręcił dziesięciocyfrowy numer.

- Módlmy się, żeby nie wiedział, że zrezygnowałem z pracy - rzucił.

- Wydział Komunikacji Swansea, słucham.

- Z sierżantem Crannem, proszę.

- Łączę.

- Dave Crann.

- Tu Donald Hackett.

- Dzień dobry, panie nadinspektorze. Czym mogę panu służyć?

- Białe BMW, K273 SCE - powiedział Donald, patrząc na jadący przed nami samochód.

- Proszę poczekać. To potrwa tylko chwilę. Donald nie spuszczał oka z BMW. Wyprzedzało nas o jakieś dwadzieścia pięć metrów i właśnie zbliżyło się do skrzyżowania; miało wolną drogę. Jenny przyspieszyła, chcąc przemknąć na tym samym świetle. Skrzyżowanie przelecieliśmy na żółtym i w tym momencie w słuchawce odezwał się Crann.

- Zidentyfikowaliśmy pański wóz - powiedział. - Zarejestrowany właściciel: pani Susan Balcescu, Kendalls, High Street, Great Shelford, Cambridge. Raz karana, w 1991 roku, mandat trzydzieści funtów za przekroczenie dozwolonej prędkości na terenie zabudowanym. Poza tym nic.

- Dziękuję, sierżancie, bardzo mi pan pomógł.

- Cała przyjemność po mojej stronie, panie nadinspektorze.

- Dlaczego właściwie Rosemary miała by się kontaktować z tymi Balcescu? - zdziwił się Donald odwieszając słuchawkę. - I czy chodziło jej o któreś z nich, czy o oboje?

Nie próbowaliśmy nawet odpowiedzieć mu na te pytania.

- Moim zdaniem powinniśmy jej odpuścić - powiedział chwilę później. - Muszę sprawdzić jeszcze kilka tropów, nim zaryzykuję bezpośrednią konfrontację z któryś z nich. Wracamy do hotelu.

Naradzimy się, co dalej.

- Wiem, że może to być tylko zbieg okoliczności - zaryzykowałem - ale przez cały okres naszej znajomości Jeremy jeździł białym BMW.

- FI73 BZK - dodała natychmiast Jenny. - Pamiętam z akt sprawy.

Donald obrócił się w moim kierunku.

- Niektórzy ludzie nie potrafią rzucić palenia, wie pan - powiedział. - Inni picia. Jeszcze inni nałogowo przyzwyczajają się do marki samochodu. Chociaż mnóstwo ludzi prowadzi białe BMW -

dodał cicho, jakby do siebie.

Kiedy wróciliśmy do hotelu, Donald natychmiast zaczął grzebać w materiałach, które zdążył zgromadzić na temat rodziny Balcescu. Poinformował nas, że o ucieczce profesora najwięcej rozwiódł się „Times”. Pokazał nam artykuł.

Profesor Balcescu dał się po raz pierwszy poznać jeszcze jako student uniwersytetu w Bukareszcie wzywając do obalenia legalnie ustanowionego rządu. Władze z ulgą przyjęły wiadomość, że zaoferowano mu katedrę w Oxfordzie i z pewnością uważały, że mają z nim

spokój.

Trzy lata później Balcescu wrócił jednak do Bukaresztu i zaczął wykładać nauki polityczne. W rok później przewodził buntowi studentów, popierających Nicolae Ceausescu, a kiedy ten został prezydentem, Balcescu w nagrodę otrzymał posadę ministra edukacji. Profesor szybko jednak rozczarował się co do nowego reżimu, po półtora roku zrezygnował z teki i powrócił na uniwersytet jako zwykły wykładowca. W trzy lata później został dziekanem wydziału polityki i nauk ekonomicznych.

Postępujące rozczarowanie reżimem wkrótce zmieniło się w gniew. W 1986 roku profesor dał wyraz swym uczuciom publikując kilka podziemnych broszurek ośmieszających Ceausescu i jego marionetkowy rząd. Parę tygodni później szczególnie jadowity atak na władzę spowodował zwolnienie go z uniwersytetu i nałożenie aresztu domowego. Grupa historyków z Oxfordu opublikowała w „Timesie” list protestacyjny; o wielkim naukowcu przez parę lat nic jednak nie było słyhać. Dopiero przy końcu 1989 roku przeszmygłowała go z Rumunii grupa studentów, następnie przez Bułgarię i Grecję dotarł do Wielkiej Brytanii.

Wiele uniwersytetów ubiegało się o przyjęcie przez niego katedry; wygrało Cambridge. We wrześniu 1990 roku profesor Balcescu został członkiem College’u Gonville i Caius. W listopadzie 1991 roku, po przejściu na emeryturę sir Halforda McKaya, Balcescu został dziekanem wydziału studiów wschodnioeuropejskich.

Donald oderwał wzrok od prasowego wycinka.

- To jego zdjęcie zrobione w Grecji - powiedział - ale chyba zbyt zamazane, by mogło się nam na coś przydać.

Przyjrzałem się czarno-białej fotografii brodatego mężczyzny w średnim wieku, otoczonego przez studentów. Mężczyzna zupełnie nie przypominał Alexandra. Zmarszczyłem brwi.

- Kolejna ślepa uliczka - stwierdziłem.

- Zaczyna mi na to wyglądać - zgodził się Donald. - Zwłaszcza po tym, czego dowiedziałem się wczoraj. Według sekretarki, Balcescu wykłada co piątek, od dziesiątej do jedenastej.

- Przecież nie przeszkodziłoby mu to odbierać telefonów o dwunastej - przerwała Jenny.

- Może pozwolisz mi skończyć - głos Dona był ostry, dziewczyna tylko pochyliła głowę. - O dwunastej przewodniczy radzie wydziału, która w pełnym składzie zbiera się u niego w gabinecie.

Chyba zgodzisz się ze mną, Jenny, że w tych okolicznościach trudno byłoby mu przyjmować co tydzień osobistą rozmowę, prawda?

Zwrócił się do mnie.

- Przykro mi, ale wróciliśmy do punktu wyjścia... chyba że przypomni pan sobie, gdzie widział tę blondynkę.

Potrząsnąłem głową.

- Mogę się mylić - przyznałem.

Donald i Jenny spędzili kilka godzin nad zgromadzonymi przez siebie materiałami. Sprawdzili nawet po raz drugi numery telefonów.

- Pamięta pan drugi telefon Rosemary? - spytała dziewczyna w krańcowej rozpaczy. - „Dyrektora nie ma w tej chwili u siebie”. Może jest to jakiś trop?

- Być może - zgodził się Donald. - Jeśli odkryjemy, o jakiego dyrektora tu chodzi, zbliżymy się o krok do pana Jeremy’ego Alexandra.

Kiedy opuszczałem ich pokój, Jenny wypowiedziała słowa, które miałem zapamiętać na zawsze:

- Ciekawe, ilu jest w Anglii dyrektorów, szefie.

Następnego ranka zjedliśmy śniadanie w pokoju Donalda, przeglądając wszystkie zgromadzone do tej pory informacje. Nie mieliśmy bynajmniej wrażenia, że zbliżamy się do zakończenia sprawy.

- A co z panią Balcescu? - spytałem. - Może to ona odbiera telefon w każdy piątek w południe.

Przecież orientuje się, gdzie jest o tej porze jej mąż.

- Oczywiście. Lecz czy jest tylko łączniczką Rosemary, czy przyjaciółką Jeremy’ego?

- Pewnie będziemy musieli założyć podsłuch na telefon, żeby się dowiedzieć - stwierdziła Jenny.

Donald zignorował jej słowa. Spojrzał na zegarek.

- Powinniśmy już wyjść na wykład Balcescu - zauważył.

- A po co? Lepiej chyba skoncentrować się na pani Balcescu - zauważyłem.

- Pewnie ma pan rację, ale nie możemy przegapić nawet najmniejszej szansy, a jego następny wykład będzie dopiero za tydzień... równie dobrze możemy mieć to z głowy już dziś. W każdym razie będziemy wolni o jedenastej i jeśli stwierdzimy, że między dwunastą i dwunastą trzydzieści telefon pani Balcescu jest zajęty...

Kiedy Donald polecił Jenny podjechać samochodem do frontowych drzwi, wróciłem do swojego pokoju i zabrałem z niego coś, co od kilku tygodni ukrywałem na dnie walizki. Dołączyłem do nich po kilku minutach. Jenny wywiozła nas z hotelowego parkingu, skręcając w prawo. Donald przyjrzał mi się podejrzliwie we wstecznym lusterku. Ciekawe, czy sprawiam wrażenie winnego? -

pomyślałem.

Jenny znalazła miejsce do zaparkowania kilkaset metrów od gmachu wydziału studiów europejskich. W strumieniu spieszących na wykład studentów ruszyliśmy chodnikiem, po czym po schodach do wejścia. Nikt nie zwrócił na nas uwagi. Kiedy już znaleźliśmy się w środku, Donald zdjął krawat i schował go do kieszeni marynarki. Bardziej niż studenci przypominał marksistowskiego rewolucjonistę.

Droga do sali wykładowej była wyraźnie oznaczona. Na parterze okazało się, że jest tylko to jedno wejście. Donald natychmiast zaczął się przeciskać w kierunku tylnych rzędów. Jenny i ja poszliśmy za jego przykładem. Hackett kazał mi usiąść za studentem, który wyglądał, jakby wszystkie sobotnie popołudnia grał w uniwersyteckiej drużynie rugby na pozycji napastnika.

Czekaliśmy na Balcescu. Z nudów zacząłem rozglądać się po sali. Półokrągła, przypominała nieco miniaturowy grecki amfiteatr. Ocenilem, że może pomieścić około trzystu

osób. Za pięć dziesiąta nie było już chyba ani jednego wolnego miejsca, co dowodziło, jaką popularnością cieszy się wykładowca.

Czekałem na Balcescu i czułem, że zaczynam się pocić. Punktualnie o dziesiątej otworzyły się drzwi prowadzące na katedrę. Na widok wchodzącego profesora poczułem takie rozczarowanie, że aż głośno jęknąłem. Trudno byłoby znaleźć kogoś, kto mniej przypominałby Jeremy'ego. Pochyliłem się ku Hackettowi.

- Nie ten kolor włosów, nie ten kolor oczu i waży z piętnaście kilogramów mniej - powiedziałem.

Don nie zareagował.

- A więc łącznikiem musi być pani Balcescu - szepnęła Jenny.

- Zgadza się - mruknął pod nosem Donald. - Ale i tak musimy siedzieć tu przez następną godzinę, nie możemy ryzykować, że ktoś zwróci na nas uwagę. Wyjdziemy, kiedy skończy się wykład.

Wystarczy nam czasu, by sprawdzić, czy odbiera telefon o dwunastej. - Przerwał. - Dziś rano powinienem był zorientować się w rozkładzie budynku - westchnął. Jenny zarumieniła się - wiedziała, że w tym wypadku „powiniennem” oznacza „powinnaś”.

A ja przypomniałem sobie nagle, gdzie widziałem panią Balcescu. Właśnie miałem powiedzieć o tym Donaldowi, kiedy w sali zapadła cisza, profesor zaś przemówił.

- To szósty z serii ośmiu wykładów o współczesnych trendach ekonomicznych w Europie Wschodniej. - Mocno akcentowaną, wschodnioeuropejską angielszczyznę prowadził wykład, który najwyraźniej wygłaszał wcześniej wielokrotnie. Studenci skrobali w notatnikach, ale mnie zmęczyło nosowe brzęczenie profesora. Niecierpliwie czekałem, kiedy będę mógł powiedzieć Hackettowi o pani Balcescu, pragnąłem najszybciej jak to tylko możliwe wrócić do Great Shelford. Co parę minut patrzyłem na wiszący na ścianie sali zegar. Zupełnie jak w szkole - pomyślałem. Wsadziłem rękę do kieszeni marynarki. Był w niej, tak jak go włożyłem, choć nie wyglądało, by mi się dzisiaj przydał.

W połowie wykładu przygasły światła. Balcescu ilustrował swe wywody slajdami. Obejrzałem sobie kilka wykresów, ukazujących różne grupy dochodów w Europie Wschodniej w zależności od eksportu i bilansu płatniczego, ale w gruncie rzeczy nic mi to nie mówiło, i to nie tylko dlatego, że nie byłem na pierwszych pięciu wykładach.

Wyświetlający przezrocza asystent umieścił jedno z nich odwrotnie. Niemcy znalazły się na samym dole wykresu eksportu, Rumunia na samej górze, na co audytorium zareagowało stłumionym wybuchem śmiechu. Profesor skrzywił się i zaczął mówić coraz szybciej, przez co asystent miał tylko więcej kłopotów z pokazywaniem właściwych slajdów, pasujących do wypowiedzianych właśnie przez wykładowcę słów.

Znów poczułem nudę, a potem ulgę - za pięć jedenasta Balcescu poprosił o ostatni slajd. Zamiast obrazu na ścianie pojawiła się jednak plama światła. Słuchacze jak jeden mąż obejrzeliby się na asystenta, bezskutecznie zmagającego się z rzutnikiem. W miarę jak wskazówka minutowa zbliżała się do jedenastej, profesor niepokoił się coraz bardziej. Asystent nadal walczył z oporną maszyną.

Trzaskał ramką, na ścianie jednak widać było tylko plamę światła, doskonale oświetlającą profesora.

Balcescu zrobił krok do przodu i niecierpliwie zaczął bębnić palcami po drewnianej katedrze.

Obrócił się i tym razem mogłem dokładnie obejrzeć jego profil. Nad prawym okiem miał małą bliznę - z biegiem czasu przybladła i w normalnych warunkach była zapewne niemal niezauważalna, w jasnym świetle projektora widziałem ją jednak doskonale.

- To on! - szepnąłem Donaldowi. Zegar wybił jedenastą. Zapłonęły światła. Profesor bez jednego słowa zszedł z katedry.

Przeskoczyłem oparcie ławki i ruszyłem przejściem, ale musiałem przebijać się przez tłum studentów, którzy również zmierzali do wyjścia. Łokciami torowałem sobie drogę, aż znalazłem się na dole. Wskoczyłem przez drzwi, którymi profesor przed chwilą tak nagle opuścił salę.

Dostrzegłem go w korytarzu, ale znikł mi z oczu. Pobiegłem za nim, klucząc wśród grupek rozgadanych młodych ludzi.

Kiedy dopadłem drzwi, w których znikł, dostrzegłem na nich wizytówkę: PROFESOR BALCESCU DYREKTOR BIURA STUDIÓW EUROPEJSKICH. Otworzyłem je szarpnięciem. Wewnątrz, przy biurku, siedziała jakaś kobieta przeglądająca papiery. Za jej plecami zamykały się kolejne drzwi.

- Muszę natychmiast zobaczyć się z profesorem Balcescu! - krzyknąłem wiedząc, że jeśli nie dopadnę go przed pojawieniem się Hacketta, mogę zmienić zdanie.

Kobieta podniosła wzrok, przerywając przeglądanie papierów.

- Dyrektor czeka na rozmowę zagraniczną. Nie wolno mu przeszkadzać - powiedziała. - Przykro mi, ale...

Przebiegłem obok niej, szarpnąłem drzwi i po raz pierwszy od chwili, gdy zostawiłem go leżącego na podłodze mego rodzinnego domu, znalazłem się twarzą w twarz z Jeremym Alexandrem.

Mówił coś do słuchawki, ale rozpoznał mnie natychmiast. Ujrawszy w mej dłoni rewolwer, rzucił ją na biurko.

- Jesteś tam, Jeremy? - rozległ się w niej pytający, kobiecy głos. Mimo że minęło już tyle czasu, bez trudu rozpoznałem ostry ton Rosemary.

- Nie, Richard, nie! - wrzasnął Jeremy. - Mogę ci wszystko wyjaśnić! Uwierz mi, mogę ci wszystko wyjaśnić!

W pokoju pojawił się Donald. Widząc, co się święci, zatrzymał się przy biurku. Jego uwagi nie przykuwał bynajmniej Alexander.

- Nie rób tego, Richardzie - powiedział błagalnie. - Resztę życia spędzisz żałując tego, co tu zrobiłeś. - Pamiętam, że pomyślałem wtedy: Po raz pierwszy nazwał mnie Richardem.

- Tym razem się mylisz, Donaldzie - odparłem, nadal mierząc w pierś Jeremy'ego. - Nie będę żałował zabicia Jeremy'ego Alexandra. Widzisz, raz już uznano go za zmarłego. Wiem o tym dobrze, bo to mnie skazano za jego zabójstwo. Z pewnością wiesz, co oznacza *autrefois acquit*, a więc wiesz również, że nie mogę zostać skazany po raz drugi za przestępstwo, za które zostałem już osądzony i skazany. Choć tym razem będą mieli ciało.

Przesunąłem lufę kawałek w lewo, wymierzyłem Jeremy'emu w serce i pociągnąłem za spust...

dokładnie w chwili, w której do gabinetu wpadła Jenny, rzuciła się na mnie i złapała za nogi. Obaj jednocześnie runęliśmy na ziemię.

No cóż, na początku tej kroniki obiecałem, że wyjaśnię, dlaczego znalazłem się w więzieniu, a dokładnie mówiąc, dlaczego ponownie znalazłem się w więzieniu.

Sądzono mnie po raz drugi, tym razem za usiłowanie morderstwa, choć tylko zraniłem w ramię tego cholernego drania. Nadał mam o to pretensje do Jenny.

Zrozumcie, warto było tylko po to, by wysłuchać mowy obrończej Matthew, który z pewnością doskonale rozumiał pojęcie *autrefois acquit*. Matthew przeszedł samego siebie opisując Rosemary jako wyrachowaną, złowrogą Jezebel, a Jeremy'ego jako człowieka zachłannego i zazdrosnego, cynicznie pozującego na narodowego bohatera, podczas gdy jego ofiara gnije w więzieniu, do którego wtrąciło ją fałszywe zeznanie żony, bez wątpienia przygotowane przez niego samego. Za cztery lata - powiedział przysięgłym wściekły Matthew, oboje zdobyliby jeszcze kilka milionów więcej.

Tym razem sędziowie przysięgli przyglądali mi się z dużą dozą sympatii.

- Nie będziesz mówił fałszywego świadectwa przeciw bliźniemu swemu! - Tymi słowami zakończył mowę mój adwokat. Jego dźwięczny głos sprawiał, że robił on wrażenie jakiegoś starotestamentowego proroka.

Prasa brukowa musi mieć zawsze bohatera i wroga. Tym razem mieli bohatera i dwoje wrogów.

Najwyraźniej dziennikarze całkiem zapomnieli już o tym, co pisali podczas poprzedniego procesu, zapomnieli o napalonym kierowcy ciężarówki. Byłoby przesadą twierdzić, że ławy brukowców, wypełnione barwnymi opisami przestępstw Jeremy'ego i Rosemary, nie miały na przysięgłych pewnego wpływu.

Oczywiście, uznali mnie za winnego, ale tylko dlatego, że nie dałem im najmniejszej szansy. W podsumowaniu sędzia niemal rozkazał im to zrobić. Przewodniczący ławy w imieniu wszystkich sędziów wyraził jednak nadzieję, że - biorąc pod uwagę okoliczności - sędzia wyda łagodny wyrok.

Sędzia Lampton jednak najwyraźniej nie czytał brukowców, pouczał bowiem przysięgłych o ich obowiązkach jeszcze z godzinę, a potem skazał mnie na pięć lat więzienia.

Matthew natychmiast poderwał się na równe nogi apelując o łaskę i motywując swą prośbę tym, że niedawno odsiedziałem długie wyrok.

- Ten człowiek - mówił, wskazując na mnie - patrzy na świat przez okno, w którym szybą są jego łyzy. Błagam Wysoki Sąd, by w oknie tym nie pojawiły się ponownie kraty.

Galeria przyjęła te słowa z aplauzem tak grzmiącym, że sędzia musiał zażądać opróżnienia sali, nim odpowiedział na słowa Matthew.

- Wysoki Sąd najwyraźniej potrzebuje czasu do namysłu - powiedział cicho mój adwokat, kiedy wracając na swoje miejsce mijał ławę oskarżonych.

Rzeczywiście, po długich rozważaniach w ciszy swego gabinetu sędzia Lampton zdecydował, że odsiadka ma potrwać trzy lata. Tego samego dnia wieczorem przewieziono

mnie do więzienia Ford Open.

Prasa rozpisywała się o tym wyroku przez następną parę tygodni, a Matthew wystąpił przed sądem apelacyjnym, przedstawiając sędziom „niesłychane cierpienia klienta i jego niezwykle przykładowe zachowanie”; dzięki temu odsiedziałem tylko dziewięć miesięcy.

W tym czasie Allan Leeke, zastępca okręgowego komisarza policji w hrabstwie Cambridge, aresztował Jeremy'ego Alexandra w szpitalu Addenbrookes. Po trzech dniach, które przeleżał w pilnowanej przez policję sali, oskarżono go o „spisek mający na celu utrudnienie pracy wymiarowi sprawiedliwości” i przewieziono do Armley, gdzie miał oczekiwać procesu. W przyszłym miesiącu stanie przed sądem w Leeds; możecie być pewni, że z galerii bardzo uważnie będę obserwował jego proces. A tak przy okazji, „Paluch” i chłopcy powitali go bardzo serdecznie. Powiedziano mi, że stracił na wadze więcej niż w trakcie podróży po Europie, podczas których przygotowywał sobie nową tożsamość.

Rosemary także aresztowano i oskarżono o krzywoprzysięstwo. Nie zgodzono się na zwolnienie jej za kaucją, a Matthew powiedział mi, że francuskie więzienia, zwłaszcza to w Marsylii, są znacznie gorsze od angielskich; oto jeden z niewielu powodów, dla których nie warto się osiedlać na południu Francji. Oczywiście, Rosemary walczy o ekstradycję, ale Matthew zapewnił mnie, że nie ma żadnych szans; nie teraz, po podpisaniu Układu z Maastricht. Przynajmniej jest z niego jakiś pożytek.

Jeśli chodzi o panią Balcescu - z pewnością znacznie wcześniej niż ja domyśliliście się, gdzie ją widziałem.

W sprawie Korona przeciw Alexandrowi i Kershaw będzie zeznawała jako świadek Korony.

Jeremy, jak na takiego sprytnego i przewidującego człowieka, popełnił dziecinny błąd. By zapobiec identyfikacji, przepisał cały swój majątek na nazwisko żony. Śliczna blondynka dostała więc wszystko, a ja mam wrażenie, że podczas przesłuchania Rosemary nie pomoże Jeremy'emu, zapomniał bowiem powiedzieć jej, że pomiędzy cotygodniowymi, czułymi piątkowymi telefonami żyje z inną kobietą.

O prawdziwym profesorze Balcescu nie dowiedzieliśmy się niczego; po upadku Ceausescu nie ma po prostu kogo o niego zapytać. Sami Rumuni przez cały czas wierzyli, że wyjechał do Anglii i zaczął nowe życie.

Bradford City spadło z ligi, więc Donald kupił sobie domek w West Country i kibicuje rugbistom z Bath. Jenny zatrudniła się w agencji detektywistycznej w Londynie, ale już skarży się na pensję i warunki pracy. Williams wrócił do Bradford i zdecydował się przejść na wcześniejszą emeryturę.

To on wyjaśnił nam - bardzo dobitnie - prosty fakt: kiedy we Francji jest dwunasta, w Anglii mamy godzinę jedenastą!

Ja zdecydowałem się wrócić do Leeds. Cooper's, jak podejrzewałem, zbankrutowało; nowy zarząd wcale nie okazał się aż tak sprawny w walce z recesją. Syndyk masy upadłościowej z radością przyjął zaproponowane przeze mnie dwieście pięćdziesiąt tysięcy funtów za resztki firmy; nie miał żadnej innej oferty. Biedny Jeremy - ma mnóstwo niemal bezwartościowych akcji. A moim czytelnikom radzę, by dokładnie przeglądali „Financial Times” i gdzieś w połowie przyszłego roku kupili trochę nowych akcji Cooper's. Mój ojciec

powiedziałby, że „warto zaryzykować”.

Przy okazji - Matthew ostrzegł mnie, że właśnie udzieliłem wam „zastrzeżonych informacji”.

Proszę, nie przekazujcie ich dalej, nie chciałbym trafić do więzienia po raz trzeci!

Tanio, za pół ceny *

Kobiety, oczywiście, pod każdym względem są doskonalsze od mężczyzn, a pani Consuela Rosenheim nie stanowiła wyjątku od tej reguły.

Victor Rosenheim, amerykański bankier, był jej trzecim mężem. Rubryki towarzyskie gazet po obu stronach Atlantyku zgodnie sugerowały, że ta była kolumbijska modelka szuka sobie - niczym nałogowy palacz - następnego towarzysza życia, nim do reszty wypali obecnego. Jej dwaj poprzedni mężowie - pierwszy był Arabem, drugi Żydem (podpisując umowy małżeńskie Consuela nie kierowała się bynajmniej przesądami rasowymi) - nie zabezpieczyli jej materialnie, a każda uroda musi przecież kiedyś zgasnąć. Ową niefortunną sytuację mogły jednak zmienić dwa kolejne rozwody.

Consuela doskonale zdawała sobie sprawę, że ma jeszcze pięć lat, nim będzie musiała zawrzeć ostatnie w życiu małżeństwo.

Rosenheimowie przylecieli do Londynu z domu - a mówiąc dokładniej: z domów - w Nowym Jorku. Prowadzona przez szofera limuzyna dowiozła Consuelę na lotnisko z posiadłości w Hamptons, druga zaś limuzyna z szoferem zabrała z biura na Wall Street jej męża. Spotkali się na lotnisku Kennedy'ego, w sali odlotów, w której zwykle odprawiano concordy. Po wylądowaniu na Heathrow inna limuzyna wzięła oboje do Ritza, a tam zaprowadzono ich z honorami do apartamentu, w którym zawsze się zatrzymywali. Nikt ani słowem nawet nie wspomniął o konieczności zameldowania się lub wpisania do księgi hotelowej.

Państwo Rosenheimowie zdecydowali się na tę podróż z dwóch różnych powodów. Pan Rosenheim liczył na przejęcie niewielkiego banku handlowego, któremu nie przysłużyła się recesja, pani Rosenheim zaś miała zamiar wypełnić sobie czas poszukiwaniem prezentu urodzinowego odpowiedniego dla... niej samej. Mimo iż nie szczędziłem starań, nie zdołałem niestety stwierdzić, które to swe urodziny Consuela chciała tak uroczyście celebrować.

Po bezsennej nocy - do czego walenie przyczyniła się różnica czasu - pan Rosenheim wymknął się na wczesno-poranne spotkanie w City. Consuela pozostała w łóżku, jedząc bez apetytu podane śniadanie. Zdołała przełknąć jedynie cienki kawałek nie posmarowanej masłem grzanki oraz ociupinkę jajka na twardo.

Kiedy obsługa wyniosła tacę, zadzwoniła w kilka miejsc i umówiła się na lunch na najbliższe dwa dni, które miała spędzić w mieście. Następnie znikła w łazience. Wynurzyła się z niej pięćdziesiąt minut później, w różowej kreacji Olaganie z granatowym kołnierzem; jasne włosy swobodnie opadały na plecy. Spośród mężczyzn, których minęła między wyjściem z windy a obrotowymi drzwiami, tylko niewielu nie obejrzało się na jej widok; na tej podstawie Consuela uznała, że owe pięćdziesiąt minut nie poszło na marne. Wyszła z hotelu w ciepły blask słońca i ruszyła na poszukiwania urodzinowego prezentu.

Rozpoczęła od New Bond Street. Jak w przeszłości, nie miała zamiaru zboczyć dalej niż kilka przecznic na północ, południe, wschód lub zachód od tego jakże wygodnego punktu orientacyjnego.

Za nią sunęła, oczywiście, prowadzona przez szofera limuzyna.

Spędziła nieco czasu w Asprey's podziwiając zegarki o najmodniejszym kształcie, złotą statuetkę tygrysa z jadeitowymi oczami i jajko Faberge, po czym przeniosła się do Cartiera, gdzie odrzuciła po kolei srebrną tacę do drinków z rodowym herbem, platynowy zegarek na rękę i zegar z wahadłem w stylu Ludwika XIV. Cartiera tylko kilka kroków dzieliło od Tiffany'ego, lecz i od niego - mimo wysiłków sprzedawcy, który zdołał zaprezentować niemal wszystko, czym dysponował - wyszła z pustymi rękami.

Stała przy krawężniku, spojrzała na zegarek. Za osiem pierwsza. Musiała pogodzić się z tym, że ranek okazał się całkowicie zmarnowany. Kazała szoferowi zawieźć się do Baru u Harry'ego, a kiedy weszła do środka, stwierdziła, że pani Kleanthis, żona Stavrosa Kleanthisa, czeka już na nią przy stoliku - tym samym co zawsze. Przywitała przyjaciółkę pocałunkiem w oba policzki, po czym zajęła miejsce naprzeciw.

Pani Kleanthis, żona nie całkiem nieznanego armatora - Grecy preferują układ: jedna żona i liczne kochanki - od kilku już minut studiowała menu, pragnąc się upewnić, że restauracja serwuje któreś z kilku zaledwie dań dozwolonych przez jej najnowszą dietę. Obie kobiety przeczytały oczywiście wszystkie książki z listy bestsellerów „Timesa”, zawierające w tytułach słowa: „młodość”, „orgazm”, „schudnij”, „sprawność” i „nieśmiertelność”.

- Jak tam Victor? - spytała Maria, gdy złożyły już zamówienia.

Consuela milczała chwilę, zastanawiając się nad odpowiedzią, po czym zdecydowała się wyznać prawdę.

- Kończy mu się okres przydatności do spożycia - odparła. - A Stavros?

- Obawiam się, że jemu już dawno się skończył! Ale, ponieważ nie mam ani twej urody, ani twej figury, tylko trójkę nastoletnich dzieci, nie wrócę już prawdopodobnie na rynek w poszukiwaniu najnowszego modelu.

Consuela uśmiechnęła się, a tymczasem kelner postawił przed nią *salad nicoise*.

- A więc cóż takiego sprowadza cię do Londynu, oczywiście oprócz chęci spotkania się ze starą przyjaciółką.

- Victor ma na oku kolejny bank - odparła Consuela tak, jakby mówiła o dziecku kolekcjonującym znaczki pocztowe. - Ja zaś szukam dla siebie odpowiedniego prezentu urodzinowego.

- A czego tym razem spodziewasz się po Victorze? Wiejskiej posiadłości? Konia wyścigowego pełnej krwi? Może prywatnego odrzutowca?

- Niczego takiego. - Consuela położyła widelec obok talerza nie dojedzonej sałatki. - Potrzebne mi jest coś, co w przyszłości nie stanie się obiektem targów; muszę mieć prezent, który każdy sąd w każdym stanie uzna niepodważalnie za mój własny.

- Znalazłaś już coś odpowiedniego?

- Jeszcze nie - przyznała Consuela. - Asprey's nie miał nic ciekawego, półki Cartiera świeciły pustką, Tiffany's zaś dysponował tylko jedną interesującą rzeczą: sprzedawcą, nie mającym zapewne grosza przy duszy. Po południu zamierzam ruszyć na dalsze poszukiwania.

Nie dojedzone sałatki sprawnie usunął kelner, którego Maria uznała za zbyt młodego i zbyt szczupłego. Inny kelner, podobny do tamtego jak dwie krople wody, nalał im świeżej bezkofeinowej kawy. Consuela nie wzięła do niej ani śmietanki, ani cukru. Maria okazała się

niewiele mniej zdyscyplinowana.

Panie ponuro dyskutowały o poświęceniach, do jakich zmusza je recesja, aż wreszcie zostały jedynymi osobami na sali. W końcu pojawił się grubszy od swych kolegów kelner z rachunkiem - dziwnie długim, jeśli wziąć pod uwagę, że i Consuela, i Maria zadowolily się jednym daniem, a u kelnera od win zamówily wyłącznie wodę Evian.

Na South Adley Street przyjaciółki ponownie ucałowały się w oba policzki, a potem rozdzieliły - jedna udała się na wschód, druga na zachód.

Consuela usiadła na tylnym siedzeniu limuzyny i kazała wieźć się z powrotem na New Bond Street, od której dzieliło ją zaledwie kilkaset metrów.

Gdy już znalazła się na tak dobrze sobie znanym terenie, ruszyła w drugą stronę. Zatrzymała się w Bentley's, gdzie najwyraźniej od roku nie sprzedano niczego; z Bentley's uciekła do Adlera, cierpiącego jednak, jak się jej wydawało, na tę samą przypadłość. Po raz kolejny przeklęła recesję, za którą winiła Billa Clintona. Yictor wielokrotnie upewniał ją, że to Clinton jest winny licznym trudnościom gnębiącym współczesny świat.

Zaczęła wątpić, czy znajdzie coś użytecznego na Bond Street. Niechętnie ruszyła z powrotem w kierunku Ritza, godząc się powoli z myślą, że nazajutrz będzie zmuszona pojechać na Knightsbridge.

Przed House of Graff stanęła nagle jak wryta. Nie pamiętała tego sklepu ze swej poprzedniej wizyty w Londynie przed pół rokiem, a ponieważ znała Bond Street znacznie lepiej niż któregośkolwiek z trzech własnych mężów, uznała, że musi być nowy.

Oglądała oszalamiającej piękności, wspaniale oprawione klejnoty, ukryte za kuloodpornymi szybami. Gdy znalazła się przy trzecim z kolei oknie wystawowym, otworzyła usta równie szeroko jak rozwiera dziób dopiero co wykluty i bardzo głodny kurczak. W jednej chwili zdała sobie sprawę, że niczego już nie będzie musiała szukać, w witrynie bowiem, na smukłej marmurowej szyi manekina wisiał naszyjnik z nieskazitelnych rubinów i diamentów. Miała wrażenie, że gdzieś widziała już to absolutne cudo, lecz błyskawicznie odsunęła od siebie tę myśl. Pożerała wzrokiem przepięknie oprawione rubiny otoczone wspaniale oszlifowanymi diamentami; dwa składniki niepowtarzalnego piękna. Ani przez chwilę nie zastanawiając się, ile ten klejnot może kosztować, podeszła do drzwi z grubego szkła i przycisnęła dyskretnie umieszczony w futrynie guzik z kości słoniowej. House of Graff najwyraźniej nie dbał o przypadkowych klientów z ulicy.

Drzwi otworzył strażnik. Jedno spojrzenie wystarczyło mu, by stwierdzić, że panią Rosenheim koniecznie trzeba wpuścić do *sanctus sanctorum*, do którego prowadziły jeszcze jedne drzwi.

Otworzyły się i Consuela stanęła twarzą w twarz z wysokim, niesłychanie godnym mężczyzną w długiej czarnej marynarce i prążkowanych spodniach.

- Dzień dobry pani - powiedział, kłaniając się lekko. - Czy mogę pani w czymś pomóc?

Choć wewnątrz było pełne skarbów, które w innych okolicznościach oglądałaby godzinami, Consuela myślała tylko o jednym.

- Chciałabym bliżej przyjrzeć się naszyjnikowi z rubinów i diamentów, temu z wystawy.

- Oczywiście, proszę pani. - Mężczyzna podsunął fotel klientce. Niemal niedostrzegalnym

skinieniem głowy wezwał pomocnika, który podszedł do wystawy, otworzył niewielkie drzwiczki i zdjął naszyjnik. Tymczasem jego szef wsunął się za ladę i nacisnął niewidoczny guzik. Cztery piętra wyżej, w gabinecie pana Laurence'a Graffa rozległ się brzęczyk - sygnał, że pojawił się klient zainteresowany czymś szczególnie kosztownym, więc może pan Graff zechce sam z nim popertraktować.

Laurence Graff zerknął na monitor, na którym widział to, co dzieje się na parterze.

- Ach! - westchnął, gdy tylko zobaczył damę w różowej sukni siedzącą przy stole w stylu Ludwika XIV. - Pani Consuela Rosenheim, jeśli się nie mylę. - Jak przewodniczący w Izbie Gmin, który potrafi rozpoznać każdego z jej sześciuset pięćdziesięciu posłów, tak pan Laurence Graff potrafił bez trudu rozpoznać każdego z sześciuset pięćdziesięciu klientów, których było stać na najbardziej ekstrawagancki z jego skarbów. Błyskawicznie wysunął się zza biurka, opuścił gabinet, wsiadł do czekającej nań windy i zjechał na parter.

Tymczasem na stole przed Consuela rozesłano czarny aksamit, na którym pomocnik delikatnie rozłożył naszyjnik. Consuela przyglądała się obiektowi swego pożądanego, porażona jego pięknem.

- Witam panią, pani Rosenheim - odezwał się Laurence Graff, wychodząc z windy i ruszając ku klientce po puszystym, tłumiącym kroki dywanie. - Miło mi znów panią widzieć.

Prawdę powiedziawszy, spotkał ją tylko raz, na tłoczonym party na Manhattanie, lecz rozpoznałby ją na sto kroków nawet na ruchomych schodach.

- Dzień dobry, panie... - Consuela zawahała się. Po raz pierwszy tego dnia poczuła się nieco niepewnie.

- Laurence Graff - podpowiedział i wyciągnął dłoń. - Poznaliśmy się w Sotheby Parke Bernet w zeszłym roku.

Bal dobroczynny na rzecz Czerwonego Krzyża, jeśli dobrze pamiętam.

- Oczywiście. - Ale pani Rosenheim nie mogła sobie przypomnieć ani jego, ani balu.

Pan Graff z szacunkiem skłonił się naszyjnikowi.

- Dziedzictwo Kanemarrów - szepnął, umilkł i zajął miejsce po drugiej stronie stołu. - Dzieło Silvia di Larchiego z 1936 roku. Rubiny wydobywano z pewnej kopalni w Birmie w ciągu dwudziestu lat. Diamenty kupił u De Beersa egipski handlarz, który nakazał wykonanie naszyjnika, a następnie ofiarował go królowi Farakowi w zamian za wyświadczone mu przysługi. Po ślubie z księżniczką Faridą naszyjnik przeszedł na jej własność, ona zaś w podzięce urodziła królowi czworo następców, z których, niestety, żadnemu nie było dane zasiąść na tronie. - Graff oderwał oczy od piękna naszyjnika, by przyjrzeć się innemu pięknu. - Od tamtej chwili przeszedł on przez szereg rąk, nim wreszcie znalazł się w posiadaniu House of Graff. Jego ostatnią właścicielką była aktorka.

Niestety, źródła ropy naftowej, będące w posiadaniu jej męża, wyschły.

Na twarzy Consueli Rosenheim pojawił się cień uśmiechu - przypomniała sobie wreszcie, gdzie widziała naszyjnik.

- Wspaniały - powiedziała, obrzucając go pożegnalnym spojrzeniem. - Wróć - dodała, wstając z fotela. Graff odprowadził ją do drzwi. Dziewięciu na dziesięciu z jego klientów wymawiając te słowa wiedziało już, że nie wróci, on jednak bez trudu rozpoznawał tego

dziesiątego.

- Czy mogę poznać jego cenę? - spytała obojętnie Consuela, gdy Laurence Graff otworzył jej drzwi.

- Milion funtów, szanowna pani - odparł Graff tak obojętnie, jakby był właścicielem sklepiku z pamiątkami i właśnie podawał pierwszemu lepszemu klientowi cenę plastikowego breloczka do kluczy.

Znalazłszy się na ulicy, Consuela przede wszystkim odesłała kierowcę. Myślała - tak sprawnie i szybko, że z pewnością zdumiałoby to jej męża. Przeszła na drugą stronę i najpierw zameldowała się w The White House, a później u Yvesa Saint Laurenta i Chanel. Dwie godziny później dysponowała już bronią niezbędną w nadchodzącej bitwie. W apartamencie u Ritza pojawiła się dopiero przed szóstą.

Z ulgą zorientowała się, że mąż jeszcze nie wrócił z banku. Korzystając z jego nieobecności wzięła długą kąpiel, rozważając szczegóły pułapki, którą miała zamiar zastawić. Po osuszeniu się i upudrowaniu delikatnie musnęła szyję odrobiną perfum, po czym przebrała się w jeden z kupionych dzisiaj ciuszków.

Sprawdzała efekt w wielkim lustrze, gdy do apartamentu wszedł Victor. Stał jak wryty, upuszczając teczkę na dywan. Consuela odwróciła się ku niemu.

- Wyglądasz olśniewająco - zachwycił się. Na twarzy miał wyraz pożądania taki sam jak ten, z jakim Consuela przed kilku godzinami patrzyła na dziedzictwo Kanemarrów.

- Dziękuję ci, skarbie - powiedziała. - Jak ci minął dzień?

- Stuprocentowy sukces. Przejmuję ten bank, i to za połowę ceny, którą zapłaciłbym w zeszłym roku.

Consuela uśmiechnęła się. Całkiem niespodziewanie jej arsenał jeszcze się wzbogacił.

- Ci z nas, którzy nadal mają gotówkę, nie muszą obawiać się recesji - ciągnął Victor nie ukrywając satysfakcji.

Podczas cichej kolacji zjedzonej w eleganckiej sali Ritza opowiedział jej o negocjacjach ze wszystkimi najdrobniejszymi nawet szczegółami. Gdy niekiedy zdarzyło mu się przerwać monolog, Consuela zachęcała go do dalszych wynurzeń uwagami w rodzaju: „Jaki ty jesteś mądry, Victorze”, „Zdumiewające” lub „Nigdy nie pojmem, jak udało ci się tego dokonać”. Kiedy Victor zamówił wreszcie potężną bombkę koniaku i rozparł się na krześle paląc cygaro, stopką w eleganckich pończoszkach delikatnie musnęła wewnętrzną stronę jego uda. Po raz pierwszy tego wieczora bankier przestał rozważać szczegóły swego sukcesu.

Wyszli z sali. Po drodze do windy Victor objął smukłą talię żony. Nim dojechali na szóste piętro, zdążył już zdjąć marynarkę i przesunąć dłoń niżej. Consuela zachichotała.

Od apartamentu dzielił ich jeszcze kawałek drogi, a on już pozbył się krawata.

Wreszcie dotarli na miejsce. Consuela umieściła na klamce wywieszkę NIE PRZESZKADZĄC.

W ciągu kilku następnych minut Victor stał jak przymurowany do podłogi, podczas gdy jego smukła żona zdejmowała po kolei każdą część kupionej tego dnia garderoby. Potem sam błyskawicznie zrzucił ubranie, po raz kolejny żalując, że nie dotrzymał noworocznego postanowienia.

Czterdzieści minut później, całkowicie wyczerpany, opadł na poduszki. Westchnął kilkakrotnie, zasnął i zachrapał. Consuela naciągnęła prześcieradło na ich nagie ciała. Leżała z szeroko otwartymi oczami i planowała następny etap kampanii.

Rankiem Victora obudził dotyk żoninej dłoni na udzie. Odwrócił się ku Consueli, doskonale pamiętając, jak to było w nocy. Kochali się po raz drugi; nie potrafił powiedzieć, kiedy coś takiego zdarzyło się poprzednio.

Dopiero po wyjściu spod prysznicu uświadomił sobie, że dziś są urodziny jego żony i że obiecał spędzić rano na wspólnym poszukiwaniu prezentu. Miał tylko nadzieję, że Consuela znalazła już coś odpowiedniego, cały niemal bowiem dzień powinien posiedzieć wraz ze swymi prawnikami w City, słowo po słowie analizując dokumenty składające się na ofertę kupna banku.

- Wszystkiego najlepszego w dniu urodzin, kochanie - powiedział, wbiegając truchcikiem do sypialni. - Aha, może znalazłaś już coś odpowiedniego na urodzinowy prezent? - dodał, przeglądając „Financial Times”. Na pierwszej stronie znalazł się artykuł redaktora działu miejskiego, spekulującego na temat możliwości przejęcia banku, które to przejęcie określił jako „mistrzowskie posunięcie”. Po raz drugi tego ranka na twarzy Victora zagościł pełen satysfakcji uśmiech.

- Ależ tak, kochanie! - odparła Consuela. - Znalazłam pewien drobiazg, który mi się dość spodobał. Mam nadzieję, że nie okaże się zbyt drogi.

- A ile kosztuje ten drobiazg?

Consuela obróciła się do męża. Miała na sobie jedynie dwie sztuki bielizny, obie czarne i obie wyjątkowo skąpe.

Przez chwilę Victor zastanawiał się, czy wystarczy mu czasu, ale przypomniał sobie o prawnikach, którzy po bezsennej nocy cierpliwie czekają na niego w banku.

- Nie pytałam o cenę - wyznała Consuela. - W tych sprawach jesteś o wiele sprytniejszy ode mnie - dodała, wkładając granatową bluzeczkę.

Bankier zerknął na zegarek.

- Czy to daleko? - spytał.

- Tuż za rogiem, na Bond Street. Nie chcę zabierać ci czasu. - Doskonale wiedziała, o czym właśnie myśli jej mąż.

- Świetnie. Powinniśmy bez zwłoki rzucić okiem na ten twój drobiazg - stwierdził, zapinając guziki koszuli.

Kiedy kończył się ubierać, Consuela - za pomocą „Timesa” - zgrabnie skierowała rozmowę na temat jego wczorajszego sukcesu. Po raz kolejny wysłuchiwała szczegółów transakcji, gdy pod ramię szli w kierunku Bond Street.

- Prawdopodobnie udało mi się oszczędzić kilkanaście milionów - cieszył się bankier. Jego żona z uśmiechem poprowadziła go do drzwi House of Graff.

- Kilkanaście milionów? - westchnęła. - Jaki ty jesteś mądry, Victorze!

Strażnik błyskawicznie otworzył drzwi. Tym razem pan Graff stał przy stole, najwyraźniej na nich czekając. Skłonił się nisko i zwrócił do bankiera ze słowami:

- Czy wolno mi pogratulować panu błyskotliwego zwycięstwa, panie Rosenheim? - Victor uśmiechnął się. - Czym mogę państwu służyć?

- Mój mąż chciałby zobaczyć dziedzictwo Kanemarrów - odparła Consuela, nim Victor zdążył otworzyć usta.

- Oczywiście, proszę pani. - Graff stanął za stołem i rozpostarł na nim czarny aksamit. Pomocnik po raz kolejny zdjął bezcenny naszyjnik z wystawy i troskliwie ułożył pośrodku stołu; aksamit doskonale podkreślał urodę klejnotów. Właściciel próbował po raz drugi przedstawić historię naszyjnika, lecz Victor przerwał mu prostym i oczywistym pytaniem.

- Ile?

Pan Graff podniósł głowę.

- To nie jest zwykły naszyjnik. Mam wrażenie...

- Ile? - powtórzył bankier.

- Samo pochodzenie gwarantuje...

- Ile?

- Bogactwo klejnotów, nie wspominając już o zręczności złotnika...

- Ile? - Victor lekko podniósł głos.

- Słowo „unikatowy” z pewnością nie jest tu nie na miejscu.

- Zapewne ma pan rację, aleja przecież muszę wiedzieć, ile mnie to będzie kosztować. - W głosie Victora pojawiło się coś w rodzaju rozpacz.

- Milion funtów, sir - powiedział Graff doskonale zdając sobie sprawę, że nie wolno mu ryzykować dalszych pochwał.

- Zapłacę pół miliona, nie więcej - odparł natychmiast bankier.

- Przykro mi to mówić, sir, ale w wypadku tego arcydzieła nie ma miejsca na targi.

- Miejsce na targi jest zawsze, niezależnie od tego, kto i co sprzedaje - stwierdził Victor. - Powtarzam, daję pół miliona.

- Obawiam się, że w tym wypadku...

- Jestem pewien, że jeśli przemyśli pan sobie tę sprawę, niezawodnie przyjmie pan mój punkt widzenia. Niestety, nie mam akurat czasu, by czekać, aż pan się zastanowi. Wypiszę więc czek na pół miliona i panu zostawię decyzję, czy go zrealizować.

- Obawiam się, że tylko traci pan czas. Nie mogę sprzedać dziedzictwa Kanemarrów za mniej niż milion funtów.

Victor wyjął z kieszeni książeczkę czekową, otworzył wieczne pióro i pod nazwą banku - identyczną z jego nazwiskiem - napisał słowa „pięćset tysięcy funtów”. Jego żona dyskretnie cofnęła się o krok.

Graff już miał powtórzyć ostatnie słowa, kiedy spojrzał na panią Rosenheim i dostrzegł, że w milczeniu błaga go o przyjęcie czeku. Na jego twarzy zagościł przez chwilę wyraz zdziwienia.

Consuela nadal dawała mu znaki.

Victor wyrwał czek i położył go na stole.

- Ma pan dwadzieścia cztery godziny na podjęcie decyzji - powiedział. - Do Nowego Jorku wracamy jutro rano - z dziedzictwem Kanemarrów lub bez niego. To już zależy od pana.

Właściciel odprowadził ich do drzwi, kłaniając się nisko, gdy wychodzili na Bond Street. Czek pozostał na czarnym aksamicie.

- Byłeś wspaniały, kochanie! - Tymi słowami Consuela pożegnała wsiadającego do limuzyny męża. Kierowca usłużnie przytrzymał mu drzwiczki.

- Do banku - poinstruował pan Rosenheim, opadając na siedzenie. - Będziesz miała ten swój śliczny drobiazg, Consuelo - obiecał. - Zrealizuje czek przed upływem dwudziestu czterech godzin, jestem tego całkowicie pewien. - Szofer zamknął drzwiczki, zaszemrało opuszczane okno. Victor dodał z uśmiechem: - Wszystkiego najlepszego w dniu urodzin, kochanie.

Samochód ruszył w kierunku Piccadilly. Consuela odpowiedziała mężowi uśmiechem i przesłała mu całusa. Nie wszystko tego ranka poszło tak, jak sobie zaplanowała, nie była bowiem skłonna zgodzić się ze zdaniem męża... no, ale miała przed sobą jeszcze dwadzieścia cztery godziny.

Wróciła do apartamentu w Ritzu, rozebrała się, wzięła prysznic, otworzyła flakonik innych perfum, po czym powoli zaczęła się przebierać w drugi komplet garderoby, również kupiony poprzedniego dnia. Nim opuściła pokój, w dziale finansowym „Timesa” sprawdziła ceny nie palonej kawy.

W bocznym wejściu Ritza, od strony Arlington Street, pojawiła się ubrana w dwurzędowy, granatowy kostium od Yvesa Saint Laurenta i biały kapelusz z szerokim rondem. Ignorując szofera złapała taksówkę i kazała się zawieźć do niewielkiego, lecz szalenie dyskretnego hotelu na Knightsbridge. Piętnaście minut później pojawiła się w holu i z opuszczoną głową podeszła do recepcji. Jej szefowi podała nazwisko człowieka, którego była gościem; szef osobiście odprowadził ją do apartamentu na czwartym piętrze. Mężczyzna, który zaprosił ją na lunch, wstał na jej widok, podszedł, pocałował ją w policzek i złożył życzenia wszystkiego najlepszego w dniu urodzin.

Po miłym, intymnym lunchu oraz jeszcze miłszej i intymniejszej godzinie spędzonej w sąsiednim pokoju, towarzysz Consueli wysłuchał jej prośby i - sprawdzivszy godzinę na zegarku - zgodził się pojechać z nią do Mayfair. Ani słowem nie wspomniał, że o czwartej musi być z powrotem w biurze i czekać na ważny telefon z Ameryki Południowej. Po upadku prezydenta Brazylii ceny kawy szły w górę.

Gdy samochód jechał powoli Brompton Street, towarzysz Consueli zadzwonił, by sprawdzić ostatnie notowanie cen nie palonej kawy w Nowym Jorku (tylko zrzeczność pani Rosenheim w łóżku sprawiła, że nie zadzwonił wcześniej). Z przyjemnością dowiedział się, że cena wzrosła o dwa centy, lecz Consueli wieść ta sprawiła znacznie większą radość. Jedenaście minut później wysiedli przed House of Graff.

Kiedy ramię przy ramieniu weszli do sklepu, pan Graff nawet nie mrugnął okiem.

- Dzień dobry, panie Carvalho - powiedział. - Mam nadzieję, że tego roku pańskie plantacje przyniosły obfity plon.

- Nie mogę się skarżyć - przyznał pan Carvalho z uśmiechem.

- Czym mogę państwu służyć?

- Chciałabym obejrzeć ten diamentowy naszyjnik z wystawy. W trzecim oknie - powiedziała bez wahania Consuela.

- Oczywiście, proszę pani - powiedział Graff, jakby miał do czynienia z kimś, kogo zobaczył po raz pierwszy.

Czarny aksamit po raz kolejny powędrował na stół, po raz kolejny asystent położył pośrodku stołu dziedzictwo Kanemarrów.

Tym razem panu Graffowi nie przeszkadzano w opowiedzeniu historii klejnotu. Dopiero po jej zakończeniu pan Carvalho uprzejmie spytał o cenę.

- Milion funtów - oznajmił Graff.

Po chwili milczenia Brazylijczyk oznajmił:

- Zapłacę pół miliona.

- To nie jest zwykły naszyjnik. Sądzę...

- Zapewne ma pan rację, ale moje ostatnie słowo brzmi „pół miliona”.

- Piękno klejnotów, nie wspominając już o zręczności złotnika...

- Mimo wszystko daję tylko pół miliona.

- Słowo „unikatowy” z pewnością nie jest tu nie na miejscu.

- Pół miliona, nie więcej.

- Przykro mi to mówić, sir, ale w wypadku tego arcydzieła nie ma miejsca na targi.

- Miejsce na targi jest zawsze, niezależnie od tego, co się sprzedaje - warknął plantator.

- Obawiam się, że w tym wypadku...

- Jestem pewien, że po dokładnym przemyśleniu tej sprawy przyjmie pan mój punkt widzenia.

Niestety, nie mam akurat czasu, by czekać, aż pan się zastanowi. Wypiszę więc czek na pół miliona i panu zostawię decyzję, czy go zrealizować. - Carvalho wyjął z kieszeni książeczkę czekową, otworzył wieczne pióro i pod nazwą banku napisał słowa „pięćset tysięcy funtów”. Consuela obojętnie patrzyła w przestrzeń.

Plantator wydarł czek i położył go na stole.

- Ma pan dwadzieścia cztery godziny na podjęcie decyzji - oznajmił. - Wylatuję do Chicago jutro wczesnym wieczorem. Jeśli czek nie zostanie zrealizowany, nim dotrę do biura...

Graff lekko skłonił głowę, pozostawiając czek na miejscu. Odprowadził ich do drzwi i pożegnał ukłonem.

- Byłeś wspaniały, kochanie - powiedziała Consuela, gdy szofer otwierał drzwiczki swemu pracodawcy.

- Na giełdę - rzucił Carvalho, a obracając się do kochanki powiedział: - Dostaniesz naszyjnik przed wieczorem, jestem tego pewien. Wszystkiego najlepszego w dniu urodzin, kochanie.

Samochód ruszył w stronę Piccadilly. Consuela z uśmiechem pomachała ręką plantatorowi. Była skłonna całkowicie zgodzić się z jego oceną sytuacji. Gdy limuzyna znikła,

wślizgnęła się z powrotem do sklepu.

Pan GrafF uśmiechnął się, wręczając jej ślicznie opakowane pudełeczko. Z niskim ukłonem powiedział:

- Wszystkiego najlepszego w dniu urodzin, pani Rosenheim.

Prawe ramię Dougie Mortimera *

Robert Henry Kefford III, dla przyjaciół Bob, akurat leżał w łóżku z dziewczyną imieniem Helen, kiedy po raz pierwszy usłyszał o prawym ramieniu Dougie Mortimera.

Bob żałował, że opuszcza Cambridge. W college'u St John's spędził trzy wspaniałe lata i choć nie przeczytał tylu książek, ile na studiach magisterskich na uniwersytecie w Chicago, równie ciężko pracował, by pokonać współzawodników i... rzekę.

We wczesnych latach siedemdziesiątych Amerykanie kilkakrotnie zwyciężali w wyścigach ósemek, ale nie zdarzyło się jeszcze, by Amerykanin poprowadził ósemkę Cambridge do zwycięstwa trzy razy z rzędu.

Ojciec Boba, Robert Henry Kefford II, dla przyjaciół Robert, przyjeżdżał do Anglii, by kibicować zwycięstwom syna we wszystkich trzech wyścigach od Putney do Mortlake. Kiedy Bob i Cambridge zwyciężyli po raz trzeci, powiedział synowi, że nie wolno mu wrócić do rodzinnego Illinois, nie dając prezentu uniwersyteckiemu Klubowi Wioślarskiemu; prezentu, dzięki któremu jego nazwisko zostanie upamiętnione na wieki.

- I pamiętaj, chłopcze - mówił uroczyście Robert Henry Kefford II-twój prezent nie może być kosztowny. Lepiej okaż, że usilnie próbowałeś znaleźć coś mającego jakąś wartość historyczną, niż ofiaruj im coś tak kosztownego, że aż razi w oczy. Anglicy są bardzo czuli na tym punkcie.

Bob przez długie godziny rozważał słowa ojca, nie udało mu się jednak wpaść na żaden praktyczny pomysł. W końcu Klub Wioślarski Cambridge miał więcej srebrnych pucharów i pamiątek dawnych zwycięstw, niż mógł wystawić na widok publiczny.

W niedzielę rano Helen po raz pierwszy wspomniała nazwisko Dougie Mortimera. Leżała w ramionach Boba i zaczęła ugniatać jego biceps.

- Czy to jakaś tradycyjna forma brytyjskiej gry miłosnej, o której powinienem wiedzieć? - spytał Bob, przytulając dziewczynę.

- Ależ nie. Po prostu chciałam sprawdzić, czy masz biceps tak wielki jak Dougie Mortimer.

W karierze Boba nie zdarzyło się jeszcze, by dziewczyna będąc z nim w łóżku mówiła o innym facecie. Tak go to zdumiało, że zapomniał języka w gębie.

- A jest? - spytał w końcu, napinając mięśnie.

- Trudno powiedzieć - orzekła Helen. - Nie miałam okazji dotknąć ramienia Dougie Mortimera, widziałam je tylko z pewnej odległości.

- A w jakich to okolicznościach natknęłaś się na ów fragment wspaniałego okazu męczyzny?

- Wisi nad barem w ulubionym pubie taty w Hull. Bob roześmiał się wesoło.

- Czy jego zdobycie nie wiązało się przypadkiem z cierpieniami pana Mortimera? - spytał.

- Wątpię, czy pana Mortimera w ogóle to teraz obchodzi. Zmarł z sześćdziesiąt lat temu.

- I jego ramię nadal wisi nad barem? - zdumiał się Bob. - Nie zaczęło przypadkiem...

zalatywać?

Tym razem roześmiała się Helen.

- Nie, ty głupawy Jankesie. To brązowy odlew jego ramienia. W dawnych czasach, jeśli wiosłowałeś w reprezentacji uniwersytetu przez trzy lata z rzędu, robili ci odlew ramienia i wieszali go w sali klubowej. Nie wspominając już, że karta z twoim zdjęciem była w każdej paczce playersow. Właśnie mi się przypomniało, że nie widziałam jeszcze paczki playersow z twoją podobizną - powiedziała, naciągając mu prześcieradło na głowę.

- Wiosłował w barwach Oxfordu czy Cambridge? - zainteresował się Bob.

- Nie mam pojęcia.

- A jak się nazywa ten pub w Hull?

- Król William.

Bob niespodziewanie cofnął ramię.

- Czy to amerykańska forma gry wstępnej? - spytała po chwili dziewczyna.

Nieco później tego samego ranka, gdy Helen wyjechała już do Newnham, Bob zaczął szukać na półkach książki w niebieskiej okładce. W końcu odnalazł zaczytany egzemplarz *Historii wyścigów wiosłarskich*. Natychmiast zajrzał do indeksu, w którym odkrył siedmiu Mortimerow. Pięciu wiosłowało dla Oxfordu, dwóch dla Cambridge. Sprawdzając ich imiona wyliczał: Mortimer, A.J.

(Westminster i Wadham, Oxford). Mortimer CK. (Uppingham i Oriel, Oxford). Mortimer, D.J.T

(Harrow i St Catherine, Cambridge). Mortimer, E.L. (Oundle i Magdalen, Oxford). Zwrócił uwagę przede wszystkim na Mortimera, D.J.T., biografia str. 129. Szybko odszukał stronę 129. Douglas John Townsend Mortimer (St Catherine), Cambridge 1907, 1908, 1909, sternik. Przeczytał krótki fragment życiorysu dotyczący kariery zawodniczej Mortimera.

DOUGIE MORTIMER powiodł osadę Cambridge do zwycięstwa w 1907 roku i powtórzył swój wyczyn w roku 1908. Jednak w roku 1909, kiedy to - zdaniem ekspertów - osada Cambridge należała do najlepszych w całej historii tego uniwersytetu, niebiescy przegrali z osadą z Oxfordu, mimo że w powszechnym przekonaniu to ona była skazana na klęskę. Choć w ówczesnej prasie aż roiło się od domysłów, wynik tego wyścigu po dziś dzień pozostał zagadką. Mortimer zmarł w 1914 roku.

Bob zamknął książkę i odłożył na półkę zakładając, że wielki wiosłarz musiał zginąć podczas pierwszej wojny światowej. Przysiadł na brzeжку łóżka i zaczął się zastanawiać, co może mu przyjść z posiadanych już informacji. Gdyby w jakiś sposób zdołał zdobyć prawe ramię Dougie Mortimera i sprezentować je klubowi podczas dorocznej uroczystej Kolacji Niebieskich, sprawiłby tym prezent, którego znaczenie jego ojciec z pewnością by docenił.

Bob ubrał się szybko i zszedł na dół, do automatu na korytarzu. W informacji uzyskał cztery numery, tak więc mógł zabrać się do pokonywania kolejnej z piętrzących się przed nim przeszkód.

Najpierw zadzwonił pod Króla Williama lub mówiąc dokładniej - pod Królów Williamów, bowiem w Hull istniały trzy puby o tej nazwie. Kiedy połączono go z pierwszym, spytał: „Czy nad waszym barem wisi prawe ramię Dougie Mortimera?” Niezbyt dokładnie zrozumiał, co

odpowiada mu głos o silnym, wyraźnie słyszalnym północnym akcencie, ale nie miał wątpliwości, że jest to odpowiedź przecząca.

W drugim dziewczęcy głos spytał tylko:

- Ma pan na myśli to coś, co wisi przybite gwoździami do ściany?

- No... chyba... tak - odparł Bob.

- To trafił pan pod właściwy adres.

Bob zapisał ów „właściwy adres”, sprawdził także godziny otwarcia pubu, po czym po raz trzeci chwycił za słuchawkę.

- Tak, to możliwe - poinformowano go. - Pojedzie pan pociągiem o 3.17 do Peterborough, tam złapie pan następny o 4.09 do Doncaster, a w Doncaster przesiądzie się pan jeszcze raz. Dojedzie pan do Hull o 6.32.

- Co z ostatnim pociągiem powrotnym?

- 8.52, przesiadki w Doncaster i Peterborough. Powinien pan znaleźć się w Cambridge tuż po północy.

- Dziękuję. - Bob poszedł do stołówki na lunch, usiadł, jak zwykle, przy wielkim, środkowym stole, ale pogrążony w myślach nie sypał jak zwykle dowcipami.

Po południu wsiadł do pociągu do Peterborough cały czas myśląc, jakim sposobem uwolni właścicieli pubu od tak cennej pamiątki. W Peterborough wyskoczył na peron, przeszedł na drugą stronę wprost do czekającego już pociągu, gdzie zajął miejsce, ciągle głęboko pogrążony w myślach.

Kiedy w kilka godzin później kolejny pociąg dowiózł go do Hull, Bob nadal był daleki od rozwiązania gnębiącego go problemu. Pierwszemu z brzegu taksówkarzowi kazał zawieźć się pod Króla Williama.

- Market Place, Harold's Corner czy Percy Street? - spytał taksówkarz.

- Percy Street - poprosił Bob.

- Otwierają dopiero o siódmej, chłopcze - przestrzegł go taksówkarz, wysadzając pasażera przed wejściem. Bob spojrział na zegarek. Jeszcze dwadzieścia minut. Przespacerował się uliczką na tyłach pubu, stanął i zaczął przyglądać się dzieciakom kopiącym piłkę. Bramkami były dwie ściany domów po obu stronach ulicy, piłkarze ze zdumiewającą zręcznością trafiali w mur, nie w okna. Ciekawe, czy piłka nożna ma jakieś szanse w Ameryce?

Z tak wyraźnym zaciekawieniem przyglądał się grającym, że wreszcie zaproponowali mu, by do nich dołączył. Bob odmówił przekonany, że jemu z pewnością udałoby się trafić w okno.

Do Króla Williama zaszedł wreszcie parę minut po siódmej. Wszedł do niemal pustego pubu z nadzieją, że nikt nie zwróci na niego uwagi, jednak ze swym wzrostem - metr dziewięćdziesiąt pięć - a w dodatku ubrany w niebieski blezer, szare flanelowe spodnie, niebieską koszulę i krawat w barwach college'u, wyglądał jak przybysz z innej planety. Siłą woli zmusił się, by nie patrzeć ponad bar. Młoda, jasnowłosa barmanka spytała, czego sobie życzy.

- Połówkę waszego najlepszego bittera - oznajmił Bob, starając się naśladować swych brytyjskich przyjaciół, zamawiających piwo w uniwersyteckim barze.

Właściciel podejrzliwie przyglądał się tak niecodziennemu klientowi, cichutko i nieśmiało niosącemu szklaneczkę do małego stolika w końcu sali. Bob poczuł ulgę, kiedy pojawili się nowi klienci i przestał wreszcie być ośrodkiem zainteresowania. Wypił łyk ciemnego, ciepłego, niegazowanego napoju i niemal się nim udławił. Kiedy odzyskał panowanie nad sobą, ośmielił się wreszcie zerknąć ponad bar. Z trudnością udało mu się ukryć podniecenie: prawe ramię Dougie Mortimera wisiało na miejscu, masywne, brązowe, przybite do kawałka werniksowanej deski. Ramię wydało mu się jednocześnie wstrętne i fascynujące. Pod *odlewem*, złotymi literami wypisany był tekst: D.J.T. MORTIMER

1907-08-09 (St CATHERINE, STERNIK)

Pub zaczął się powoli zapelniać, Bob wpatrywał się wyłącznie we właściciela, póki nie spostrzegł jego żony - wszyscy zwracali się do niej Nora - nie tylko tu najwyraźniej rządzącej, lecz także wyjątkowo sprawnie nalewającej piwo.

Opróżnił szklaneczkę i stanął skromnie przy końcu baru.

- Czym mogę służyć, młody człowieku? - spytała Nora.

- Jeszcze raz to samo - powiedział Bob. - Dziękuję.

- Amerykanin? - Pociągnęła za rączkę pompy. Do szklanki popłynęło piwo. - Niewiele was się tu spotyka od czasu, kiedy zamknęli bazy. - Postawiła przed nim pełną szklanekę. - No więc, co cię sprowadziło do Hull?

- Pani - oparł Bob, nie ruszając piwa.

Nora podejrzliwie przyjrzała się obcemu, mogącemu spokojnie być jej synem. Bob uśmiechnął się. ‘

- Mówiąc dokładniej, Dougie Mortimer - wyjaśnił.

- No, teraz cię mam! To ty dzwoniłeś rano, prawda? Nasza Christie wszystko mi powiedziała.

Powinam domyślić się wcześniej!

Bob skinął głową.

- Jakim sposobem jego ramię znalazło się w Hull? - spytał.

- No... to długa historia - powiedziała Nora. - Należało do mojego dziadka. Urodził się w Ely, lubił łowić ryby w Cam. Twierdził, że w tamtym roku tylko to udało mu się złapać. Brzmi lepiej, niż „wypadło z ciężarówki” - to znaczy, za sprawą sprytnych przyjaciół. Tyle, że kiedy dziadek zmarł przed kilku laty, ojciec chciał wyrzucić to cholerstwo razem z resztą szpargałów, ale ja mu na to nie pozwoliłam, powiedziałam, że powinien powiesić je za barem. Wyczyściłam je i wypolerowałam, to całkiem niezłe się prezentuje na ścianie, prawda? Ale... przejechałeś kawał drogi, żeby sobie popatrzeć na ten rupieć? Bob jeszcze raz z podziwem przyjrzał się ramieniu.

- Nie przejechałem tylko po to, żeby sobie na nie popatrzeć. - Wstrzymał oddech.

- Więc po co?

- Przyjechałem, żeby je kupić.

- Ruszaj się, Nora! - krzyknął właściciel. - Nie widzisz, że klienci czekają?

Nora obróciła się błyskawicznie.

- Trzymaj głowę na kłódkę, Cyrilu Barnsworth - rozkazała. - Ten młody człowiek przejechał taki szmat drogi nie tylko po to, żeby obejrzeć sobie ramię Dougie Mortimera. On chce je kupić!

Słyszając te słowa starzy klienci wybuchnęli głośnym śmiechem. Nora nie przyłączyła się do nich, więc śmiech błyskawicznie ucichł.

- No to zmarnował kupę czasu - orzekł właściciel. - Ramię nie jest przecież na sprzedaż, co nie?

- To ty nie możesz go sprzedać, nie ja - oznajmiła Nora, opierając dłonie na biodrach. - Słuchaj, chłopcze - zwróciła się ponownie do Boba - on ma rację. Nie rozstałabym się z nim nawet za setkę - dodała.

Niektórzy goście zaczęli zdradzać pewne zainteresowanie rozmową.

- A za dwie setki? - spytał cicho Bob.

Tym razem roześmiała się Nora, Bob jednak zachował całkowitą powagę. Kiedy Nora przestała się śmiać, przyjrzała się dokładnie temu dziwnemu, młodemu człowiekowi.

- Na Boga, mówi serio! - zdumiała się.

- Oczywiście, że tak. Chcę, by ramię Mortimera wróciło na swe właściwe miejsce w Cambridge, i jestem gotów zapłacić za to dwieście funtów.

Właściciel pubu spojrzał na żonę, jakby nie potrafił uwierzyć własnym uszom.

- Moglibyśmy kupić mały samochód. Ten używany, na który od dawna mam oko - powiedział.

- Nie mówiąc już o wakacjach i płaszczu na zimę - dodała Nora patrząc na Boba tak, jakby wymagała, by ją przekonał, że nie jest jednak z innej planety. I nagle ponad ładą wyciągnęła ku niemu dłoń.

- Ubiłeś interes, młodzieńcze - oznajmiła.

Bob musiał jeszcze postawić po parę piw tym gościom, którzy powoływali się na przyjaźń do grobowej deski z dziadkiem Nory, choć większość z nich sprawiała wrażenie zdecydowanie zbyt młodych na taką znajomość. Musiał także zostać na noc w miejscowym hotelu, Nora bowiem ani myślała żegnać się z „dziedzictwem dziadka”, do której to roli awansowało nagle ramię, póki jej bank nie zadzwoni do Cambridge i nie upewni się, że konto Roberta Henry’ego Kefforda III wytrzyma wypłatę w wysokości 200 funtów.

Bob tulił do piersi swój skarb przez całą drogę, którą w ten poniedziałkowy rano odbył do domu. Zaciągnął ów słodki ciężar ze stacji do mieszkania na Grange Road, gdzie ukrył go pod łóżkiem. Następnego dnia przekazał go miejscowemu konserwatorowi, który obiecał przywrócić ramieniu dawną świetność dokładnie na Kolację Niebieskich.

Kiedy w trzy tygodnie później Bob obejrzał efekt wysiłków konserwatora, natychmiast poczuł pewność, że nie tylko dysponuje darem odpowiednim dla Klubu Wioślarskiego Uniwersytetu Cambridge, lecz także czymś, co w pełni odpowiada życzeniom jego ojca. Zdecydował, że z nikim nie podzieli się swym sekretem - nawet z Helen! - choć zawiadomił zdumionego prezesa, że ma prezent dla klubu i prosi, by w ścianę wkręcono dwa haki: na wysokości dwóch i pół metra, w odległości trzydziestu pięciu centymetrów od siebie.

Uniwersytecka Kolacja Niebieskich odbywa się co roku w hangarze z widokiem na Cam.

Wolno w niej uczestniczyć wszystkim byłym i obecnym wioślarzom reprezentacji. Pojawiwszy się na miejscu, ku swemu wielkiemu zadowoleniu Bob dowiedział się, że w tym roku zanotowano niemal rekordową frekwencję. Paczkę, owiniętą w papier pakowy, położył pod krzesłem, aparat fotograficzny zaś przed sobą, na stole.

Ponieważ była to jego ostatnia Kolacja przed powrotem do Stanów, usadzono go przy głównym stole, między honorowym sekretarzem klubu a jego urzędującym prezesem. Tom Adams, honorowy sekretarz, trafił do reprezentacji jakieś dwadzieścia lat temu i uważano go za klubową encyklopedię nie tylko dlatego, że potrafił nazwać po imieniu każdego z obecnych na sali, lecz również dlatego, że znał wszystkich wielkich wioślarzy z przeszłości.

Wskazał Bobowi trzech medalistów olimpijskich.

- Najstarszy siedzi po lewej ręce prezesa - powiedział. - Wiosłował w klubie jako trzeci w 1908

i 1909, musi więc mieć ponad osiemdziesiątkę.

- Niemożliwe! - zdumiał się Bob. Pamiętał młodą twarz For ester a z fotografii wiszącej w sali klubowej.

- Ależ możliwe! - roześmiał się sekretarz. - Co więcej - dodał, śmiejąc się nadal - pewnego dnia ty też będziesz tak wyglądał, młody człowieku!

- A ten facet tam, przy końcu stołu? - zainteresował się Bob. - Wygląda jeszcze starzej.

- Bo jest starszy. To Sidney Fisk. Opiekował się łodziami od 1912 do 1945 roku, z przerwą na pierwszą wojnę światową. Zastąpił swego wuja, całkiem niespodziewanie, o ile mnie pamięć nie myli.

- To pewnie pamięta Dougie Mortimera - stwierdził z Bob w zadumie.

- To kolejne wielkie nazwisko z przeszłości - mówił Adams. - MortimerD.J.T. 1907, 1908, 1909, St Catherine, sternik. O tak, Fisk z pewnością znał Mortimera. A jeśli się zastanowić ... tak, Charles Forester musiał siedzieć z nim w jednej łodzi!

Podczas kolacji Bob bezustannie wypytywał Adamsa o Dougie Mortimera, Adams nie był jednak w stanie znacząco uzupełnić informacji z *Historii wyścigów wioślarskich*.

Potwierdził tylko, że klęska z 1909 roku nadal pozostaje tajemnicą, jako że Niebiescy z pewnością dysponowali lepszą osadą.

Podano ostatnie danie, sprzątnięto nakrycia. Prezes wstał, przywitał gości i wygłosił krótką mowę. Bobowi podobały się te jej fragmenty, które zdołał usłyszeć mimo hałasu czynionego przez obecnych na sali studentów, tupał nawet i gwizdał za każdym razem, kiedy wymieniano Oxford.

Prezydent zakończył swe wystąpienie słowami: „Nasz sternik z dawnych kolonii, Bob Kefford, chce przekazać klubowi prezent, który z pewnością powitamy z największą radością”.

Kiedy Bob wstał z miejsca, hałas stał się jeszcze głośniejszy; przemówił jednak cicho, więc sala szybko się uspokoiła. Opowiedział członkom klubu, jak odkrył i zdobył prawe ramię Dougie Mortimera, nie zdradzając tylko, kto i w jakich okolicznościach wspomniał mu o nim po raz pierwszy.

Bardzo uroczyście odwinął papier pakowy, ukazując odlany z brązu przedmiot, ukryty do tej pory pod jego krzesłem. Zgromadzeni powstali z miejsc i zaczęli bić brawo. Szeroko

uśmiechnięty Bob rozejrzał się po sali żałując, że ojciec nie może być świadkiem reakcji Anglików.

Wodząc wzrokiem po twarzach obecnych nie mógł jednak nie zauważyć, że najstarszy z wiosłarzy, Charles Forester, nie wstał z miejsca i nie bije brawa. Poza nim tylko Bob Fisk nie podniósł się od stołu. Siedział z zaciśniętymi wargami, trzymając nieruchome dłonie na kolanach.

Bob zapomniał o dwóch starcach, kiedy prezes wraz z Tomem Adamsem zawiesili ramię z brązu na ścianie sali, pomiędzy wiosłem, którym posługiwał się członek osady olimpijskiej z 1908 roku, a wełnianą czapczką, w której występował jedyny w historii wiosłarz z osady, która pokonała Oxford cztery razy z rzędu. Zaczął robić zdjęcia ceremonii; chciał mieć jakiś dowód na to, że spełnił wszystkie życzenia ojca.

Po ceremonii członkowie klubu i starsi zawodnicy podchodzili do niego z gratulacjami; nie miał więc najmniejszych wątpliwości, że warto było ponieść trud, by odnaleźć i kupić ramię.

Wyszedł jako jeden z ostatnich - niemal wszyscy obecni podchodzili do niego życząc mu szczęścia w przyszłości. Maszerował ścieżką do domu, nucąc pod nosem, kiedy nagle przypomniał sobie, że na stole zostawił aparat. Postanowił odebrać go rano - był pewien, że sala klubowa jest już zamknięta. Kiedy jednak się odwrócił, dostrzegł, że w oknie na parterze pali się jeszcze światło.

Ruszył z powrotem, nadal nucąc. Gdy podszedł bliżej, zajrzał do środka przez okno. W sali bankietowej zostali dwaj mężczyźni. Przytknął nos do szyby i z zaskoczeniem stwierdził, że to stary wiosłarz, Charles Forester, i Sidney Fisk, emerytowany strażnik, i że próbują oni przestawić ciężki stół. Poszedłby im pomóc, gdyby Fisk nie wskazał nagle palcem na ramię Dougie Mortimera, mówiąc coś do towarzysza. Bob przyglądał się zafascynowany, jak centymetr po centymetrze pchają stół, aż znalazł się on tuż pod jego darem. Potem Fisk chwycił krzesło, przystawił je do ściany, a Forester wspiał się po nim na stół, a następnie wyciągnął rękę i pomógł wejść na górę Fiskowi. Kiedy obaj znaleźli się bezpiecznie na stole, odbyli krótką naradę, a potem ostrożnie zdjęli brąz i złożyli go u swych stóp. Ponownie korzystając z krzesła Forester zszedł na ziemię, po czym pomógł zejść Fiskowi.

Bob ciągle nie śmiał nawet drgnąć. Dwaj starcy wynieśli z hangaru ramię Dougie Mortimera.

Forester wrócił, by zgasić światło. Fisk zamknął wejście na kłódkę. Znow odbyła się krótka rozmowa, po czym starcy ruszyli z ramieniem w stronę rzeki. Kilkakrotnie musieli stawać, opuszczać ciężar na ziemię i odpoczywać. Bob cichutko szedł za nimi, chowając się za drzewa, aż wreszcie starszycy znaleźli się na brzegu rzeki. Wsadzili ładunek do niewielkiej łodzi, odcumowali ją i zepchnęli na wodę, mocząc spodnie od wizytowych garniturów niemal do kolan. Żaden z nich nie zwrócił na to uwagi. Forester dość zwawo wskoczył do łódki. Fiskowi zabrało to jednak kilka minut.

Kiedy znalazł się w środku, usiadł na rufie trzymając w objęciach ramię, podczas gdy Forester chwycił za wiosła. Powoli oddalili się od brzegu; Forester wiosłował w sposób zdradzający spore obycie z łodziami. W pobliżu środka nurtu, w najgłębszym miejscu Cam, Forester rzucił wiosła i przeszedł na rufę do kolegi. Obaj podnieśli ramię i bez ceremonii wyrzucili za burtę. Bob usłyszał plusk i zobaczył, jak łódź niebezpiecznie huśta się z burty na

burzę. Teraz przy wiosłach zasiadł Fisk.

Wracali znacznie wolniej. W końcu jednak dobili do brzegu, wysiedli na ląd, wciągnęli łódź na brzeg i - wreszcie - zawiązali cumę na wielkim pachołku.

Przemoczeni, zmordowani, ciężko oddychając - para ich oddechów wyraźnie była widoczna w czystym, wieczornym powietrzu - dwaj starzy ludzie uścisnęli sobie dłonie niczym dwaj magnaci finansowi pieczętujący jakąś ważną transakcję, po czym obaj znikli w mroku.

Tom Adams, honorowy prezes klubu, zadzwonił do Boba rano, by przekazać mu nowinę, która dla niego oczywiście żadną nowiną nie była. Prawdę powiedziawszy, Bob nie przespał nocy, rozmyślając o tym, co widział wieczorem.

Uważnie wysłuchał relacji o włamaniu.

- Jedno tylko wydaje się dziwne - kończył opowieść sekretarz. - Zabrali tylko twoje ramię... to znaczy ramię Dougie Mortimera, chociaż ktoś zostawił na stole drogi aparat fotograficzny.

- Czy mogę w czymś pomóc? - spytał Bob.

- Nie sądzę, stary. Policja wszczęła śledztwo, ale ktokolwiek ukradł ramię, jest już pewnie w połowie drogi do granicy hrabstwa.

- Pewnie ma pan rację. A skoro już rozmawiamy, panie Adams, czy mógłbym zadać panu pytanie dotyczące historii klubu?

- Oczywiście, przyjacielu, ale nie wiem, czy zdołam ci na nie odpowiedzieć. Nie zapominaj, że to tylko moje hobby.

- Nie wie pan przypadkiem, kto jest najstarszym z żyjących wiosłarzy Oxfordu?

Adams nie odpowiadał. Cisza przedłużała się.

- Halo? Czy jest pan tam?

- Tak, jestem. Właśnie się zastanawiałem, czy stary Harold Deering jeszcze żyje. Nie widziałem jego nekrologu w „Timesie”.

- Deering? - powtórzył Bob.

- Tak. Radley i Keble, 1909, 1910, 1911. Został biskupem, jeśli się nie mylę, ale niech mnie diabli, nie pamiętam gdzie.

- Dziękuję, bardzo mi pan pomógł.

- Mogę się mylić - zwrócił mu uwagę Adams. - W końcu nie czytam codziennie nekrologów. Jeśli chodzi o Oxford, to nawet nie staram się być na bieżąco.

Bob podziękował i odwiesił słuchawkę.

Po lunchu w stołówce, którego zresztą nie zjadł, Bob wrócił do pokoju i zadzwonił na portiernię Keble. Odpowiedział mu jakiś gderliwy głos.

- Czy jest coś panu wiadomo o Haroldzie Deeringu, niegdyś studentie tego college'u? - spytał.

- Deering... Deering... - odparł głos. - Nie przypominam sobie tego nazwiska. Zaraz sprawdzę, czy figuruje w księgach. - Zapadła cisza tak długa, że Bob myślał już, iż połączenie zostało przerwane. Nagle gderliwy głos znów przemówił: - Na litość boską, nic dziwnego!

Całkiem stara sprawa. Deering, Harold, 1909-1911, magisterium 1911, doktorat 1916, teologia. Został biskupem Truro. Czy o tego panu chodzi?

- Tak, właśnie o niego. Nie ma pan przypadkiem jego adresu?

- Mam. Wielebny Harold Deering, emeryt, Stone House, Mili Road, Tewkesbury, hrabstwo Gloucester.

Całe popołudnie Bob spędził na układaniu listu do emerytowanego biskupa. Miał nadzieję, że stary wioślarz być może zechce się z nim zobaczyć. Po trzech dniach zaskoczył go telefon od pani Elliot, która okazała się córką Deeringa, prowadzącą mu gospodarstwo.

- Kochany staruszek nie widzi dziś dalej niż koniec nosa - powiedziała pani Elliot - musiałam więc przeczytać mu pański list. Z radością się z panem zobaczy. Może w niedzielę, około wpół do dwunastej, po porannej mszy? Chyba że to panu nie odpowiada.

- Doskonale, przyjadę. Proszę przekazać ojcu, żeby spodziewał się mnie około jedenastej trzydzieści.

- To musi być ranek - tłumaczyła pani Elliot - gdyż, rozumie pan, on śpi po południu. A przy okazji, napiszę panu, jak do nas dojechać, i wyślę list pod adresem pańskiego college'u.

W niedzielę rano Bob wstał na długo przed wschodem słońca. Do Tewkesbury jechał wynajętym samochodem. Wolałby pociąg, ale kolej brytyjska wstawała zbyt późno, by mógł dojechać na miejsce na czas. Jadąc przez Cotswolds bez przerwy powtarzał sobie, że musi się trzymać lewej strony, a od czasu do czasu zastanawiał się jeszcze, kiedy Brytyjczycy zaczną wreszcie budować drogi mające więcej niż jeden pas.

Na miejsce dotarł kilka minut po jedenastej. Dzięki wskazówkom pani Elliot bez kłopotu odnalazł Stone House. Zaparkował przy małej furtce.

Ledwie zdążył postawić stopę na żwirowej ścieżce, w drzwiach domku pojawiła się kobieta.

- Pan Kefford, zgadza "się" - spytała. - Jestem Susan Elliot. - Bob z uśmiechem uściśnął podaną dłoń. - Powinam uprzedzić pana - ciągnęła pani Elliot, prowadząc go do frontowych drzwi - że będzie pan musiał mówić głośno. Ostatnio ojciec nieco przygłuchł, obawiam się także, że pamięć służy mu nie najlepiej. Doskonale pamięta wszystko, co się zdarzyło, kiedy był w pana wieku, ale nic z tego, co mówiłam wczoraj. Musiałam przypominać mu trzykrotnie, o której godzinie pan przyjedzie.

- Bardzo mi przykro, pani Elliot, że sprawiłem państwu tyle kłopotów.

- Ależ to żaden kłopot! - Gospodyni weszła z nim do środka i poprowadziła go korytarzem. -

Prawdę mówiąc, ojciec był bardzo podniecony, że amerykański wioślarz z Cambridge odwiedza go po tylu, tylu latach. Od dwóch dni mówi tylko o tym. Jest bardzo ciekaw, dlaczego postanowił pan do nas przyjechać - dodała konspiracyjnym szeptem.

Wprowadziła gościa do saloniku. Bob od razu dostrzegł starca, siedzącego w giętym, obitym skórą fotelu, otulonego ciepłym szlafrokiem, podpartego kilkoma poduszkami, z kraciastym kocem okrywającym mu kolana. Nie potrafił uwierzyć, że ten kruchy człowiek wioskował kiedyś na olimpiadzie.

- Czy to on? - zapytał głośno starzec.

- Tak, ojciec - zapewniła pani Elliot równie głośno. - To pan Kefford. Przyjechał z Cambridge specjalnie, żeby się z tobą zobaczyć.

Bob podszedł i potrząsnął wyciągniętą, kościstą dłonią.

- To miło, że fatygował się pan taki kawał drogi - powiedział starzec, podciągając koc nieco wyżej.

- Bardzo dziękuję, że zechciał pan mnie przyjąć - odparł Bob, siadając naprzeciw niego w wygodnym fotelu, który wskazała mu pani Elliot.

- Może wypijesz filiżankę herbaty, Kefford? - zaproponował biskup.

- Nie, dziękuję. Niczego mi nie trzeba.

- Jak sobie życzysz. Powinienem cię ostrzec, Kefford, że nie potrafię już skupić uwagi tak długo jak niegdyś. Lepiej więc od razu mów, po co przyjechałeś.

Bob spróbował uporządkować myśli.

- Interesuję się pewnym wioślarzem z Cambridge. Był w reprezentacji mniej więcej w pańskich czasach.

- Jak się nazywał? Nie pamiętam przecież ich wszystkich.

Bob spojrzał na starca. Obawiał się, że marnuje czas.

- Mortimer - powiedział. - Dougie Mortimer.

- D.J.T. Mortimer - powtórzył starzec bez chwili wahania - to ktoś, kogo nie da się łatwo zapomnieć. Jeden z najlepszych wioślarzy w całej historii Cambridge... o czym Oxford miał okazję przekonać się na własnej skórze. - Deering umilkł. - Pan nie jest dziennikarzem? - spytał po chwili.

- Nie, proszę pana. To tylko taki mój kaprys. Przed powrotem do Stanów chciałym czegoś się o nim dowiedzieć.

- Z pewnością pomogę ci, jeśli tylko będę w stanie - obiecał starzec piskliwym głosem.

- Dziękuję panu. Właściwie to chciałym zacząć od końca, jeśli wolno. Chciałym zapytać, czy nie zna pan przypadkiem okoliczności jego śmierci?

Na kilka długich chwil zapadła cisza. Stary duchowny zamknął oczy; Bob był niemal pewien, że zapadł w sen.

- W moich czasach nie mówiło się o tym głośno - powiedział w końcu. - Zwłaszcza że było to wówczas nielegalne, rozumie pan?

- Nielegalne? - powtórzył zdumiony Bob.

- Samobójstwo. Głupie prawo, jeśli bliżej się nad tym zastanowić, nawet jeśli mowa o grzechu śmiertelnym. Nie można przecież wsadzić do więzienia kogoś, kto nie żyje, prawda? Choć, oczywiście, fakt ten nigdy nie został potwierdzony, wie pan.

- Czy mogło mieć to coś wspólnego z klęską Cambridge w 1909 roku, kiedy nasza osada miała tak wielką przewagę?

Deering zastanawiał się przez chwilę.

- Myślę, że to możliwe - orzekł wreszcie. - Muszę przyznać, że sam się nad tym zastanawiałem.

Brałem udział w tych regatach, o czym może wiesz. - Znów przerwał. Oddychał ciężko. - Cambridge miało znaczną przewagę, a my nawet się specjalnie nie staraliśmy. Nigdy do końca nie wyjaśniono, co się zdarzyło. Krążyło mnóstwo plotek, oczywiście, ale nie było żadnych dowodów. Żadnych.

- Żadnych dowodów na co?

Cisza. Bob poczuł niepokój. Może starzec uważa, że posunął się za daleko?

- Moja kolej, by zadać ci kilka pytań, Kefford - odezwał się w końcu Deering.

- Ależ oczywiście, proszę pana.

- Córka powiedziała mi, że był pan sternikiem osad, które zwyciężyły w regatach trzy razy z rzędu.

- To prawda, proszę pana.

- Gratulacje, chłopcze. Powiedz mi jedno: gdybyś chciał przegrać jeden z tych wyścigów, czy mógłbyś to zrobić tak, by załoga nie miała pojęcia, co się właściwie stało?

Teraz z kolei Bob zamilkł i zaczął myśleć. Po raz pierwszy od chwili, gdy wszedł do tego pokoju, zdał sobie sprawę, że ukryty w kruchym ciele mózg wcale nie musi być kruchy.

- Tak. Chyba tak - przyznał wreszcie. - Zawsze można bez ostrzeżenia zmienić rytm albo udać, że uderzyło się w coś na łuku Surrey. W wodzie pływa tyle śmiecia... można się uprzeć, że zderzenie było nieuniknione. - Chłopak spojrzał starcowi wprost w oczy. - Ale nigdy nie przyszło mi do głowy, że ktoś mógłby zrobić coś takiego specjalnie.

- Mnie też. Gdyby ich wioślarz nie przyjął święceń.

- Nie bardzo rozumiem, proszę pana.

- Oczywiście, oczywiście, chłopcze. Ostatnio coraz częściej się przekonuję, że moja myśl wymyka się porządkowi przyczyny i skutku. Spróbuję to wyjaśnić. Jednym z wioślarzy Cambridge w 1909 roku był chłopak nazwiskiem Partridge, Bertie Partridge. Został proboszczem parafii Chersfield w Rutland. Pewnie tylko tam go chcieli - zachichotał starzec. - Kiedy zostałem biskupem Truro, napisał do mnie z prośbą, bym przyjechał odwiedzić jego trzódkę. W tamtych czasach podróz z Kornwalii do Rutland była dość męcząca, tak że łatwo mogłem się wyłgać z tego zaproszenia, ale i mnie, podobnie jak ciebie, intrygowała tajemnica regat z 1909 roku. Pomyślałem, że może to być jedyna okazja jej rozwiązania.

Bob milczał. Miał wrażenie, że gdyby przerwał starcowi, zapomniałby on, o czym mówi.

- Partridge był kawalerem, a kawalerowie są bardzo samotni, więc kiedy dać im najmniejszą okazję, z lubością plotkują. Przenocowałem na jego plebanii, więc okazji było aż nadto. Przy kolacji i butelce podłego wina opowiedział mi, że Mortimer narobił długów w całym Cambridge. Podobnie jak większość studentów, jednak w tym wypadku skończyło się na tym, że nie był w stanie ich spłacić. Moim zdaniem, miał nadzieję, że sława, popularność powstrzymają wierzycieli przed wszczęciem zdecydowanych kroków. Podobnie zachował się Disraeli, kiedy był premierem. -

Starzec znów zachichotał. - Tyle że Mortimerowi zdarzyło się trafić na sklepikarza, którego wioślarstwo w ogóle nie obchodziło, a los biednego studenta jeszcze mniej. Na tydzień przed regatami sklepikarz zagroził, że go zlicytuje. Kilka dni po regatach Mortimer dyskretnie spłacił wszystkie długi i cała sprawa ucichła.

Starzec znów zamilkł, jakby się głęboko zamyślił. Bob nadal się nie odzywał; nie chciał przerwać wątku.

- Pamiętam jeszcze tylko - ocknął się nagle Deering - że na tym wszystkim najlepiej wyszli bukmacherzy. - Wiem o tym z własnego doświadczenia. Mój opiekun naukowy stracił pięć funtów i potem bez przerwy przypominał mi, że to z mojej winy, gdyż przekonałem go, iż mamy mniej więcej takie szanse jak śnieżka w piekle. Wiesz, używałem tego faktu jako wytłumaczenia, że nie skończyłem studiów z pierwszą lokatą na roku. - Starzec serdecznie uśmiechnął się do gościa.

Bob siedział na brzeжку fotela. Wyznanie Deeringa niemal go sparaliżowało.

- Jestem panu wdzięczny za szczerość - powiedział. -

I może pan być pewien mojej dyskrecji.

- Dziękuję ci, Kefford. - Staruszek mówił teraz niemal szeptem. - Jestem bardzo szczęśliwy, że mogłem ci w czymś pomóc. Czy chcesz ode mnie jeszcze czegoś?

- Nie, dziękuję. Chyba dowiedziałem się wszystkiego, co chciałem wiedzieć.

Bob wstał z fotela. Kiedy odwracał się, by podziękować pani Elliot, dostrzegł wiszący na ścianie brązowy odlew prawego ramienia. Poniżej, złotymi literami, wypisane było: H.R.R. DEERING

1909-10-11 (KEBLE, DZIÓB)

- Z pewnością był pan świetnym wiosłarzem, proszę pana - zauważył.

- Nie takim znów świetnym - odparł starzec. - Ale miałem szczęście. Trzy lata z rzędu siedziałem w zwycięskiej łodzi. Gościowi z Cambridge, na przykład panu, z pewnością nie sprawia to przyjemności. Bob roześmiał się szczerze.

- Czy mogę jeszcze o coś zapytać?

- Oczywiście, Kefford.

- Czy Dougie Mortimerowi zrobiono odlew ramienia?

- Z całą pewnością tak. Ten odlew zginął tajemniczo w 1912 roku. Parę lat później bez uprzedzenia wylano z pracy strażnika - to też stało się wówczas tematem plotek.

- Czy wiadomo, co było tego powodem?

- Partridge twierdzi, że pewnej nocy upił się i rozpowiadał, jak to wrzucił ramię Dougie Mortimera do Cam. - Starzec przerwał, uśmiechnął się i dodał: - Najlepsze dla niego miejsce, co, Kefford?

Bob chwilę się zastanawiał, próbując także przewidzieć, jak zareagowałby na to jego ojciec.

- Tak, proszę pana - stwierdził po prostu. - To dla niego najlepsze miejsce.

Jedna na tysiąc *

Maj, 1

Hamid Zebari pomyślał o żonie, Shereen, odwożącej go właśnie na lotnisko, i uśmiechnął się na tę myśl. Pięć lat temu, kiedy oboje przybyli do Stanów jako uchodźcy polityczni, nie potrafili sobie wyobrazić, by coś takiego kiedykolwiek mogło ich spotkać, lecz wkrótce po rozpoczęciu nowego życia w Ameryce Hamid doszedł do wniosku, że tu wszystko jest możliwe.

- Kiedy wrócisz do domu, tatusiu? - spytał Nadim, siedzący bezpiecznie z zapiętym pasem, na tylnym siedzeniu samochodu, obok siostry. May była za mała, by zrozumieć, dlaczego tata musi wyjechać.

- Za dwa króciutkie tygodnie, nie dłużej. Obiecuję - przyrzekł ojciec. - A kiedy wrócę, wszyscy zrobimy sobie wakacje.

- Ile to jest „dwa króciutkie tygodnie”?

- Czternaście dni - wyjaśnił mu Hamid i roześmiał się.

- I czternaście nocy - dodała Shereen, parkując przy krawężniku pod emblematem Tureckich Linii Lotniczych. Dotknęła guzika na desce rozdzielczej - klapa bagażnika uniosła się w górę. Hamid rażno wyskoczył z samochodu, wyjął bagaż, odstawił go na chodnik i otworzył tylne drzwi. Najpierw przytulił córkę, później syna. May płakała - nie dlatego, że żegnała tatusia, ale dlatego, że zawsze zaczynała płakać, kiedy samochód nagle się zatrzymywał. Tata pozwolił pogłaskać się po gęstych włosach. Było to najlepsze lekarstwo na płacz.

- Czternaście dni - powtórzył Nadim.

Hamid objął żonę. Poczul nacisk lekko zaokrąglonego brzuszka. Spodziewali się trzeciego dziecka.

- Będziemy na ciebie czekać - powiedziała Shereen. Jej mąż płacił właśnie stojącemu przy samochodzie bagażowemu.

Po skończeniu kontroli sześciu pustych walizek wszedł do terminalu i skierował się wprost do stanowiska Tureckich Linii Lotniczych. Nie musiał pytać, gdzie się ono znajduje - latał tą trasą dwa razy do roku.

Po potwierdzeniu rezerwacji, mając już kartę pokładową, Hamid musiał jeszcze przeszło godzinę czekać na lot. Powoli ruszył w stronę wejścia B27. Zawsze to samo - turecki samolot podstawiano w pół drogi do Manhattanu. Po drodze minął wejście B5, przy którym zgromadzili się pasażerowie lecący PanAmem. Wystartują godzinę wcześniej, płacąc za ten przywilej sześćdziesiąt trzy dolary.

Kiedy wreszcie dotarł na miejsce, stewardesa, Turczynka, przypinała właśnie nad biurkiem tabliczkę z oznaczeniem lotu 014, Nowy Jork-Londyn-Istambuł. Przewidywany czas odlotu: 10.10.

Halę zaczęli wypełniać zwykli, przeciętni pasażerowie lotów międzykontynentalnych:

Turcy jadący do kraju odwiedzić rodziny, Amerykanie na wakacjach, dla których sześćdziesiąt trzy dolary nie były sumą błahą, i biznesmeni, których wydatki służbowe kontrolowali bardzo skrupulatni księgowi.

Hamid poszedł do baru. Zamówił kawę, dwa jajka sadzone oraz zapiekankę mięsno-ziemniaczną. Takie drobiazgi jak bar i powszechnie dostępne jedzenie ciągle jeszcze przypominały mu, że nie zawsze żył wolny i że bardzo wiele zawdzięcza Ameryce.

- Pasażerowie do Stambułu lecący z małymi dziećmi proszeni są o wejście na pokład samolotu - oznajmiła przez głośnik stewardesa.

Hamid przełknął resztę zapiekanki - ciągle jeszcze nie mógł przywyknąć do amerykańskiego zwyczaju oblewania wszystkiego keczupem - i dopił słabą, zupełnie pozbawioną smaku kawę. Nie mógł się doczekać kawy tureckiej: mocnej, czarnej, podawanej w małych filiżankach z cieniutkiej porcelany. Brak kawy był jednak bardzo niewielką ceną za życie w wolnym kraju. Zapłacił rachunek, zostawiając dolara napiwku.

- Pasażerowie mający miejsca w rzędach od 35 do 41 proszeni są na pokład samolotu.

Hamid chwycił teczkę i ruszył w stronę wejścia do rękawa. Urzędnik w mundurze Tureckich Linii Lotniczych sprawdził kartę pokładową i uprzejmie skierował go dalej.

Miał miejsce przy przejściu, w końcu klasy turystycznej. Jeszcze dziesięć takich wypraw - powiedział sobie Hamid - i zacznę latać PanAmem, pierwszą klasą. Będzie mnie na to stać.

Zawsze gdy koła samolotu odrywały się od pasa, Hamid wyglądał przez okienko, patrząc na znikającą w dole przybraną ojczyznę, i zawsze myślał wówczas o tym samym.

Minęło już pięć lat od chwili, gdy Saddam Hussein zdymisjonował go z rządowego stanowiska ministra rolnictwa, stanowiska, które sprawował zaledwie dwa lata. Tej jesieni zbiory pszenicy były bardzo złe, a kiedy Armia Ludowa zabrała tyle, ile zawsze, kiedy swoje zabrali lokalni urzędnicy, mieszkańcom Iraku wydano zmniejszone przydziały. Trzeba było znaleźć winnego, a kto lepiej nadawał się na kozła ofiarnego niż minister rolnictwa? Ojciec Hamida, kupiec dywanów, zawsze pragnął, by syn dołączył do rodzinnego interesu, a nawet ostrzegał go, by nie przyjmował stanowiska ministerialnego. Ostatni trzech ministrowie najpierw tracili posadę, a potem znikali - w Iraku wszyscy wiedzieli, co to znaczy „zniknąć” - lecz Hamid mimo wszystko objął tę funkcję. Pierwszego roku zbiory były udane, poza tym - jak przekonywał sam siebie - rolnictwo to tylko pierwszy krok do naprawdę wielkiej kariery. I przecież wobec całej Rady Rewolucyjnej Saddam powiedział o nim:

„Mój dobry, bliski przyjaciel”.

Trzydziestodwuletni człowiek jest oczywiście przekonany o swojej nieśmiertelności.

Okazało się, że rację miał ojciec. Jedyne prawdziwe przyjaciele Hamida - przyjaciele znikają równie szybko jak topnieje śnieg w słońcu, gdy członek gabinetu dymisjonuje ten szczególny prezydent - pomógł mu uciec za granicę.

Będąc ministrem Hamid zabezpieczył się w jeden tylko sposób. Co tydzień wybierał z konta sumę nieco większą, niż wydawał. Cinkciarze sprzedawali mu dolary - zawsze inny i suma zawsze była zbyt mała, by wzbudzić podejrzenia. W Iraku każdy jest szpiegiem.

W dniu, w którym otrzymał dymisję, sprawdził, jaką sumę ma ukrytą pod materacem. Okazało się, że oszczędził 11221 dolarów.

W najbliższy czwartek - weekendy w Bagdadzie zaczynają się w czwartki - wraz ze swą ciężarną żoną pojechał autobusem do Erbil. Samochód - mercedesa - zostawił na widoku przed swym okazałym domem na przedmieściach. Nie mieli bagażu, tylko dwa paszporty, zwitek dolarów ukryty w fałdach obszernego ubrania Shereen i trochę irańskich dinarów na dojazd do granicy.

Nikt przecież nie będzie ich szukał w autobusie do Erbil.

Z Erbil pojechali taksówką do Sulaimanii; wydali na to niemal wszystkie pozostałe dinary. Noc spędzili w małym hotelu, z dala od centrum miasta. Oboje czekali, nie śpiąc, aż przez pozbawione firanek okno do pokoju wpadną pierwsze promienie słońca.

Nazajutrz kolejny autobus zawiózł ich wysoko w góry Kurdystanu. Po południu byli już w Zakho.

Najdłużej trwał ostatni etap podróży. Przemierzali góry na grzbietach mułów; kosztowało ich to dwieście dolarów - młody kurdyjski przemytnik nie wykazał najmniejszego zainteresowania irańskimi dinarami. Wczesnym rankiem były minister i jego ciężarna żona bezpiecznie przekroczyli granicę. Pozostawieni przez Kurda samym sobie, musieli na piechotę dojść do najbliższej tureckiej wioski. Do Kirmizi Renga dotarli wieczorem. Kolejną bezsenłą noc spędzili na stacji kolejowej, czekając na pierwszy pociąg do Stambułu.

Długą podróż do stolicy Turcji przespali. Następnego ranka obudzili się jako uchodźcy. Hamid najpierw odwiedził Iz Bank, w którym zdeponował pozostałe 10800 dolarów, a dopiero potem ambasadę amerykańską, gdzie okazał swój dyplomatyczny paszport i poprosił o azyl polityczny.

Ojciec powiedział mu kiedyś, że niedawno zdymisjonowani ministrowie irackiego rządu są u Amerykanów w cenie.

Ambasada wynajęła Hamidowi i jego żonie pokój w najlepszym hotelu w mieście i natychmiast poinformowała o swym sukcesie Waszyngton. Obiecali Hamidowi, że skontaktują się z nim „najszybciej jak to będzie możliwe”, nie powiedzieli mu jednak, nawet w przybliżeniu, kiedy.

Zdecydował więc, że w wolnym czasie odwiedzi handlarzy dywanów na bazarze w południowej części miasta, gdzie tak często bywał jego ojciec.

Wielu doskonale pamiętało uczciwego, starego kupca, który tak dobrze umiał się targować i pił kawę litrami, a przy kawie opowiadał, że jego syn zajął się polityką. Przywitali go bardzo serdecznie, zwłaszcza kiedy dowiedzieli się, co ma zamiar robić, gdy znajdzie się już w Ameryce.

Hamid i Shereen Zebariowie otrzymali amerykańskie wize po tygodniu. Do Waszyngtonu polecili na koszt rządu. Rząd zapłacił również za nadbagaż: dwadzieścia trzy tureckie dywany.

Po pięciu dniach intensywnej przesłuchań prowadzonych przez CIA, Hamidowi podziękowano za współpracę i za użyteczne informacje, których dostarczył. Zaczął nowe życie w Stanach. Wraz z żoną i dwudziestoma trzema dywanami pojechał pociągiem do Nowego Jorku.

Po sześciu tygodniach poszukiwań znalazł odpowiedni sklep na Manhattanie, na Lower East Side.

Gdy tylko podpisał umowę najmu, Shereen zaczęła malować szyld z ich zamerykanizowanym nazwiskiem; szyld wkrótce zawisł nad wejściem.

Przez trzy miesiące Hamid nie sprzedał ani jednego dywanu. Jego oszczędności stopniały niemal do zera. W końcu pierwszego roku udało mu się jednak pozbyć szesnastu z dwudziestu trzech dywanów. Zdał sobie sprawę, że wkrótce będzie musiał wrócić do Stambułu po nową partię towaru.

Od tamtej pory minęły cztery lata. Zebariowie przeprowadzili się niedawno do obszerniejszego lokalu na West Side; nad sklepem znajdowało się też niewielkie mieszkanie. Hamid uważał się już za pełnoprawnego obywatela amerykańskiego, i to nie tylko dzięki cennemu granatowemu paszportowi, który potwierdzał jego status. Pogodził się z myślą, że nie wróci do Iraku, póki będzie tam rządził Saddam. Dom i majątek już dawno zarekwirowało państwo, skazano go także zaocznie na karę śmierci. Wątpił, czy kiedyś jeszcze zobaczy Bagdad.

Po krótkim postoju w Londynie samolot ponownie uniósł się w powietrze i kilka minut przed czasem wylądował na lotnisku Atatiirk. Hamid zarezerwował pokój w tym samym co zwykle, małym hotelu, dokładnie też zaplanował, jak spędzi czas. Cieszył się, że znów zanurzy się w rojnym, gwarnym życiu stolicy Turcji.

Zamierzał odwiedzić trzydziestu jeden kupców i miał nadzieję, że tym razem powróci do Nowego Jorku z sześćdziesięcioma dywanami. Oznaczało to dwa tygodnie picia mocnej tureckiej kawy i wiele godzin targów; cena wywoławcza będzie przecież zawsze co najmniej trzykrotnie wyższa od tej, którą gotów był zapłacić... i od tej, której spodziewał się handlarz. Targów z pewnością nie da się skrócić; zresztą - podobnie jak ojcu - Hamidowi sprawiały one starannie ukrywaną przyjemność.

Po upływie czternastu dni miał pięćdziesiąt siedem dywanów, za które zapłacił zaledwie nieco ponad 21000 dolarów. Z wielką ostrożnością wybierał wyłącznie te, których poszukiwała nowojorska śmietanka towarzyska; był najzupełniej pewien, że sprzeda je za ponad 100 000

dolarów. Podróż zakończyła się takim sukcesem, że postanowił pozwolić sobie na odrobinę luksusu i wrócić do domu PanAmem. W końcu, zarobił tu owe potrzebne sześćdziesiąt trzy dolary.

Nim samolot wystartował, Hamid już myślał wyłącznie o tym, że wreszcie zobaczy Shereen i dzieciaki, a amerykańska stewardesa ze swoim wyraźnym nowojorskim akcentem i szerokim, przyjacielskim uśmiechem tylko pomogła mu poczuć się tak, jakby już był w domu. Po posiłku, ponieważ nie interesował go film, zamknął oczy marząc o tym, czego jeszcze dokona w Ameryce. Ma przecież czas. Może jego syn zajmie się polityką? Czy Amerykanie będą gotowi w 2025 roku na prezydenta irackiego pochodzenia? Uśmiechnął się na tę myśl i zapadł w głęboki sen.

- Panie i panowie - rozległ się z głośników basowy głos z wyraźnym południowym akcentem - mówi kapitan. Przykro mi, że muszę przerwać projekcję filmu i obudzić tych z państwa, którzy pragnęli odpocząć, ale mamy drobny kłopot z jednym z silników na prawym skrzydle. Nie ma powodu do obaw, ale przepisy Federalnego Biura Lotniczego wymagają, byśmy wylądowali na najbliższym lotnisku i usunęli tę usterkę, nim polecimy dalej. Nie powinno nam to zająć więcej niż godzinę, potem znów wystartujemy i możecie być pewni, że

zrobimy wszystko, by nadrobić stracony czas.

Hamid oprzytomniał nagle, jakby w ogóle nie spał.

- Nie opuścimy pokładu samolotu, ponieważ tego lądowania nie ma w programie naszej wycieczki, jednak po powrocie do domu będziecie mogli opowiadać przyjaciołom i rodzinie, że byliście w Bagdadzie!

Hamid poczuł, że słabnie, a głowa opada mu na pierś. Stewardesa natychmiast pospieszyła w jego kierunku.

- Dobrze się pan czuje? - spytała troskliwie. Podniósł głowę i spojrzał jej w oczy.

- Muszę zobaczyć się z kapitanem. Natychmiast!

Dziewczyna nie miała wątpliwości, że pasażer jest straszliwie zdenerwowany. Natychmiast poprowadziła go ku spiralnym schodom do baru na pokładzie pierwszej klasy, a stamtąd do kabiny pilotów. Zastukała w drzwi, a kiedy się otworzyły, oznajmiła:

- Kapitanie, jeden z pasażerów musi koniecznie z panem porozmawiać.

- To go wprowadź - polecił basowy głos z południowym akcentem. Kapitan odwrócił się ku niespodziewanemu gościowi, który cały dygotał. - Czym mogę panu służyć? - spytał uprzejmie.

- Panie kapitanie, nazywam się Hamid Zebari. Jestem obywatelem amerykańskim. Jeśli wyląduje pan w Bagdadzie, zostanę aresztowany, poddany torturom i zabity. - Hamid mówił coraz szybciej. -

Jestem uchodźcą politycznym. Niech pan zrozumie, oni z pewnością mnie zabiją!

Jeden rzut oka wystarczył kapitanowi, by stwierdzić, że pasażer mówi prawdę.

- Przejmij stery, Jim - rozkazał drugiemu pilotowi - a ja porozmawiam z panem Zebari.

Zawiadom mnie natychmiast, gdy dostaniemy pozwolenie na lądowanie.

Przeszli do pustego zakątka baru.

- Niech pan się uspokoi i wszystko mi opowie - poprosił kapitan.

Tylko kilka minut zajęła Hamidowi opowieść o tym, dlaczego musiał uciekać z Iraku i jak to się stało, że znalazł się w Ameryce. Po wysłuchaniu tej opowieści kapitan potrząsnął głową i uśmiechnął się szeroko.

- Nie ma się pan czego obawiać - zapewnił. - Przez cały czas postoję żaden z pasażerów nie opuści pokładu samolotu, nikt więc nie będzie nam nawet sprawdzał paszportów. Kiedy tylko naprawią silnik, wystartujemy i odlecimy w siną dal. Niech pan zostanie w pierwszej klasie i zwróci się do mnie natychmiast, gdy tylko coś pana zaniepokoi.

Ciekawe, czy można zdenerwować się jeszcze bardziej - pomyślał Hamid, kiedy kapitan wrócił do kabiny, wezwany przez drugiego pilota... i poczuł, że znów ma dreszcze.

- Szanowni państwo, tu znowu kapitan. Proszę się nie obawiać, nie dzieje się nic złego.

Dostaliśmy pozwolenie, zaczynamy więc podchodzić do lądowania; w Bagdadzie powinniśmy znaleźć się za dwadzieścia minut. Zatrzymamy się na końcu pasa i poczekamy na mechaników. Gdy tylko się uporają z naszym drobnym problemem, natychmiast ruszymy w dalszą drogę.

W kabinie dało się słyszeć zbiorowe westchnienie ulgi. Hamid chwycił poręczę fotela żalując, że nie pościł od wczorajszego dnia. Przez następne dwadzieścia minut trząsał się nieopanowanie, a kiedy koła dotknęły jego ojczystej ziemi, nieomal zemdłał. Wyglądał przez okno, gdy samolot kołował po pasie mijając tak dobrze mu znany terminal. Doskonale widział uzbrojonych strażników na dachu i w wyjściach prowadzących na pas. Modlił się do Allaha, modlił się do Jezusa, modlił się nawet do prezydenta Reagana!

W ciągu następnego kwadransu panowała całkowita cisza, raz tylko przerwana przez warkot półciężarówki, która podjechała pasem i ustawiła się przy prawym skrzydle samolotu.

Hamid obserwował, jak dwaj mechanicy z przewieszonymi przez ramię wypchanymi torbami wchodzą na platformę małego dźwigu, który unosi ich na wysokość skrzydła. Szybko odkręcili śruby pokrywy jednego z silników, a po czterdziestu minutach zakręcili je z powrotem i zjechali na ziemię.

Samochód ruszył w stronę terminalu.

Hamid poczuł ulgę, ale nie odprężył się jeszcze całkowicie. Pełen nadziei zapiął pas. Puls ze 180

spadł mu mniej więcej na 110, ale wiedział, że serce zacznie pracować normalnie dopiero wtedy, gdy samolot wzniesie się w powietrze i odleci wystarczająco daleko, by bez względu na okoliczności nie mógł już wrócić do Iraku. Nagle otworzyły się drzwi kabiny; wyszedł z niej kapitan z bardzo ponurą miną.

- Lepiej niech pan pójdzie ze mną do kabiny pilotów - polecił szeptem.

Hamid odpiął pas i jakimś cudem zdołał wstać. Chwiejnym krokiem poszedł za kapitanem; nogi miał jak z waty. Ktoś szybko zamknął za nimi drzwi.

Kapitan nie tracił czasu na próżne słowa.

- Nie potrafiam zlokalizować uszkodzenia - wyjaśnił. - Szef obsługi naziemnej zjawi się tu dopiero za godzinę. Rozkazano nam opuścić pokład samolotu i poczekać w sali imigracyjnej aż do końca naprawy.

- Wolałbym raczej zginąć w katastrofie - wykrztusił Hamid.

- Proszę się nie obawiać, panie Zebari, wiemy, jak rozwiązać pana problem. Przebierzemy pana w zapasowy mundur. Będzie pan mógł spędzić ten czas z nami, w pomieszczeniach dla załogi. Nikt nawet nie spyta pana o paszport.

- Ale jeśli ktoś mnie rozpozna...

- Jeśli zgoli pan wąsy, to w mundurze pilota, ciemnych okularach i czapce z daszkiem nie rozpozna pana nawet własna matka!

Za pomocą nożyczek, dużej ilości kremu do golenia i kilku żyletek Hamid pozbył się wąsów, z których był tak dumny; ciało nad górną wargą miał jasne jak waniliowe lody. Przełożona stewardes wykorzystwała sztuczki makijażu, by upodobnić je do reszty jego twarzy. Hamid w dalszym ciągu nie był przekonany, czy wszystko pójdzie dobrze, lecz kiedy włożył na siebie mundur drugiego pilota i przejrzał się w lustrze w toalecie, musiał przyznać, że rozpoznanie go musiałyby zakrawać na cud.

Pasażerowie jako pierwsi opuścili samolot - lotniskowy autobus przewiózł ich do terminalu. Po załogę przyjechał niewielki mikrobus; piloci i stewardesy wyszli z samolotu

razem, cały czas osłaniając Hamida. On denerwował się coraz bardziej, w miarę jak zbliżali się do terminalu.

Strażnik nie zwrócił najmniejszej uwagi na wchodzącą do budynku załogę. Pozostawił ich samych sobie, szukających miejsca na drewnianych ławkach w pomalowanej na biało sali, której jedyną dekoracją był wielki portret Saddama Husseina w mundurze, z kałasznikowem w ręku. Hamid nie mógł zdobyć się na spojrzenie na podobiznę swego „dobrego i bliskiego przyjaciela”.

W hali siedziała jeszcze jedna załoga, czekająca na transport do samolotu, lecz Hamid był zbyt przerażony, by nawiązać z kimkolwiek rozmowę.

- To Francuzi - powiedziała przełożona stewardes. - Zamierzam sprawdzić, czy nie wyrzuciłam przypadkiem w błoto pieniędzy, które zapłaciłam za lekcje francuskiego. - Zajęła wolne miejsce obok kapitana i zadała mu jakieś proste pytanie.

Francuz wyjaśniał jej właśnie, że lecą do Singapuru przez New Delhi, kiedy Hamid go dostrzegł - Saada al-Takritiego, niegdyś członka osobistej ochrony Saddama, a teraz, sądząc z dystynkcji na mundurze, szefa lotniskowej ochrony. Przez głowę błyskawicznie przeleciała mu modlitwa o to, by Saad nie spojrzał przypadkiem w jego stronę.

Al-Takriti przeszedł wolno przez salę, przyglądając się amerykańskiej i francuskiej załogom, przede wszystkim jednak obciążonym czarnymi pończochami nogom stewardes.

Kapitan położył mu rękę na ramieniu. Hamid omal nie wyskoczył ze skóry.

- W porządku, wszystko w porządku - uspokoił go pilot. - Pomyślałem po prostu, że powinien pan się o tym dowiedzieć. Główny mechanik jest w drodze na lotnisko, więc pewnie nie posiedzimy tu już długo.

Hamid spojrzał na samolot Air France i na stojącą nieco dalej maszynę PanAmu. Z mikrobusu wysiadł mężczyzna ubrany w niebieski kombinezon. Dźwig uniósł go na wysokość silnika. Wstał, by przyjrzeć mu się bliżej i w tej właśnie chwili w sali znów pojawił się al-Takriti. Obaj mężczyźni przez chwilę mierzyli się wzrokiem. Żołnierz zamarł w pół kroku i nim Hamid zdołał usiąść obok kapitana, znikł za drzwiami z napisem „Nie wchodzić”.

- Chyba mnie zauważył - powiedział Hamid. Makijaż zaczął spływać mu z twarzy na wargi.

Kapitan zwrócił się do stewardesy, przerywając jej rozmowę z francuskim pilotem. Dziewczyna wysłuchała jego instrukcji i zaczęła zadawać po francusku nieco trudniejsze pytania.

Saad al-Takriti znów pojawił się w sali. Bez wahania ruszył w stronę Amerykanina. Hamid był pewien, że zaraz zemdleje.

Nie patrząc nawet na niego al-Takriti warknął:

- Panie kapitanie, żądam, by natychmiast przedstawił mi pan książkę lotów, spis załogi i jej paszporty.

- Paszporty załogi zebrał drugi pilot. Dopilnuję, by pan je dostał.

- Bardzo dziękuję. Kiedy już je pan będzie miał, przyniesie je pan do mojego biura do kontroli.

Pańska załoga ma czekać w terminalu. Pod żadnym pozorem nie wolno nikomu opuścić

budynku bez mego pozwolenia.

Kapitan wstał, powoli podszedł do drugiego pilota i poprosił o paszporty. Następnie wydał mu polecenie, które najwyraźniej bardzo go zaskoczyło. Kiedy dokumenty znalazły się w posiadaniu al-

Takritiego, francuskiej załodze właśnie podstawiono mikrobus.

Al-Takriti rozłożył czternaście paszportów na biurku. Sprawdzał każdy z nich dokładnie; najwyraźniej sprawiało mu to wielką przyjemność. Kiedy skończył, stwierdził z udanym zdumieniem:

- Nie wierzę własnym oczom, kapitanie. Naliczyłem piętnaście osób w mundurach PanAmu.

- Musiał się pan pomylić. Jest nas tylko czternaścioro.

- Powinienem więc chyba sprawdzić wszystko dokładniej. Proszę zwrócić paszporty ich posiadaczom. Oczywiście, jeśli któryś z was nie będzie miał paszportu, odpowie za to.

- Z pewnością orientuje się pan, że jest to sprzeczne z przepisami międzynarodowymi.

Znajdujemy się w hali tranzytowej, a więc, zgodnie z rezolucją Organizacji Narodów Zjednoczonych nr 238 nawet nie na terenie Iraku.

- Niech pan da sobie spokój, kapitanie. My tu, w Iraku, nie przejmujemy się rezolucjami ONZ. I, jak pan słusznie zauważył, jeśli o nas chodzi, nie jesteście nawet prawnie na terenie naszego kraju.

Kapitan zdał sobie sprawę, że tylko strzepi język i że wyczerpał wszystkie argumenty. Zebrał paszporty tak wolno, jak to tylko było możliwe, i pozwolił się wyprowadzić z pokoju. Kiedj tylko obaj znaleźli się w sali, załoga PanAmu, do tej pory spokojnie siedząca na ławkach, wstała jak jeden mąż. Piloci i stewardesy chodzili tam i z powrotem ciągle zmieniając kierunek, a w dodatku wszyscy wrzeszczeli jak mogli najgłośniej.

- Niech pan im każe usiąść! - syknął Irakijczyk patrząc bezradnie na maszerujących nieregularnymi zygzakami ludzi.

- Pan coś mówił? - kapitan przyłożył dłoń do ucha.

- Niech pan im każe usiąść!

Kapitan niechętnie wydał odpowiedni rozkaz. W kilka chwil wszyscy usiedli, ale nadal bardzo głośno rozmawiali.

- Mają się zamknąć!

Kapitan obszedł salę, każąc ucichnąć każdemu z osobna. Al-Takriti patrzył na siedzących Amerykanów, kapitan tymczasem nieznacznie zerknął przez okno. Francuski samolot powoli kołował na odległy pas. Irakijczyk zaczął liczyć i ku jego wielkiemu rozczarowaniu okazało się, że Amerykanów jest zaledwie czternaścioro. Mocno rozgniewany policzył ich raz jeszcze.

- Cała czternastka jest na miejscu - zauważył kapitan, który właśnie skończył rozdawać załodze paszporty.

- Gdzie jest ten mężczyzna, który siedział obok pana? - Irakijczyk dźgnął palcem mundur kapitana.

- Chodzi panu o drugiego pilota?

- Nie, o tego, który wyglądał jak Arab.
- W mojej załodze nie ma Arabów. Al-Takriti podszedł do przełożonej stewardes.
- Siedział obok pani - powiedział. - Miał makijaż, który spływał mu na górną wargę.
- Koło mnie siedział kapitan francuskiej załogi - odparła dziewczyna i natychmiast zrozumiała, jaki popełniła błąd.

Al-Takriti wyjrzał na dwór. Samolot Air France stał na końcu pasa, gotowy do startu i - dokładnie w chwili, w której żołnierz naciskał guzik krótkofalówki i rzucał kilka słów w swym ojczystym języku - jego silniki ryknęły pełną mocą. Nie trzeba było znać arabskiego, by rozumieć, jaki padł rozkaz.

Amerykanie wpatrywali się we francuskiego boeinga, jakby mieli zamiar unieść go w powietrze siłą woli. Maszyna ruszyła, najpierw powoli, potem coraz szybciej. Al-Takriti krzyczał w krótkofalówkę coraz głośniej i głośniej.

Irakijczyk zaklął, wybiegł z terminalu i wskoczył do dzipa. Wskazał oddalający się samolot, rozkazał kierowcy puścić się za nim w pościg. Samochód ruszył, lawirując między stojącymi na płycie pojazdami i jednocześnie przyspieszając.

Nim wjechał na pas, pędził już ponad sto pięćdziesiąt kilometrów na godzinę. Przez jakieś sto metrów jechał równoległe z samolotem. Al-Takriti stał i trzymając się szyby wygrażał pilotom pięścią.

Francuski kapitan odpowiedział mu eleganckim salutem. Koła boeinga oderwały się od betonu; na ten widok Amerykanie zaczęli wiwatować.

Kapitan spojrział na roześmianą przełożoną stewardes.

- To tylko potwierdza moją teorię, że Francuzi nie zawahają się przed niczym, by podkraść pasażera konkurencji.

W sześć godzin później Hamid Zebari był już w New Delhi. Natychmiast zadzwonił do żony i opowiedział jej, co się stało. Następnego dnia startujący wcześniej rano samolot PanAmu bezpiecznie dowiózł go do Nowego Jorku. Hamid leciał pierwszą klasą, a kiedy wyszedł z terminalu, żona wyskoczyła z samochodu i rzuciła mu się na szyję.

Nadim opuścił okno i powiedział:

- Pomyliłeś się, tato. Dwa krótkie tygodnie to piętnaście dni!

Ojciec uśmiechnął się do niego i w tym momencie mała May wybuchła histerycznym płaczem, i to wcale nie dlatego, że samochód nagle się zatrzymał.

Przeraziło ją to, że mama obejmuje jakiegoś zupełnie obcego mężczyznę.

Pod kanałem La Manche *

Ilekoć jestem w Nowym Jorku, zawsze jem obiad w towarzystwie mego starego przyjaciela, Duncana McPhersona. Różnimy się pod każdym względem, więc - jako przeciwieństwa - oczywiście się przyciągamy. Tak naprawdę wspólne jest nam tylko jedno: obaj jesteśmy pisarzami, lecz i jako pisarze w niczym nie jesteśmy do siebie podobni. Duncan specjalizuje się w scenariuszach, pisanych w przerwach między nieczęstymi artykułami w „Newsweeku” i „New Yorkerze”, ja natomiast wolę opowiadania i powieści.

Jedną z wielu różnic między nami jest to, że ja od dwudziestu ośmiu lat jestem wierny mej żonie, Duncan zaś przy każdym spotkaniu przedstawia mi nową dziewczynę - całkiem niezłe, biorąc pod uwagę, że latam do Stanów przeciętnie kilka razy w roku. Jego dziewczyny są zawsze piękne, pełne wdzięku i inteligentne, a ich uczucia do mego przyjaciela są manifestowane z różną intensywnością, w zależności od tego, w jakiej fazie znajduje się związek. W przeszłości byłem już świadkiem początku (namiętność) i środka (lekkie ochłodzenie stosunków), tym razem jednak po raz pierwszy miałem trafić na koniec.

Zadzwoiłem do Duncana z hotelu na Piątej Alei, by zawiadomić go, że jestem w mieście z powodu promocji nowej powieści. Zaprosił mnie na obiad na następny dzień. Założyłem, że jak zawsze zjemy u niego. Różnimy się także tym, że Duncan jest doskonałym kucharzem.

- Nie mogę się doczekać naszego spotkania - powiedział. - Mam wreszcie pomysł na powieść.

Ciekawe, jak ci się spodoba fabuła.

- Świetnie - odparłem. - Wysłucham jej z przyjemnością. Czy mogę spytać...

- Christabel - odparł.

- Christabel? - powtórzyłem próbując sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek ją spotkałem.

- Nie musisz nic o niej wiedzieć - uspokoił mnie Duncan. - Właśnie dostaje kopa, jak to mówicie wy, Anglicy. Mam nową dziewczynę, Karen. Sensacja. Natychmiast się w niej zakochasz.

Pomyślałem, że nie jest to właściwy moment, by zwrócić mu uwagę, że kochałem wszystkie jego dziewczyny. Zapytałem po prostu, z którą z nich spotkam się jutro.

- To zależy od tego, czy Christabel zdąży się spakować. Jeśli tak, będzie Karen. Jeszcze się nie przespaliśmy; planowałem to właśnie na jutrzejszą noc. Ale przyjechałeś, więc będę miał pewne opóźnienie.

Roześmiałem się.

- Mogę poczekać - zapewniłem go. - Przecież pozostanę w mieście przynajmniej tydzień.

- Nie, nie. Chcę ci opowiedzieć o tym najnowszym pomysle na powieść. To znacznie ważniejsze.

Wpadnij do mnie jutro wieczorem. Powiedzmy wpół do ósmej.

Przed wyjściem z hotelu zapakowałem egzemplarz mojej najnowszej powieści. Na wierzchu napisałem: „Mam nadzieję, że Ci się spodoba”.

Duncan mieszka w jednym z tych eleganckich domów przy rogu Siedemdziesiątej Drugiej i Park Avenue; chociaż byłem u niego wielokrotnie, nigdy nie mogłem tam trafić za pierwszym razem.

Odźwierny, jak dziewczyny mego przyjaciela, także przy każdej wizycie jest inny.

Kiedy podałem nazwisko temu nowemu, chrząknął tylko i skierował mnie do windy, znajdującej się po przeciwnej stronie korytarza. Wsiadłem, zasunąłem za sobą kratę i nacisnąłem przycisk czternastego piętra. Mieszkanie Duncana było na samej górze; należało do tych, których nie nazwie penthousem nawet obdarzony największą wyobraźnią agent handlu nieruchomościami.

Kiedy wreszcie dojechałem na miejsce i ruszyłem korytarzem, zacząłem ćwiczyć odpowiedni uśmiech: pożegnalny (dla Christabel) i powitalny (dla Karen). Podszedłem do drzwi mieszkania Duncana, gdy usłyszałem podniesione głosy - i tu daje o sobie znać typowa dla mnie brytyjska rezerwa i elegancja; bądźmy więc szczerzy i przyznajmy, że słyszałem, jak Duncan i dziewczyna po prostu na siebie wrzeszczą. Wszystko wskazywało na to, że mam raczej do czynienia z końcem Christabel niż z początkiem Karen.

Spóźniłem się już kilka minut, nie mogłem więc zawrócić. Nacisnąłem dzwonek i - ku mej bezbrzeżnej uldze - podniesione głosy natychmiast umilkły. Drzwi otworzył mi Duncan; choć widziałem, że jest czerwony z wściekłości, zdołał jednak zdobyć się na przyjacielski uśmiech. Aha, właśnie przypomniałem sobie, że nie powiedziałem wam, co jeszcze nas różni: ten piekielnik ma chłopięce, gęste i kręcone, ciemne włosy, mocne rysy swych irlandzkich przodków, a zbudowany jest jak zawodowy tenisista.

- Wchodź - powiedział. - A to Christabel, na wypadek gdybyś miał jeszcze jakieś wątpliwości.

Nie jestem z natury człowiekiem, który zadawała się resztkami po innych, ale muszę wyznać, że dla Christabel z radością uczyniłbym wyjątek. Miała owalną twarz, ciemnoniebieskie oczy i wręcz anielski uśmiech. Los obdarzył ją delikatnymi, jasnymi włosami, z którymi rodzą się wyłącznie potomkowie ras północy, i figurą, na której majątek robią firmy specjalizujące się w reklamie środków odchudzających. Miała na sobie kaszmirowy sweter i białe dżinsy, pozostawiające niewiele pola dla wyobraźni.

Ucisnęła mi dłoń i przeprosiła, że wygląda nieco nieporządnie.

- Pakowałam się od samego rana - wyjaśniła. Dowodem tego, jak wielki musiała włożyć w to wysiłek, były stojące tuż przy drzwiach wyraźnie widoczne dla każdego, kto wszedł do mieszkania, trzy wielkie walizki i dwa kartonowe pudła pełne książek. Na wierzchu jednego z pudeł leżał egzemplarz kryminału Dorothy L. Sayers z podartą, czerwoną okładką.

Od razu zdałem sobie sprawę, że nie mogłem wybrać gorszego wieczora na spotkanie ze starym przyjacielem.

- Obawiam się, że będziemy musieli zjeść dziś na mieście - oznajmił Duncan. - To był bardzo... -

zawahał się - ...męczący dzień - dokończył. - Nie miałem okazji, żeby zrobić zakupy. Może to i dobrze? Będzie więcej czasu, żeby opowiedzieć ci o mojej powieści.

- Gratuluję - przerwała Christabel. Odwróciłem się ku niej.

- Gratuluję panu ostatniej książki. Jest na pierwszym miejscu listy bestsellerów „Timesa”, prawda?

- Oczywiście. Gratulacje - powiedział Duncan. - Nie miałem jeszcze czasu jej przeczytać, więc proszę, nic mi o niej nie mów. Nie sprzedawali jej w Bośni - dodał z uśmiechem.

Wręczyłem mu mój mały prezent.

- Dziękuję - wziął książkę i odłożył na stół. - Z przyjemnością ją przeczytam.

- A ja już przeczytałam - stwierdziła Christabel. Duncan przygryzł wargę.

- Idziemy. - Odwrócił się i już miał zamiar pożegnać dziewczynę, kiedy zwróciła się do mnie z pytaniem:

- Czy nie miałby pan nic przeciwko temu, żebym poszła z wami? Jestem strasznie głodna, a Duncan powiedział prawdę - w domu nie ma nic do jedzenia.

Widziałem, że mój przyjaciel ma zamiar zaprotestować, ale nim znalazł właściwe słowa, Christabel minęła go i ruszyła w kierunku windy.

- Możemy się udać do restauracji piechotą - zaproponował Duncan, kiedy znaleźliśmy się na parterze. - Tylko Kalifornijczycy wsiadają do samochodu, by przejechać jedną przecznicę.

Kiedy szliśmy Zachodnią Siedemdziesiątą Drugą, oznajmił, że wybrał dla mnie nową elegancką francuską restaurację. Zaprotestowałem - nie tylko dlatego, że nie przepadam za wymyślną francuską kuchnię, lecz także dlatego, że wiem o niestabilizowanej sytuacji finansowej Duncana. Czasami dysponuje większymi sumami, a czasami nie ma grosza przy duszy. Miałem tylko nadzieję, że zapłacili mu zaliczkę za powieść.

- Nie, nie, tak jak ty, w normalnych okolicznościach wcale bym się tam nie wybrał - odpowiedział na moje protesty. - Ale dopiero ją otwarli, a „New York Times” dał jej wspianą rekomendację. W każdym razie, ilekroć jestem w Londynie, przyjmujesz mnie jak członka rodziny królewskiej - dodał, bez powodzenia naśladowując brytyjski akcent.

Był to jeden z tych chłodnych wieczorów, podczas których tak miło jest spacerować po Nowym Jorku. Z przyjemnością szedłem Siedemdziesiątą Drugą Ulicą, a Duncan opowiadał mi o swej podróży do Bośni.

- Miałeś szczęście, że złapałeś mnie w domu - mówił. - Właśnie wróciłem, a siedziałem w tej cholernej dziurze trzy miesiące.

- Tak, wiem, w samolocie przeczytałem twój artykuł w „Newsweeku” - stwierdziłem i wyraziłem gratulacje z powodu odkrycia, że grupa żołnierzy Narodów Zjednoczonych zorganizowała siatkę przemytniczą i opanowała tam czarny rynek, co zresztą jednostki te robią w każdym kraju, w którym stacjonują.

- Och tak, spowodowałem niezłe zamieszanie w ONZ - pochwalił się Duncan. - „New York Times” i „Washington Post” zrobiły z tego główny temat kilku numerów, tylko zapomniały przyznać, że to ja wpadłem na trop całej afery.

Obróciłem się, by sprawdzić, czy Christabel nadal nam towarzyszy. Szła kilka kroków z tyłu, najwyraźniej pogrążona w myślach. Posłałem jej uśmiech, mający dać jej do zrozumienia, że „Duncan to dureń, a ty jesteś wspianą”, ale nie pofatygowała się nań odpowiedzieć.

Jeszcze kilka metrów i dostrzegłem czerwono-złotą markizę powiewającą nad czymś, co nazywało się Le Manoir.

Straciłem wszelką nadzieję. Zawsze lubiłem jedzenie proste i od dawna już uważałem, że pretensjonalna francuska kuchnia to jedno z największych oszustw lat osiemdziesiątych, które w latach dziewięćdziesiątych powinno stać się *passé* lub nawet przejść do historii sztuki kulinarnej.

Duncan poprowadził nas wyłożoną nieregularnego kształtu kamiennymi ścieżką do dębowych drzwi, przez które weszliśmy do rześkiego oświetlonej restauracji. Wystarczyło jedno spojrzenie na wielką, przeładowaną dekoracjami salę, by potwierdziły się moje najgorsze przypuszczenia.

Maitre d'hôtel przywitał nas słowami: „Dobry wieczór, *monsieur*”.

- Dobry wieczór - odparł Duncan. - Mam stolik zarezerwowany na nazwisko McPherson.

Maitre d'hôtel sprawdził długą listę rezerwacji.

- Och, oczywiście. Stolik na dwie osoby - powiedział. Christabel wydeła wargi, ale nadal wyglądała ślicznie.

- Czy zmieszczą się przy nim trzy? - spytał mój przyjaciel, choć bez specjalnego zapału.

- Oczywiście. Proszę państwa za mną.

Poprzez zatłoczoną salę dostaliśmy się do stolika we wnęce, który był nakryty na dwie osoby.

Jeden rzut oka na obrus, na wielkie talerze w kwiaty ozdobione w każdym wolnym miejscu (na czerwono!) słowami „Le Manoir”, na kompozycję z lili stojącą pośrodku stolika wystarczył mi, bym poczuł się jeszcze bardziej winny z powodu tego, w co wpakowałem Duncana. Kelner, w białej koszuli z rozpiętym kołnierzykiem, czarnych spodniach i czarnej kamizelce, z wyhaftowanym na czerwono na kieszonce napisem „Le Manoir”, błyskawicznie przyniósł Christabel krzesło, drugi zręcznie dostawił brakujące nakrycie, a trzeci pojawił się przy Duncanie pytając, czy nie mielibyśmy ochoty na aperitif. Christabel uśmiechnęła się słodko i poprosiła o kieliszek szampana. Ja zamówiłem wodę Evian, Duncan głową dał znak, że wypije to samo, co ja.

Kilka następnych minut, czekając na pojawienie się karty dań dla każdego z nas, dyskutowaliśmy na temat podróży Duncana do Bośni i różnicy między zeskrobywaniem pod ostrzałem zamrożonego jedzenia z menażki a kolacją w ciepłej restauracji, wśród porcelany, kryształów i orkiestry, grającej Schuberta.

Kolejny kelner wręczył nam różowe karty - każdą wielkości niedużego plakatu. Kiedy przebiegałem wzrokiem spis dań, Christabel szepnęła coś do kelnera, on zaś skinął głową i oddalił się bezszelestnie.

Przyjrzałem się menu dokładniej i ku swemu głębokiemu rozczarowaniu odkryłem, że znajduję się w jednej z tych restauracji, w których karty z wyszczególnionymi cenami są wręczane wyłącznie gospodarzowi. Próbowałem domyślić się, które z dań jest najtańsze, kiedy przed Christabel pojawił się kolejny kieliszek szampana.

Zdecydowałem, że czysta zupa będzie najprawdopodobniej najtańszą przystawką, a w dodatku wspomże te nędzne wysiłki, jakie czyniłem, by stracić na wadze. Danie główne stanowiło już większy problem, zwłaszcza przy mej ograniczonej znajomości francuskiego; zdecydowałem się w końcu na kaczkę, nie potrafiłem bowiem znaleźć ani śladu *poulet*.

Kiedy w chwilę później kelner wrócił do naszego stolika, jego łupem natychmiast padł pusty kieliszek Christabel.

- Szampana, *madame*?

- Poproszę - odpowiedziała z wdziękiem.

Maitre d'hôtel pojawił się, by przyjąć nasze zamówienie. Nim je złożyliśmy, musieliśmy jednak przejść przez tortury czekające każdego, kto w dzisiejszych czasach odwiedza francuską restaurację.

- Na wieczór polecamy państwu - powiedział *maitre* z akcentem, który nie zachwyciłby żadnego Francuza - *hors d'oeuvres: gelee de saumon samage et caviar imperial en aigre doux*, czyli płaty łososia i cesarski kawior w delikatnej galarecie z kwaśną śmietaną i dynią w occie koprowym oraz *cuissez de grenouilles a la puree d'herbes a soupe, fricassee de chanterelles et racines de persil*,

czyli smażone na patelni żabie udka z *puree* z pietruszki, kurki i korzenie pietruszki. Jako danie główne polecamy *escalope de turbot*, czyli filet z turbota z jajkiem w *puree* z rzeżuchy z cytryną w sosie *Gewiirztraminner*. No i oczywiście wszystko w karcie jest warte polecenia.

Poczułem się najedzony, nim skończył ten smakowity opis.

Christabel studiowała menu z należnym szacunkiem. Wskazała jedno z dań; *maitre d'hdte* z aprobatą skinął głową.

Duncan pochylił się i spytał, czy już coś sobie wybrałem.

- *Consomme* i kaczka wystarczą mi najzupełniej - powiedziałem bez wahania.

Maitre d'hôtel podziękował i spytał, czy chciałbym kaczkę bardziej lub mniej spieczoną.

- Bardziej spieczoną - poinformowałem go.

- *A monsieur*. - spytał Duncana.

- Sałatka cesarska i słabo wysmażony stek.

Maitre d'hôtel zabrał karty dań i już odchodził, kiedy przyjaciel zwrócił się do mnie:

- A teraz pozwól, że opowiem ci o tym pomysle na powieść.

- Czy zechcą panowie zamówić wino? - spytał kolejny kelner, dźwigający potężną księgę oprawną w skórę, z wytłoczonymi na niej złotymi winogronami.

- Może ja to zrobię - zaproponowała Christabel. - Nie przeszkadzajcie sobie.

Duncan tylko skinął głową. Kelner podał kartę dziewczynie. Rozchyliła skórzane okładki z takim zapalem, jakby właśnie zabierała się do lektury najnowszego bestselleru.

- Być może cię to zaskoczy, ale akcja mojej książki będzie się toczyć w Wielkiej Brytanii.

Pozwól, że wyjaśnię, dlaczego data wydania ma absolutnie decydujące znaczenie. Jak wiesz, brytyjsko-francuskie konsorcjum buduje obecnie tunel między Folkestone i Sangatte. Królowa Elżbieta ma go otworzyć 6 maja 1994 roku. Moja powieść ma się nazywać właśnie tak: *Tunel pod kanałem La Manche*.

Aż zdrętwiałem z przerażenia. Przed Christabel stał kolejny kieliszek szampana.

- Akcja rozpocznie się w czterech różnych miejscach, będą też cztery całkiem niezależne grupy bohaterów. Bohaterowie ci, choć pochodzą z różnych krajów, są w różnym wieku i

reprezentują różne grupy społeczne, mają jedną cechę wspólną: zarezerwowali sobie miejsca na pierwszy pociąg jadący z Londynu do Paryża przez tunel.

Nagle poczułem wyrzuty sumienia. Pomyślałem, że może powinienem coś powiedzieć, ale właśnie pojawił się kelner z butelką białego wina. Christabel uważnie przyjrzała się etykietce.

Skinęła głową; kelner wyciągnął korek i nalał jej odrobinę do pustego kieliszka. Ta odrobinka wystarczyła, by dziewczyna uśmiechnęła się promiennie. Kelner napełnił jej i nasze kieliszki.

Duncan mówił dalej:

- Wśród bohaterów jest amerykańska rodzina - matka, ojciec i dwójka nastoletnich dzieci - która po raz pierwszy przyjechała do Anglii, jest młode angielskie małżeństwo, które pobrało się tego dnia rano i właśnie udaje się w podróż poślubną, jest grecki milioner i jego francuska żona - zarezerwowali sobie miejsce przed rokiem, a teraz przygotowują się do rozwodu - oraz trójka studentów.

Przerwał. Na stole przed nim znalazła się sałatka cesarska; inny kelner przyniósł mi miseczkę *consomme*. Zerknąłem na danie, które zamówiła Christabel: talerz cienko pokrojonego łososia z porcją kawioru pośrodku. Radośnie wyciskała na to wszystko sok z obciążonej muślinem cytryny.

- Więc tak - ciągnął Donald - w pierwszym rozdziale jest ważne, by czytelnicy nie zorientowali się, że studenci są ze sobą związani, bo później będzie to bardzo istotne. W drugim rozdziale cztery grupy bohaterów przygotowują się do wyprawy, a czytelnicy dowiadują się, jakie motywy skłoniły ich do tej podróży. No i opisuję w nim nieco dokładniej moich bohaterów.

- W jakim czasie zamyka się akcja? - spytałem niespokojnie pomiędzy dwoma łyżkami *consomme*.

- Prawdopodobnie w ciągu trzech dni: jeden przed podróżą, jeden w czasie i jeden po podróży.

Ale jeszcze się nie zdecydowałem. Być może okaże się, że wszystko dzieje się tego samego dnia.

Christabel wyjęła butelkę wina z wiaderka z lodem i napełniła sobie kieliszek, zanim zdołał do niej podbiec usłużny kelner.

- W rozdziale... powiedzmy... trzecim, widzimy cztery grupy pasażerów przyjeżdżające na dworzec Waterloo, by wsiąść do *le shuttle*. Greckiego milionera i jego francuską żonę odprowadza do przedziału pierwszej klasy konduktor Murzyn, pozostali zajmują miejsca w drugiej klasie. Kiedy wszyscy już zajmą miejsca, na peronie odbędzie się uroczystość związana z otwarciem linii. Gra orkiestra, strzelają fajerwerki, członek rodziny królewskiej przecina wstęgę, tego rodzaju rzeczy.

Powinno to zająć co najmniej kolejny rozdział.

Próbowałem wyobrazić sobie opowiadaną przez niego scenę popijając przy tym zupę - restauracja mogła sobie być pretensjonalna, ale kuchnię mieli tu rzeczywiście doskonałą - a tymczasem kelner dolał wina najpierw mnie, a potem mojemu przyjacielowi. Nie jestem wielbicielem białego wina, ale muszę przyznać, że to smakowało wręcz wyjątkowo.

Duncan przerwał opowieść i zabrał się do jedzenia. Spojrzałem na Christabel, której nakładano właśnie na talerz drugą porcję kawioru, chyba nawet większą od poprzedniej.

- Rozdział piąty - mówił dalej Duncan - zaczyna się w chwili, w której pociąg rusza z dworca.

Teraz czas na prawdziwą akcję. Amerykanie cieszą się każdą chwilą, młodzi małżonkowie kochają się w toalecie, milioner klóci się z *żoną* zarzucając jej ekstrawaganckie wydatki. Troje studentów po raz pierwszy spotyka się w barze. W tym momencie czytelnik powinien już zacząć podejrzewać, że nie są prawdziwymi studentami i że mogli się znać przed spotkaniem w pociągu. - Duncan z uśmiechem zabrał się do sałatki, a ja zmarszczyłem czoło.

Christabel puściła do mnie oko, by pokazać, że dokładnie wie, o co chodzi. Czułem się winny biorąc udział w tym przedsięwzięciu; chciałem powiedzieć Duncanowi, że wiem, do czego zmierza dziewczyna.

- Bardzo dobra fabuła - stwierdziłem, kiedy kelner po raz trzeci napełniał nam kieliszki. Butelka została opróżniona, zerknął więc na *madame*, która skinęła głową ze słodkim uśmiechem. - Jak tam z faktami?

- Część już poznałem. To przecież jedna z najważniejszych spraw! Jestem całkiem nieźle w nie wprowadzony. Napisałem do sir Alastaira Mortona, przewodniczącego rady nadzorczej Euro tunelu... na papierze z nagłówkiem „Newsweeka”. Z jego biura dostałem górę materiałów. Wiem, jak długi jest pociąg, ile ma wagonów, dlaczego jedzie szybciej po stronie francuskiej niż po brytyjskiej, dlaczego tory po obu stronach kanału mają inną szerokość, znam średnicę kół...

Zaskoczył mnie dźwięk wyciąganego korka. Kelner zaczynał nam nalewać wina z drugiej butelki.

Czy mam powiedzieć mu teraz?

- W szóstym rozdziale ujawniają się pewne sekrety. - Donald wyraźnie się rozgrzewał. Zabrano puste nakrycia, kilka okruszków chleba sprzątnięto z obrusu srebrną szczoteczką. - Cała sztuka polega na tym, by utrzymać zainteresowanie czytelnika wszystkimi czterema grupami bohaterów, i to przez cały czas.

Skinąłem głową.

- Jesteśmy już w tym punkcie akcji, w którym czytelnik domyśla się, że studenci nie są w rzeczywistości studentami, lecz terrorystami, którzy chcą zaatakować pociąg.

Przed nami pojawiły się trzy tace przykryte trzema srebrnymi przykrywkami. *Maitre d'hôtel*

skinął głową; na jego znak kelnerzy jak jeden mąż podnieśli przykrywki. Doprawdy, byłbym człowiekiem małodusznym, gdybym nie przyznał, że jedzenie wyglądało znakomicie. Zerknąłem, by zobaczyć, co zamówiła Christabel: trufle z *foie gras*. Jej talerz przypominał mi obraz Miro; ona jednak natychmiast entuzjastycznie zamazała płótno.

- Jak uważasz, jaki motyw powinien kierować terrorystami? - spytał Duncan.

Z pewnością był to najlepszy moment, by powiedzieć mu prawdę, a jednak znów się wystraszyłem. Spróbowałem sobie przypomnieć, do którego momentu fabuły dotarliśmy.

- To by zależało od tego, czy chcesz, by uciekli - odpowiedziałem. - Co może okazać się

niełatwe; są przecież pośrodku tunelu, a przy obu jego końcach czeka policja.

Kelner od wina przedstawił Christabel claret, które wybrała. Dziewczynie wystarczyło tylko powąchać korek, by uznać, że jest odpowiednie.

- Uważam, że w grę nie powinny wchodzić motywy finansowe. To będzie IRA, fundamentaliści islamscy, baskijscy separatyści - jakaś grupa, która przed publikacją pojawi się w nagłówkach gazet.

Spróbowałem wina. Było jak aksamit. Coś takiego miałem w ustach zaledwie raz, w domu przyjaciela - nowobogackiego, który sprawił sobie wspaniałą piwniczkę. Smak ten na zawsze pozostał w mej pamięci.

- Mam kłopoty z rozdziałem siódmym. - Duncan naprawdę się zapalił. - Jeden z terrorystów musi w jakiś sposób wejść w kontakt z nowożeńcami, a przynajmniej z panem młodym. - Przerwał na chwilę. - Zapomniałem ci powiedzieć, że na początku, kiedy przedstawię bohaterów, okaże się, że jeden terrorysta jest samotny, pozostała zaś dwójka, mężczyzna i kobieta, żyją ze sobą od dłuższego czasu. - Zabrał się za stek. - Dlatego ten samotny i pan młody muszą się spotkać. Masz jakiś pomysł?

- To nie powinno być takie trudne. Jest do dyspozycji jeden z kilku wagonów restauracyjnych i barów, a także korytarz lub łazienka w normalnym wagonie, jest też ten konduktor Murzyn i reszta obsługi...

- Zgoda, ale do spotkania musi dojść w sposób najzupełniej naturalny - stwierdził Duncan takim tonem, jakby był całkowicie zaabsorbowany tą sprawą.

Z ciężkim sercem przyglądałem się, jak znika pusty talerz Christabel. Przecież my zaledwie napoczęliśmy drugie danie!

- Rozdział kończy się niespodziewanym zatrzymaniem pociągu pośrodku tunelu - stwierdził wpatrzony w przestrzeń Duncan.

- Jak to? Dlaczego pociąg stanął?

- No właśnie! Falszywy alarm. Całkiem niewinna sprawa. Najmłodsze dziecko Amerykanów, chłopiec imieniem Ben, pociągnął za hamulec bezpieczeństwa wstając z toalety. Toaleta jest tak skomplikowana, że się pomylił!

Zastanawiałem się nad prawdopodobieństwem czegoś takiego, kiedy przed Christabel pojawiła się pierś przepiórki na pieczonych ziemniakach z dodatkiem wędzonego boczku... i natychmiast zaczęła znikać.

Duncan podniósł do ust kieliszek. Już zdecydowałem się wszystko mu wyznać, ale nim zdążyłem, wrócił do tematu.

- No dobrze. Mamy rozdział ósmy. Pociąg zatrzymuje się w głębi tunelu, ale nie całkiem w połowie drogi.

- Czy ma to jakieś znaczenie? - spytałem słabo.

- Ależ oczywiście. Francuzi i Brytyjczycy wyznaczyli dokładny punkt, w którym kończy się jurysdykcja jednego kraju, a zaczyna drugiego. Zobaczysz, że ten fakt nabierze później ogromnego znaczenia.

Kelner okrążył nasz stół, po raz kolejny napełniając kieliszki claretem. Mój przykryłem dłonią - nie dlatego, bym nie uważał wina za prawdziwy nektar, lecz po prostu po to, by nie

dać Christabel szansy zamówienia kolejnej butelki. Ona sama nie wykazała jednak podobnej wstrzeźliwości - piła wino wielkimi łykami, dziobiąc spoczywającą na talerzu przepiórkę.

- No więc, pociąg zostaje zatrzymany w zasadzie przypadkiem. Problem rozwiązuje się błyskawicznie. Dzieciak płacze, rodzina przeprasza, służba bezpieczeństwa podaje wyjaśnienie przez głośniki, pasażerowie, którzy się zdenerwowali, przestają się denerwować. W kilka minut później pociąg rusza dalej i tym razem przekracza połowę drogi.

Kelnerzy usunęli puste talerze. Christabel przyłożyła serwetkę do warg i obdarzyła mnie szerokim uśmiechem.

- I co potem? - spytałem, unikając jej wzroku.

- Kiedy pociąg stanął, terroryści się przerazili. Myśleli, że może jest tu jakiś inny zespół mający podobne cele. Kiedy tylko dowiedzieli się, o co chodzi, wykorzystali zamieszanie spowodowane przez małego Bena i dotarli do kabiny znajdującej się tuż za maszynownią.

- Czy zechce pani spróbować któregoś z naszych słynnych deserów? - spytał *maitre cThôtel*.

Prerażony patrzyłem, jak Christabel bierze sobie po wielkiej porcji wszystkiego, co znajdowało się na podstawionym nam wózku.

- Świetne, prawda? - Widząc wyraz mej twarzy Duncan pomyślał chyba, że strasznie niepokoi mnie los pasażerów pociągu.

- *Monsieur?*

- Nie zjem już nic więcej. Poproszę tylko o kawę - powiedziałem.

- Nie, nic - zawtórował mi Duncan, starając się nie tracić wątku opowiadanej przez siebie historii. - Więc na początku rozdziału dziewiątego terroryści wdzierają się do maszynowni. Pod groźbą broni zmuszają maszynistę i jego zastępcę do zatrzymania pociągu. Nie zdają sobie jednak sprawy, że znajdują się już na terytorium Francji. Ten samotny informuje pasażerów przez głośniki, że tym razem to nie żaden fałszywy alarm, że pociąg opanowała grupa terrorystów - jaka, to się zdecyduje później - i że za piętnaście minut zostanie on wysadzony w powietrze. Każe im uciekać do tunelu i odejść tak daleko, jak to tylko możliwe. Oczywiście wybucha panika. Pasażerowie wyskakują do mrocznego, źle oświetlonego tunelu. Niektórzy szukają dzieci, żon, mężów, inni uciekają w stronę Francji lub Anglii w zależności od narodowości.

Na chwilę przestałem uważać. *Maitre d'hotel* pchał w stronę naszego stolika jeszcze jeden wózek. Zatrzymał się, skłonił Christabel, a potem zapalił niewielki palnik. Do małego naczynka z miedzianym dnem nalał brandy i zabrał się do przygotowywania *crepe suzette*.

- W tym momencie, będzie to chyba rozdział dziesiąty, ojciec rodziny, Amerykanin, decyduje się zostać w pociągu. - Duncan był już bardzo podekscytowany. - Nakazuje bliskim, żeby się wynosili.

W pociągu jest tylko on, grecki milioner, jego żona i pan młody. Wszyscy będą mieli osobiste powody, by tak postąpić; powody, które wyjaśnię wcześniej.

Maitre d'hotel podpalił *crepe*. Niebieski płomyk ogarnął patelnię, wystrzelił w powietrze.

Maitre jednym gestem zgarnął swe arcydzieło na podgrzany talerz i postawił go przed Christabel.

Ze strachem stwierdziłem, że teraz nie mogę już wyjawić Duncanowi prawdy.

- Dobrze, w maszynowni mamy więc trzech terrorystów. Zabili drugiego maszynistę; w pociągu jest czwórka pasażerów i czarny konduktor - może okaże się człowiekiem SAS, jeszcze się nie zdecydowałem.

- Kawa, *madamel* - spytał Christabel *maitre d'hôtel*, gdy tylko Duncan zrobił sobie przerwę na złapanie oddechu.

- Irlandzka - odparła dziewczyna.

- Ja poproszę zwykłą - powiedziałem.

- A ja bezkofeinową - poprosił Duncan.

- Trunki? Cygara?

Na to zareagowała tylko Christabel.

- No więc na początku rozdziału jedenastego terroryści rozpoczynają negocjacje z brytyjską policją. Policja twierdzi jednak, że nie może z nimi rozmawiać, ponieważ pociąg opuścił już ich teren. Terroryści są kompletnie zdezorientowani. Żaden z nich nie zna francuskiego, a w dodatku mieli przecież wystąpić nie przeciw Francuzom, lecz Brytyjczykom! Jeden z nich szuka w pociągu kogoś władającego francuskim i trafia na zonę milionera.

Tymczasem policja po dwóch stronach kanału zatrzymuje pociągi idące w obu kierunkach. Więc nasz pociąg stoi w tunelu zupełnie sam - normalnie powinno ich być dwadzieścia kursujących między Paryżem i Londynem. - Duncan przerwał i napił się kawy.

- Doprawdy? - spytałem, choć doskonale znałem odpowiedź.

- Oczywiście. Jak widzisz, dokładnie odrobiłem lekcję.

W stojącym przed Christabel kieliszku pojawiło się ciemnoczerwone porto. Spojrzałem na butelkę: Taylor '55. Czegoś takiego nigdy w życiu nie miałem przyjemności kosztować. Dziewczyna gestem nakazała pozostawić butelkę na stole. Kelner tylko skinął głową, a ona natychmiast napełniła mój kieliszek, nie pytając nawet, czy mam na to ochotę. *Maitre d'hôtel* tymczasem obcinał dla Duncana koniuszek cygara, choć nikt go o to nie prosił.

- W rozdziale dwunastym poznajemy motywy terrorystów - ciągnął Duncan. - Chodzi im o to, żeby przez wysadzenie pociągu nagłośnić sprawę, by informacje o ich walce trafiły na pierwsze strony gazet. Pozostali w pociągu pasażerowie pod przewodnictwem Amerykanina planują kontratak.

Maitre d'hotel zapalił zapałkę. Duncan machinalnie włożył do ust cygaro i to uciszyło go na chwilę...

- Ten milioner może uważać, że jest urodzonym przywódcą i że wszyscy powinni jego słuchać - wtrąciłem.

...ale nie na długo.

- Przecież jest Grekiem! Jeśli mam zarobić jakieś pieniądze na tej książce, to tylko na amerykańskim rynku. I nie zapominaj o prawach filmowych.

Nie mogłem nic zarzucić jego logice. *Maitre d'hôtel* mijał nasz stolik.

- Poproszę rachunek - powiedział mój przyjaciel.

- Oczywiście, sir - odparł, nie zwalniając.

- Największy kłopot mam z zakończeniem. . . Christabel nagle zerwała się z krzesła. Nieco niepewnie stanęła na nogach, odwróciła się do mnie i powiedziała:

- Obawiam się, że powinnam już sobie pójść. Ogromnie miło było mi pana poznać, choć mam wrażenie, że nigdy już się nie zobaczymy. Chciałam jeszcze dodać, że bardzo podobała mi się pana najnowsza powieść. Taki oryginalny pomysł. Zasłużyła sobie na pierwsze miejsce na listach bestsellerów.

Wstałem i ucałowałem jej dłoń. Nigdy w życiu nie czułem się tak winny jak w tamtej chwili.

- Do widzenia, Duncanie - pożegnała byłego kochanka, który nie pofatygował się nawet, by wstać. - I nie martw się. Nie będzie mnie już w mieszkaniu, kiedy wrócisz.

Ruszyła w stronę drzwi lekkim zygzakiem, dotarła do nich w końcu, *maitre d'hôtel* otworzył je przed nią z niskim ukłonem i dziewczyna znikła na ulicy.

- Nie będę nawet udawał, że przykro mi się z nią rozstawać - stwierdził Duncan, zaciągając się cygarem. - Ma wspaniałe ciało i jest świetna w łóżku, tylko zupełnie brak jej wyobraźni.

Maitre d'hôtel zmaterializował się przy naszym stoliku. Tym razem położył przed Duncanem czarny, skórzany portfelik.

- Cóż, „Times” ocenił tę restaurację całkiem prawidłowo - stwierdziłem. Duncan tylko skinął głową.

Maitre d'hôtel ukłonił się nam, ale nie tak nisko jak przedtem.

- No więc, jak próbowałem ci wyjaśnić, nim Christabel zdecydowała się opuścić nasze towarzystwo, przeprowadziłem badania, mam zarys akcji, ale brakuje mi zakończenia, Nic nie przychodzi ci do głowy?

Jakaś kobieta w średnim wieku podniosła się od sąsiedniego stolika i zdecydowanym krokiem ruszyła w naszym kierunku.

Duncan otworzył portfelik i zamarł, z niedowierzaniem wpatrując się w rachunek.

- Chciałam tylko powiedzieć panu, że bardzo podobała mi się pańska książka - powiedziała głośno kobieta.

- Dziękuję - odparłem niezbyt grzecznie, mając nadzieję, że nie powie już nic więcej i nie postawi mnie w jeszcze bardziej niezręcznej sytuacji. Duncan nie odrywał wzroku od rachunku.

- A to zakończenie! - powiedziała kobieta z zachwytem w głosie. - Jaki pan sprytny! Do samego końca nie miałam pojęcia, jak wyprowadzi pan z tunelu tę amerykańską rodzinę...

Pucybut *

Ted Barker był jednym z tych posłów do parlamentu, którzy nigdy nie gonili za wysokimi stanowiskami. Na wojnie, jak to mówiło się w wojsku, „miał szczęście” - odznaczono go Military Cross i zakończył karierę w stopniu majora. Po demobilizacji w czerwcu 1945 roku z radością wrócił do żony, Hazel, i do domu w Suffolk.

Podczas wojny rozkwitał także rodzinny interes (maszyny), sprawnie zarządzany przez starszego brata, Kena. Zaraz po powrocie Tedowi zaoferowano dawne miejsce w zarządzie przedsiębiorstwa; przyjął je uszczęśliwiony. Mijały tygodnie i po pewnym czasie ten waleczny żołnierz najpierw poczuł się znudzony, a potem nawet rozczarowany. W fabryce nie było roboty, która choć odrobinę przypominałaby służbę frontową.

Mniej więcej w tym czasie Ethel Thompson, działaczka związku zawodowego i - co dla naszej opowieści znacznie ważniejsze - przewodnicząca wedmorskiego oddziału Konserwatystów Północnego Suffolk, złożyła mu propozycję. Poseł beneficjent z ich okręgu, sir Dingle Lightfoot, znany swym wyborcom jako „Dreptuś”, dał wyraźnie do zrozumienia, że skoro wojna już się skończyła, komitet musi poszukać sobie kogoś na jego miejsce.

- Nie chcemy, żeby jakiś mądrala z Londynu zaczął nas pouczać, jak mamy się rządzić u siebie - oświadczyła pani Thompson. - Potrzebujemy kogoś, kto zna ten okręg i rozumie potrzeby tutejszych mieszkańców.

Zdaniem pani Thompson Ted byłby odpowiednią osobą.

Ted oświadczył, że do tej pory ów pomysł nawet mu nie zaświtał w głowie, lecz obiecał, że rozważy propozycję, i poprosił o tydzień do namysłu. Omówił sprawę z żoną, która entuzjastycznie ją poparła, po czym w najbliższą niedzielę po południu złożył pani Thompson wizytę w jej domu. Z zadowoleniem przyjęła ona oświadczenie, że pan Barker jest szczęśliwy mogąc kandydować do parlamentu z okręgu Północny Suffolk.

Ostatecznie na liście oprócz dwóch mądrali z Londynu (jeden z nich został później ministrem w rządzie Macmillana) znalazło się nazwisko młodzieńca pochodzącego z tych stron. Informując miejscową prasę o decyzji komitetu przewodniczący stwierdził, że nie wydaje mu się właściwe ujawnianie szczegółowych wyników głosowania. W rzeczywistości Ted zdobył znacznie więcej głosów niż obaj jego przeciwnicy razem wzięci.

Pół roku później premier rozpiął wybory powszechne. Po trzytygodniowej, ożywionej kampanii Ted powrócił jako poseł do parlamentu z okręgu Północny Suffolk, wygrywając znaczną większością, bo aż siedmioma tysiącami głosów. Wkrótce zdobył szacunek i sympatię kolegów z obu izb, choć nigdy nie udawał, że jest kimś więcej niż - cytując jego własne słowa - „politykiem-amatorem”.

Z upływem lat rosła popularność Teda, który w kolejnych wyborach odnosił coraz większe sukcesy. Po czternastu latach służenia partii - zarówno w swym okręgu, jak i na arenie spraw państwowych - ówczesny premier, Harold Macmillan, zarekomendował go królowej jako kandydata do tytułu szlacheckiego.

Pod koniec lat sześćdziesiątych sir Ted (nikt nie mówił o nim sir Edward) stwierdził, że

najwyższy już czas, by poszukano kogoś młodszego na jego miejsce i powiadomił przewodniczącego oddziału, że nie zamierza kandydować w najbliższych wyborach. Wraz z Hazel zaczęli się powoli przygotowywać do spokojnego życia, jakie planowali wieść w ukochanej wschodniej Anglii.

Wkrótce po wyborach, ku swemu wielkiemu zaskoczeniu, Ted odebrał telefon z Downing Street 10. „Premier chciałby spotkać się z sir Tedem jutro rano o 11.30” - brzmiała wiadomość.

Ted nie miał pojęcia, dlaczego Edward Heath chce go widzieć. Choć oczywiście bywał pod Numerem 10 jako poseł, uczestniczył tam jednak tylko w koktajlach, powitaniach i okolicznościowych obiadach ku czci odwiedzających Anglię głów obcych państw. Przyznał się Hazel, że jest trochę zdenerwowany.

Następnego dnia zameldował się na miejscu o 11.17. Mający dyżur urzędnik poprowadził go długim korytarzem na parterze do małego saloniku przy gabinecie i poprosił, by spoczął. Ted był już nie tylko zdenerwowany, lecz wprost przerażony. Czuł się jak niesforny uczeń czekający na dyrektora szkoły.

Po kilku minutach pojawił się osobisty sekretarz premiera.

- Dzień dobry, sir Ted - powitał gościa. - Premier oczekuje pana.

Ted wszedł za nim do gabinetu. Premier Heath wstał na jego widok.

- Jak miło, że tak szybko znalazł pan dla mnie czas - powiedział.

Ted z trudem pohamował uśmiech - wiedział, że premier zdaje sobie sprawę, iż tylko ciężki przypadek szkorbutu lub huragan mogłyby go powstrzymać od stawienia się na takie wezwanie.

- Sprawa jest delikatnej natury. Mam nadzieję, że mi pan pomoże. - Premier słychał z tego, że nie lubił marnować czasu na pogawędki. - Muszę mianować nowego gubernatora St George's, a nikt nie ma większych kwalifikacji do objęcia tej placówki niż pan.

Ted przypomniał sobie dzień, w którym pani Thompson spytała go, czy ma ochotę kandydować w wyborach do parlamentu. Teraz jednak nie potrzebował tygodnia na zastanowienie - choć nie przyznał się przed premierem, że wprawdzie oblała mu się o uszy nazwa St George's, jednak nie potrafiłby wskazać tego miejsca na mapie. Kiedy ochłonął, powiedział tylko:

- Dziękuję, panie premierze. To dla mnie zaszczyt.

W ciągu następnych kilku tygodni sir Ted odwiedził kilkakrotnie Ministerstwo Spraw Zagranicznych i Kolonii, gdzie wytłumaczono mu dokładnie, na czym będzie polegać jego nowa praca. Następnie przestudiował książki, broszury, a także urzędowe dokumenty, których kopie przygotowali dla niego ministerialni mandaryni.

Po kilku tygodniach wgrzyzania się w temat przyszły gubernator wiedział już, że St George's to maleńki archipelag pośrodku północnego Atlantyku. Wysepki zostały skolonizowane przez Brytyjczyków w 1643 roku i od tej pory nieprzerwanie rządziła nimi Korona. Wypiarze odrzucali wszystkie przedstawione im oferty niepodległości. Stanowili jedną z suwerennych kolonii Jej Królewskiej Mości i pragnęli, by tak pozostało.

Jeszcze nim wyruszył na swoją placówkę, Ted przywykł do tytułowania go „Waszą Ekszelencją”.

Lecz gdy Alan Bennett z Saville Row przygotował mu dwa ceremonialne stroje, zaczął się obawiać, że będzie wyglądać - jak to się dziś mówi? Jak stary piernik? Zimą miał nosić granatowy, zamszowy mundur ze szkarłatnym kołnierzem i srebrnymi dębowymi liśćmi wyhaftowanymi na mankietach, latem zaś strój z białej surowej bawełny ze zdobionym złotem kołnierzem i złotymi naramiennikami.

Na widok tak przyodzianego męża Hazel dostawała napadów niepohamowanej wesołości.

Tedowi jednak wcale nie było do śmiechu, kiedy krawcy przysłali mu rachunek, zwłaszcza że dowiedział się, iż stroje galowe będzie wkładał najwyżej dwa razy w roku.

- Pomyśl tylko, że kiedy przejdziesz na emeryturę, zrobisz w tym furorę na każdym balu przebierańców - pocieszyła go Hazel.

Nowo mianowany gubernator i naczelny dowódca sił zbrojnych St George's odleciał wraz z małżonką na tę placówkę 12 stycznia 1972 roku. Na miejscu powitał ich premier - pierwszy obywatel St George's oraz naczelny sędzia Sądu Najwyższego jako przedstawiciel Królowej. Salut oddało sześciu wolnych akurat od służby policjantów, stojących mniej więcej na baczność. Miejska kapela wyrzepoliła hymn narodowy. Na dachu lotniskowego terminalu powiewała brytyjska flaga, a od grupy zgromadzonych na miejscu dwudziestu, może nawet trzydziestu miejscowych dygnitarzy dobiegły słabe oklaski.

Następnie gubernator i lady Barker zostali odwiezieni do rezydencji wygodnym, choć starszawym roverem, który służył także dwóm poprzednim gubernatorom. Kiedy dotarli na miejsce, kierowca wyskoczył z samochodu i otworzył bramę. Jadąc podjazdem, Ted i Hazel po raz pierwszy ujrzeli swój nowy dom.

Kolonialna rezydencja prezentowała się doprawdy imponująco. Wybudowana najwyraźniej w szczytowym okresie potęgi Imperium Brytyjskiego, obecnie wydawała się nieproporcjonalnie wielka nie tylko w stosunku do znaczenia wysp, lecz także pozycji Wielkiej Brytanii we współczesnym świecie. Jej powierzchnia nie szła jednak w parze z wygodą, o czym państwo gubernatorostwo mieli się wkrótce przekonać na własnej skórze.

Klimatyzacja nie działała. Kanalizacja płała brzydkie figle. Pani Rogers, dochodząca pomoc, była stale chora, a jedyną rzeczą, jaką odziedziczyli po poprzednim gubernatorze, okazał się wiekowy pies, czarny labrador. Co gorsza, Ministerstwo Spraw Zagranicznych nie miało pieniędzy i gdy tylko Ted wspominał w raportach o tych problemach, spotykał się jedynie z propozycjami zastosowania cięć w budżecie.

Po kilku tygodniach Ted i Hazel zaczęli myśleć o St George's jako o wielkim okręgu wyborczym, podzielonym na kilka niewielkich wysepek, z których największe nazywały się Suffolk i Wyspa Edwarda. To podniosło Teda na duchu; przyszło mu do głowy, że być może dlatego premier zaproponował objęcie tej placówki właśnie jemu.

Obowiązki gubernatora trudno byłoby nazwać uciążliwymi. Składały się na nie wizyty Teda i Hazel w szpitalach, przemówienia, zaszczycanie swą obecnością szkolnych uroczystości maturalnych oraz sędziowanie na wystawach kwiatów. Najważniejszym wydarzeniem roku były bez wątpienia oficjalne obchody urodzin królowej w lipcu. Z tej okazji gubernator wydawał w swym domu garden party dla miejscowych dygnitarzy, a Suffolk i Wyspa Edwarda rozgrywały mecz krykieta; dla większości obywateli była to po prostu okazja, by całe dwa dni bez ograniczeń wlewać w siebie alkohol.

Ted i Hazel zaakceptowali miejscową *realpolitik*. Mieli szczerzy zamiar przez pięć lat uprawiać tę niekłopotliwą dyplomację wśród uroczych ludzi, w rajskim klimacie; na horyzoncie nie widzieli najmniejszej chmurki, z której deszcz mógłby zburzyć ich błogą egzystencję.

Aż pewnego dnia zadzwonił telefon.

Był czwartkowy poranek. Gubernator zamknął się w gabinecie z egzemplarzem poniedziałkowego „Timesa”, odkładając przeczytanie długiego artykułu o szczycie w Waszyngtonie do chwili, kiedy upora się z krzyżówką. Miał właśnie wpisać dwanaście pionowo „najlepszy przyjaciel człowieka” (cztery litery), kiedy jego osobisty sekretarz, Charles Roberts, bez pukania wtargnął do środka.

Ted zorientował się, że sprawa musi być poważna. Nigdy nie widział sekretarza działającego w takim pośpiechu, a już z pewnością nie zdarzyło się, by otworzył drzwi gabinetu gubernatora bez pukania.

- Dzwoni Mountbatten - wykrztusił Charles. Nie byłby chyba bardziej zaniepokojony, gdyby donosił, że na północnym wybrzeżu wyspy ma wylądować niemiecki desant.

Gubernator tylko podniósł brew.

- Dowódca floty, admirał, lord Mountbatten Birmański - powtórzył sekretarz, jakby obawiał się, że Ted nie zrozumiał jego słów.

- No to go połącz - polecił spokojnie gubernator i odłożył „Timesa” przed sobą na biurku. W ciągu ostatnich dwudziestu lat trzykrotnie spotkał Mountbattena, wątpił jednak, by ten wielki człowiek o tym pamiętał. Prawdę powiedziawszy, za trzecim razem Ted musiał wyjść w trakcie admirałkiej przemowy, ponieważ poczuł się niedobrze. Nie miał pojęcia, o czym Mountbatten chciałby z nim rozmawiać, lecz nie zdążył się nad tym zastanowić, gdyż stojący na biurku telefon właśnie zadzwonił.

Podniósł słuchawkę nie wiedząc właściwie, jak powinien się zwracać do rozmówcy: Wasza Wysokość (ponieważ jest lordem), panie marszałku (ponieważ był niegdyś szefem sztabu) czy też panie admirał (ponieważ dożyłotnio pełnił funkcję dowódcy floty). Zdecydował się na najprostsze wyjście i powiedział:

- Dzień dobry, sir.

- Dzień dobry, Wasza Ekscelencjo. Mam nadzieję, że znajduję Ekscelencję w dobrym zdrowiu?

- Oczywiście, dziękuję panu, sir - zapewnił Ted.

- Jeśli dobrze pamiętam, kiedy ostatnio się widzieliśmy, cierpiał pan na drobne dolegliwości żołądkowe.

- Istotnie, sir - odparł zdziwiony Ted. Coś mu jednak mówiło, że Mountbattan nie dzwoni po tylu latach tylko po to, by spytać go o zdrowie.

- Zapewne chciałby się pan dowiedzieć, gubernatorze, dlaczego właściwie postanowiłem się z panem skontaktować?

- Oczywiście, sir.

- Obecnie przebywam w Waszyngtonie, gdzie brałem udział w spotkaniu na szczycie. Powrót do Londynu planowałem na jutro rano.

- Rozumiem, sir - stwierdził Ted nic kompletnie nie rozumiejąc.

- Pomyślałem sobie, że mogę nieco zboczyć z trasy i wpaść do was. Chętnie odwiedzam kolonie, kiedy tylko mam okazję. Dzięki temu mogę informować Jej Wysokość, co słychać w świecie. Mam nadzieję, że moja wizyta nie przysporzy kłopotów.

- Ależ oczywiście, że nie, sir. Z największą przyjemnością powitamy pana.

- Doskonale - stwierdził Mountbatten. - Byłbym więc bardzo wdzięczny, gdyby zawiadomił pan lotnisko, że mój samolot wyląduje jutro około czwartej po południu. Jeśli to możliwe, zostanę na noc, ale zgodnie z rozkładem zajęć będę zmuszony opuścić was dość wcześnie rano następnego dnia.

- Oczywiście, sir. Wraz z żoną będziemy oczekiwali pana na lotnisku jutro o czwartej.

- Bardzo to uprzejmie z pana strony, panie gubernatorze. Przy okazji, wolałbym, by wszystko odbyło się bez zbędnych ceremonii. Proszę nie robić sobie żadnych kłopotów.

Połączenie zostało przerwane. Gdy Ted odłożył słuchawkę, teraz z kolei on po raz pierwszy od kilku miesięcy ruszył pędem. Charlesa spotkał na korytarzu - idącego w kierunku gabinetu - najwyraźniej sekretarz wysłuchał całej rozmowy przez swój telefon.

- Odszukaj moją żonę, weź notatnik i natychmiast przyjdźcie oboje do mnie - polecił Ted i wrócił do gabinetu. Kilka minut później pojawiła się Hazel niosąca bukiet dalii, a za nią spieszył zdyszany sekretarz.

- Co się stało, Ted? Skąd ten popłoch?

- Przyjeżdża Mountbatten.

- Kiedy? - spytała Hazel spokojnie.

- Jutro po południu. O czwartej.

- Rzeczywiście mamy powód do paniki - przyznała Hazel, ułożyła kwiaty w stojącym na parapecie wazonie i usiadła przy biurku naprzeciwko męża. - Nie jest to odpowiedni moment, ale muszę ci powiedzieć, że właśnie dzwoniła pani Rogers z informacją, iż jest chora.

- Można podziwiać jej wycucie sytuacji - stwierdził Ted. - A więc doskonale. Będziemy musieli blefować.

- Jak to, blefować? - zdziwiła się Hazel.

- No cóż, nie zapominajmy, że Mountbatten to członek rodziny królewskiej, były szef sztabu i dowódca floty. Ostatnim urzędem, jaki pełnił w Koloniach, było stanowisko wicekróla Indii; dowodził trzema pułkami i miał na swe usługi personel liczący ponad tysiąc osób. Nie potrafię więc sobie wyobrazić, czego będzie od nas oczekiwał.

- No to zacznijmy wreszcie przygotowywać listę spraw, które musimy do jutra załatwić - zdecydowała Hazel.

Charles wyjął pióro z wewnętrznej kieszeni marynarki, otworzył notatnik i czekał na polecenia szefa.

- Jeśli przylatuje na lotnisko, przede wszystkim będzie się spodziewał czerwonego dywanu - oznajmiła Hazel.

- Nie mamy przecież czerwonego dywanu - powiedział Ted.

- Owszem, mamy. Prowadzi z jadalni do salonu. Użyjemy go i miejmy nadzieję, że zdąży wrócić na miejsce, nim nasz gość zechce odwiedzić tę część domu. Charles, będziesz musiał zwinąć go i zawieźć na lotnisko... - zastanowiła się chwilę. - A także przywieźć z powrotem - dodała.

Sekretarz skrzywił się, ale zapisał sobie jej słowa.

- Dopilnuj także, by go do jutra oczyszczono - przypomniał gubernator. - Nie wiedziałem nawet, że jest czerwony. A co z gwardią honorową?

- Nie mamy żadnej gwardii honorowej - zdziwiła się Hazel. - Może pamiętasz, że kiedy przyjechaliśmy, witał nas premier, sędzia i sześciu wolnych akurat od służby policjantów.

- To prawda - zgodził się z żoną Ted. - A więc pozostają nam tylko wojska ochotnicze.

- Masz na myśli pułkownika Hodgesa i tę jego bandę, tak zwanych „wojaków”? Przecież każdy z nich nosi inny mundur, nie mówiąc już o broni...

- Hodges będzie musiał doprowadzić ich jakoś do porządku na jutro, na czwartą. Zostaw to mnie.

- Ted zapisał coś w notesie. - Później do niego zadzwonię. A teraz muzyka.

- Mamy orkiestrę miejską - odezwał się Charles. - No i oczywiście orkiestrę policyjną.

- Na tę okazję muszą się połączyć - orzekła Hazel. - W ten sposób nikt nie poczuje się urażony.

- Ale przecież znają najwyżej trzy melodie - zdziwił się Ted.

- Wystarczy, by znali jedną. Hymn.

- Słusznie. Z pewnością będą musieli odbyć kilka prób. Zostawiam ich tobie, Hazel. Następny problem - jak przywieźć go z lotniska do rezydencji?

- Z pewnością nie tym starym roverem. W zeszłym miesiącu psuł się trzykrotnie, a do tego czuć w nim psem.

- Henry Bendall ma rolls-royce'a - przypomniał Ted. - Będziemy musieli go zarekwirować.

- Byle tylko nikt nie powiedział Mountbattenowi, że jedzie karawanem i co było nim przewożone jeszcze poprzedniego dnia.

- Mick Flaherty też ma rollsa - wyrwał się Charles. - O ile dobrze pamiętam, to Silver Shadow.

- Przecież on nienawidzi Anglików - zauważyła Hazel.

- Oczywiście - zgodził się Ted. - Ale z pewnością sprawi mu przyjemność zaproszenie na kolację, kiedy się dowie, że gościem honorowym jest członek rodziny królewskiej.

- Kolację? - po raz pierwszy w głosie Hazel zabrzmiała prawdziwa panika.

- Oczywiście. Musimy uczcić przybycie Mountbattena uroczystą kolacją - stwierdził Ted. -

Najgorsze, że każdy z miejscowych notabli będzie spodziewał się zaproszenia. Ile osób pomieści nasza jadalnia?

Gubernator i jego żona jednocześnie spojrzeli na sekretarza.

- Sześćdziesiąt. Jeśli się je dobrze ściśnie.

- Nas już przycisnęło - stwierdził Ted.

- Rzeczywiście - potaknęła Hazel. - Nie mamy przecież zastawy na sześćdziesiąt osób, nie wspominając już o sześćdziesięciu filiżankach do kawy, sześćdziesięciu łyżeczkach do herbaty, sześćdziesięciu...

- Ale przecież jest serwis Royal Worcester, prezent byłego króla, ofiarowany podczas jego wizyty w 1947 roku - przypomniał Ted. - Ile z niego zostało?

- Wystarczy dla czternastu osób. Przynajmniej tylu kompletów doliczyłam się przy ostatnim czyszczeniu.

- Doskonale. Wiemy więc, ile osób zasiądzie przy stole honorowym.

- Co z menu? - zainteresował się Charles.

- Ważniejsze, kto to wszystko przyrządzi? - dodał Ted.

- Musimy poprosić Dotty Cuthbert, żeby wypożyczyła nam na wieczór panią Travis - orzekła Hazel. - To najlepsza kucharka na wyspie.

- Będziemy potrzebowali także jej lokaja, nie mówiąc o reszcie służby - stwierdził Ted.

Charles zapisywał już trzecią kartkę w notatniku.

- Lepiej, żebyś ty zajęła się lady Cuthbert, kochanie - poprosił żonę Ted. - Ja wezmę na siebie Micka Flaherty'ego.

- Kolejny problem to trunki - zauważyła Hazel. - Nie zapomnij, że poprzedni gubernator na kilka dni przed wyjazdem opróżnił piwniczkę.

- A ministerstwo jej nie uzupełniło - dokończył za żonę Ted. - Jonathan Fletcher ma najlepsze trunki na wyspie...

- I dzięki Bogu nie będzie wymagał, by posadzić go przy głównym stole.

- Jeśli może zasiąść przy nim tylko czternaście osób, to już mamy zbyt wielu kandydatów - zmartwił się Ted.

- Dotty Cuthbert, Bendallowie, Flaherty'owie, Hodgesowie... - Hazel zaczęła spisywać nazwiska - ...nie wspominając o premierze, sędzim i szefie policji; a wszyscy są żonaci... Miejmy nadzieję, że niektórzy są niedysponowani albo wyjechali za granicę. - W jej głosie było słycać rozpacz.

- Gdzie położymy go spać? - zainteresował się niewinnie Charles.

- Boże, nie pomyślałem nawet, że on sypia! - przeraził się gubernator.

- Musimy mu oddać naszą sypialnię. Tylko tam jest łóżko, które nie zapada się pośrodku.

- A my prześpimy jedną noc w pokoju Nelsona, w tych strasznych, przeżartych przez korniki łóżkach, na staroświeckich materacach z końskiego włosia...

- Dobrze - zgodziła się Hazel. - Dopilnuję, żeby dziś wieczorem wyniesiono nasze rzeczy z pokoju królowej Wiktorii.

- Aha, Charles - przypomniał sobie gubernator - zadzwoń do ministerstwa i dowiedz się, co Mountbatten lubi, a czego nie lubi. Jedzenie, alkohol, jakieś ekscentryczne nawyki... wszystko, co tylko o nim wiedz. Z pewnością jest tam jego kartoteka. Nie mam ochoty, by właśnie ten dżentelmen mógł mi coś zarzucić.

Sekretarz przewrócił kolejną kartkę w notatniku i pisał dalej.

Przez następną godzinę cała trójka próbowała przewidzieć problemy związane z zapowiadaną wizytą. Po lunchu składającym się z kanapek, które sami sobie przyrządzili, rozeszli się w różne strony. Popołudnie spędzili przy telefonach, wydzwanając po całej wyspie z różnymi prośbami.

To Charles podsunął pomysł, by gubernator wystąpił w telewizji w lokalnych wieczornych wiadomościach i poinformował mieszkańców, że następnego dnia odwiedzi wyspę członek rodziny królewskiej. Na zakończenie sir Ted wyraził nadzieję, że wszyscy, którym pozwolą na to obowiązki, stawią się na lotnisku, by powitać „wielkiego bohatera wojennego” - samolot wylądaje o czwartej po południu.

Hazel spędziła wieczór sprzątając pokoje, do których przypadkiem mógłby zajrzeć dostojny gość.

Charles przy latarce pielął klomby wzdłuż drogi prowadzącej do rezydencji, a Ted nadzorował transport talerzy, sztućców, jedzenia i wina, płynący z różnych stron wyspy do siedziby gubernatora.

- Ciekawe, o czym zapomnieliśmy - powiedział, gdy o drugiej nad ranem kładli się z Hazel spać.

- Bóg jeden wie - odparła jego żona. - Ale cokolwiek to jest, miejmy nadzieję, że Mountbatten się nie zorientuje.

Gubernator, ubrany w letni galowy mundur ze złotymi lampasami na spodniach, z baretkami i medalami na piersi oraz w kasku z pióropuszem z łabędzich piór, zszedł na spotkanie żony. Hazel miała na sobie zieloną sukienkę, którą kupiła na gubernatorskie garden party dwa lata temu. Zajęta była właśnie poprawianiem kwiatów stojących w holu.

- Za późno już na to - zauważył Ted widząc, jak układa pęk, który odchylił się o centymetr od idealnej pozycji. - Musimy jechać na lotnisko.

Zeszli po schodach na podjazd. Przed rezydencją stały dwa rolls-royce'y, jeden biały, drugi czarny; za nimi zaparkował ich stary rover. Za państwem gubernatorostwem szedł Charles, dźwigający pod pachą czerwony dywan, który wrzucił do bagażnika rovera.

Ted stwierdził, że musi się dowiedzieć, jak ma na imię kierowca.

- Nazywam się Bill Simmons - poinformował go szofer.

- Zapamiętaj, Bill, masz robić wrażenie, jakbyś woził nas przez całe życie.

- W porządziu, szefie.

- Nie - powiedział stanowczo Ted. - W obecności admirała masz zwracać się do mnie „Wasza Ekscelencjo”. Do lorda Mountbattena masz mówić „Wasza lordowska mość”. Jeśli nie będziesz wiedział, co zrobić, po prostu się nie odzywaj.

- W porządziu, szefie, Wasza Ekscelencjo.

Ruszyli. Bill jechał w tempie, które najwyraźniej uznał za majestatyczne. Minęli bramę i skręcili w prowadzącą na lotnisko drogę. Kiedy piętnaście minut później znaleźli się u celu, policjant skierował ich wprost na pas, gdzie połączone siły obu orkiestr grały właśnie wiankę melodii z *West Side Story* - przynajmniej tak uznał wspaniałomyślnie Ted.

Wysiadłszy, znalazł się twarzą w twarz z trzema rzędami żołnierzy wojsk ochotniczych stojących w pozycji spoczyn. Było ich sześćdziesięciu jeden, w wieku od siedemnastu do siedemdziesięciu lat.

Choć musiał przyznać, że nie sprawiają wrażenia gwardii honorowej, nie byli jednak „dziadowską armią”. No i mieli dwa atuty: autentycznego pułkownika w galowym mundurze i prawdziwego sierżanta z głosem odpowiednim do rangi.

Charles natychmiast zaczął rozwijać dywan, Ted tymczasem spojrzął na wzniesione w pośpiechu barierki i z radością stwierdził, że zgromadził się tam tłum większy, niż kiedykolwiek widział na wyspie, nawet na dorocznym meczu piłki nożnej między Suffolk i Wyspą Edwarda. Wielu tubylców powiewało brytyjskimi flagami, niektórzy mieli wielkie portrety królowej. Ted uśmiechnął się i spojrzął na zegarek.

Samolot miał wylądować za siedemnaście minut.

Premier, burmistrz, sędzia i szef policji wraz z żonami stanęli na brzegu czerwonego dywanu.

Słońce świeciło radośnie na bezchmurnym niebie. Obchodząc powoli miejsce akcji Ted stwierdził, że nikt nie pożałował wysiłku, by godnie przyjąć dostojnego gościa.

Nagle rozległ się szum silników. Tłum zaczął wiwatować. Ted osłonił dłonią oczy i dostrzegł jeden z andoverów, będących własnością rodziny królewskiej, który zaczął schodzić do lądowania.

Samolot dotknął kołami pasa na trzy minuty przed wyznaczoną godziną, do czerwonego dywanu podkołował zaś w chwili, gdy zegar na wieży kontroli lotów rozgłośnie wybił czwartą.

Otworzyły się drzwi i pojawił się w nich admirał, dowódca floty, lord Mountbatten Birmański, kawaler Orderu Podwiązki, członek tajny Rady Królewskiej, odznaczony Wielkim Krzyżem Orderu Łaźni, Orderem Zasługi, Wielki Komandor Gwiazdy Indii, Wielki Komandor Cesarstwa Indii, odznaczony Wielkim Krzyżem Orderu Wiktoriańskiego, Distinguished Service Order, członek Towarzystwa Królewskiego, doktor honoris causa prawa świeckiego oraz doktor honoris causa praw, ubrany w galowy mundur (wersja letnia).

- Jeśli to się nazywa „nieformalną wizytą”, chyba powinniśmy dziękować Bogu, że nie zdecydował się na wizytę oficjalną - szepnęła Hazel mężowi do ucha, ruszając w stronę błyskawicznie podstawionych do samolotu schodków.

Gdy Mountbatten zaczął powoli po nich schodzić, rozległy się głośniejsze wiwaty. Kiedy gość znalazł się na czerwonym dywanie, gubernator zrobił krok w przód, zdjął swe strojne nakrycie głowy i skłonił się głęboko. Admirał zasalutował w odpowiedzi i w tym momencie połączone orkiestry miejska i policyjna odegrały hymn państwowy. Tłum zaśpiewał „Boże, zachowaj Królową” tak entuzjastycznie, że zagłuszał zdarzające się od czasu do czasu fałsze.

Kiedy hymn się skończył, odezwał się gubernator:

- Witamy na St George's, sir.
- Dziękuję panu, panie gubernatorze - odparł Mountbatten.
- Pozwolę sobie przedstawić moją żonę, Hazel. - Hazel postąpiła krok, wykonała dworski ukłon, a następnie podała dłoń admirałowi.
- Jak to miło znów panią widzieć, lady Barker. To dla mnie prawdziwa przyjemność.

Ted przeprowadził gościa po dywanie do miejsca, w którym czekali miejscowi dygnitarze i przedstawił ich po kolei: premier i jego żona Sheila, burmistrz i jego żona Caroline, sędzia i jego żona Janet, komisarz policji i jego najnowsza żona, której imienia niestety nie pamiętał.

- Może zechciałby pan dokonać przeglądu gwardii honorowej, nim udamy się do rezydencji? -

Ted skierował Mountbattena w stronę pułkownika Hodgesa i jego żołnierzy.

- Będzie mi bardzo miło - odparł Mountbatten i ruszył w kierunku szeregów gwardii, pozdrawiając stojących przy barierkach ludzi. Gdy znaleźli się w odległości jakichś dwudziestu metrów, pułkownik wyprężył się, zrobił trzy kroki do przodu i zameldował:

- Gwardia honorowa gotowa do inspekcji, lordzie admirale.

Mountbatten się zatrzymał i zaszalutował. Na ten znak sierżant stojący na baczność o sześć kroków za pułkownikiem ryknął swym wspaniałym basem: „Dowódca na inspekcji! Baczność! Prezentuj broń!” Rozkaz ten wykonał tylko pierwszy rząd, bo tylko on miał karabiny. Rzędy drugi i trzeci jedynie poderwały się na baczność.

Mountbatten przemaszerował przed szeregiem w tę i z powrotem z taką powagą, jakby przeprowadzał inspekcję brygady komandosów. Kiedy minął ostatniego żołnierza w trzecim rzędzie, Hodges znów się wyprężył służbiście i podniósł dłoń do czapki. Mountbatten odsalutował mu, po czym rzekł:

- Dziękuję, panie pułkowniku. Pańscy żołnierze prezentują się wspaniale. Dobra robota.

Następnie gubernator poprowadził dostojnego gościa ku białemu rolls-royce'owi, przy którym stał Bill, jego zdaniem na baczność, jedną ręką przytrzymując otwarte tylne drzwi. Gdy Mountbatten wsiadał do samochodu, gubernator pospiesznie obszedł auto i sam otworzył sobie drzwi z drugiej strony. Hazel wraz z adiutantem admirała zajęli miejsca w czarnym rollsie, Charles zaś i sekretarz dostojnego gościa musieli się zadowolić roverem. Ted miał tylko nadzieję, że Mountbatten nie widział, jak dwaj ludzie z obsługi lotniska zwijają dywan i ładują go do bagażnika rovera. Hazel natomiast modliła się o to, by został im jeszcze w zapasie jeden komplet bielizny pościelowej. Jeśli nie, adiutant admirała będzie mocno zdziwiony sposobem ślania łóżka.

Jedynie dwa motocykle policyjne na wyspie, kierowane przez ubranych na biało policjantów, i eksortowane przez nie trzy samochody, wyjechały z lotniska. Ludzie krzyczeli i machali rękami, kiedy kolumna mijała ich w drodze do domu gubernatora. Wystąpienie Teda w telewizji okazało się wielkim sukcesem - mieszkańcy wyspy stali wzdłuż całej piętnastokilometrowej trasy.

W bramie rezydencji nadjeżdżających gości powitało dwóch stojących na baczność i salutujących policjantów. Z daleka było widać zgromadzoną na schodach elegancką służbę: lokaja, dwóch jego pomocników i kilka pokojówek.

- Cholera! - Tedowi w ostatniej chwili udało się stłumić przekleństwo. Nie wiedział, jak się nazywa lokaj!

Jeden ze służących doskoczył do zatrzymującego się samochodu i otworzył drzwi, drugi nadzorował wyładowywanie bagaży. Lokaj postąpił krok w kierunku wysiadającego z samochodu Mountbattena.

- Nazywam się Carruthers, Wasza Wysokość - powiedział z głębokim ukłonem. - Witamy w rezydencji. Jeśli zechce pan pójść za mną, wskażę panu pański pokój.

Admirał w towarzystwie sir Teda i lady Hazel wszedł do środka, a potem podążył za Carruthersem na piętro.

- Wspaniałe są te stare kolonialne rezydencje - stwierdził Mountbatten, przekraczając próg sypialni gubernatorostwa. Podszedł do okna, spojrzął na świeżo przystrzyżony trawnik. - Jakże to urocze. Przypomina mi Broadlands, mój dom w Hampshire.

Lady Barker przyjęła komplement z uśmiechem, lecz wciąż jeszcze była spięta.

- Czy ma pan jakieś życzenia, milordzie? - spytał Carruthers, podczas gdy jeden z jego pomocników nadzorował rozpakowywanie walizek.

Hazel wstrzymała oddech.

- Nie, chyba nie - odparł Mountbatten. - Wszystko wygląda po prostu doskonale.

- A może zechciałby pan wypić z nami herbatę w salonie, gdy będzie pan gotowy, sir? - zaproponował Ted.

- Ach, co za wspaniały pomysł! Jeśli państwo pozwolą, zejść na dół za jakieś pół godziny.

Gubernator wraz z żoną opuścili pokój, cichutko zamykając za sobą drzwi.

- Moim zdaniem on coś podejrzewa - szepnęła Hazel, gdy na palcach schodzili do salonu.

- Może i masz rację - odszepnął Ted, wieszając kask z pióropuszem w holu. - Lepiej więc sprawdźmy, czy o niczym nie zapomnieliśmy. Ja zajmę się jadalnią, ty zaś sprawdź, jak sobie radzi pani Travis.

Kiedy Hazel weszła do kuchni, pani Travis przygotowywała warzywa, a jedna z pokojówek obierała górę ziemniaków. Gospodyni podziękowała kucharce za to, że zgodziła się im pomóc, mimo że tak późno ją o wszystkim zawiadomiono, i przyznała, że nigdy nie widziała jeszcze kuchni tak pełnej egzotycznych produktów, a jednocześnie tak nieskazitelnie czystej. Nawet na podłodze nie było ani jednej plamki. Zdając sobie sprawę, że jej obecność może tylko przeszkadzać, Hazel wycofała się i dołączyła do sprawdzającego jadalnię męża, który właśnie podziwiał lokaja, z wprawą nakrywającego do stołu. Pokojówka układała serwetki, nadając im kształt łabędzia.

- Na razie nieźle - orzekł Ted.

Wraz z żoną przeszli do salonu. Czekając na znakomitego gościa, gubernator chodził od ściany do ściany i zastanawiał się, czy jest coś, o czym mogli zapomnieć.

W kilka minut później pojawił się Mountbatten. Letni admirałski mundur zmienił na szary dwurzędowy garnitur.

A niech to cholera - pomyślał Ted, któremu właśnie przypomniało się, co zapomniał zrobić.

Hazel powstała na przywitanie gościa, po czym poprowadziła go do wielkiego, wygodnego fotela.

- Muszę pani powiedzieć, lady Barker, że wasz lokaj jest doprawdy wspaniały - zagaił Mountbatten. - Wiedział nawet, jaki jest mój ulubiony gatunek whisky. Jak długo jest u państwa?

- Niezbyt długo - odparła Hazel... całkowicie zgodnie z prawdą.

- Cóż, jeśli kiedykolwiek zechce podjąć pracę w Anglii, proszę natychmiast mnie zawiadomić, choć, muszę przyznać, że bylibyście nierozsądni, gdybyście pozwolili mu odejść.

- Przerwał, do saloniku bowiem wkroczyła pokojówka niosąc piękny serwis do herbaty Wedgwooda, którego Hazel nigdy przedtem nie widziała.

- Earl Grey, jeśli dobrze pamiętam - zwróciła się do swego gościa.

- Jakąż ma pani świetną pamięć, lady Barker - zachwycił się admirał. Pokojówka zaczęła nalewać mu herbatę.

Chwała Bogu, że dostaliśmy informacje z Ministerstwa Spraw Zagranicznych - pomyślała Hazel, przyjmując z uśmiechem komplement.

- A jak tam konferencja, sir? - spytał Ted wrzucając do filiżanki kostkę cukru i nagle uświadomił sobie, że teraz może być pewny, iż tylko ten cukier jest ich własnością.

- Dla nas, Brytyjczyków, skończyła się całkiem nieźle. Ale byłoby jeszcze lepiej, gdyby Francuzi nie próbowali tych swoich sztuczek. Giscard uważa się chyba za skrzyżowanie Karola Wielkiego z Joanną d'Arc. - Gospodarze roześmieli się uprzejmie. - Nie, Ted, niech mi pan wierzy, problem, który mamy przed sobą, jest w gruncie rzeczy całkiem prosty...

Nim Mountbatten uporał się z opisem wyników szczytu, zapoznał ich ze swym zdaniem na temat Jamesa Callaghana i Teda Heatha, omówił problem znalezienia odpowiedniej żony dla księcia Karola i następnie przedstawił dalekosiężne skutki Watergate, nadszedł czas na kolację.

- Czy obowiązują stroje wieczorowe? - spytał.

- Tak, sir... oczywiście za pańską zgodą.

- Pełna gala? - spytał admirał z nadzieją w głosie.

- Sądzę, że byłoby to wskazane, sir. - Ted doskonale pamiętał udzieloną im przez ministerstwo informację, że ich gość lubi się stroić przy najmniejszej sposobności.

Mountbatten uśmiechnął się, gdy w drzwiach salonu bezszelestnie stanął Carruthers, Ted zaś uniósł jedną brew.

- Przygotowałem galowy mundur, milordzie. Pozwoliłem sobie także wyprasować spodnie.

Pokojówka przygotowuje panu gorącą kąpiel.

Mountbatten się uśmiechnął.

- Dziękuję - powiedział wstając z krzesła. - Wspaniała herbata - dodał zwracając się do gospodyni. - I ta wręcz doskonała służba. Doprawdy nie wiem, Hazel, jak pani to robi.

Hazel podziękowała, starając się nie zarumienić.

- Jak pan sądzi, Ted, o której powinienem zejść na dół?

- Pierwsi goście pojawią się na drinka około wpół do ósmej, sir. Planowaliśmy zasiąść do kolacji o ósmej, jeśli to panu odpowiada.

- Ależ oczywiście, wspaniale. Ilu gości się państwo spodziewają?

- Około sześćdziesięciu, sir. Ich listę znajdzie pan na nocnym stoliku. Jeśli można, przyjdziemy z Hazel po pana za dziesięć ósma.

- Trzymasz mocno ster - pochwalił Teda Mountbatten.

Kiedy zamknęły się za nim drzwi, Hazel zwróciła się do pokojówki:

- Czy mogłabyś posprzątać po herbacie, Molly? - Zawahała się. - Masz na imię Molly, prawda?

- Tak, proszę pani - odparła dziewczyna.

- Sądzę, że on wie. - Ted wydawał się mocno zaniepokojony.

- Być może, ale nie mamy czasu, żeby się teraz tym martwić - odparła jego żona, pędząc na kolejną inspekcję w kuchni.

Z góry ziemniaków pozostał pagórek obierzyn. Pani Travis, przygotowująca właśnie sosy, wołała, by ktoś natychmiast przyniósł jej ze sklepu w mieście pieprz i jakieś przyprawy. Po raz drugi Hazel zdała sobie sprawę, że jest tu całkowicie zbędna, i poszła do jadalni, gdzie znalazła Teda.

Główny stół był już nakryty królewskim serwisem, przy każdym nakryciu znajdowały się trzy rodzaje kieliszków do wina, stroszyły się lniane serwetki, pośrodku zaś królował wspniany srebrny bażant, dodający zastawie niesłychanego blasku.

- Kto nam to pożyczył? - spytała.

- Nie mam pojęcia - odparł jej mąż. - Jedno jest pewne - jutro rano bażant odlatuje do domu.

- Jeśli światła będą odpowiednio przyciemnione - szepnęła Hazel - może nie dostrzeże, że na innych stołach są różne sztuce.

- Boże, popatrz tylko, która godzina! - przeraził się Ted.

Pospieszyli na górę. Ted omal nie wpadł do sypialni Mountbattena; opamiętał się dokładnie w ostatniej chwili.

Gubernator całkiem nieźle czuł się w granatowym zamszowym mundurze za szkarłatnym kołnierzem i mankietami. Podziwiał swe odbicie w lustrze, kiedy do pokoju weszła Hazel w różowej sukni z kolekcji Hardy Amies, której kupno uważała aż do dziś za wyrzucenie pieniędzy przez okno - nie spodziewała się, że będzie miała okazję ją włożyć.

- Mężczyźni są tacy próżni - zauważyła patrząc, jak jej mąż przygląda się swemu odbiciu. - Z pewnością nie zapomniawsz, że to coś masz nosić wyłącznie zimą?

- Oczywiście pamiętam o tym - odparł lekko zmieszany Ted. - Ale mam tylko dwa mundury. W każdym razie Mountbatten z pewnością wystroi się bardziej niż my oboje razem wzięci. - Strzepnął nitkę ze spodni, które przed chwilą wyprasował.

Gubernator i jego żona opuścili pokój Nelsona tuż przed siódmą dwadzieścia. Kiedy zeszli na dół, stwierdzili, że przed frontowymi drzwiami ulokował się kompletnie im nie znany pomocnik lokaja oraz dwie nowe pokojówki, stojące po obu stronach ze srebrnymi tacami pełnymi kieliszków szampana. Hazel przedstawiła się całej trójce i po raz kolejny sprawdziła kompozycje kwiatowe przy wejściu.

Gdy stary zegar w holu wybił siódmą trzydzieści, pojawił się pierwszy gość.

- Henry! - krzyknął gubernator. - Jakże się cieszę, że pana widzę. Bardzo dziękuję za wypożyczenie rollsa. A także Billa - dokończył scenicznym szeptem.

- Cała przyjemność po mojej stronie, Wasza Ekscelencjo - odparł Henry Bendall. - Muszę przyznać, że podoba mi się pański mundur.

Przez frontowe drzwi energicznie wkroczyła lady Cuthbert.

- Nie potrafiłam się powstrzymać - powiedziała. - Mnie tu nie ma. Udawajcie, że mnie nie widzicie.

- Doty, po prostu nie wiem, co byśmy bez ciebie zrobili - krzyknęła Hazel, podążając za nią holem.

- Miło mi, że mogłam wam w czymś pomóc. Pomyślałam sobie, że jeśli przyjdę punktualnie, będę miała chwilę, by zajrzeć do kuchni, do pani Travis. Aha, przy okazji, Benson czeka na podjeździe gotów natychmiast jechać do mnie, gdybyście się zorientowali, że czegoś wam jeszcze brakuje.

- Święty z ciebie człowiek, Doty. Pozwól, że cię zaprowadzę...

- Nie przejmuj się, trafię sama. Zajmij się witaniem gości.

- Dobry wieczór, panie burmistrzu! - powiedział Ted, gdy lady Cuthbert zniknęła właśnie w korytarzu prowadzącym do kuchni.

- Dobry wieczór, Wasza Ekscelencjo. Bardzo dziękujemy za zaproszenie z tej, jakże wyjątkowej, okazji.

- Cóż za piękna suknia, pani Janson - zauważył gubernator.

- Dziękuję, Wasza Ekscelencjo - uśmiechnęła się żona burmistrza.

- Może kieliszek szampana - przy boku gubernatora pojawiła się jego żona.

Za piętnaście ósma większość gości była już na miejscu. Ted rozmawiał z Mickiem Flahertym, kiedy Hazel delikatnie dotknęła jego ramienia.

- Chyba powinniśmy już pójść po niego - szepnęła. Ted skinął głową i poprosił sędziego, by w jego imieniu witał gości. Z trudem przecisnęli się przez tłum i wspieśli na schody. Gdy znaleźli się pod drzwiami pokoju królowej Wiktorii, przystanęli i popatrzyli na siebie.

Ted rzucił okiem na zegarek - za dziesięć ósma. Wyciągnął rękę i delikatnie zapukał. Otworzył mu Carruthers; Mountbatten stał w pokoju, ubrany w trzeci w tym dniu strój: galowy admirański mundur: trzy gwiazdki, złoto-niebieski pas i sześć rzędów baretek.

- Dobry wieczór, Wasza Ekscelencjo - powiedział.

- Dobry wieczór - odparł olśniony gubernator. Admirał zrobił trzy kroki w przód i zatrzymał się na podeście schodów. Stał wyprostowany. Ted i Hazel zajęli miejsca po obu jego bokach. On się nie ruszał, więc oni też czekali.

Carruthers wyszedł przed nich i stanął na trzecim stopniu od góry. Odchrząknął czekając, aż wśród zgromadzonych na dole gości zapadnie cisza.

- Wasza Ekscelencjo, panie premierze, panie burmistrzu, panie i panowie - oznajmił w końcu. -

Oto jego wysokość lord Mountbatten Birmański.

Goście uprzejmie zaczęli bić brawo. Mountbatten powoli schodził po schodach. Gdy mijał Carruthersa, lokaj skłonił się przed nim głęboko. Gubernator, pod rękę z żoną, szedł o dwa kroki za nim.

- Z pewnością wie - szepnęła Hazel.

- Być może masz rację - odparł Ted. - Ale czy wie, że my wiemy?

Mountbatten zgrabnie krążył po zatłoczonej sali, gdy gubernator przedstawiał go zaproszonym notablom. Goście kłaniali się (lub dygali) oraz wysłuchiwali zdawkowych grzeczności, których im nie szczędził. Mick Flaherty zachował się, oczywiście, wyjątkowo - nie zaprzestał rozmowy, a podczas prezentacji stał tak sztywno, jak jeszcze nigdy w życiu.

O ósmej jeden z pomocników lokaja uderzył w gong, z którego istnienia gubernator i jego żona nie zdawali sobie do tej pory sprawy. Kiedy przebrzmiał dźwięczny ton, Carruthers zaanonsował:

- Milordzie, Wasza Ekscelencjo, panie premierze, panie i panowie, podano do stołu.

Jeśli na St George's istniał lepszy kucharz, nikt nie wiedział o jego istnieniu, pani Travis zaś tego wieczora przeszła samą siebie. Mountbatten rozmawiał i uśmiechał się; najwyraźniej dobrze się bawił i nie próbował tego ukryć. Dłuższy czas spędził na pogawędce z lady Cuthbert, której mąż służył pod jego dowództwem w Portsmouth, i z Mickiem Flahertym, którego słuchał z uprzejmym zainteresowaniem.

Każde kolejne danie okazywało się lepsze od poprzedniego. Suflet, kotlety z jagnięcia, deser morelo wy z orzechami laskowymi... Mountbatten chwalił każde z podanych mu win, a nawet poprosił o drugi kieliszek porto.

Po kolacji dołączył do gości pijących kawę w saloniku i zdołał zamienić kilka zdań z każdym z nich, choć pułkownik Hodges, trzymając go za guzik, nie przestawał rozprawiać o cięciach w budżecie wojskowym.

Goście zaczęli wychodzić kilka minut przed północą. Ted z uśmiechem patrzył, jak Mick Flaherty żegna się z admirałem kłaniając mu się nisko i mówiąc:

- Dobranoc, Wasza Wysokość. To prawdziwy zaszczyt móc porozmawiać z panem w cztery oczy.

Dotty opuściła przyjęcie jako jedna z ostatnich. Przed gościem honorowym dygnęła bardzo nisko.

- Także dzięki pani wieczór ten był dla mnie prawdziwą przyjemnością - powiedział Mountbatten.

Nie „także”, lecz „przede wszystkim” - pomyślała Hazel.

Kiedy jeden z pomocników lokaja zamknął drzwi za ostatnim z gości, Mountbatten zwrócił się ku gospodarzom.

- Hazel, muszę pani podziękować za to doprawdy niezwykle przyjęcie. Szef kuchni w Savoyu nie wydałby lepszego bankietu. Doskonały pod każdym względem!

- Jest pan bardzo uprzejmy, sir. Przekażę pańskie podziękowania służbie. - Hazel całym wysiłkiem powstrzymała się od powiedzenia „mej służbie”. - Czy ma pan jeszcze jakieś życzenia, nim uda się na spoczynek?

- Nie, dziękuję. To był długi dzień i jeśli państwo pozwolą, opuszczę ich teraz.

- O której godzinie chciałby pan zjeść śniadanie, sir? - spytał gubernator.

- Czy wpół do ósmej będzie państwu odpowiadało? To pozwoli mi odlecieć o dziewiętej.

- Oczywiście - stwierdził Ted. - Dopilnuję, by Carruthers o wpół do ósmej podał do pokoju lekkie śniadanie - chyba że woli pan coś specjalnego?

- Lekkie śniadanie najzupełniej mi wystarczy - zapewnił Mountbatten. - Co za wspaniały wieczór! Pani służba nie mogła spisać się lepiej, Hazel. Dobranoc i dziękuję z całego serca, moja droga.

Gubernator skłonił się głęboko, a jego żona wykonała równie głęboki dyg żegnając wielkiego człowieka, który ruszył po schodach, dwa kroki za Carruthersem. Kiedy zamknęły się drzwi pokoju królowej Wiktorii, Ted objął żonę i powiedział:

- Wie, że wiemy.

- Być może masz rację - odparła Hazel. - Ale czy wie, że my wiemy, iż wie?

- Będę musiał się zastanowić - stwierdził Ted. Ramię w ramię poszli do kuchni. Pani Travis pakowała zastawę do skrzyni, nadzorowana przez lady Cuthbert, która wysoko podwinęła koronkowe rękawy wieczorowej sukni.

- Jak się tu dostałaś, Dotty? - zdumiała się Hazel.

- Obeszłam dom do wejścia dla służby - wyjaśniła lady Cuthbert.

- Czy twoim zdaniem coś poszło wyjątkowo źle?

- Nie, raczej nie, tylko Mick Flaherty nie dostał czwartego kieliszka Muscat de Venice, którego domagał się bardzo głośno.

- Pani Travis - stwierdził z powagą Ted. - Szef kuchni w Savoyu nie przygotowałby lepszego bankietu. Był on doskonały w każdym szczególe. Przytaczam tylko słowa lorda Mountbattena.

- Dziękuję, Wasza Ekszelencjo - odparła kucharka i nagle uśmiechnęła się szeroko. - Ma niezły apetyt, prawda?

Chwilę później w kuchni pojawił się Carruthers. Rozejrzał się dookoła - wszystko lśniło czystością - a potem spytał Teda:

- Pozwoli pan, sir, że udamy się na spoczynek.

- Oczywiście - odparł gubernator. - Chciałbym podziękować tobie i twym współpracownikom za tak znakomite odegranie swych ról. Wspaniała robota. Hrabia Mountbatten nie przestawał się wami zachwycać.

- Jego lordowska mość był dla nas wyjątkowo łaskawy. O której mamy się zjawić jutro rano, by przygotować i podać mu śniadanie?

- Prosił o lekki posiłek na wpół do ósmej, do pokoju.

- A więc wrócimy o wpół do siódmej - oznajmił Carruthers.

Hazel wypuściła ich przez kuchenne drzwi; paki pełne nakryć i kosze jedzenia znalazły się wreszcie w bagażnikach samochodów. Ostatnia odjechała Dotty Cuthbert, tuląc do siebie srebrnego bażanta. Na pożegnanie Hazel ucałowała ją w oba policzki.

- Nie wiem jak ty, ale ja jestem kompletnie wykończony - oznajmił Ted, zamykając drzwi.

Hazel zerknęła na zegarek. Siedemnaście po pierwszej.

- Mam dość - oznajmiła. - No dobrze, spróbujmy się choć trochę przespać. Będziemy

musieli wstać o siódmej, by sprawdzić, czy przygotowano wszystko przed jego wyjazdem na lotnisko.

Sir Ted objął i przytulił żonę.

- To twój osobisty triumf, kochanie.

W milczeniu ruszyli schodami na górę. Nie rozmawiali; bali się zakłócić odpoczynek dostojnego gościa. Kiedy dotarli na miejsce, zatrzymali się i z prawdziwym przerażeniem spojrzeli na siebie.

Trzy pary czarnych skórzanych półbutów stały sobie rządkiem przed drzwiami pokoju królowej Wiktorii.

- Nie mam już najmniejszych wątpliwości - stwierdziła Hazel. - Wie.

Ted skinął głową i szepnął żonie do ucha:

- Ty czy ja?

Hazel bez wahania wskazała go palcem.

- Nikt inny tylko ty - stwierdziła i udała się do pokoju Nelsona.

Ted wzruszył ramionami, zabrał admirałskie buty i wrócił do kuchni.

Jego Ekscelencja gubernator i naczelny dowódca sił zbrojnych St George's spędził sporo czasu czyszcząc trzy pary półbutów. Zdawał sobie sprawę z tego, że nie tylko będą one musiały przejść admirałską kontrolę, lecz także, iż muszą wyglądać tak, jakby zrobił to Carruthers!

W poniedziałek Mountbatten pojawił się w gmachu admiralicji. Przygotował szczegółowy pisemny raport z odwiedzin na St George's, a jego kopie zostały wysłane do królowej i ministra spraw zagranicznych.

O tej wizycie admirał opowiedział także pewnej niedzieli na rodzinnym zebraniu w Windsorze.

Gdy ucichły salwy śmiechu, królowa spytała:

- Kiedy nabrałeś podejrzeń?

- Zdradził Carruthers. Wiedział o sir Tedzie wszystko oprócz tego, w jakim pułku służył. Stary wiarus po prostu nie mógł tego nie wiedzieć.

Królowa zadała mu jeszcze jedno pytanie.

- Jak sądzisz, czy gubernator wie, że wiesz?

- Nie jestem pewny, Lilibet, ale rozproszę wszystkie jego wątpliwości.

Minister spraw zagranicznych zaśmiewał się po przeczytaniu raportu. Na jego ostatniej stronie umieścił dwa pytania:

1. Skąd pewność, że służba podająca do stołu nie należała do gubernatora?

2. Jak pan sądzi, czy sir Ted wie, że pan wie?

Na pytania te admirał odpowiedział:

1. Podczas kolacji jedna z pokojówek zapytała lady Barker, czy sładzi kawę, a w chwilę później bez wahania podała lady Cuthbert dwie kostki cukru.

2. Być może nie. Ale z pewnością dowie się o tym na Gwiazdkę.

Sir Tedowi gwiazdkowa kartka od lorda Mountbattena sprawiła wielką przyjemność. Admirał pisał: „Wszystkiego najlepszego, Dickie. Dzięki za wspaniałe przyjęcie”.

Kartce tej towarzyszył prezent.

Hazel rozpakowała małą paczuszkę, a na widok tubki czarnej pasty do butów firmy Cherry Blossom stwierdziła krótko:

- Teraz wiemy, że wie.

- Zgoda. - Sir Ted uśmiechnął się szeroko. - Ale czy wie, że wiedzieliśmy, że wie? Chciałbym to wiedzieć.

Nie dożyje pan chwili, żeby tego żałować *

A zatem postanowiono: David zostawi wszystko Pat. Jeśli jedno z nich umrze, drugie zostanie zabezpieczone finansowo do końca życia. David uważał, że przynajmniej tyle jest winny osobie, która przez wiele lat stała u jego boku; zwłaszcza że on nie był jej wierny.

Znali się prawie od urodzenia i odkąd sięgali pamięcią, ich rodzice bardzo się ze sobą przyjaźnili. Obie rodziny miały nadzieję, że David poślubi Ruth, siostrę Pat, i nie potrafiły ukryć zdziwienia - a jeśli chodzi o ojca Pat, to nawet dezaprobaty - kiedy David i Pat rozpoczęli wspólne życie, zwłaszcza że w tym związku David był o trzy lata młodszy.

Przez jakiś czas David odrzucał wszelkie złe myśli i wierzył w swe cudowne uzdrowienie, choć namolny agent firmy ubezpieczeniowej Geneva Life, niejaki Marvin Roebuck, przez ostatnich dziewięć miesięcy naciskał na „spotkanie”. Ale kiedy w pierwszy poniedziałek dziesiątego miesiąca agent ponownie zatelefonował, David, acz niechętnie, zgodził się z nim zobaczyć. Specjalnie wybrał wieczór, kiedy Pat wypadła w hotelu praca na nocnej zmianie i zaprosił Roebucka do mieszkania; uważał, że nikt nie będzie miał wątpliwości, iż to agent poluje na nowego klienta.

Kiedy Marvin Roebuck nacisnął dzwonek przy wejściowych drzwiach, David podlewał akurat w korytarzu stojący na stoliku szkarłatny *clupea*

harengus. Poczęstowawszy gościa szklanką budweisera, oznajmił, że jest już ubezpieczony na wszelkie możliwe sposoby: od kradzieży, od nieszczęśliwego wypadku, od utraty samochodu, majątku, posiada polisę na wypadek choroby, a nawet na czas wyjazdu na urlop.

- A co z ubezpieczeniem na życie? - zapytał Marvin oblizując wargi.

- Takiej polisy akurat nie potrzebuję - odparł David. - Zarabiam dobrze, mam dostateczne zabezpieczenie, a na dodatek rodzice zostawią mi cały swój majątek.

- Ale czy nie byłoby roztropnie zapewnić sobie odpowiednią kwotę, którą w całości otrzyma pan w dzień sześćdziesiątych lub sześćdziesiątych piątych urodzin? - kusił Marvin, próbując wyważyć już otwarte drzwi. - Ostatecznie nikt nie wie, jakie niebezpieczeństwo może czyhać za najbliższym rogiem.

David dobrze wiedział, jakie niebezpieczeństwo czyha za najbliższym rogiem, ale zapytał niewinnie:

- Jaką kwotę ma pan na myśli?

- Cóż, to zależy od tego, ile pan obecnie zarabia.

- Sto dwadzieścia tysięcy dolarów rocznie - odrzekł David starając się mówić obojętnie, ponieważ wymieniona suma dwukrotnie przewyższała jego zarobki.

Słowa te wyraźnie zrobiły na Marvinie wrażenie, David zaś milczał, gdy agent dokonywał w myślach błyskawicznych obliczeń.

- No cóż - powiedział w końcu Marvin - proponuję w przybliżeniu pół miliona dolarów.

Ostatecznie - dodał, szybko przesuwając palcem po tabeli stawek ubezpieczeniowych,

którą wyciągnął z teczki - ma pan tylko dwadzieścia siedem lat, a zatem spokojnie będzie pana stać na płacenie rat. Co więcej, jeśli pan uważa, że pańskie dochody zwiększą się w najbliższym czasie, może oczekiwać jeszcze wyższej sumy.

- Od siedmiu lat moje zarobki systematycznie rosną - stwierdził David, tym razem mówiąc prawdę.

- W jakiej branży pan działa, przyjacielu? - zapytał Marvin.

- W obligacjach i papierach wartościowych - odparł David, nie wdając się w szczegóły pracy maleńkiej firmy, w której zajmował podrzędne stanowisko.

Marvin ponownie oblizał wargi, mimo że na licznych kursach doskonalenia zawodowego nie pozwalano tego robić, zwłaszcza gdy zdobycz była tak blisko.

- Zatem pańskim zdaniem, na jaką kwotę powinienem się ubezpieczyć? - zapytał David, by podtrzymać wrażenie, że inicjatywa należy do Marvina.

- W ramach pańskich dochodów może pan spokojnie liczyć na milion dolarów - odparł Marvin, ponownie zaglądając do małej książeczki z tabelami. - Początkowo miesięczne raty mogą być trochę wyższe, ale w miarę upływu czasu, jeśli uwzględnić inflację i ciągły wzrost pańskich zarobków, opłaty te nie będą odczuwalne.

- To ile będę musiał płacić miesięcznie do czasu otrzymania tego miliona? - zapytał David udając, że połknął haczyk.

- Jeśli przyjmiemy, że nasz kontrakt wygaśnie w dniu pańskich sześćdziesiątych urodzin, wypadnie to nieco powyżej tysiąca dolarów miesięcznie - wyjaśnił Marvin tonem sugerującym, że mowa o nędznych grosikach. - I proszę nie zapominać, że sześćdziesiąt procent tej kwoty nie podlega opodatkowaniu. Tak więc w rzeczywistości będzie pan płacił zaledwie piętnaście dolarów dziennie, a na koniec otrzyma pan okrągły milionik; i to wtedy, kiedy będzie go pan najbardziej potrzebował. A tak na marginesie, owe raty tysiąca dolarów miesięcznie są stałe i nie ulegną podwyżce. Są inflacyjno odporne - zakończył Marvin wybuchając piskliwym śmiechem.

- A ja bez względu na sytuację rynkową otrzymam całą sumę?

- W dzień sześćdziesiątych urodzin milion dolarów - zapewnił Marvin. - Bez względu na to, co się wydarzy. Chyba że wcześniej nastąpi koniec świata. Ale na to już nie jestem w stanie wystawić polisy. - Ponownie wybuchnął tym piskliwym śmiechem. - Gdyby jednak, Boże broń, umarł pan przed skończeniem sześćdziesięciu lat, osoby znajdujące się na pańskim utrzymaniu natychmiast otrzymają całą sumę.

- Nikogo takiego nie mam - odparł David ze znużoną miną.

- Ale na pewno jest ktoś, na kim panu zależy - upierał się Marvin. - Taki przystojny mężczyzna jak pan...

- Panie Roebuck, proszę mi zostawić te formularze, a ja się przez weekend zastanowię. Obiecuję, że zgłoszę się do pana.

Marvin sprawiał wrażenie bardzo rozczarowanego. Nie potrzebował żadnych kursów doskonalenia zawodowego, żeby wiedzieć, iż klienta należy przyprzeć do muru już podczas pierwszego spotkania i nie dać mu czasu na zastanawianie się. Agentowi w jednej chwili zaschło w ustach.

Wczesnym rankiem po powrocie Pat z nocnej zmiany David jeszcze nie spał i mógł dokładnie zrelacjonować przebieg spotkania z Marvinem. Okazało się, że Pat w dalszym ciągu lęka się ich planu. W przeszłości to właśnie David rozwiązywał wszelkie problemy, zwłaszcza finansowe, więc teraz Pat nie ma pewności, czy sobie poradzi, kiedy już nie będzie Davida i jego rad. Dzięki Bogu, że to on załatwiał sprawę z Marvinem - Pat nie umie nawet dobić targu z wędrownym handlarzem mioteł.

- Co robimy dalej? - w głosie Pat dało się wyczuć niepokój.

- Czekamy - odparł David.

- Ale obiecałeś Marvinowi, że się do niego odezwiesz.

- Wiem, ale nie mam najmniejszego zamiaru tego robić - stwierdził stanowczo David obejmując Pat ramieniem. - Założę się o sto dolarów, że pierwsze, co Marvin zrobi w poniedziałek, to zatelefonuje do mnie. I nie zapominaj, że wszystko ma wyglądać tak, jakby cała sprawa wyszła od niego.

Nadchodzący atak astmy uświadomił Pat, że nie jest to pora, żeby wypytywać Davida o dalsze szczegóły. Najważniejsze jest to, co zresztą David podkreślił z dziesięć razy, że Pat nie musi się spotykać osobiście z Marvinem.

O ósmej trzydzieści rano zatelefonował Roebuck.

- Miałem nadzieję, że złapię pana, zanim wyjdzie pan z domu sprzedawać te swoje obligacje - wyjaśnił. - Czy podjął już pan decyzję?

- Tak - odparł David. - Podczas weekendu rozważyłem z matką pańską propozycję i jej zdaniem powinienem pójść na ten układ, ponieważ kiedy dojdę do sześćdziesiątki, pół miliona wcale nie będzie stanowiło jakiejś oszałamiającej sumy.

Marvin oblizwał wargi, lecz na szczęście David tego nie dostrzegł.

- Pańska matka jest bardzo bystrą osobą - zauważył Marvin.

- Czy mógłby się pan zająć wszelkimi sprawami papierkowymi? - zapytał David udając, że szczegóły transakcji go nie interesują.

- Naturalnie, może pan na mnie polegać - zapewnił agent. - Takimi drobiazgami nie musi pan sobie zaprzętać głowy, przyjacielu. Proszę zostawić to mnie. Jestem przekonany, iż podjął pan słuszną decyzję, Davidzie. Obiecuję, że nie dożyje pan chwili, żeby tego żałować.

Następnego dnia Marvin znów zatelefonował i poinformował, że zakończył wszelkie formalności, a teraz David musi się tylko poddać badaniom lekarskim; „rutynowym”, kilkakrotnie zaznaczył Roebuck. A skoro ubezpieczenie opiewa na znaczną kwotę, badania musi przeprowadzić przyjmujący w Nowym Jorku lekarz, wskazany przez ich firmę.

David zaczął grymasić, że nie zamierza nigdzie jechać. Dodał przy tym, że zastanawia się, czy przypadkiem nie podjął błędnej decyzji. Dopiero po długich, pełnych obłudy zapewnieniach i perswazjach Marvina zgodził się udać do Nowego Jorku.

Następnego wieczora, pod nieobecność Pat, agent osobiście dostarczył Davidowi dokumenty.

David podpisał się na trzech formularzach w miejscach zaznaczonych krzyżykami. Na końcu umieścił imię i nazwisko Pat w rubryczce, którą Marvin wskazał swoim serdelkowatym palcem.

- Jeśli Pat ma otrzymać te pieniądze - wyjaśnił Marvin - to powinien pan, co nie daj Boże, zejść z tego świata przed pierwszym września dwa tysiące dwudziestego siódmego roku. Czy jesteście małżeństwem?

- Nie, po prostu razem mieszkamy.

Po licznych „mój przyjacielu” i jeszcze liczniejszych „nie dożyje pan chwili, żeby tego żałować”, Marvin Roebuck, ściskając w ręku formularze, opuścił mieszkanie Davida.

- Teraz musimy uzbroić się w cierpliwość - powiedział David do Pat, kiedy sprawdził, czy wszystkie formalności zostały dopełnione. - Tylko pamiętaj, nikt nie może znać prawdy ani o mnie, ani o tobie, a kiedy już wszystko to się skończy, zainkasujesz milion dolarów.

Kiedy późną nocą poszli do łóżka, mimo wysiłków Pat, by kochać się z Davidem, musieli ostatecznie pogodzić się z tym, że nie jest to już możliwe.

W następny poniedziałek udali się do Nowego Jorku na spotkanie ze starszym konsultantem medycznym Geneva Life. Przecnicę przed budynkiem, w którym mieściły się biura firmy, David rozstał się z Pat, ponieważ obawiał się, że ktoś mógłby ich razem zobaczyć. Uścisnęli się, ale Davida drażył niepokój, czy Pat podoła zadaniu.

Kilka minut przed dwunastą David zgłosił się w gabinecie lekarskim. Młoda kobieta w długim, białym fartuchu przesłała mu znad biurka uśmiech.

- Dzień dobry - powiedział. - Nazywam się David Kravits. Jestem umówiony z doktorem Roystonem.

- Ach tak, pan Kravits - odparła pielęgniarka. - Doktor Royston oczekuje pana. Proszę za mną.

Poprowadziła go długim, ponurym korytarzem do ostatniego pokoju po lewej stronie. Widniała na nich niewielka, mosiężna tabliczka z napisem: „Dr Royston”.

Pielęgniarka zapukała, otworzyła drzwi i oznajmiła:

- Doktorze, pan Kravits.

Lekarz był niskim mężczyzną w średnim wieku, a na błyszczącej, spalonej słońcem czaszce zachowało się tylko kilka pasemek włosów. Nosił okulary w rogowej oprawie, a patrząc na jego twarz odnosiło się wrażenie, że polisa ubezpieczeniowa na życie tego mężczyzny wkrótce zostanie wypłacona.

Doktor wstał z krzesła i uścisnął pacjentowi dłoń.

- O ile dobrze pamiętam, chodzi o ubezpieczenie na życie.

- Tak, nie myli się pan.

- Nie powinno nam to zabrać dużo czasu, panie Kravits. To czysta formalność, ale skoro w grę wchodzi tak ogromna suma pieniędzy, nasza firma chce być pewna, że cieszy się pan dobrym zdrowiem. Proszę, niech pan siada - mówił lekarz wskazując krzesło po przeciwnej stronie biurka.

- Początkowo wydawało mi się, że kwota jest za wysoka, i byłem zdecydowany zadowolić się pięciuset tysiącami. Ale agent był tak wymowny i przekonujący...

- Czy w ostatnich latach przechodził pan jakąś poważną chorobę? - zapytał lekarz najwyraźniej nie ciekaw opinii agenta.

- Nie. Kilkakrotnie się przeziębilem, ale nie można by tego nazwać ciężką chorobą.
- Doskonale. A pańska najbliższa rodzina? Czy zdarzały się zawały serca, rak, schorzenia wątroby?
- O niczym takim nie wiem. - Czy pański ojciec żyje?
- Naturalnie.
- I cieszy się dobrym zdrowiem?
- Codziennie rano biega, a w weekendy uczęszcza do miejscowej siłowni.
- A matka?
- Ona wprawdzie sportów nie uprawia, ale wcale bym się nie zdziwił, gdyby przeżyła mego ojca.

Lekarz się roześmiał.

- A czy pańscy dziadkowie żyją?
- Nie żyje dziadek ze strony ojca. Zmarł dwa lata temu.
- Czy wie pan, na co umarł?
- Wydaje mi się, że po prostu umarł. Tak w każdym razie mówił podczas pogrzebu ksiądz.
- Czy pamięta pan, ile miał lat? - zapytał lekarz.
- Osiemdziesiąt jeden, osiemdziesiąt dwa...
- Doskonale. - Doktor Royston postawił kolejny znaczek na leżącym przed nim formularzu. - Czy cierpiał pan kiedykolwiek na któreś z tych schorzeń? - zapytał kładąc przed pacjentem wykaz.

Lista zaczynała się od artretyzmu, liczyła dziewiętnaście pozycji i kończyła się gruźlicą.

Mężczyzna uważnie przebiegł ją wzrokiem.

- Nie, na żadną z tych chorób nie cierpiałem - odparł, nie wspominając naturalnie o astmie.
- Czy pan pali? - zapytał lekarz.
- Nie, nigdy nie miałem papierosa w ustach.
- Pije pan alkohol?
- Od czasu do czasu. Lubię wypić do obiadu kieliszek wina, ale mocniejszych trunków nie używam.
- Wspaniale - stwierdził lekarz i postawił w rubryce ostatni znaczek. - Teraz sprawdzimy pański wzrost i wagę. Proszę stanąć na wadze, panie Kravits.

Doktor musiał wspiąć się na palce, żeby umieścić wysuwaną podziałkę na czubku głowy pacjenta.

- Sto osiemdziesiąt pięć centymetrów - stwierdził, a następnie zaczął regulować wagę. -

Siedemdziesiąt dziewięć kilogramów. Nie najgorzej. - Wypełnił dwie kolejne rubryki. - Leciutka nadwaga. Teraz mocz. Proszę udać się z tym plastikowym pojemniczkiem do sąsiedniego pokoju, oddać mocz, zostawić naczynie na półce i wrócić do mnie.

Lekarz zrobił na formularzu kilka dalszych notatek.

- Pojemnik zostawiłem na półce - poinformował pacjent po powrocie.

- Dobrze. Teraz pobiorę panu krew. Będzie pan uprzejmy podwinąć rękaw. - Lekarz zacisnął gumową rurkę na prawym bicepsie Davida tak, że na przedramieniu wystąpiły żyły. - To bardzo cienka igła. Nawet pan nie poczuje.

Lekarz wprowadził igłę pod skórę i pobrał krew. Następnie zdezynfekował ranę wacikiem i zalepił małym plasterkiem. Następnie opukał klatkę piersiową pacjenta i osłuchiwał ją za pomocą stetoskopu, prosząc przy tym od czasu do czasu, żeby badany albo wypuszczał z płuc powietrze, albo je wciągał.

- Dobrze - powtórzył. - To tyle, panie Kravits. Teraz zajmie się panem doktor Harvey. Zrobi panu rentgen klatki piersiowej i elektrokardiogram. Później będzie pan wolny i może wracać do... - zajrzał do notesu - ...do New Jersey. Za kilka dni, kiedy już będą ostateczne wyniki, firma ubezpieczeniowa skontaktuje się z panem.

- Dziękuję, doktorze Royston - powiedział David zapinając koszulę.

Lekarz nacisnął przycisk w blacie biurka i do gabinetu weszła pielęgniarka, która zaprowadziła pacjenta do innego gabinetu. Na drzwiach wisiała tabliczka: „dr Mary Harvey”. Doktor Harvey była elegancko ubraną kobietą w średnim wieku, o siwych, krótko obciętych włosach. Uśmiechnęła się do wysokiego, przystojnego mężczyzny i poprosiła go, żeby zdjął koszulę i stanął przed aparatem rentgenowskim.

- Proszę założyć ręce do tyłu, wciągnąć powietrze i nie oddychać... Dziękuję.

Następnie poleciła, żeby położył się na leżance w kącie gabinetu. Posmarowała mu jakąś maścią w kilku miejscach skórę i umieściła tam niewielkie przyssawki. Pacjent gapił się w biały sufit, a lekarka z obojętnym wyrazem twarzy uważnie studiowała ekran monitora.

Na koniec wilgotną, flanelową szmatką starła ze skóry badanego maść.

- To wszystko. Może się pan ubrać. Jest pan wolny, panie Kravits - oświadczyła.

David pospiesznie opuścił budynek, zbiegł po schodach i udał się na miejsce, gdzie zostawił Pat.

Padli sobie w objęcia.

- Wszystko w porządku?

- Chyba tak - powiedział. - Agencja skontaktuje się ze mną za parę dni, kiedy będą gotowe wyniki badań.

- Chwała Bogu, że nie było żadnych problemów. Żeby to można było powiedzieć o tobie.

- Nie myśl o tym, moje serce - odparł David, tuląc do siebie jedyną osobę na świecie, którą kochał.

W tydzień później zadzwonił Marvin i oświadczył, że wyniki badań doktora Roystona są pozytywne. Teraz David musiał tylko przekazać na konto firmy ubezpieczeniowej pierwszą ratę w wysokości tysiąca stu dolarów.

David przesłał czek do Geneva Life następnego ranka. Od tej chwili, pierwszego dnia każdego miesiąca, miał uiszczać drogą telegraficzną kolejną ratę.

Dziewiętnaście dni po zapłaceniu siódmej David Kravits zmarł na AIDS.

Pat doskonale pamiętał, co ma zrobić, kiedy tylko zostanie odczytana ostatnia wola Davida.

Powinien bez zwłoki skontaktować się z panem Levym, prawnikiem Davida, który miał wszystko załatwić. David ostrzegł Patricka, żeby osobiście niczym się nie zajmował. Roszczenia względem firmy ubezpieczeniowej miał wysuwać Levy, oficjalny wykonawca testamentu, i to on powinien przekazać Patrickowi pieniądze. W razie jakichkolwiek wątpliwości, niech Pat nic nie mówi. Tak brzmiała ostatnia rada Davida przed śmiercią.

Dziesięć dni później Pat otrzymał list z Geneva Life wzywający go na spotkanie w sprawie polisy ubezpieczeniowej. Pat natychmiast przesłał ów list prawnikowi Davida. Pan Levy wyraził zgodę na spotkanie, które, na wyraźne życzenie jego klienta, miało się odbyć w biurze firmy prawniczej Levy, Goldberg i Levy na Manhattanie.

- Czy istnieje coś, o czym mi nie powiedziałaś, Patricku? - zapytał Levy, kiedy umówił się już na spotkanie z przedstawicielem towarzystwa ubezpieczeniowego. - Jeśli o czymś zapomniałaś, lepiej powiedz to teraz.

- Nie, proszę pana, powiedziałem wszystko - odparł Pat stosując się ściśle do zaleceń Davida.

Od pierwszej chwili przedstawiciel Geneva Life świdrował wzrokiem pochyloną głowę Patricka i pan Levy nie miał wątpliwości, że firma nie jest uradowana tym, że musi wypłacić tak ogromną sumę. Ale prawnik zajmował zdecydowane, nieprzejednane stanowisko wiedząc, że przeprowadzone przez lekarzy Geneva Life przed ośmioma miesiącami szczegółowe badania nie wykazały, iż David był nosicielem HIV.

Levy wszelkie argumenty odpierał z uporem:

- Bez względu na stawiane przez was przeszkody towarzystwo i tak będzie musiało zapłacić. - I żeby zostać dobrze zrozumianym dodawał: - Jeśli mój klient nie otrzyma ustalonej kwoty w ciągu trzydziestu dni, natychmiast podam Geneva Life do sądu.

Przedstawiciel firmy zapytał prawnika, czy nie widzi możliwości jakiegoś kompromisu.

Levy zerknął na Patricka, który siedział z nisko spuszczoną głową, i odparł:

- Z całą pewnością, nie.

Dwie godziny później wyczerpany i przygnębiony Pat wrócił do swego mieszkania. Spodziewał się w każdej chwili ataku astmy. Przed wyjściem do pracy próbował przygotować sobie kolację, ale gdy zabrakło Davida, wszystko straciło sens. Zaczynał się zastanawiać, czy słusznie postąpił wdając się w tę historię z ubezpieczeniem.

Przez cały wieczór telefon zadzwonił tylko raz. Szybko podniósł słuchawkę w nadziei, że dzwoni jego matka lub siostra Ruth. Dzwonił Marvin. Agent natychmiast zaczął płaczącym tonem wylewać swoje żale.

- Pat, jestem naprawdę w dużych kłopotach. Z powodu polisy, którą sprzedałem twemu przyjacielowi, Davidowi, zapewne stracę posadę w firmie.

Pat odparł, że mu bardzo z tego powodu przykro, ale niestety nic nie może na to poradzić.

- Ależ możesz - napierał Marvin. - Mógłbyś na przykład wykupić taką samą polisę. To uratowałyby moją skórę.

- Nie sądzę, żeby było to dobre rozwiązanie - odparł Pat zastanawiając się, co by mu doradził David.

- Davidowi z całą pewnością nie zależałyby na tym, żebym stracił pracę - błagał Marvin. -

Miej dla mnie litość, przyjacielu. Nie mogę sobie pozwolić na utratę pracy.

- Ile by mnie to kosztowało? - spytał Pat, chcąc jak najszybciej pozbyć się Marviną.

- Weźmiesz milion dolarów gotówką - prawie krzyknął Marvin. - I pytasz mnie, ile to będzie kosztować! Cóż znaczy tysiąc dolarów miesięcznie dla takiego bogacza jak ty!

- Ależ wcale jeszcze nie jestem pewien, czy zdecyduję się wziąć ten milion - sprzeciwił się Pat.

- Już za późno. Wszystko załatwione - odparł Marvin o kilka decybeli ciszej. - Nie powinienem wprawdzie tego ci mówić, ale trzydziestego bieżącego miesiąca otrzymasz czek. Firma wie, że twój prawnik trzyma ją za gardło... Pierwszą ratę wpłacisz już po otrzymaniu miliona.

- W porządku - odparł Pat pragnąc jedynie, żeby Marvin się od niego odczepił. - Wykupię polisę, ale dopiero po otrzymaniu czeku.

- Dziękuję, przyjacielu. Pojawię się u ciebie jutro wieczorem i dostarczę dokumenty.

- Nie, to niemożliwe - odrzekł Pat. - W tym miesiącu pracuję na nocnej zmianie. Lepiej wpadnij po południu.

- Przyjacielu, kiedy otrzymasz czek, nie będziesz musiał pracować nocami - odparł Marvin wybuchając piskliwym śmiechem. - Szczęśliwiec - dodał i odłożył słuchawkę.

Nim następnego popołudnia w jego mieszkaniu pojawił się Marvin, Patrickowi przyszła do głowy pewna myśl. Jeśli znów zgłosi się do doktora Roystona, natychmiast wszystko się wyda. Kiedy jednak Marvin zapewnił go, że może wybrać sobie lekarza, Pat bez dalszych sprzeciwów podpisał formularze w rubrykach zaznaczonych przez agenta krzyżykiem, czyniąc jedyną swoją spadkobierczynią Ruth. Miał nadzieję, że David pochwaliby taką decyzję.

- Dziękuję, przyjacielu. Nie będę ci już więcej zwracał głowy - obiecał Marvin i zamykając za sobą drzwi, dodał: - Obiecuję, że nie dożyje pan chwili, żeby tego żałować.

Pat wybrał się do lekarza za tydzień. Wizyta nie trwała długo, ponieważ Pat przechodził ostatnio kompleksowe badania. Lekarz przypominał sobie później, że pacjent wykazywał wyraźne oznaki zdenerwowania i nie potrafił ukryć zadowolenia, kiedy doktor powiadomił go telefonicznie, że badania dały wynik całkowicie pozytywny.

- Jesteś pan zdrowy, Patricku - oświadczył. - Tylko ta astma. Ale nic nie wskazuje na to, żeby stan pana zdrowia miał ulec pogorszeniu.

Po tygodniu zatelefonował Marvin z wiadomością, że lekarz wydał opinię pozytywną oraz że jego samego nie wyrzucili z Geneva Life.

- Bardzo się cieszę - odparł Pat. - Ale co z moim czekiem?

- Otrzymasz go ostatniego dnia bieżącego miesiąca. Pozostały już wyłącznie do załatwienia sprawy czysto proceduralne. Pieniądze nadejdą dokładnie na dwadzieścia cztery godziny przed terminem płatności pierwszej raty twojej polisy. Jak już mówiłem, wygrałeś obie sprawy.

Ostatniego dnia miesiąca Pat zatelefonował do prawnika Davida ciekaw, czy napłynął czek z Geneva Life.

- W porannej poczcie niczego nie było - odparł adwokat - ale niezwłocznie zadzwonię i

zapytam, czy wysłano już pieniądze, które zresztą mogą być jeszcze w drodze. Jeśli nie, natychmiast pozywam ich do sądu.

Pat zastanawiał się chwilę, czy nie powinien poinformować Levy'ego, że podpisał czek na tysiąc sto dolarów, które powinien przekazać następnego dnia, i że na koncie ma tylko tyle, by pokryć ten rachunek, a więc za mało, aby przetrwać, aż wpłynie następna forsa. Całe rezerwy finansowe Patricka poszły na spłatę miesięcznych rat Davida dla Geneva Life. Ostatecznie jednak postanowił nic nie mówić. Pamiętał słowa Davida, który radził, żeby w razie jakichkolwiek wątpliwości trzymać język za zębami.

- Zadzwoń do ciebie wieczorem i powiem, jak przedstawia się sytuacja - oświadczył Levy.

- Nie, wieczorem nie - poprosił Pat. - Cały ten tydzień pracuję w nocy. Prawdę mówiąc, dawno już powinienem być wyjść z domu. Proszę odezwać się jutro rano.

- Świetnie, zadzwonię - obiecał prawnik.

Kiedy Pat nad ranem wrócił do domu, nie mógł zasnąć. Wiercił się na łóżku, pełen obaw, jak wyżyje do końca miesiąca, jeśli rano czek pójdzie do banku, a on ciągle jeszcze nie otrzyma miliona dolarów z Geneva Life.

O dziewiątej trzydzieści jeden zadzwonił telefon. Pat chwycił słuchawkę i z ulgą usłyszał głos Levy'ego.

- Patrick, wczoraj wieczorem, kiedy byłeś w pracy, dzwoniłem do Geneva Life i muszę ci powiedzieć, że złamałeś żelazną zasadę Levy'ego.

- Żelazną zasadę Levy'ego? - zapytał oszołomiony Pat.

- Tak, żelazną zasadę Levy'ego. To naprawdę bardzo proste, Patrick. Proszę bardzo, możesz robić co chcesz, możesz to robić z kim chcesz, ale nie zwalaj tego wszystkiego na swojego prawnika.

- Nie rozumiem - bąknął Pat.

- Twój lekarz dostarczył próbki twojej krwi i moczu do Geneva Life i okazało się, że są one identyczne z tymi, które doktor Royston trzymał w laboratorium pod nazwiskiem „David Kravits”.

Patrickowi, kiedy uświadomił sobie, jak paskudnego figla spłatał mu Marvin, odpłynęła z głowy cała krew. Serce biło mu coraz szybciej i szybciej. W końcu nogi odmówiły posłuszeństwa i Pat, ciężko łapiąc powietrze, upadł na podłogę.

- Czy jesteś tam? - zapytał prawnik. - Patrick, słyszysz mnie?

Sanitariusze wpadli do jego mieszkania dwadzieścia minut później, ale niestety chwilę wcześniej Pat zmarł na atak serca spowodowany nawrotem astmy.

Pan Levy nie wykonał żadnego kroku tak długo, dopóki bank Patricka nie potwierdził, że czek na tysiąc sto dolarów wpłynął na konto firmy ubezpieczeniowej.

Dziewiętnaście miesięcy później siostra Patricka, Ruth, otrzymała z Geneva Life milion dolarów, ale firma prawnicza Levy, Goldberg i Levy musiała przeprowadzić ciężką batalię.

Ostatecznie sędziowie uznali, że Pat zmarł śmiercią naturalną, a polisa ubezpieczeniowa w chwili jego śmierci miała pełną moc prawną.

Zapewniam was, że Marvin Roebuck dożył chwili, w której tego pożałował.

Nie zatrzymuj się na autostradzie

Diana liczyła, że wyjedzie o siedemnastej, tak żeby zdążyć na farmę na kolację. Starła się zatem nie okazywać prawdziwych uczuć, kiedy o szesnastej trzydzieści siedem jej zastępca, Phil Haskins, przedstawił jej skomplikowany, dwunastostronicowy dokument, który przed wysłaniem do klienta wymagał podpisu dyrektora. Haskins nie omieszkał przypomnieć, że w tym tygodniu stracili już dwa podobnie intratne kontrakty.

Zawsze tak działo się w piątki. Wczesnym popołudniem nawał telefonów mijał i kiedy już zamierzała wymknąć się po cichu do domu, na jej biurku lądował dokument wymagający autoryzacji.

I tym razem Dianie wystarczył jeden rzut oka, żeby się zorientować, że przed osiemnastą nie wyjdzie z pracy.

Obowiązki samotnej matki oraz dyrektora małej, ale świetnie prosperującej firmy w City sprawiały, że w ciągu tygodnia miała niewiele wolnych chwil, więc w co czwarty weekend, który James i Caroline spędzali z jej eksmałżonkiem, Diana starała się wyjść z pracy odrobinę wcześniej, żeby nie ugrzęznąć w piątkowych korkach ulicznych.

Pierwszą stronę kontraktu czytała powoli i uważnie. Zrobiła kilka poprawek. Była świadoma, że błąd wynikający z pośpiechu w piątkowy wieczór może mieć fatalne skutki w nadchodzących tygodniach. Kiedy podpisała już ostatnią stronę dokumentu, spojrzała na stojący na biurku zegarek.

Wskazywał siedemnastą pięćdziesiąt jeden.

Diana wzięła torebkę i ruszyła do drzwi. Życząc oschłym tonem udanego weekendu, wręczyła Philowi kontrakt. Podejrzewała, że dokument przeleżał u niego od dziewiątej rano, ale Phil złośliwie przekazał go jej dopiero o szesnastej trzydzieści siedem, powodowany zawiścią, że to ona, a nie on, dostała awans na dyrektora wydziału. Kiedy znalazła się wreszcie w windzie, nacisnęła najniższy guzik, żeby dostać się do podziemnego parkingu. Wyliczyła, że zwłoka spowodowana pracą nad kontraktem będzie ją kosztować dodatkową godzinę jazdy.

Wysiadła z windy, podeszła do swego audi, otworzyła drzwi i wrzuciła na tylne siedzenie torebkę. Kiedy już znalazła się na ulicy, sznur pojazdów posuwał się niewiele szybciej od przechodniów, którzy niczym mrówki spieszyli do najbliższej dziury w ziemi.

O osiemnastej włączyła radio, żeby wysłuchać wiadomości. Odezwały się kuranty Big Bena, po czym rzecznicy trzech głównych partii politycznych zaczęli składać oświadczenia na temat wyników wyborów do Rady Europejskiej. John Major zgrabnie wykręcił się od odpowiedzi na pytanie, jak widzi swoją przyszłość. Partia Konserwatywna niewielką aktywność tłumaczyła tym, że i tak do urn wyborczych poszło zaledwie czterdzieści dwa procent wyborców. Diana poczuła wyrzuty sumienia - należała do pięćdziesięciu ośmiu procent, które nie wzięły udziału w głosowaniu.

Spiker oświadczył, że sytuacja w Bośni jest tragiczna oraz że Rada Europejska zagroziła poważnymi konsekwencjami, jeśli Radovan Karadžić i Serbowie nie dojdą do porozumienia z pozostałymi stronami konfliktu. Diana pomyślała, że takie groźby to nic nowego.

Prawdopodobnie gdyby za rok otworzyła radio, usłyszałaby słowo w słowo to samo.

Kiedy jej samochód włókł się żółtym tempem przez Russell Square, zaczęła rozmyślać o nadchodzącym weekendzie. To już ponad rok temu John oświadczył, że poznał inną kobietę i prosi Dianę o rozwód. Ciągle nie mogła pojąć, że po siedmiu latach małżeństwa zdrada Johna nie stanowiła dla niej większego wstrząsu, nawet nie wprawiła jej we wściekłość. Od kiedy została dyrektorem, mieli dla siebie coraz mniej czasu. Zapewne też do pewnego stopnia straciła wrażliwość, ponieważ w dzisiejszych czasach co trzecie małżeństwo w Wielkiej Brytanii rozchodzi się lub żyje w separacji. Jej rodzice wprawdzie nie kryli swego niezadowolenia, ale oni przeżyli ze sobą czterdzieści dwa lata.

Rozstali się bez awantur, ponieważ John, który zarabiał mniej niż ona - zapewne jedna z kości niezgody - przystał na wszystkie żądania. Zatrzymała mieszkanie w Putney, audi i dzieci - John spędzał z nimi co czwarty weekend. Tego właśnie popołudnia odebrał dzieciaki wcześniej ze szkoły i jak zwykle miał je odstawić do Putney w niedzielę około dziewiętnastej.

Diana zrobiłaby wszystko, żeby nie zostawać w Putney sama, kiedy brakowało dzieci, i choć normalnie narzekała na odpowiedzialność, jaka spoczywała na niej jako na samotnej matce, gdy tylko traciła potomstwo z oczu, natychmiast zaczynała rozpaczliwie za nim tęsknić.

Nie znalazła sobie kochanka, nie sypiała z każdym, kto się nawinął. Starszy personel biura nigdy nie posunął się dalej poza zapraszanie jej na lunch. Zapewne dlatego, że tylko trzech mężczyzn było niezonatych - i to nie bez powodu. Jedyny mężczyzna, z którym ewentualnie mogłaby się bliżej związać, stawiał sprawę jasno: pragnie spędzać z nią noce, a nie dni.

Tak czy owak, Diana dawno już zdecydowała, że jeśli chce być traktowana serio jako pierwsza kobieta-dyrektor w tej firmie, jakiegokolwiek biurowe romanse, nawet całkiem przelotne czy krótkotrwałe, skończyłyby się tylko łzami. Mężczyźni są tacy próżni - myślała. Jeśli kobiecie raz powinie się noga i zrobi błąd, natychmiast przyklepiają jej etykietkę puszczalskiej i później każdy następny mężczyzna śmieje się głupawo za jej plecami lub traktuje jej udo jak przedłużenie poręczy wygodnego fotela.

Diana jęknęła, gdy zapaliły się kolejne czerwone światła i musiała zatrzymać samochód. Przez dwadzieścia minut pokonała zaledwie około trzech kilometrów. Otworzyła skrytkę po stronie pasażera i na ślepo wymacała kasetę. Włożyła ją do odtwarzacza mając nadzieję, że będzie to Pavarotti. Usłyszała głos Glorii Gaynor zapewniającej, że „Przeżyje”. Kiedy znów rozbłysły zielone światła, Diana uśmiechnęła się i pomyślała o Danielu.

Poznała go na początku lat osiemdziesiątych, kiedy studiowała ekonomię na uniwersytecie w Bristolu. Szybko się zaprzyjaźnili, ale nigdy nie zostali kochankami. Później Daniel spotkał Rachael, która była rok niżej, i od tego czasu nie spojrzął na inną kobietę. Pobrali się tego dnia, kiedy on obronił dyplom, a po powrocie z podróży poślubnej Daniel objął zarząd nad posiadłością swojego ojca w Bedfordshire. Wkrótce na świecie pojawiła się trójka dzieci i Diana była bardzo dumna, kiedy młodzi rodzice poprosili ją, żeby została matką chrzestną Sophie, najstarszej córki. Minęło już dwanaście lat od ślubu Daniela i Rachael, lecz Diana miała pewność, że ich rodzice nie muszą się martwić o małżeństwo swych dzieci. Jakkolwiek Daniel i Rachael uważali, że życie Diany jest ekscytujące i udane, ona jednak zazdrościła im prostej i spokojnej egzystencji. Nieustannie zapraszali ją do siebie na wieś, lecz na dwie lub trzy wysuwane przez Daniela propozycje Diana przyjmowała jedną - i to nie dlatego, że nie chciała się z nimi częściej widywać, ale że po rozwodzie krępowała się nadużywać ich

gościnności.

Diana, choć lubiła swoją pracę, musiała przyznać, że ostatni tydzień był morderczy. Stracili dwa kontrakty, Jamesa wyrzucono z drużyny piłkarskiej, a Caroline ciągle opowiadała, że ojciec pozwala jej oglądać telewizję nawet wtedy, gdy powinna odrabiać lekcje.

Kolejne czerwone światło.

Pokonanie następnych jedenastu kilometrów, by wydostać się z miasta, zajęło Dianie blisko godzinę. Kiedy znalazła się już na dwupasmowym wjeździe na autostradę, odszukała wzrokiem tablicę drogową z napisem A1; zrobiła to bardziej z nawyku niż rzeczywistej potrzeby ustalenia kierunku dalszej jazdy. Znała przecież każdy metr drogi dzielącej jej biuro od farmy. Próbowwała zwiększyć trochę szybkość, ale okazało się to niemożliwe. Oba pasma były zapchane.

- Cholera jasna - mruknęła przypominając sobie, że nie kupiła żadnego prezentu; nawet butelki czerwonego wina. - Cholera jasna - powtórzyła.

Daniel i Rachael zawsze pojawiali się z jakimś drobiazgiem i Diana przez chwilę zastanawiała się, czy zdoła coś kupić po drodze. Przypomniała sobie jednak, że między miejscem, w którym się akurat znajdowała, a farmą była tylko stacja benzynowa. Nie mogła przecież znów pojawić się z pudełkiem czekoladek, których i tak nie zjedzą.

Kiedy już znalazła się na A1, po raz pierwszy rozpedziła samochód do szybkości ponad osiemdziesięciu kilometrów na godzinę. Powoli opuszczało ją napięcie, rozluźniała się, a jej umysł zaczął dryfować w takt płynącej z radia muzyki.

Nic nie wskazywało na niebezpieczeństwo. Choć Diana natychmiast wcisnęła pedał hamulca, było już za późno. Rozległo się głucho uderzenie o przedni zderzak i poczuła lekki wstrząs.

Jakieś niewielkie, czarne stworzenie próbowało przebiec drogę i mimo natychmiastowej reakcji Diany wpadło pod koła pędzącego pojazdu. Diana natychmiast zjechała na twarde pobocze. Myślała o tym, czy zwierzę przeżyło. Powoli cofnęła auto do miejsca, gdzie nastąpiło zderzenie. Z szumem silników mknął obok sznur samochodów.

I wtedy zobaczyła go na trawie obok szosy - był to kot, który przebiegał tę szosę zapewne dziesiątki razy. Diana wysiadła i w świetle przednich reflektorów spojrzała na ciało zwierzęcia.

Poczuła mdłości. W jej domu były dwa koty i zdawała sobie sprawę, że nigdy nie mogłaby się przyznać dzieciom, że miała taki wypadek. Podniosła martwe zwierzę i złożyła je dalej od drogi.

- Tak mi przykro - powiedziała, czując się trochę głupio.

Jeszcze raz rzuciła okiem w tamtą stronę i wróciła do samochodu. Jak na ironię losu, wybrała audi ze względu na jego parametry zapewniające bezpieczną jazdę.

Zajęła miejsce za kierownicą i przekręciła kluczyk w stacyjce. Z głośników ciągle płynął bełkot Glorii Gaynor, która wyznawała właśnie, co sądzi o mężczyznach. Diana wyłączyła odtwarzacz i czekając na jakąś lukę w sznurze pędzących samochodów, usiłowała wyrzucić z pamięci martwego kota. Kiedy wreszcie włączyła się w ruch na autostradzie, nieustannie prześladował ją obraz zabitego zwierzęcia.

Znów przyspieszyła do osiemdziesięciu kilometrów na godzinę i nagle zdała sobie sprawę,

że oślepiają ją odbijające się we wstecznym lusterku światła jadącego za nią samochodu. Uniosła rękę i pomachała nią przed lusterkiem, ale reflektory tamtego pojazdu ciągle boleśnie raziły ją w oczy.

Diana zwolniła, żeby go przepuścić, lecz kierowca wcale z tego nie skorzystał. Dianie przyszło do głowy, że z jej autem może być coś nie w porządku. Może nie pali się któreś ze świateł? A może obluźowała się rura wydechowa? Czy...

Postanowiła przyspieszyć, lecz tamten samochód uporczywie trzymał się kilkanaście metrów za jej tylnym zderzakiem. Próbowwała przyjrzeć się we wstecznym lusterku kierowcy, lecz w oślepiającym blasku reflektorów było to niemożliwe. Kiedy jednak w końcu jej oczy przyzwyczyły się trochę do jaskrawego światła, rozróżniła ciemną sylwetkę wielkiej furgonetki i sylwetkę młodego mężczyzny za kierownicą. Odniosła wrażenie, że macha do niej ręką.

Diana, kiedy zbliżyła się do kolejnego odcinka drogi o jednokierunkowym ruchu, ponownie przyhamowała i dała jadącemu za nią kierowcy kolejną szansę wyprzedzenia audi. Tamten jednak znów nie zareagował i uporczywie posuwał się kilka metrów w tyle. Cały czas miał włączone długie światła. Diana wyczekała momentu, kiedy w sznurze pojazdów jadących sąsiednim pasem po jej prawej stronie pojawiła się niewielka luka. Natychmiast wcisnęła pedał gazu i pomknęła autostradą A1.

Zgubiła w końcu furgonetkę. Zaczęła już się odprężyć i pomyślała o Sophie, która nigdy nie szła do łóżka, nim Diana przyjechała, czekała bowiem, by trochę jej poczytała przed snem... I nagle znów oślepił ją odbity we wstecznym lusterku blask długich świateł. Tym razem pojazd znajdował się dużo bliżej niż poprzednio.

Diana zwolniła, lecz furgonetka powtórzyła ten manewr. Przyspieszyła, ona również.

Zastanawiała się chwilę, co ma robić. Zaczęła machać jak oszalała na mijające ją samochody, ale kierowcy w ogóle nie reagowali. Gorączkowo rozważała, w jaki sposób mogłaby wezwać pomoc i wtedy przypomniała sobie, że kiedy została członkiem zarządu firmy, radzono jej, żeby zainstalowała w samochodzie telefon. Ale Diana uznała wtedy, że może z tym poczekać do najbliższego przeglądu pojazdu, który zresztą powinna już zrobić dobre dwa tygodnie temu.

Otarła z czoła pot, przez chwilę intensywnie się zastanawiała, a następnie błyskawicznie przejechała na pas szybkiego ruchu. Ścigająca ją furgonetka wykonała ten sam manewr i mknęła tak blisko za jej audi, iż Dianę ogarnął lęk, że jeśli nawet lekko naciśnie hamulec, spowoduje straszliwy karambol.

Przyspieszyła do stu czterdziestu kilometrów na godzinę, lecz tajemnicza furgonetka jej nie odstępowała. Diana nacisnęła jeszcze mocniej pedał gazu, osiągając prędkość stu sześćdziesięciu kilometrów, ale ścigający ją pojazd był cały czas tuż za audi, w odległości nie większej niż długość samochodu.

Zaczęła zapalać i gasić długie światła, włączyła światła awaryjne i naciskała klakson, żeby zwrócić na siebie uwagę. Miała nadzieję, że może dostrzegą ją policjanci z patrolu drogowego, każą jej zjechać na pobocze i wlepią mandat za przekroczenie szybkości. Wolę już mieć do czynienia z policją - pomyślała zwiększając jeszcze bardziej prędkość. Po raz pierwszy w życiu mknęła z szybkością blisko stu osiemdziesięciu kilometrów na godzinę. Nie mogła jednak

zgubić prześladowcy.

Bez ostrzeżenia zjechała na środkowy pas i zdjęła nogę z gazu, tak że ścigający ją zrównał się z audi. Po raz pierwszy miała okazję przyjrzeć się kierowcy. Miał na sobie czarną, skórzaną kurtkę i groźnie wskazywał palcem na Dianę. Pogroziła mu pięścią i przyspieszyła, ale on błyskawicznie znalazł się tuż za nią, niczym olimpijski biegacz, który nie chce stracić kontaktu z rywalem.

I wtedy sobie przypomniała...

Po raz drugi tego wieczora zrobiło się jej niedobrze.

- Boże drogi! - wykrzyknęła ogarnięta przerażeniem.

Przypomniała sobie szczegóły morderstwa dokonanego kilka miesięcy wcześniej na tej właśnie autostradzie. Kobieta została zgwałcona, a następnie poderżnięto jej gardło nożem o ząbkowanym ostrzu. Zwłoki ciśnięto na pobocze. Przez wiele tygodni przy autostradzie stały tablice z numerem telefonu, pod który kierowcy mogli dzwonić w tej sprawie. Znaki już zdjęto, ale policja do tej pory poszukiwała zabójcy. Diana zaczęła dygotać. Przypomniała sobie ostrzeżenia dla kobiet za kierownicą: „Nie zatrzymuj się na autostradzie”.

Kilka sekund później dostrzegła dobrze sobie znany znak drogowy. Dotarła do tego miejsca szybciej, niż się spodziewała. Jeszcze pięć kilometrów i zjedzie na drogę prowadzącą bezpośrednio na farmę. Zaczęła się w duchu modlić, żeby znaleźć się już na tej bocznej drodze i zostawić prześladowcę w czarnej, skórzanej kurtce na autostradzie A1. Wtedy ostatecznie go zgubi.

Postanowiła go przechytryć. Wjechała na pas szybkiego ruchu i znów mocno nacisnęła pedał gazu. Kiedy minęła tablicę drogową z napisem, że zjazd z autostrady znajduje się w odległości trzech kilometrów, mknęła już z szybkością stu sześćdziesięciu kilometrów na godzinę. Spociała się z emocji, gdy strzałka szybkościomierza dotarła do liczby sto osiemdziesiąt. Popatrzyła we wsteczne lustro, ale ciemny pojazd nieustępliwie posuwał się za nią. Muszę wybrać odpowiedni moment, jeśli chcę, żeby mój plan się powiódł - pomyślała. Kiedy do rozjazdu zostało tylko półtora kilometra, Diana zaczęła spoglądać w lewo, żeby się upewnić, iż wystarczy jej czasu. Nie musiała zerkać w lustro. Wiedziała, że ciemna furgonetka ciągle jej towarzyszy.

Kolejny znak drogowy przedstawiał trzy przekątne białe linie, co znaczyło, że jeśli na najbliższym skrzyżowaniu chce opuścić autostradę, musi przenieść się na wewnętrzny pas. Dotąd trzymała się zewnętrznego. Pędząc z szybkością stu sześćdziesięciu kilometrów, wypatrzyła za sobą sporą lukę między samochodami. Na poboczu szosy pojawiły się dwie białe linie; Diana wiedziała, że istnieje dla niej tylko jeden sposób ucieczki. Kiedy minęła znak z pojedynczą białą linią, przy szybkości stu czterdziestu kilometrów na godzinę nieoczekiwanie przecięła autostradę, na co inne samochody, znajdujące się na wewnętrznych pasach, zareagowały gwałtownym hamowaniem i wściekłym rykiem klaksonów. Ale Diany nie obchodziło, co myślą o niej kierowcy, ponieważ jechała już zjazdem, a czarna furgonetka oddalała się autostradą A1.

Roześmiała się z ulgą. Po prawej stronie miała sznur aut pędzących drogą szybkiego ruchu. Ale śmiech szybko zamienił się w okrzyk przerażenia, kiedy ujrzała, że ciemna furgonetka również przecina autostradę i przemykając tuż przed maską ogromnej ciężarówki,

wjeżdża na trawiaste pobocze, a następnie na zjazd. Niebawem znów podążała tuż za Dianą, oślepiając ją długimi światłami odbijającymi się we wstecznym lusterku.

Na końcu zjazdu Diana skręciła w lewo i ruszyła w stronę farmy gorączkowo się zastanawiając, co powinna dalej zrobić. Najbliższe miasteczko znajdowało się przy głównej drodze w odległości około dwudziestu kilometrów, a od farmy dzieliło ją tylko jednaście, z czego osiem prowadziło krętą, nie oświetloną drogą lokalną. Popatrzyła na wskaźnik paliwa. Strzałka prawie dochodziła do zera, ale zapewne wystarczy go, żeby spróbować jeszcze jednego sposobu. Jakies półtora kilometra dzieliło ją od skrzyżowania w boczną drogę i pozostała jej niespełna minuta, żeby coś wymyślić.

Kiedy do zakrętu miała kilkaset metrów, postanowiła jechać prosto do farmy. Mimo że droga była nie oświetlona, przecież znała na niej każdy wybój i zakręt, a była przekonana, że prześladowca nie zna tego krętego, wąskiego traktu. Gdy już dotrze do farmy, wyskoczy z auta i zanim mężczyzna w czarnej kurtce zdola ją złapać, schroni się w domu. Poza tym, na widok farmy prześladowca z całą pewnością ucieknie.

W odpowiedniej chwili nacisnęła hamulec i skręciła w wiejską drogę, oświetloną jedynie blaskiem księżyca.

Diana zabębniła palcami o kierownicę. A jeśli podjęłam błędną decyzję? - przemknęło jej przez myśl. Popatrzyła we wsteczne lusterko. Czyżby dał za wygraną? Oczywiście, że nie. Z mroku wyłonił się tył jadącego przed nią land rovera. Diana zwolniła czekając na moment, gdy droga się nieco rozszerzy. Wstrzymała oddech, wrzuciła trzeci bieg i wyprzedziła terenowy samochód. Nie była pewna, co lepsze: czołowe zderzenie z nadjeżdżającym z przeciwka autem czy poderżnięte gardło?

Wzięła zakręt i ujrzała przed sobą pustą drogę. Ponownie dodała gazu, odrywając się od ciemnej furgonetki na osiemdziesiąt, może sto metrów. Ale ścigający dał Dianie tylko chwilę wytchnienia.

Niebawem znów jechał tuż za nią, oślepiając długimi światłami.

Przy każdym zakręcie Diana zyskiwała trochę na czasie, gdyż kierowca furgonetki nie znał drogi i jego samochodem strasznie zarzucało. Niemniej Dianie nie udawało się oderwać od prześladowcy na dłużej niż kilkanaście sekund. Sprawdziła licznik przebytych kilometrów. Od skrzyżowania w lokalną drogę do farmy było trochę ponad osiem kilometrów, a ona dotychczas pokonała około trzech.

Obserwowała każdą dziesiątą część kilometra wskazywaną przez licznik. Przerazała ją myśl, że kierowca furgonetki może próbować zepchnąć ją na pobocze. Z determinacją trzymała się środka drogi.

Przejechała kolejny kilometr, a tamten trzymał się ciągle jej zderzaka. Nagle dostrzegła nadjeżdżający z przeciwka samochód. Zapaliła długie światła i nacisnęła klakson. Kierowca nadjeżdżającego auta zaczął gwałtownie gestykulować. Diana raptownie zwolniła, ale i tak otarła się bokiem samochodu o żywopłot. Znów sprawdziła licznik. Od celu dzieliły ją jeszcze trzy kilometry.

Przed każdym znajomym zakrętem zwalniała, po czym przyspieszała, nie chcąc dopuścić do tego, żeby furgonetka zrównała się z audi. Skupiła myśl na tym, co zrobi, kiedy już ujrzy przed sobą farmę.

Pamiętała, że podjazd do domu liczy około kilometra. Pełno na nim było kolein i dołów; Daniel od lat zaklinał się, że nie stać go na naprawę tej drogi. Na szczęście jednak podjazd był tak wąski, że mógł się na nim zmieścić tylko jeden samochód.

Daniel zwykle otwierał bramę przed jej przyjazdem, ale kilka razy zapomniał i Diana musiała wysiadać z samochodu. Tego wieczora jednak nie mogła pozwolić sobie na takie ryzyko. Jeśli brama będzie zamknięta, pojedzie do najbliższego miasteczka i wysiadzie przed Crimson Kipper, gdzie w piątkowe wieczory zawsze było tłoczno. Może również podjechać przed posterunek policji - jeśli go, naturalnie, znajdzie. Znowu sprawdziła wskaźnik paliwa. Strzałka dotykała czerwonego pola.

- Boże jedyny - westchnęła uświadamiając sobie, że nim dotrze do miasta, może zabraknąć jej benzyny.

Pozostało jej tylko modlić się, żeby Daniel nie zapomniał otworzyć bramy.

Pokonała kolejny zakręt i przyspieszyła, ale zyskała tylko kilka metrów przewagi nad ścigającym.

Wiedziała, że za chwilę znowu ją dogoni. Oczywiście, dogonił. Przez parę minut furgonetkę dzieliły od audi zaledwie centymetry. Diana nie odważyła się dotknąć hamulców - jeśli na tej opustoszałej drodze zdarzy się wypadek, nie zdoła się wymknąć napastnikowi.

Znowu sprawdziła licznik. Jeszcze kilometr.

- Brama musi być otwarta. Musi - powtarzała z rozpaczą na głos.

Kiedy minęła kolejny zakręt, w oddali zamajaczyły budynki farmy. Prawie krzyknęła z radości na widok palących się w pokojach na parterze świateł.

- Chwała Bogu! - odetchnęła z ulgą, ale natychmiast przypomniała sobie o bramie. - Boże, niech będzie otwarta! - jęknęła. Wiedziała, co zrobi, kiedy minie ostatni zakręt. - Błagam, niech będzie otwarta. Ten jeden raz - zebrała. - Nigdy już o nic więcej w życiu nie poproszę. - Na ostatnim zakręcie maska ciemnej furgonetki prawie dotykała jej tylnego zderzaka. - Proszę, proszę, proszę... -

I wtedy ujrzała bramę.

Stała otworem.

Diana czuła, że ocieka potem. Zwolniła, zmieniła bieg na dwójkę, minęła wrota ocierając się o nie prawym bokiem samochodu i znalazła się na wyboistej dróżce, którą szybko jechała w stronę domu. Furgonetka towarzyszyła jej nieubłaganie, dotykając niemal bagażnika audi. Diana przycisnęła klakson. Samochodem trzęsło i kołysało na wybojach.

Z drzewa zerwało się stado spłoszonych wron, które z krakaniem wzbiły się w powietrze. Diana zaczęła z całych sił krzyczeć:

- Daniel! Daniel!

Na znajdującej się dwieście metrów przed nią werandzie rozblęsnęło światło.

Blask przednich reflektorów padał na front domu, a Diana nie zdejmowała dłoni z klaksonu.

Kiedy była jakieś sto metrów od werandy, w drzwiach pojawił się Daniel, lecz ona nie zwalniała, podobnie jak ścigające ją auto. W odległości pięćdziesięciu metrów od domu

zaczęła migać reflektorami. Na twarzy Daniela odbiło się najpierw zdziwienie, a później przestraszenie.

Trzydzieści metrów przed farmą nacisnęła hamulec. Ciężkie audi wpadło na żwirze w poślizg i samochód gwałtownie zatrzymał się tuż przed rabatami kwiatowymi pod kuchennym oknem. Diana usłyszała za plecami pisk hamulców. Mężczyzna w czarnej, skórzanej kurtce nie znał terenu i na sydkiej nawierzchni stracił kontrolę nad kierownicą. W sekundę później wyrznął w tył samochodu Diany, odbił się i uderzył z kolei w ścianę budynku tłukąc okno w kuchni.

Diana wyskoczyła z audi.

- Daniel! - wrzasnęła. - Biegnij po karabin! Biegnij po karabin! - Wskazała furgonetkę. - Ten drań ścigał mnie przez trzydzieści kilometrów!

Z ciemnego samochodu wynurzył się mężczyzna i utykając ruszył w ich stronę.

Diana uciekła do domu. Daniel chwycił stojący pod ścianą karabin, którego używał do polowania na króliki. Wybiegł na zewnątrz i stanął twarzą w twarz z nieproszonym gościem, który zatrzymał się przy wgiętym bagażniku audi. Uniósł karabin i wycelował w napastnika.

- Nie ruszaj się, bo będę strzelać - powiedział spokojnie.

I wtedy przypomniał sobie, że karabin jest nie nabity. Diana również wybiegła z domu, ale trzymała się kilkanaście metrów za Danielem.

- To nie ja! To nie ja! - krzyknął młody człowiek w skórzanej kurtce.

W tej samej chwili w drzwiach pojawiła się Rachael.

- Co się dzieje? - zapytała zdenerwowana.

- Dzwoń po policję - polecił Daniel i żona błyskawicznie zniknęła w domu.

Daniel ruszył w stronę najwyraźniej przerażonego młodzieńca. Nie spuszczał go z muszki.

- To nie ja! To nie ja! - krzyknął ponownie mężczyzna i wskazał audi. - On jest w tym samochodzie! - Szybko odwrócił się do Diany. - Widziałem, jak wskakiwał do środka, kiedy zatrzymała się pani na poboczu. Cóż mogłem innego zrobić? A pani nie chciała się zatrzymać.

Daniel zbliżył się ostrożnie do tylnych drzwi samochodu Diany i polecił, żeby młokos powoli je otworzył. Cały czas trzymał lufę karabinu przytkniętą do jego piersi.

Młody człowiek szarpnął za klamkę i cofnął się gwałtownie. Cała trójka ujrzała mężczyznę przykucniętego na podłodze auta. W prawym ręku ścisnął długi nóż o ząbkowanym ostrzu. Daniel bez słowa wyrznął go lufą karabinu w głowę.

Z oddali dobiegało wycie policyjnych syren.

Nie na sprzedaż

Sally Summers zdobyła w szkole główną nagrodę w dziedzinie sztuki w wieku czternastu lat.

Przez ostatnie cztery lata w St Bride's nikt nie potrafił jej dorównać. Kiedy na ostatnim roku uzyskała najbardziej prestiżowe stypendium w Akademii Sztuk Pięknych Slade, nikogo z jej znajomych to nie zaskoczyło. Dyrektorka szkoły oznajmiła zebranim rodzicom, że od samego początku świącie wierzyła, iż Sally czeka wielka kariera oraz że już niebawem jej prace będą wystawiane w najsłynniejszych galeriach Londynu. Sally, naturalnie, pochlebiała wszystkim te zaszczyty, ale wcale nie była pewna, czy naprawdę ma talent.

Już pod koniec pierwszego roku w Akademii Slade starsi studenci zaczęli dostrzegać prace Sally.

Jej technika rysunku była uważana za wyjątkową, a prace malarskie stawały się z każdym semestrem coraz śmielsze. Ale uwagę studentów przede wszystkim przykuwały niebywale oryginalne pomysły młodej artystki.

Na ostatnim roku zdobyła zarówno Nagrodę Mary Rischgitz za malarstwo olejne, jak i Nagrodę Henry'ego Tonksa za rysunek. Obie wręczył jej sir Roger de Grey, dyrektor Akademii Królewskiej, i Sally znalazła się w nielicznej grupie twórców, o których mówiło się, że „mają przed sobą przyszłość”. Ale, jak oświadczyła rodzicom, tak mówi się o wszystkich najlepszych studentach z każdego roku, a potem kończą oni w różnych agencjach reklamowych albo w najbardziej zapadłych dziurach Królestwa, gdzie prowadzą w szkołach ze znużonymi dziećmi lekcje plastyki.

Po zrobieniu dyplomu Sally musiała podjąć decyzję, czy ma zatrudnić się w którejś z agencji reklamowych, zdecydować się na pracę w szkole czy też postawić wszystko na jedną kartę, stworzyć tyle oryginalnych prac, by móc je wstawić do którejś z londyńskich galerii, a następnie starać się o wystawę autorską.

Rodzice Sally wierzyli, że córka jest wybitnie utalentowana. Ale co innego mogliby sądzić o jedynaczce? - myślała. Zwłaszcza kiedy jedno z nich uczyło w szkole muzyki, drugie było księgowym, a oboje zgodnie przyznawali, że na sztuce znają się niewiele. Wiedzieli tylko, czego by sobie życzyli najbardziej. Zgodzili się zatem jeszcze przez rok utrzymywać córkę, jeśli tylko zechce (jak to mawia młodzież) pójść na całość.

Sally świetnie zdawała sobie sprawę, że jakkolwiek jej rodzice są zadowoleni z podjętej decyzji, to przez kolejny rok bezrobotna córka będzie dla nich wielkim ciężarem. Po długim namyśle i wielu wahaniach postanowiła:

- Jeszcze rok, jeszcze tylko jeden rok - oświadczyła w domu. - Później, jeśli moje malarstwo okaże się niewystarczająco dobre albo jeśli nikt nim się nie zainteresuje i nie zechce go wystawiać, podejść do sprawy praktycznie i poszukam sobie odpowiedniej pracy.

Przez następnych sześć miesięcy Sally pracowała tak intensywnie jak nigdy, kiedy jeszcze była studentką. Namalowała dwanaście płócien. Nikomu ich nie pokazywała w obawie, że rodzice lub przyjaciele nie będą do końca z nią szczerzy. Postanowiła stworzyć cykl obrazów, a

później wysłuchiwać tylko najsurowszych opinii; najlepiej właścicieli galerii lub jeszcze surowszych sędziów - potencjalnych nabywców.

Sally zawsze była namiętną czytelniczką. Wiele czasu poświęciła lekturze książek i monografii poświęconych artystom - od Belliniego po Hockneya. Im więcej czytała, tym bardziej się utwierdzała w przekonaniu, że bez względu na to, jak bardzo jest twórca utalentowany, nielicznych, którzy odnieśli sukces, odróżnia od tych, którym się nie powiodło, jedynie perfekcyjne opanowanie warsztatu oraz oddanie się sztuce bez reszty. To inspirowało ją do jeszcze cięższej pracy, tak że zaczęła w końcu odrzucać zaproszenia na przyjęcia, na tańce, a nawet nie chciała wyjeżdżać z przyjaciółmi na weekendy. Każdą wolną chwilę spędzała w galeriach lub na lekturze o wielkich mistrzach.

Po jedenastu miesiącach Sally miała gotowych dwadzieścia siedem prac, ale wciąż nie była pewna, czy świadczą one o tym, że ma prawdziwy talent. Niemniej doszła do wniosku, że najwyższa pora, żeby poddać je ocenie innych.

Długo i krytycznie studiowała każde z dwudziestu siedmiu obrazów, a następnego ranka zapakowała sześć z nich w wielką płócienną teczkę, którą dostała od rodziców na Gwiazdkę i dołączyła do podróżnych udających się z Sevenoaks do Londynu.

Wędrówkę rozpoczęła od Cork Street, gdzie mieściły się galerie wystawiające prace Bacona, Freuda, Hockneya, Dunstona i Chadwicka. Onieśmielała ją myśl, że ma przekroczyć próg którejs z nich i poddać swoje skromne prace ocenie właściciela. Zniosła więc płócienną teczkę kilka przecznic dalej, na Conduit Street, gdzie w witrynach licznych galerii wisiały prace Jonesa, Campbella, Wczenskiego, Frinka i Paolozziego. To jeszcze bardziej ją onieśmieliło, odebrało wszelką odwagę do przekroczenia progu którejs z tych szacownych instytucji.

Do domu wróciła wieczorem kompletnie zmordowana, ani razu nie otworzywszy teczek z obrazami. Po raz pierwszy w życiu pojęła, co czuje artysta, którego dzieła są odrzucane i spotykają się z nieustanną krytyką. Przez całą noc nie zmrugała oka, ale w końcu doszła do wniosku, że i tak musi poznać prawdę o swojej twórczości, nawet za cenę upokorzenia.

Rano znów wybrała się do Londynu, ale tym razem skierowała swe kroki na Duke Street, nie opodal St James's. Nie zawracała sobie głowy galeriami wystawiającymi prace starych mistrzów, holenderskie martwe natury czy angielskie pejzaże. W ten sposób spokojnie minęła galerie Johnny'ego van Haefena i Rafaela Vallsa. W połowie ulicy skręciła w prawo i zatrzymała się przed galerią Simona Bouchiera, który wystawiał najnowsze rzeźby Sydneya Harpleya oraz malarstwo Muriel Pemberton - jej nekrolog przed kilkoma zaledwie dniami Sally czytała w „Independent”.

Właśnie wspomnienie zmarłej artystki sprawiło, że Sally zdecydowała się wstąpić do galerii Bouchiera. Być może szukają jakiegoś młodego talentu, próbowała przekonywać samą siebie. Kogoś, kogo czeka jeszcze długa kariera.

Przekroczyła próg i znalazła się w obszernym pustym pomieszczeniu, na którego ścianach wisiały akwarele Muriel Pemberton.

- Czym mogę służyć? - zapytała młoda kobieta siedząca przy biurku ustawionym obok okna.

- Dziękuję, niczym - odparła Sally. - Przyszedłam tylko popatrzeć.

Dziewczyna obrzuciła baczny spojrzeniem płócienną teczkę, ale nie odezwała się słowem.

Sally postanowiła obejść salę, a następnie opuścić galerię. Przechodziła od obrazu do obrazu, każdemu uważnie się przyglądając. Prace były dobre, bardzo dobre, ale Sally uważała, że gdyby ktoś dał jej troszeczkę czasu, niebawem malowałaby nie gorzej. Chciałaby obejrzeć prace Muriel Pemberton, kiedy artystka była w jej wieku!

Kiedy Sally dotarła do końca galerii, ujrzała niewielkie biuro, w którym niski, łysiejący mężczyzna, ubrany w znoszoną tweedową marynarkę i sztruksowe spodnie, studiował jakiś obraz.

Był w wieku jej ojca. Ten sam obraz oglądał również drugi mężczyzna, na którego widok dziewczyna przystanąła. Miał około metra osiemdziesięciu pięciu wzrostu i miał smagłą cerę Włocha; takie twarze widuje się przeważnie na zdjęciach w wytwornych magazynach drukowanych na lśniącym, kredowym papierze. Mógłby być bratem Sally.

Czy to pan Bouchier? - zastanawiała się chwilę Sally. Miała nadzieję, że tak. Jeśli to on właśnie był właścicielem galerii, to po odejściu starszego pana w znoszonej marynarce, mogłaby zdobyć się na odwagę i zagadnąć go. W tej samej chwili młody człowiek uniósł głowę i przesłał jej promienny uśmiech. Sally szybko odwróciła wzrok i zaczęła udawać, że studiuje jeden z obrazów.

Zastanawiała się właśnie, czy warto dłużej marnować czas w tej galerii, kiedy obaj panowie nieoczekiwanie opuścili biuro i ruszyli w stronę wyjścia.

Sally znieruchomiała udając, że interesuje ją portret dziewczyny namalowany pastelami w żółto-niebieskiej tonacji. Obraz był trochę stylizowany na Matisse'a.

- Co tam masz? - dobiegło ją obcesowe pytanie. Sally odwróciła się i stanęła oko w oko z dwójką mężczyzn. Niższy wskazywał płócienną teczkę.

- Kilka obrazów - wybąkała Sally. - Jestem malarką.

- Zobaczymy - powiedział mężczyzna - a wtedy zadecyduję, czy jesteś artystką, czy nie.

Sally zawahała się.

- No śmiało, śmiało - zakpił mężczyzna. - Nie mogę stać tutaj cały dzień. Jak sama widzisz, mam poważnego klienta, którego zaprosiłem na lunch - dodał wskazując wysokiego, doskonale ubranego, młodego człowieka, który jak dotąd nie wyrzekł jeszcze słowa.

- Aha, więc to pan jest panem Bouchier - odparła Sally, nie potrafiąc ukryć rozczarowania.

- Tak. Czy mogę zatem obejrzeć twoje prace?

Sally szybko rozpięła teczkę i rozłożyła na podłodze sześć obrazów. Obaj mężczyźni pochylili się i zanim cokolwiek powiedzieli, długą chwilę z uwagą studiowali płótna.

- Niezłe - oznajmił w końcu obojętnym tonem Bouchier. - Całkiem niezłe. Proszę mi je na kilka dni zostawić, a w przyszłym tygodniu ponownie się spotkamy... - Ur w ał. - Powiedzmy w poniedziałek o jedenastej trzydzięci. Jeśli masz jeszcze jakieś swoje ostatnie prace, przynieś je. -

Sally odjęło mowę. - Nie mogę się spotkać z tobą wcześniej - ciągnął właściciel galerii - ponieważ jutro jest otwarcie letniej wystawy Królewskiej Akademii Sztuk Pięknych. Tak więc w najbliższych dniach nie będę miał wolnej chwili. A teraz muszę cię przeprosić...

Młodszy mężczyzna dalej oglądał prace Sally. W końcu wyprostował się i popatrzył na dziewczynę.

- Chciałbym kupić ten środkowy, z czarnym kotem na okiennym parapecie. Ile pani sobie za niego życzy?

- Cóż - bąknęła Sally. - Nie jestem pewna...

- Nie są na sprzedaż - powiedział zdecydowanie pan Bouchier i poprowadził klienta w stronę drzwi.

- A przy okazji, nazywam się Antonio Flavelli - przedstawił się młody człowiek odwracając się w stronę Sally. - Przyjaciele i znajomi mówią do mnie Tony...

Pan Bouchier nie dał mu skończyć i wyprowadził z galerii na ulicę.

Tego popołudnia Sally wróciła do domu z pustą płócienną teczką, gotowa wyznać rodzicom, że jeden z londyńskich handlarzy zainteresował się jej pracami. Ale natychmiast dodała, że było to wyłącznie zainteresowanie.

Następnego ranka postanowiła udać się na otwarcie letniej wystawy Królewskiej Akademii Sztuk Pięknych, żeby po prostu zorientować się, jaki poziom reprezentują jej potencjalni rywale. Ponad godzinę stała w długiej kolejce, która ciągnęła się od wejścia, przez cały parking i kończyła na chodniku. Kiedy wreszcie dotarła na górę szerokich schodów, marzyła tylko o tym, żeby mieć metr osiemdziesiąt wzrostu i widzieć wszystko nad głowami zwiedzających, którzy tłumnie wypełniali wszystkie sale. Po kilku godzinach włóczenia się po różnych galeriach Sally doszła do wniosku, że maluje już na tyle dobrze, żeby w przyszłorocznej wystawie umieścić kilka własnych prac.

Przystanąła i dłuższy czas zachwycała się Chrystusem rozpiętym na krzyżu pędzla Craigie'a Aitchisona. Później sprawdziła w niewielkim, niebieskim katalogu cenę: dziesięć tysięcy funtów - więcej, niż ona by zarobiła, gdyby sprzedała wszystkie obrazy, jakie namalowała w życiu. Nagle z zamyślenia wyrwał ją miękki głos o włoskim akcencie.

- Witaj, Sally.

Dziewczyna odwróciła się i ujrzała uśmiechniętą twarz Tony'ego Flavellego.

- Pan Flavelli - powiedziała.

- Po prostu Tony. Lubisz Craigie'a Aitchisona?

- Jest wspaniały - odparła Sally. - Dobrze znam jego prace... miałam szczęście być jego uczennicą w Akademii Slade.

- Pamiętam czasy, wcale nie tak odległe, kiedy można było kupić jego dzieła najwyżej po dwieście lub trzysta funtów. Być może pewnego dnia tak samo będzie z tobą. Czy natknęłaś się tutaj jeszcze na coś godnego uwagi, co twoim zdaniem powinienem zobaczyć?

Sally pochlebiło, że poważny kolekcjoner malarstwa pyta ją o zdanie.

- Tak, wydaje mi się, że rzeźba „Książki na krześle” dłuta Julie Major jest wyjątkowo udana.

Moim zdaniem ta artystka ma talent i wielką przyszłość.

- Podobnie jak ty - stwierdził Tony.

- Naprawdę tak sądzisz?

- Nie jest ważne, co ja sądzę - odparł. - Ale Simon Bouchier jest o tym przekonany.

- Chyba sobie ze mnie żarty stroisz.

- Wcale nie. I sama się o tym przekonasz, kiedy pójdziesz do niego w poniedziałek. Wczoraj podczas lunchu mówił o tobie: „Śmiało pociągnięcie pędzlem, niebywałe wycucie koloru, oryginalne pomysły”. Tak się rozgadał, że myślałem, iż nigdy nie skończy. Jednak przyrzekł, że kiedy już ustali z tobą cenę, sprzeda mi „Śpiącego kota, który się nie rusza”.

Sally odebrało mowę.

- Powodzenia - powiedział nieoczekiwanie Tony zbierając się do odejścia. - I to nie dlatego, żebym sądził, że go potrzebujesz. - Chwilę się zastanawiał, po czym zapytał: - Czy wybierasz się na wystawę Hockneya?

- Nie wiedziałam, że jest taka - wyznała szczerze Sally.

- To prywatna wystawa, która odbędzie się dzisiaj wieczorem. Od osiemnastej do dwudziestej pierwszej. - Popatrzył dziewczynie prosto w oczy. - Czy zechciałabyś mi towarzyszyć?

Zawahała się, ale tylko na mgnienie oka.

- Byłoby mi bardzo miło.

- Świetnie. Zatem spotkajmy się o osiemnastej trzydzieści w Ritz Palm Court.

Zanim dziewczyna zdążyła poinformować go, że nie wie, gdzie się znajduje Ritz Palm Court, wysoki, elegancki mężczyzna zniknął w tłumie.

Sally poczuła się nagle skrępowana, a ponadto nie miała na sobie odpowiedniego ubrania na wizytę w Ritzu. Popatrzyła na zegarek - dwunasta czterdzieści pięć - i przez chwilę zastanawiała się, czy zdąży pojechać do domu, przebrać się i wrócić na osiemnastą trzydzieści do Londynu.

Zdecydowała, że nie ma wyboru, ponieważ do tak wytwornego hotelu z całą pewnością nie wpuszczą kogoś, kto ma na sobie dzinsy i podkoszulek z reprodukcją „Krzyku” Muncha. Zbiegła po szerokich schodach, minęła Piccadilly i skierowała się do najbliższej stacji metra.

Po powrocie do domu w Sevenoaks - dużo wcześniej, niż się jej spodziewano - w kilku słowach wszystko wyjaśniła rodzicom.

- Czy widziałaś coś interesującego na wystawie? - dopytywała się matka.

- Niezłe rzeczy - odparła Sally wbiegając po schodach. A kiedy nikt już nie mógł jej usłyszeć, dodała: - Ale nic takiego, co mogłoby mnie zaniepokoić.

- Czy wrócisz na kolację? - zapytała jeszcze matka, wychylając z kuchni głowę.

- Nie sądzę! - odkrzyknęła Sally i zniknęła w sypialni. Tam zrzuciła z siebie ubranie i ruszyła do łazienki. Godzinę później, po dokładnej selekcji strojów, zeszła z kilkoma na dół. Przejrzała się uważnie w wiszącym w holu lustrze - sukienka, którą wybrała, była może trochę za krótka, ale za to doskonale eksponowała jej smukłe nogi. Pamiętała, jak studenci podczas zajęć bardziej zwracali uwagę na jej nogi niż na modelki, które mieli malować. Miała nadzieję, że Tony okaże się równie wrażliwy na takie wdzięki.

- Cześć, mamó! - zawołała i szybko opuściła dom, zanim matka zdążyła zauważyć, co jej córka na sobie włożyła.

Najbliższym pociągiem pojechała na Charing Cross. Wyszła na peron, ale wstydziła się pytać przechodniów o Ritza.

Zatrzymała zatem taksówkę mając nadzieję, że cztery funty wystarczą; tylko tyle pieniędzy zabrała ze sobą z domu. Jechała z duszą na ramieniu i wzrokiem wbitym w taksometr, który odliczył najpierw dwa funty, później trzy - dużo za szybko, pomyślała - trzy funty dwadzieścia... czterdzieści...

osiemdziesiąt... Miała właśnie zamiar poprosić taksówkarza, żeby się zatrzymał, kiedy pojazd przystanął przy krawężniku.

Postawny mężczyzna w grubym niebieskim trenczu natychmiast otworzył drzwi taksówki, a następnie uchylił przed Sally cylinder. Dziewczyna wręczyła kierowcy cztery funty i wstydząc się trochę dwudziestopensowego napiwku szybko wbiegła po schodach. Przeszła przez obrotowe drzwi i znalazła się w hotelowym holu. Popatrzyła na zegarek. Wskazywał osiemnastą dziesiątą. Postanowiła, że najlepiej będzie, jak poczeka na zewnątrz. Pospaceruje chwilę po sąsiednich ulicach i wróci trochę później. Odwracała się właśnie w stronę drzwi, kiedy zbliżył się do niej wytworny mężczyzna w długim czarnym surducie i zapytał:

- Czym mogę pani służyć?

- Jestem umówiona z panem Tonym Flavellim - wydukała Sally z nadzieją, że nazwisko to nie będzie mu obce.

- Pan Flavelli. Naturalnie, proszę pani. Proszę za mną. Wskażę pani jego stolik w Palm Court.

Ruszyła za mężczyzną szerokim, wyłożonym grubym dywanem korytarzem. Po trzech stopniach weszli do olbrzymiej sali pełnej niewielkich, okrągłych stolików. Prawie wszystkie były zajęte.

Przewodnik Sally wskazał stojący z boku stolik i kiedy zajęła przy nim miejsce, natychmiast pojawił się kelner.

- Czy życzy pani sobie coś do picia? Może szampan?

- Och, nie, dziękuję. Wystarczy coca-cola - odparła Sally.

Kelner uklonił się i znikł. Dziewczyna rozglądała się po wspaniale umeblowanym pomieszczeniu.

Wszyscy wydawali się tacy swobodni i naturalni. Po chwili znów pojawił się kelner i postawił przed Sally pięknie rznąszą szklanę z coca-

- colą, lodem i cytryną. Dziewczyna podziękowała i upiła niewielki łyk. Co chwila spoglądała na zegarek. Obciągnęła sukienkę najbardziej jak mogła żałując już, że nie wybrała jakiegoś mniej skąpego stroju. Niepokoiła się, co będzie, jeśli Tony się nie pojawi, gdyż nie miała czym zapłacić. I nagle go dostrzegła. Był ubrany w luźny, dwuczęściowy garnitur i rozpiętą pod szyją, kremową koszulę. W progu się zatrzymał i chwilę gawędził z elegancką kobietą. Po kilku minutach pocałował ją w policzek i ruszył w stronę Sally.

- Tak mi przykro - powiedział. - Nie chciałem, żebyś czekała. Ale chyba się nie spóźniłem?

- Nie, to ja przyszedłam trochę za wcześnie - odparła speszona, że Tony pochylił się i pocałował ją w rękę.

- I co sądzisz o wystawie? - zapytał, gdy przy ich stoliku pojawił się kelner.

- Jak zwykle to samo, sir? - zapytał.

- Tak, Michael, dziękuję.

- Bardzo mi się podobała - odparła Sally. - Ale...

- ...ale uważasz, że potrafisz malować równie dobrze - podchwycił Tony.

- Wcale nie - odparła, starając się wyczytać z jego twarzy, czy przypadkiem z niej nie kpi. Ale Tony był poważny. - Jestem przekonana, że wystawa Hockneya będzie lepsza - dodała, gdy na stoliku pojawił się kieliszek szampana.

- W takim razie muszę się usprawiedliwić - mruknął Tony.

Sally odstawiła szklanę z colą i popatrzyła na niego pytająco.

- Tutaj chwilowo nie ma tej wystawy - wyjaśnił. - Chyba że chcesz polecieć do Glasgow.

Na jej twarzy odbiło się zdumienie.

- Ale przecież mówiłeś...

- Musiałem wymyślić jakiś pretekst, żeby się z tobą umówić.

Słowa Tony'ego oszołomiły ją, a jednocześnie pochlebily, choć w pierwszej chwili dziewczyna nie wiedziała, co odpowiedzieć.

- Decyzję zostawiam tobie - ciągnął Tony. - Możemy razem zjeść kolację albo możesz wsiąść do pociągu i wrócić do Sevenoaks.

- Skąd wiesz, że mieszkam w Sevenoaks?

- Adres był wypisany wielkimi literami na twojej płóciennej teczce z obrazami - wyjaśnił Tony.

Sally wybuchnęła śmiechem.

- Wybieram kolację - odparła.

Tony zapłacił rachunek, wyszli z hotelu i ruszyli do pobliskiej restauracji na rogu Arlington Street.

Tym razem Sally zgodziła się na kieliszek szampana i pozwoliła wybrać Tony'emu dania z karty.

Był niebywale uprzejmy, czarujący i tak wiele wiedział na różne tematy, że dziewczyna nie potrafiła się zorientować, czym właściwie się zajmuje.

Po zapłaceniu rachunku Tony zapytał, czy ma ochotę napić się kawy „u niego”.

- Obawiam się, że muszę odmówić - odparła spoglądając na zegarek. - Nie zdążę na ostatni pociąg.

- A więc odwiozę cię na stację. Przecież żadne z nas nie chce, żebyś się spóźniła na ostatni pociąg - rzekł podpisując rachunek.

Tym razem zorientowała się, że wyraźnie stroi sobie z niej żarty, i zaczerwieniła się. Kiedy znaleźli się już przed Charing Cross, Tony zapytał:

- Kiedy będę mógł cię zobaczyć?

- Z panem Bouchierem jestem umówiona o jedenastej trzydzięści...

- ...w następny poniedziałek, jeśli dobrze pamiętam. Co powiesz na wspólny lunch, kiedy już podpiszecie umowę? Będę w galerii około dwunastej trzydzieści. Do widzenia.

Pochylił się i delikatnie pocałował ją w usta.

Siedząc w zimnym, śmierdzącym wagonie ostatniego pociągu do Sevenoaks, Sally dręczyła ciekawość, jak wyglądałaby kawa „u niego”.

Do galerii weszła kilka minut przed wpół do dwunastej. Simon Bouchier klęczał na dywanie i z pochyloną głową studiował jakieś obrazy. Nie były to jej prace i miała nadzieję, że właściciel galerii sądzi o nich to samo, co ona. Simon uniósł głowę.

- Witaj, Sally. Coś okropnego, prawda? Człowiek musi się przebić przez takie stopy śmieci, zanim trafi na kogoś, kto ma prawdziwy talent. - Wstał z podłogi. - Nie obraż się, ale Natasza Krasnoseljodkina ma jedną przewagę nad tobą.

- Jaką? - zapytała Sally.

- Przyciąga na wystawy tłumy.

- Dlaczego?

- Ponieważ podaje się za rosyjską hrabinę. Robi aluzje, że w linii prostej jest potomkinią ostatniego cara. Szczerze mówiąc, moim zdaniem najbliższej królewskiego majestatu była w lokalu „Perłowa Królowa”, niemniej w obecnej chwili jest „na fali”. Co to powiedział Andy Warhol? „W przyszłości każdy będzie sławny przez kwadrans”. W tym układzie Natasza może być gwiazdą nawet przez dwa kwadransy. W dzisiejszej porannej gazecie ilustrowanej wspominają również, że jest ona nową przyjaciółką księcia Andrzeja. Mogę się założyć, że nigdy się nawet nie spotkali. Ale gdyby tylko zjawił się na otwarciu, mielibyśmy tu tłumy. Obrazu naturalnie nie sprzedalibyśmy ani jednego, ale mielibyśmy tłumy.

- Dlaczego nie zdołalibyście nic sprzedać? - zainteresowała się Sally.

- Bo jeśli chodzi o nabywanie obrazów, publiczność nie jest głupia. Dla większości ludzi stanowią one wielką inwestycję i kupujący chcieliby wierzyć, że mają dobre oko i mądrze obracają pieniędzmi. Prace Nataszy, mimo że podaje się za hrabinę, nie dają im tej pewności. Natomiast jeśli idzie o ciebie, Sally, zaczynam odnosić wrażenie, że twoje obrazy zaspokoją gusty kupujących. Ale najpierw pokaż mi resztę swoich płócien.

Sally rozpięła wypchaną, płócienną teczkę i rozłożyła na dywanie dwadzieścia jeden prac.

Simon opadł na kolana i znów bardzo długo milczał. Kiedy w końcu się odezwał, wypowiedział tylko jedno słowo:

- Logiczne.

Kiedy już podniósł się z podłogi, dodał:

- Ale będę potrzebował ich więcej. Muszą być tej samej klasy co te. Tak, jeszcze dwanaście płócien, i to do października. Pragnę, żebyś się skoncentrowała na wnętrzach - w tym jesteś naprawdę dobra. Jeśli chcesz, moja panno, żebym zainwestował w ciebie mój czas i duże pieniądze, obrazy te muszą być lepsze niż dobre. Panno Summers, czy upora się pani do października z dwunastoma płótnami?

- Pewnie, że tak - odparła zuchowato Sally nie zastanawiając się nad tym, że do października zostało już tylko pięć miesięcy.

- To dobrze, bo jeśli mi je dostarczysz, powtarzam, jeśli, to podejmę ryzyko i spróbuję cię jesienią wylansować... - Przeszedł do biura, przekartkował kalendarz i dodał: - Dokładnie siedemnastego października.

Sally nie potrafiła wykrztusić słowa.

- Nie sądzę, żebyś zdołała nawiązać romans z księciem Karolem trwający, powiedzmy, od końca września do początku listopada. To by rosyjską hrabinę z Mile End Road zepchnęło z czołówek gazet, a nam zagwarantowało tłumy podczas otwarcia.

- Obawiam się, że z Karolem mi nie wyjdzie - przyznała Sally. - Zwłaszcza, że żąda pan, abym do tego czasu stworzyła dwanaście nowych płócien.

- Szkoda, bo gdyby udało mi się zainteresować zawodowych kolekcjonerów i ściągnąć ich na otwarcie twojej wystawy, jestem pewien, że kupowaliby twoje prace. Cały problem polega na tym, że trudno ich zainteresować nieznanym twórcą... - Popatrzył nieoczekiwanie ponad ramieniem Sally.

- Cześć, Tony. Nie spodziewałem się ciebie dzisiaj.

- I miałaś rację - odparł Tony. - Zjawiłem się, żeby porwać Sally na uroczysty obiad po tym, co usłyszysz od ciebie.

- „The Summers Exhibition”[* Gra słów: The Summer Exhibition - Letnia wystawa lub od nazwiska bohaterki, Summers Wystawa pani Summers (przyp. tłum.)] - wyjaśnił Simon uśmiechając się lekko - zostanie otwarta nie w czerwcu w Królewskiej Akademii, ale w październiku w Galerii Bouchiera. Dokładnie: siedemnastego października.

- Moje gratulacje! - wykrzyknął Tony, odwracając się w stronę Sally. - Zjawię się osobiście i przyprowdzę ze sobą wszystkich przyjaciół i znajomych.

- Mnie interesują wyłącznie bogaci - wtrącił rzeczowo Simon w chwili, kiedy ktoś wszedł do galerii.

- Natasza - powiedział zwracając się do szczupłej, ciemnowłosej kobiety.

Pierwszą myślą Sally było to, że przybyła powinna zostać raczej modelką dla artystów, a nie malarką.

- Dziękuję, że tak szybko się pojawiłaś, Nataszo. A wam życzę udanego lunchu - dodał przesyłając uśmiech Tony'emu, który nie mógł oderwać wzroku od Rosjanki.

Ale Natasza nie zwracała na niego uwagi. Bez reszty pochłonęły ją obrazy Sally. Kiedy Tony i Summers opuszczali galerię, nie potrafiła ukryć malującej się na jej twarzy zawiści.

- Czyż ona nie jest oszłamiająca? - odezwała się Sally.

- Tak? - mruknął Tony. - Nie zauważyłem.

- Nie winię księcia Andrzeja za to, że wdał się z nią w romans.

- Do licha! - wykrzyknął naraz Tony wsuwając rękę do kieszeni. - Zapomniałem wypisać Simonowi czek. Poczekaj tutaj. Za minutę wracam.

Zawrócił biegiem w stronę galerii, a Sally cierpliwie stała na rogu przerażająco długą minutę. W końcu mężczyzna znów pojawił się.

- Przepraszam, ale Simon rozmawiał przez telefon - wyjaśnił, wziął Sally za rękę i przeprowadził przez jezdnię do małej, włoskiej restauracji, w której najwyraźniej również miał

swój stały stolik.

Zamówił butelkę szampana.

- Żeby uczcić twój wielki sukces - wyjaśnił.

Kiedy Sally uniosła do ust kieliszek, po raz pierwszy uświadomiła sobie, ile czeka ją pracy, jeśli chce dotrzymać słowa danego Simonowi i do października stworzyć dwanaście obrazów.

Tony nalał jej drugi kieliszek i Sally przesłała mu promienny uśmiech.

- Ten dzień zapamiętam na całe życie. Powinnam natychmiast zatelefonować do rodziców, żeby się pochwalić, ale nie sądzę, żeby mi uwierzyli.

Sally nie skończyła jeszcze sałatki, kiedy Tony po raz trzeci napełnił kieliszki. Po chwili ujął jej dłoń i pocałował.

- Nigdy jeszcze nie spotkałem tak ślicznej dziewczyny jak ty - wyznał. - A już na pewno tak utalentowanej.

Sally, żeby ukryć zakłopotanie, wypila łyk szmpana. Ciągłe nie była pewna, czy może mu ufać, ale szklaneczka białego wina, a po niej dwie czerwonego rozwiały wszelkie wątpliwości. Sally była przekonana o szczyrych intencjach Tony'ego.

Tony podpisał rachunek i ponowił zaproszenie na kawę, którą mieli wypić u niego w domu. Sally zdecydowała, że tego dnia i tak już nie będzie pracować, więc skinęła głową. Doszła do wniosku, że w zupełności zasłużyła sobie na beztrudne popołudnie i wieczór.

W taksówce, w drodze do Chelsea, oparła głowę na ramieniu Tony'ego, a on zaczął całować ją w usta.

Gdy przybyli do jego domu na Bywater Street, pomógł Sally wysiąść z taksówki. Pod rękę weszli po schodach i przekroczyli próg. Później poprowadził ją przez słabo oświetlony korytarz do salonu i natychmiast zniknął w sąsiednim pokoju, a Sally usiadła w rogu kanapy. Meble oraz obrazy, które zajmowały dosłownie każdy centymetr ścian, widziała jak przez mgłę. Kiedy w chwilę później wrócił Tony z kolejną butelką szampana i dwoma kieliszkami, dziewczyna nie spostrzegła nawet, że był już bez marynarki, krawata i bez butów.

Podał jej kieliszek. Podniosła go do ust, a on usiadł obok, objął ją i przygarnął bliżej. Kiedy ponownie zaczął ją całować, Sally poczuła się trochę głupio z pustym kieliszkiem, trzymanym w uniesionej ręce. Tony wyjął go jej z dłoni, odstawił na stolik, a następnie wziął Sally w ramiona i znowu całował - tym razem dużo namiętniej. Kiedy opadła na plecy, wsunął dłoń między jej kolana i powoli zaczął przesuwając palce w górę.

Dziewczyna kilkakrotnie próbowała go powstrzymać, ale Tony dobrze wiedział, co i jak należy robić. Sally dotąd zawsze potrafiła dać sobie radę, kiedy w ostatnim rzędzie w kinie któryś ze studentów z Akademii posuwał się trochę za daleko, ale nigdy jeszcze nie miała do czynienia z kimś, kto robił to w tak delikatny i subtelny sposób. Dopiero gdy z ramion zsunęła się jej sukienka, spostrzegła, że Tony zdążył już rozpiąć dwanaście małych guzików na plecach.

Oderwali się od siebie na chwilę. Sally czuła, że powinna opuścić ten dom, zanim będzie za późno. Tony uśmiechnął się, rozpiął koszulę i ponownie wziął dziewczynę w ramiona. Biło od niego rozkoszne ciepło, a wszystko robił tak delikatnie, że Sally nie zorientowała się nawet,

kiedy zdjął jej stanik. Osunęła się na plecy, zamknęła oczy i napawała każdą upływającą sekundą. Zdawała sobie sprawę, że dopiero teraz, po raz pierwszy w życiu poznała, co to znaczy zostać umiejętnie uwiedzioną.

W końcu Tony położył się obok niej i stwierdził:

- Tak, ten dzień zapamiętam na całe życie. Ale sądzę, że raczej nie zadzwonię do rodziców, żeby się pochwalić.

Roześmiał się i Sally poczuła, że na policzki występują jej rumieńce. Tony był jej czwartym mężczyzną - ale tamto działo się przed wieloma miesiącami; w jednym wypadku, przed laty.

Przez następną godzinę gawędzili o różnych rzeczach, ale tak naprawdę Sally chciała się dowiedzieć jednego: co Tony do niej czuje. Nie potrafiła go rozszyfrować.

I wtedy jeszcze raz wziął ją w ramiona, ale tym razem pociągnął na podłogę i kochał się z nią tak namiętnie i z taką pasją, że Sally zastanawiała się, czy kiedykolwiek wcześniej w ogóle uprawiała z mężczyzną miłość.

Na pociąg do domu zdążyła w ostatniej chwili. Żałowała jednak, że nie spóźniła się na dworzec.

Przez kilka następnych miesięcy Sally bez reszty oddawała się pracy, przelewając na płótna swoje najnowsze pomysły. Każdy ukończony obraz wiozła niezwłocznie do Londynu, gdzie uważnie wysłuchiwała uwag Simona. Z każdym nowym malowidłem uśmiech na twarzy właściciela galerii stawał się szerszy, a najczęściej teraz powtarzanym przez Bouchiera słowem było: „oryginalne”.

Opowiadała mu o nowych pomysłach, on zaś wprowadzał ją w szczegóły październikowej wystawy.

Czasami szła z Tonym na lunch, a następnie do niego do domu, gdzie kochali się aż do chwili, kiedy Sally musiała wracać na ostatni pociąg.

Sally chciałaby częściej spotykać się z Tonym, ale pamiętała o nieprzekraczalnym terminie danym jej przez Simona, który nieustannie przypominał, że katalogi wystawy są już w druku, a zaproszenia gotowe do wysłania. Tony zresztą też sprawiał wrażenie równie zajętego jak ona i nie zawsze potrafił znaleźć dla niej czas, kiedy przyjeżdżała do Londynu. Czasami zostawała u niego na noc i do domu wracała pierwszym rannym pociągiem. Tony kilkakrotnie proponował jej, żeby się do niego przeprowadziła. Kiedy rozważała ten pomysł - a robiła to często - dochodziła do wniosku, że poddasze w jego domu świetnie by się nadawało na pracownię. W końcu zdecydowała, że przeniesie się tam po wystawie. Jeśli ponowi propozycję, ona wyrazi zgodę.

Na dwa dni przed otwarciem wystawy Sally uporała się z ostatnim obrazem i dostarczyła go Simonowi. Kiedy wyciągnęła go z płóciennej teczki, Simon wzniosł nad głowę ręce i wykrzyknął:

- Wielkie nieba! To jest najlepsze! Jeśli tylko nie przesadzimy z cenami, myślę, że przy odrobinie szczęścia przed zamknięciem wystawy powinniśmy sprzedać co najmniej połowę twoich obrazów.

- Tylko połowę? - zapytała Sally z nie skrywanym rozczarowaniem.

- Moja panno, jak na debiut, nie byłoby to źle. Na swojej pierwszej autorskiej wystawie Leslie Annę Ivory udało się sprzedać tylko jedno płótno. Teraz sprzedaje wszystkie w ciągu pierwszego tygodnia.

Sally jednak była niepocieszona i Simonowi błysnęła myśl, że wykazał niezbyt wiele taktu.

- Nie martw się. Wszystkie nie sprzedane płótna zostaną wystawione w galerii i po kilku dobrych recenzjach ludzie je wykupią.

Ale Sally ciągle miała kwaśną minę.

- Co sądzisz o ramach i stojakach? - zapytał Simon chcąc zmienić temat.

Sally dłuższą chwilę studiowała z uwagą głębokie, złożone ramy i jasnoszare stojaki. Na jej twarzy ponownie wrócił uśmiech.

- Ładne, prawda? - zapytał Simon. - Wspaniale kontrastują z kolorytem twoich obrazów.

Sally skinęła głową, ale zaczęła z kolei martwić się o ich cenę oraz o to, czy kiedykolwiek jeszcze będzie miała wystawę, jeśli ta pierwsza nie odniesie sukcesu.

- A tak swoją drogą, mam dobrego znajomego w AP - odezwał się Simon. - Nazywa się Mikę Sallis i...

- AP? - przerwała mu Sally.

- Agencji Prasowej. Mikę jest fotografikiem... zawsze gotów do usług przy dobrym temacie.

Obiecał, że się tutaj pojawi i zrobi ci zdjęcie na tle jednego z płócien. Później rozpropaguje fotografię na Fleet Street. Wtedy pozostanie nam tylko trzymać kciuki i modlić się, żeby nie pojawiła się Natasza. Nie chcę cię straszyć, ale zawsze znajdzie się ktoś, kto zechce przykleić ci łatkę. Nasza taktyka będzie polegać na rozgłaszaniu, że to twoja pierwsza wystawa po ukończeniu Akademii Slade, więc trudno, żebyś od razu trafiła na pierwsze strony gazet... - Urwał widząc, że Sally ponownie zaczyna tracić ducha. - Poza tym nie jest jeszcze za późno na romans z księciem Karolem.

To rozwiązałoby wszystkie problemy.

- Nie sądzę, żeby ten pomysł zachwycił Tony'ego - odparła z lekkim uśmiechem Sally.

Simon znów zganił się w duchu za brak taktu.

Wieczór Sally spędziła z Tonym w jego domu w Chelsea. Mężczyzna sprawiał wrażenie trochę roztargnionego, ale winą za to dziewczyna obarczała siebie - nie potrafiła ukryć rozczarowania kalkulacjami Simona co do liczby sprzedanych podczas wystawy obrazów. Kiedy skończyli się kochać, Sally próbowała poruszyć temat ich wspólnej przyszłości, ale Tony nieustannie sprowadzał rozmowę na inne tory mówiąc, jak wiele spodziewa się po samym otwarciu wystawy.

Tej nocy Sally wróciła do domu ostatnim pociągiem odjeżdżającym z Charing Cross.

Następnego dnia rano, po przebudzeniu, ogarnęło ją przygnębienie. Pokój został ogołocony z obrazów i pozostawało tylko oczekiwanie. Nastroju nie polepszył Tony, który oświadczył, że musi w interesach wyjechać z Londynu i wróci dopiero wieczorem na samo otwarcie wystawy.

Sally leżała w wannie i rozmyślała o nim.

- Ale będę twoim pierwszym klientem - zastrzegł. - Nie zapominaj, że ciągle zamierzam kupić „Śpiącego kota, który się nie rusza”.

Zadzwonił telefon, lecz zanim Sally zdążyła wyjść z wanny, odebrała go jej matka.

- To do ciebie! - zawołała z dołu.

Sally owinęła się ręcznikiem i pobiegła do telefonu w nadziei, że usłyszy głos Tony’ego.

- Cześć, Sally. Tu Simon. Mam dobre wieści. Właśnie dzwonił Mikę Sallis z AP. Jutro w południe pojawi się w galerii. Do tego czasu wszystkie płótna zostaną już oprawione i właśnie Mikę będzie pierwszą osobą z prasy, która je zobaczy. Oni zawsze chcą być pierwsi. Staram się coś wymyślić, żeby przekonać go, iż to wyjątkowa okazja... Aha, przysłano foldery. Wysły fantastycznie.

Sally podziękowała, odłożyła słuchawkę i miała właśnie zadzwonić do Tony’ego z propozycją spędzenia nocy w jego mieszkaniu, żeby następnego dnia mogli pójść do galerii razem, kiedy przypomniła sobie, że przecież nie ma go w mieście. Przez cały dzień niespokojnie krążyła po domu i tylko od czasu do czasu odzywała się do swego najbardziej cierpliwego modelu, śpiącego kota, który się nie rusza.

Nazajutrz wsiadła do porannego pociągu i pojechała do Londynu, żeby porównać obrazy z ich reprodukcjami w katalogu. Kiedy wkroczyła do galerii, oczy jej rozbłysły. Kilka obrazów już wisiało i po raz pierwszy poczuła, że jej prace naprawdę są coś warte. Popatrzyła w stronę biura.

Simon rozmawiał przez telefon. Przesłał jej uśmiech i gestem ręki pokazał, że za chwilę do niej przyjdzie.

Sally jeszcze raz rzuciła okiem na płótna i wtedy dostrzegła na stole egzemplarz katalogu. Na okładce widniał napis: „The Summers Exhibition”, a nad nim reprodukcja jednego z obrazów przedstawiających wnętrze salonu jej rodziców, otwarte okno, za nim zarośnięty chaszczami ogród.

Na parapecie, zupełnie lekceważąc padający deszcz, drzemał czarny kot.

Sally otworzyła katalog i przeczytała wstęp na pierwszej stronie.

Czasami jury jest zmuszone oświadczyć: W tym roku trudno było wyłonić zwycięzcę. Ale jeśli idzie o Sally Summers, nikt nie może mieć wątpliwości. Ogromny talent tej dziewczyny jest oczywisty dla każdego, kto choć raz ujrzy jej obrazy. Artystka osiągnęła rzadki sukces, zdobywając dwie najważniejsze nagrody nadawane przez Akademię Slade: zarówno w kategorii malarstwa olejnego, jak i rysunku. Obie uzyskała jednocześnie. W nadchodzących latach z najwyższym zainteresowaniem będą śledził rozwój tego nieprzeciętnego talentu.

Tekst powyższy został zaczerpnięty z przemówienia sir Rogera de Grey, wygłoszonego podczas uroczystości wręczenia Sally nagród Mary Rischgitz i Henry’ego Tonksa w Akademii Slade przed dwoma laty.

Sally zaczęła przerzucać kartki katalogu, oglądając po raz pierwszy w życiu kolorowe reprodukcje swoich obrazów. Każda strona świadczyła, jak wielką uwagę zwracał Simon na szczegóły i rozplanowanie prac.

Jej wzrok ponownie powędrował w kierunku biura właściciela galerii. Simon ciągle

jeszcze rozmawiał, więc Sally postanowiła zejść na parter i obejrzeć resztę płócien, które zostały już oprawione. Dolna galeria płonęła feerią barw, a obrazy w ramach porozwieszano tak zrećźnie, że Sally ujrzała własną twórczość w całkowicie nowym świetle.

Kiedy obeszła już całą salę, stłumiła uśmiech zadowolenia i ponownie ruszyła na górę. Mijając stojący pośrodku stół, dostrzegła na nim teczkę w inicjałami „NK”. Niedbale po nią sięgnęła. W środku znalazła masę bardzo lichych akwarel.

Przeglądając nigdy nie wystawione prace rywalki, Sally musiała przyznać, że we własnych aktach Natasza nie oddała sobie w pełni sprawiedliwości. Miała właśnie odłożyć teczkę i wrócić do Simona, kiedy jej wzrok spoczął na jednym z rysunków. Skamieniała.

Jakkolwiek obraz został wykonany bardzo nieudolnie, Sally nie miała wątpliwości, kim jest mężczyzna, do którego tuliła się półnaga Natasza.

Sally poczuła mdłości. Zamknęła teczkę i szybko zeszła na parter. W odległym kącie galerii Simon rozmawiał z jakimś mężczyzną obwieszonym aparatami fotograficznymi.

- Sally - powiedział Simon podchodząc do dziewczyny. - To jest Mike...

Ale Sally nie zwróciła na nich uwagi i biegiem ruszyła w stronę otwartych drzwi. Po policzkach spływały jej łzy. Szybkim krokiem skierowała się na St James's. Chciała uciec, zostawić galerię jak najdalej za sobą. I nagle stanęła jak wryta. W jej kierunku szli Tony i Natasza. Trzymali się za ręce.

Na oślep wybiegła na jezdnię, żeby przemknąć na drugą stronę ulicy. Za skarby świata nie chciała, żeby ta para ją zobaczyła.

Rozległ się przeraźliwy pisk opon, ale furgonetka nie zdążyła już ani zahamować, ani skręcić.

Silne uderzenie cisnęło Sally na środek ulicy.

Kiedy wróciła jej przytomność, czuła się okropnie. Zamrugowała. Wydawało się jej, że słyszy jakieś głosy. Ponownie poruszyła powiekami, ale upłynęło jeszcze kilka chwil, nim odzyskała ostrość widzenia.

Leżała w łóżku; ale nie było to jej łóżko. Prawą nogę, uniesioną wysoko w górę i podwieszoną na bloczku, miała w gipsie. Druga spoczywała pod kołdrą i chyba była w porządku. Dziewczyna poruszyła palcami lewej stopy. Tak, tę nogę miała zdrową. Spróbowała z kolei dźwignąć ręce. Obok łóżka pojawiła się pielęgniarka.

- Witaj wśród nas, Sally - powiedziała.

- Jak długo tutaj leżę?

- Dwa dni - odparła pielęgniarka badając jej puls. - Ale zadziwiająco szybko odzyskujesz siły.

Masz tylko złamaną nogę, a sińce zejda, zanim wypuścimy cię do domu. A swoją drogą - dodała ruszając w kierunku innej pacjentki - bardzo mi się podobają twoje obrazy. Ich reprodukcje zamieściła dzisiaj cała poranna prasa. Twój przyjaciel wyraża się o tobie bardzo pochlebnie. Jak to jest być sławną?

Sally zamierzała spytać pielęgniarkę, o czym mówi, ale ta już zajęła się badaniem pulsu kobiety leżącej na sąsiednim łóżku.

- Czy możesz do mnie na chwilę wrócić... - zaczęła Sally, ale w tej samej chwili pojawiła się inna pielęgniarka i podała jej kubek z sokiem pomarańczowym.

- Proszę najpierw to wypić - poleciła.

Sally posłusznie zaczęła sączyć napój przez plastikową rurkę.

- Masz gościa - poinformowała pielęgniarka, kiedy Sally dopiła sok. - Czeka już od pewnego czasu. Chcesz, żeby wszedł?

- Jasne - odparła Sally.

Z jednej strony nie miała szczególnej ochoty oglądać Tony'ego, ale z drugiej koniecznie chciała wiedzieć, co się wydarzyło.

Popatrzyła w kierunku wahadłowych drzwi w końcu sali, ale upłynęło jeszcze parę chwil, zanim pojawił się w nich Simon. Ściskając w dłoniach coś, co można by określić mianem bukietu, zbliżył się do jej łóżka i pocałował zagipsowaną nogę.

- Simon, tak mi przykro - odezwała się, nim gość zdążył powiedzieć dzień dobry. - Zdaję sobie sprawę, na jakie naraziłam cię kłopoty i wydatki. I tak cię straszliwie zawiodłam.

- Jasne - warknął Simon. - Zawsze jestem wściekły, kiedy już pierwszego dnia wystawy w galerii zostają wyłącznie puste ściany i nic nie mam dla moich stałych klientów, którzy zaczynają na mnie burczeć. - Dziewczyna otworzyła usta ze zdziwienia, a Simon dodał: - Wybacz, ale Natasza na zdjęciu, w przeciwieństwie do ciebie, wyszła świetnie.

- O czym ty w ogóle mówisz, Simon?

- Mikę Sallis miał swoją wyjątkową okazję, a ty masz złamaną nogę - odparł Simon klepiąc dziewczynę po gipsie. - Kiedy Natasza pochylała się nad tobą, gdy leżałaś nieprzytomna na jezdni, Mikę zaczął robić zdjęcia. Sam nie wymyśliłbym lepszych nagłówek gazet, niż te, które podała prasa, cytując pochyloną nad tobą Nataszę: „Najwybitniejsza artystka młodej generacji. Jeśli świat utraci taki talent...” Sally wybuchnęła śmiechem słysząc, jak Simon naśladuje rosyjski akcent Nataszy.

- Jesteś na pierwszych stronach prawie wszystkich porannych gazet - ciągnął. - „Pędzel i śmierć”

-

to „Mail”. „Martwa natura w St James's” - „Express”. Doczekałaś się nawet tytułu „Rozpłaszczona” w „The Sun”. W galerii wieczorem pojawiły się całe tabuny snobów. Natasza ubrała się w czarną, przezroczystą suknię i mówiła do dziennikarzy złośliwości na temat twojego geniuszu. Ale to już nie miało znaczenia. Zanim pojawiły się na ulicach specjalne dodatki, sprzedaliśmy wszystkie płótna. A co ważniejsze, wszyscy liczący się krytycy są zgodni, że przejawiasz prawdziwy talent.

Sally uśmiechnęła się.

- Być może straciłam okazję na romans z księciem Karolem, lecz przynajmniej coś mi wyszło.

- Nie tak zupełnie - odparł Simon.

- O co ci chodzi? - zapytała ogarnięta nagłym niepokojem. - Przecież sam mówiłeś, że wszystkie obrazy zostały sprzedane.

- To prawda, ale gdybyś sprokurowała ten wypadek kilka dni wcześniej, mógłbym podnieść ceny co najmniej o pięćdziesiąt procent. Jednak nic straconego. Następnym razem możesz ten błąd naprawić.

- Czy Tony kupił „Śpiącego kota, który się nie rusza”? - zapytała cicho.

- Nie. Jak zwykle się spóźnił. Ten obraz poszedł w niecałe pół godziny po otwarciu wystawy.

Nabył go bardzo szacowny kolekcjoner. Przypomniało mi się... - dodał Simon w chwili, kiedy do sali weszli rodzice Sally. - Jeśli mamy myśleć o kolejnej, wiosennej wystawie, będę potrzebował dalszych czterdziestu płócien. Tak więc kuruj się i bierz do pracy.

- Człowieku, popatrz na mnie! - wykrzyknęła ze śmiechem Sally. - Jak w takim stanie...

- Nie rób z siebie ofiary - odparł Simon, klepiąc ją po gipsie. - Malujesz rękami, nie nogą. Sally uśmiechnęła się do rodziców, którzy przystanęli przy jej łóżku.

- Czy to jest właśnie Tony? - zapytała jej matka.

- Wielki Boże, mamó! - jęknęła Sally. - To Simon. On jest dużo ważniejszy. Wybacz mi - zwróciła się do Simona. - Taką samą omyłkę popełniłam, gdy ujrzałam cię po raz pierwszy.

Timeo Danaos... *

Arnold Bacon zbiłby fortunę, gdyby nie słuchał rad ojca.

Arnold miał w paszporcie wpisany zawód: „bankier”. Dla tych z was, którzy przykładają wagę do takich drobiazgów, wyjaśniam, że pełnił funkcję kierownika filii Barclays Bank w St Albans w hrabstwie Hertford, a to stanowisko w świecie bankowców odpowiada randze kapitana Służby Płatniczej Królewskich Wojsk Lądowych.

Paszport stwierdzał również, że jego właściciel urodził się w roku tysiąc dziewięćset trzydziestym siódmym, ma sto siedemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu, rudoblond włosy i nie posiada znaków szczególnych; choć w rzeczywistości miał na czole głębokie bruzdy świadczące o tym, że bardzo często marszczy brwi.

Był członkiem Klubu Rotariańskiego (honorowy skarbnik), członkiem Partii Konserwatywnej (wiceprzewodniczący oddziału partii) i byłym sekretarzem Festiwalu w St Albans. W latach sześćdziesiątych grał w rugby w drużynie Old Albans, a w siedemdziesiątych w krykieta w Klubie Krykietowym St Albans. W ostatnich latach jednak jego jedynymi ćwiczeniami fizycznymi były partie golfa rozgrywane z partnerem, który pracował w banku National Westminster. Arnold nigdy nie odnosił sukcesów w tym sporcie.

Podczas gry w golfa Arnold zadreślał rywala zwierzeniami, że nie powinien być zostać bankierem. Po latach udzielania pożyczek klientom, którzy chcieli rozpocząć własny interes, z bólem sobie uświadomił, że ma naturę przedsiębiorcy. Gdyby nie posłuchał rad ojca i idąc w jego ślady nie został bankowcem, Bóg jeden wie, jak wysoko by już zaszedł.

Jego partner kiwnął ze znużeniem głową, delikatnie, z odległości dwóch metrów, skierował piłkę do dołka i oświadczył, że nie miałby nic przeciwko jednemu głębszemu.

- Co słyhać u Deirdre? - zapytał, kiedy szli w stronę pawilonu klubowego.

- Zamierza kupić nową zastawę stołową - odparł Arnold, którego trochę zaskoczyło pytanie kolegi. - Nie rozumiem, dlaczego jej się nie podoba stara „Coronation”?

Kiedy dotarli do baru, Arnold popatrzył na zegarek i zamówił dla siebie duże piwo, a dla zwycięzcy gin z tomkiem. Deirdre nie spodziewała się go w domu jeszcze przez co najmniej godzinę.

Swój kufel przestał celebrować tylko na chwilę, żeby wysłuchać najświeższych plotek o żonie kapitana klubu.

Deirdre Bacon, pobłażliwa i obdarzona wielką cierpliwością żona Arnolda, już się pogodziła z tym, że zbyt spowszedniała małżonkowi, żeby oczekiwać jakiegokolwiek zmiany na lepsze. Choć miała wyrobione zdanie na temat losu, jaki stałby się udziałem Arnolda, gdyby nie poszedł za radą ojca, dawno przestała wygłaszać głośno swoje opinie. Gdy się poznali, uważała Arnolda za „urodzonego menedżera”. W miarę upływu lat jej oczekiwania stawały się coraz bardziej realistyczne, a po urodzeniu dwojga dzieci, chłopca i dziewczynki, zmieniła się w zwykłą kurę domową - tak naprawdę, to niczego innego się nie spodziewała.

Obecnie dzieci dorosły. Justin został urzędnikiem w biurze radcy prawnego, a Virginia poślubiła miejscowego chłopaka, którego zawód Arnold określał jako: pracownika Kolei

Brytyjskich. Deirdre, bardziej dokładna, oświadczyła przyjaciółkom u fryzjerki, że Keith jest maszynistą.

Przez pierwszych dziesięć lat małżeństwa Baconowie spędzali wakacje w Bournemouth, ponieważ tak właśnie zawsze robili rodzice Arnolda. Z biegiem czasu jednak coraz częściej jeździli do Costa del Sol, gdyż Arnold wyczytał w dodatku wakacyjnym „Daily Telegraph”, że tam właśnie w sierpniu można spotkać większość dyrektorów banków.

Przez wiele lat obiecywał żonie, że w dwudziestą piątą rocznicę ich ślubu zrobią „coś wyjątkowego”, ale nigdy nie sprecyzował dokładnie, na czym to ma polegać.

Stało się to dopiero wtedy, kiedy Arnold wyczytał w bankowym kwartalniku, że Andrew Buxton, prezes banku Barclays, spędzi lato żeglując prywatnym jachtem po greckich wyspach. Bacon bez wahania zaczął zasypywać listami liczne biura i agencje turystyczne, domagając się folderów i broszur. Po przestudiowaniu setek lśniących stron prospektów reklamowych zdecydował się na siedmiodniową wyprawę jachtem „Princess Corina”. Podróż zaczynała się w Pireusie, po drodze miano zwiedzić greckie wyspy, a wycieczka skończyłaby się w Mykonos. Jedynym wkładem Deirdre w dyskusję o wakacyjnych planach było stwierdzenie, że ona osobiście wolałaby pojechać do Costa del Sol, a za zaoszczędzone pieniądze kupić nową zastawę stołową. Była jednak bardzo rada, kiedy w jednej z broszur wyczytała, że Grecy słyną z garncarstwa.

Do czasu kiedy Baconowie zajęli wreszcie miejsca w taksówce, żeby pojechać na lotnisko Heathrow, podwładni Arnolda, jego koledzy z Klubu Rotariańskiego, a nawet niektórzy klienci byli śmiertelnie znudzeni opowieściami o tym, jak spędzi letni urlop.

- O płynę wszystkie greckie wyspy statkiem pasażerskim - mówił. - Wiecie, zupełnie inaczej niż prezes banku, Andrew Buxton.

Jeśli natomiast ktoś pytał Deirdre, gdzie zamierza spędzić z Arnoldem wakacje, odpowiadała, że jadą na siedmiodniową wycieczkę i ma tylko nadzieję, że do domu wróci z nową zastawą stołową.

Starą zastawę „Coronation” dostali od jej rodziców w prezencie ślubnym przed około dwudziestu pięciu laty i obecnie była już mocno przerzedzona. Kilka talerzy potłukło się, inne się wyszczerbiły, a wizerunki koron i bereł prawie całkowicie zbladły.

- Zupełnie nie rozumiem, dlaczego nie podoba ci się stara zastawa - dziwił się Arnold, kiedy czekali już w sali odlotów, a jego żona znów podjęła ten temat. Deirdre nawet nie próbowała ponownie wyszczególnić licznych wad starej „Coronation”.

Podczas lotu do Aten Arnold nieustannie narzekał, że samolot jest pełen Greków. Deirdre nie widziała sensu w przypominaniu mu, że skoro ktoś decyduje się na linię Olympic Airways, powinien się tego spodziewać. Wiedziała zresztą, jak brzmiałaby replika męża: „Ale dzięki temu oszczędziliśmy dwadzieścia cztery funty”.

W międzynarodowym porcie lotniczym Hellenikon dwoje podróżników wsiadło do autobusu.

Arnold podejrzewał, że w St Albans taki autobus zostałby dawno wycofany z eksploatacji przez Ministerstwo Transportu, ale tutaj dychawiczny pojazd jakoś dowiózł ich do centrum Aten, gdzie Bacon zarezerwował na jedną dobę pokój w dwugwiazdkowym hotelu (dwugwiazdkowym wedle standardów greckich). Arnold szybko znalazł miejscową filię banku

Barclays i zrealizował jeden z czeków podróźnych, wyjaśniając przy tym żonie, że chwilowo nie ma sensu wymieniać więcej, gdyż na pokładzie statku wszystko będą mieli za darmo. Był przekonany, że dokładnie tak samo postąpiłby każdy przedsiębiorca z prawdziwego zdarzenia.

Następnego dnia Baconowie wstali bardzo wcześnie, głównie z tego powodu, że w nocy niewiele zaznali snu. Nieustannie staczali się na środek wklęsłego materaca, a od twardych, jakby wypchanych ceglami poduszek bolały ich uszy. Jeszcze przed wschodem słońca Arnold wyskoczył z łóżka i otworzył malutkie okno wychodzące na tylny dziedziniec hotelu. Przeciągnął się i oświadczył żonie, że nigdy w życiu nie czuł się tak rześko. Deirdre nic nie odpowiedziała, ponieważ była zajęta pakowaniem ubrań.

Przy śniadaniu - posiłek składał się z nieco czerstwych, zdaniem Arnolda, rogalików, które kruszyły się w palcach, z sera, który nie miał w ogóle zapachu, oraz pustych filiżanek, ponieważ kelner stale zapominał dolewać herbaty - zawiązała się między Arnoldem a Deirdre długa debata, czy na statek mają jechać taksówką czy autobusem. W końcu oboje doszli do wniosku, że rozsądniej będzie złapać taksówkę; Deirdre nie chciała tłuc się zatłoczonym atenczykami autobusem, a Arnold ze względów ambicjonalnych wołał zajechać przed wiodący na statek trap taksówką.

Kiedy zapłacił rachunek - trzykrotnie sprawdził rzędy drobnych cyferek, zanim zdecydował się zrealizować kolejny czek podróźny - zatrzymał taksówkę i poinstruował szofera, że ma jechać do portu. Dłuższa, niż się spodziewał, jazda przestarzałym samochodem bez klimatyzacji nie wprawiła Arnolda w dobry humor.

Na widok „Princess Corina” nie potrafił ukryć rozczarowania. Statek nie był ani tak duży, ani tak nowoczesny, jak pisano w lśniącym prospekcie reklamowym. Bankier podejrzewał, że jego prezes, Andrew Buxton, nie ma takich problemów.

Państwo Bacon weszli po trapie na pokład, skąd odprowadzono ich do kajuty, gdzie, ku przerażeniu Arnolda, znajdowały się dwa łóżka, umywalka, prysznic, iluminator i dlatego na środku nie było nawet dość miejsca, żeby oboje mogli się jednocześnie rozebrać. Arnold oświadczył żonie, że zapewne ta kabina nie była wymieniona w broszurze, mimo że oficjalnie nosiła miano ekonomicznej „De Luxe”. Doszedł do wniosku, że broszurę musiał napisać agent, którego dawno już wyrzucono z pracy.

Arnold ruszył na zwiedzanie pokładu - nie była to zbyt długa wyprawa. Po drodze natknął się na radcę prawnego z Chester, który wolnym krokiem podążał z żoną w przeciwną stronę. Gdy Arnold dowiedział się, że Malcolm Jackson jest starszym partnerem w jego firmie, a żona, Joan Jackson, sędzią, zaproponował wspólny lunch.

Kiedy wybrali już w bufecie dania, Arnold nie tracił czasu i niezwłocznie poinformował nowych znajomych, że jest urodzonym przedsiębiorcą, wyjaśniając przy tym, jakich, na przykład, natychmiastowych zmian dokonałby na „Princess Corina”, gdyby był właścicielem linii morskiej, do której należał statek (lista innowacji byłaby, obawiam się, za długa na tak krótkie opowiadanko).

Radca prawny, który dotąd nie podzielał obiekcji Arnolda, z zainteresowaniem słuchał wywodów, a Deirdre zwierzała się Joan, że ma nadzieję kupić na jednym z wysepek nową zastawę stołową. „Grecy są słynni ze swoich wyrobów garncarskich” - stwierdziła.

Podczas wspólnej kolacji temat rozmowy nie odbiegał zasadniczo od poruszanego przy

lunchu.

Baconowie, jakkolwiek zmordowani po pierwszym dniu spędzonym na pokładzie, niewiele tej nocy spali. Ale Arnold, gdy płynęli po Morzu Egejskim zamknięci w niewielkiej kajutce statku, nie chciał się przyznać, że mając wybór, bez wahania zamieniłby te dwie prycze, po których w miarę przechyłów statku przetaczali się to w prawą, to w lewą stronę, na pokój w dwugwiazdkowym hotelu (dwugwiazdkowym wedle standardów greckich) z łózkami o pozapadanych materacach i z twardymi jak cegły poduszkami.

Po dwóch dniach podróży, kiedy łajba zawinęła do portu na Rodos, nawet Arnold przestał już nazywać ją statkiem pasażerskim. Większość pasażerów, zadowolonych, że mogą wreszcie spędzić kilka godzin na stałym lądzie, natychmiast zbiegła trapem na nadbrzeże.

Arnold i Malcolm ruszyli zgodnie do najbliższego banku Barclays, żeby zrealizować czeki podróżne, a Deirdre i Joan udały się w przeciwną stronę, żeby rozejrzeć się za zastawą stołową. W banku Arnold natychmiast poinformował kierownika działu, kim jest, zapewniając, że zarówno on, jak i Malcolm, otrzymali skape informacje o kursach walut.

Arnold uśmiechał się pod nosem, kiedy wychodzili na rozpaloną słońcem, zakurzoną, wybrukowaną kocimi łbami uliczkę.

- Powinienem w przyszłości zająć się handlem - oświadczył Malcolmowi, kiedy schodzili ze wzgórza. - Zbiłbym fortunę.

Znalezienie stosownej zastawy stołowej nie było rzeczą prostą. Sklepów było wiele, oferowały towar różnej jakości i Deirdre szybko pojęła, że na Rodos jest ogromny wybór naczyń. Należało więc najpierw ustalić, które z nich cieszą się najlepszą opinią u miejscowych, a następnie znaleźć właściwy sklep. Informację tę otrzymały od starych, ubranych na czarno kobiet siedzących w milczeniu na rogach ulic. Deirdre natychmiast zorientowała się, że tylko jedna na dziesięć włada łamaną angielszczyzną. Podczas gdy jej mąż oszczędzał w banku kilka drachm, ona zdobyła wszelkie niezbędne informacje.

Cała czwórka spotkała się na lunchu w niewielkiej tawernie w centrum miasta. Nad talerzem z *souvlakiem* Arnold próbował przekonać Deirdre, że w podróży odwiedzą pięć wysp i będzie rozsądniej wstrzymać się z zakupem do wylądowania w porcie docelowym. Zastawę stołową można kupić w ostatniej chwili.

- Im bliżej Aten, tym ceny będą niższe - argumentował.

Mówił tonem doświadczonego człowieka interesów.

Choć Deirdre znalazła już zastawę na trzydzieści dwie osoby, i to w przystępnej cenie, niechętnie przyznała Arnoldowi rację. Jej zgoda brała się głównie stąd, że to mąż trzymał wszystkie czeki podróżne.

Zanim okręt dopłynął do Heraklionu na Krecie, Arnold poznał wszystkich Brytyjczyków na pokładzie i zaprosił majora rezerwy obrony terytorialnej wraz z małżonką na lunch - ale dopiero wtedy, gdy przekonał się, że ma on konto w banku Barclays. Później zjedli wspólnie kolację; sprawiła to wiadomość, że major od czasu do czasu grywa w brydża z naczelnym dyrektorem filii banku, w której pracował Arnold.

Od tej chwili Bacon spędził wiele uroczych chwil w barze, wyjaśniając majorowi lub Malcolmowi - już żaden z nich nie słuchał jego wynurzeń - dlaczego nigdy nie powinien był iść za radą ojca i rozpocząć pracy w banku, skoro los dał mu duszę przedsiębiorcy.

Kiedy statek podniósł kotwicę i zostawił za sobą Santorini, Deirdre dokładnie już wiedziała, jaką zastawę chce kupić, ustaliwszy nawet nazwisko wytwórcy, z którym dokona transakcji natychmiast po zejściu na ląd w najbliższym porcie. Ale Arnold obstawał przy swoim: powinni poczekać do Aten, gdzie jest duży rynek. „Konkurencja sprawia, że ceny są tam o wiele niższe” -

powtórzył licho wie ile razy. Deirdre wiedziała, że nie ma sensu przekonywać męża, choć coraz mocniej podejrzewała, iż w każdym kolejnym porcie, do którego zawiną w drodze do stolicy Grecji, ceny będą coraz wyższe.

Paros stanowiło kolejny dowód, że przeczucia Deirdre były uzasadnione - jeśli w ogóle potrzebny był jakikolwiek dowód - gdyż ceny były tam już wyższe niż na Santorini. Kiedy „Princess Corina” zmierzała do Mykonos, Deirdre nabrała pewności, że ostatni port, w którym będą mieli okazję kupić upatrzoną zastawę, zaoferuje cenę, na jaką nie będą mogli sobie pozwolić.

Kiedy owego piątkowego poranka statek zakotwiczył na Mykonos, Deirdre była jedną z pierwszych kobiet na pokładzie, które zbiegły po trapie na nadbrzeże. Oświadczyła mężowi, że idzie na rekonesans po sklepach, a on niech to samo zrobi z bankiem. Joan i małżonka majora z ochotą zgodziły się towarzyszyć Deirdre w jej wypadzie, ponieważ zdążyła już zostać wybitnym znawcą greckiego garncarstwa.

Trzy kobiety rozpoczęły poszukiwania od północnej części miasta i Deirdre z zadowoleniem stwierdziła, że w Mykonos jest jeszcze więcej sklepów niż na wyspach, które dotychczas zwiedziła.

Zasięgnęła również języka u kilku ubranych na czarno kobiet, od których dowiedziała się, że znajdzie tu zastawy stołowe najszlachetniejsze i najwyższej jakości oraz że należy je kupować tylko w jednym sklepie - w The House of Petros.

Kiedy więc Deirdre zlokalizowała wreszcie wskazany sklep, resztę przedpołudnia spędziła na lustracji wszystkich zastaw stołowych, jakie mieli tam do zaoferowania. Po kilku godzinach doszła do przekonania, że dla gospodyni domowej z St Albans najodpowiedniejszy będzie zestaw eksponowany na środku sklepu i noszący miano „Delphi”. Ale kosztował dwa razy więcej niż najdroższy z tych, jakie oglądała na innych wyspach i pani Bacon świetnie zdawała sobie sprawę, że jej mąż nie zgodzi się na ten zakup twierdząc, iż przekracza to ich możliwości finansowe.

Kiedy w końcu trójka kobiet opuściła sklep, żeby udać się na lunch z mężami, drogę zastąpił im przystojny młodzieniec w brudnym podkoszulku, wytartych dżinsach i z kilkudniowym zarostem na twarzy.

- Wy Anglicy? - zapytał.

Deirdre przystanąła, chwilę spoglądała w jego ciemnoniebieskie oczy, ale nie odezwała się słowem. Jej towarzyszki szybko zeszły z chodnika na brukowaną jezdnię i wymijając ich dalekim łukiem przyspieszyły kroku udając, że to nie do nich odnosi się zaczepka nieznanego. Deirdre przesłała Grekowi uśmiech, a on ustąpił jej z drogi. Arnold przestrzegwał żonę, żeby pod żadnym pozorem nie wdawała się w pogawędkę z tubylcami.

Gdy już trzy damy dotarły do restauracji, w której były umówione na lunch, ich mężowie popijali eksportowego lagera, a Arnold wyjaśniał właśnie majorowi i Malcolmowi, dlaczego w

tym roku nie zapłacił składki w Partii Konserwatywnej. „Nie dam nawet pensa - perorował - dopóki nie zrobią porządku we własnym domu”. Deirdre podejrzewała, że jego niechęć do płacenia składek bardziej brała się z porażki, jaką poniósł w ostatnich wyborach na przewodniczącego miejscowego oddziału partii.

Przez następną godzinę Arnold prezentował swoje poglądy na różnorodne tematy, od cięć budżetowych na obronę poczynając, przez New Age, na matkach samotnie wychowujących dzieci kończąc. W każdej z tych kwestii zajmował zdecydowanie negatywne stanowisko. Kiedy wreszcie przyniesiono rachunek, spędził pewien czas na podliczaniu kto, co i za ile zjadł, żeby każdy mógł dołożyć swoją działkę.

Arnold pogodził się już z tym, że część popołudnia musi poświęcić na targowanie się w imieniu Deirdre, zwłaszcza że znalazła już zastawę stołową, która tak ją urzekła. Wszyscy ochoczo zgodzili się im towarzyszyć, żeby zobaczyć w działaniu człowieka, którego los obdarował duszą przedsiębiorcy.

Kiedy Arnold wszedł do The House of Petros, musiał przyznać, że Deirdre wybrała „odpowiedni sklep”. Powtarzał tę uwagę, jakby chciał udowodnić, że to on miał rację nastając na to, by z zakupem poczekać do ostatniego portu. Pozostawał w błogiej nieświadomości, że cena zastawy wzrastała w miarę, jak przemierzali się z wyspy na wyspę zbliżając do Aten, ale Deirdre nie uczyniła nic, żeby go w tym względzie oświecić. Po prostu zanosząc w duchu modły, podprowadziła męża do miejsca, gdzie pośrodku sklepu, na wielkim stole, puszyła się zastawa „Delphi”. Wszyscy zgodnie przyznali, że zastawa jest wspaniała, ale gdy Arnold dowiedział się, ile kosztuje, ze smutkiem pokręcił głową.

Deirdre próbowała protestować, ale podobnie jak wielu klientów jego banku, dobrze znała ów wyraz twarzy męża. Tak więc ostatecznie zrezygnowała z zastawy „Delphi” - wspaniałej, choć w pośledniejszym gatunku i dużo droższej niż te, które oglądała na pozostałych wyspach.

Trzy żony zaczęły wybierać naczynia dla siebie, a mężowie w posępnym milczeniu kalkulowali, na jaki wydatek ich stać. Kiedy kobiety podjęły już decyzję, Arnold długo targował się z właścicielem sklepu. Ostatecznie uzyskał obniżkę ceny o dwadzieścia procent. Kiedy już dobito targu, Arnoldowi zostało powierzone zadanie znalezienia angielskiego banku, w którym można by wymienić czeki podróżne. Z paszportami i podpisanymi czekami opuścił sklep celem wypełnienia misji.

Kiedy stanął na chodniku przed sklepem, jemu również zastąpił drogę młodzieniec, który wcześniej zaczepił Deirdre.

- Ty Anglik? - zapytał.

- Naturalnie - odparł Arnold i zszedł na jezdnię, żeby wyminąć natręta. Za wszelką cenę chciał uniknąć rozmowy z tym odrażającym indywiduum. Jak powiedział podczas lunchu majorowi: *Timeo*

*Danaos et donafere[n]tes**/* Timeo Danaos... (łac.) - Danaów się lękam, choć dary przynoszą.

Wergiliusz, *Eneida*.]. Był to jedyny strzep łaciny, jaki zapamiętał jeszcze ze szkoły.

Znalazłszy bank, wkroczył do środka i zrealizował czeki po odrobinę lepszym kursie, niż było to wypisane na tablicy wywieszanej w witrynie. Zadowolony z tego, że zaoszczędził pięćdziesiąt drachm, skierował kroki z powrotem do The House of Petros.

Z niezadowoleniem spostrzegł, że młody człowiek ciągle krąży przed sklepem. Arnold nie zaszczyił wprawdzie spojrzeniem nie ogolonego młodzieńca, ale doskonale usłyszał jego słowa:

- Chcieć zaoszczędzić pieniądź, Angliku?

Arnold zatrzymał się, jak uczyniłby każdy człowiek interesu, odwrócił się i zlustrował baczny spojrzeniem impertynenta, który ośmielił się go zaczepić. Miał właśnie ruszyć w dalszą drogę, kiedy dobiegły go kolejne słowa:

- Wiem, gdzie zastawy być połowę tańsze.

Arnold ponownie zawahał się i spojrzał przez sklepową witrynę na czekających na niego towarzyszy. Na ladzie stało sześć ogromnych pakunków, za które miał zapłacić.

Arnold odwrócił się i popatrzył uważnie na Greka.

- Zastawa pochodzi z wioski Kalafatis - powiedział nieznajomy. - Pół godziny jazdy autobusem i wszystko połowę tańsze.

Kiedy Arnold przetrawiał otrzymaną informację, Grek z nadzieją wyciągnął rękę. Bacon wyjął ze zwitka banknotów pięćdziesiąt drachm, porównując w myślach korzyści płynące z transakcji bankowej z korzyściami, jakie wyciągnie z otrzymanej informacji. Tak zresztą postąpiłby każdy człowiek obdarzony duchem przedsiębiorcy - pomyślał i triumfalnie wkroczył do sklepu.

- Dokonałem ważnego odkrycia - oznajmił i zaciągnął wszystkich w odległy kąt, żeby podzielić się nowo nabytą wiedzą.

Deirdre nie wydawała się przekonana aż do chwili, kiedy Arnold powiedział:

- Może nawet stać nas będzie na zastawę „Delphi”, do której tak wzdychasz. Tak czy siak, po co płacić podwójną cenę, skoro jedyną ofiarą, jaką musisz ponieść, jest pół godziny jazdy autobusem.

Malcolm poważnie skinął głową, jakby słuchał mądrej rady doświadczonego prawnika, i nawet major, wprawdzie trochę marudząc, ostatecznie przychylił się do propozycji Arnolda.

- Skoro wieczorem płyniemy do Aten, powinniśmy natychmiast ruszyć do Kalafatis - oświadczył major.

Arnold skinął głową i bez słowa, nie oglądając się nawet na zapakowane zastawy, które cierpliwie czekały na ladzie, wyprowadził swoją trzódkę ze sklepu.

Na zewnątrz Arnold z ulgą stwierdził, że młodzieniec, który przekazał mu informację, zniknął.

W kolejce, która uformowała się na przystanku autobusowym, Arnold z niezadowoleniem spostrzegł kilku innych klientów ze sklepu i natychmiast zaczął przekonywać samego siebie, że ludzie ci wcale nie jadą tam, gdzie oni. Czterdzieści minut stali w promieniach palącego słońca, zanim w końcu pojawił się autobus. Gdy Arnold ujrzał, w jakim stanie znajduje się pojazd, zamarło w nim serce.

- Pomyślcie tylko, ile zaoszczędzimy - powiedział, widząc rozpacz malującą się na twarzach towarzyszy.

Zwykłym rangę roverem podróż przez wyspę na jej wschodnie wybrzeże zajęłaby

najwyżej trzydzieści minut. Ale kierowca autobusu przystawał i zabierał każdą osobę, którą ujrzał na drodze, i w rezultacie jazda trwała godzinę i dwadzieścia minut. Na długo zanim wysiedli ze staroświeckiego wehikułu, Deirdre była wykończona, Joan wściekła, a żona majora dostała migreny.

- Koniec trasy - oznajmił kierowca i Arnold ze swoją gromadką opuścili autobus. - Do Khora wracam za godzinę. Dzisiaj będzie to ostatni kurs.

Towarzystwo Arnolda popatrzyło na wąską, krętą drogę prowadzącą do warsztatu garncarza.

- Wyprawa ta była warta choćby dla samego widoku - wysapał Arnold przystając i spoglądając na bezkresne Morze Egejskie.

Reszta nawet nie zwróciła uwagi na przepiękny widok i nie zwalniając kroku zostawiła Arnolda daleko w tyle.

Droga zajęła im dziesięć minut morderczego marszu. Pod koniec zamilkł nawet Arnold.

Kiedy wreszcie szóstka śmiertelnie zmęczonych turystów przekroczyła próg pracowni, zaparło im dech. Zauroczeni spoglądali na szeregi półek zastawionych cudownymi przedmiotami.

Arnolda ogarnęło uczucie triumfu.

Deirdre natychmiast przystąpiła do rzeczy i szybko zlokalizowała zastawę „Delphi”. Naczynia sprawiały wrażenie jeszcze bardziej dostojnych, niż zapamiętała to z The House of Petros, ale kiedy sprawdziła niewielką metkę z ceną przyklepioną do wazy na zupe, z przerażeniem stwierdziła, że cena jest niewiele niższa niż w tamtym sklepie.

Deirdre podjęła decyzję. Popatrzyła na męża, który bawił się stojakiem na fajki, i powiedziała ostro, tak żeby wszyscy mogli ją usłyszeć:

- Arnoldzie, skoro tutaj wszystko kosztuje o połowę mniej, stać nas na zastawę „Delphi”.

Pozostali odwrócili głowy w kierunku Arnolda ciekawi, jak zareaguje prawdziwy człowiek interesów. Arnold zawahał się na mgnienie oka, odłożył na półkę stojak na fajki i oświadczył:

- Naturalnie, moja droga. Ostatecznie po to tu przyjechaliśmy.

Trzy kobiety natychmiast zaczęły myszkować po sklepie zdejmując naczynia ustawione na półkach i wreszcie wybrały zestaw obiadowy, dwa zestawy do herbaty, jeden do kawy, trzy wazy, pięć popielniczek, dwa dzbany i stojak z przegródkami na tosty. Arnoldowi stojak na fajki kompletnie wywietrzył z głowy.

Kiedy ujrzał rachunek swojej żony, ponownie się zawahał, ale miał głęboką świadomość, że pięcioro towarzyszy ze statku nie spuszcza z niego wzroku. Bardzo niechętnie zrealizował pozostałe czeki podróżne, specjalnie odwracając głowę od wywieszonej w oknie tabeli ze straszliwymi przelicznikami. Deirdre nie odzywała się słowem. Malcolm i major z pełnymi satysfakcji uśmiezkami podpisali swoje czeki.

Po zapłaceniu szóstka turystów obładowana pakunkami opuściła pracownię. Kiedy ruszali w powrotną drogę wąskim, wijącym się szlakiem, drzwi pracowni zamknęły się z trzaskiem.

- Musimy się spieszyć, jeśli mamy zdążyć na ostatni autobus! - zawołał Arnold wchodząc na jezdnię, żeby wyminąć wielkiego, kremowej barwy mercedesa zaparkowanego przed

pracownią. -

Ale wyprawa bardzo się opłacała - dodał krocząc energicznie drogą. - Musicie przyznać, że dzięki mnie zaoszczędziliście fortunę.

Kiedy Deirdre wyszła na ulicę i przystanąła na chwilę, żeby poprzekładać w rękach liczne paczki, zdziwiła się na widok miejscowych, gromadzących się w kolejce przy stoliku obok pracowni.

Przystojny młody człowiek w brudnym podkoszulku i wytartych dżinsach każdemu z nich wręczał po niewielkiej, brązowej kopercie.

Deirdre nie mogła oderwać wzroku od młodzieńca. Gdzieś go już widziałam - przeszło jej przez myśl. Młody człowiek popatrzył w jej stronę i oczy kobiety napotkały jego ciemnoniebieskie źrenice.

Wtedy sobie przypomniała. Młodzieniec wzruszył lekko ramionami i przesłał jej uśmiech. Deirdre również się uśmiechnęła, wzięła paczki i ruszyła za resztą towarzystwa.

Kiedy wsiadali do autobusu, Deirdre usłyszała słowa Arnolda:

- Widzisz, majorze, nigdy nie powinienem iść za radą swego ojca i skazywać się na dożywotnią pracę w banku. Bo wiesz, natura obdarowała mnie duszą człowieka interesów...

Deirdre ponownie się uśmiechnęła, gdyż przez okno autobusu dostrzegła nie ogolonego młodzieńca, który właśnie przyspieszał swego kremowej barwy, ogromnego mercedesa.

Pomachał jej ręką i ostatni kursowy autobus ruszył w drogę do Mykonos.

Oko za oko

Sir Matthew Roberts, adwokat i doradca królowej, zamknął akta i położył je przed sobą na biurku. Był niezadowolony. Z całej duszy pragnął bronić Mary Banks, ale zupełnie nie wierzył jej zapewnieniom, że jest niewinna.

Sir Matthew wyciągnął się wygodnie w ogromnym, wybitym skórą fotelu i w oczekiwaniu na przybycie radcy prawnego, który miał go wprowadzić szczegółowo w całą sprawę, oraz na swego młodszego asystenta, którego wybrał do tego procesu, zaczął jeszcze raz rozważać przypadek.

Popatrzył przez okno na dziedziniec Middle Tempie. Miał tylko nadzieję, że podjął słuszną decyzję.

Pozornie sprawa Korona *versus* Banks była zwykłym procesem o morderstwo; ale sir Matthew był przekonany, że po wszystkich krzywdach, jakie Bruce Banks wyrządził swej żonie w ciągu jedenastu lat trwania ich małżeństwa, nie tylko zdoła zmienić kwalifikację czynu z morderstwa na zabójstwo, ale też, jeśli wśród sędziów będą przeważać kobiety, doprowadzi do uniewinnienia oskarżonej. Istniały jednak pewne komplikacje.

Zapalił papierosa i głęboko się nim zaciągnął. Właśnie za ten nałóg jego żona czyniła mu nieustanne wymówki. Popatrzył na stojącą na biurku fotografię Wiktorii. Zdjęcie przypomniało mu jego młodość; z tym tylko, że Wiktoria zawsze już pozostanie młoda. Zapewniła jej to śmierć.

Niechętnie wrócił myślami do swej klientki i jej prośby o uniewinnienie. Ponownie otworzył akta. Mary Banks zaklinała się, że nie mogła zarąbać siekierą męża, a następnie pogrzebać go w chlewie, ponieważ w tym czasie nie tylko przebywała w miejscowym szpitalu, ale była też niewidoma. Kiedy sir Matthew ponownie zaciągnął się dymem, rozległo się pukanie do drzwi.

- Wejść! - huknął nie dlatego, że tak bardzo podobał mu się dźwięk własnego głosu, ale z tego prostego względu, że drzwi gabinetu były masywne i gdyby nie wrzasnął, nikt by go nie usłyszał.

W progu stanął sekretarz i zaanonsował przybycie panów Bernarda Cassona i Hugh Witheringtona. Dwaj diametralnie różni ludzie - pomyślał sir Matthew, kiedy goście weszli do pomieszczenia, ale w tej konkretnej sprawie mogą okazać się bardzo użyteczni.

Bernard Casson był prawnikiem starej daty - formalista i zawsze nieskazitelnie akuratywny pedant.

Jak zwykle miał na sobie bardzo tradycyjny garnitur w jodełkę; Matthew podejrzewał, że kupił gdzieś na wyprzedazy kilka takich samych garniturów i nakładał je po kolei w poszczególne dni tygodnia. Popatrzył na Cassona przez okulary w kształcie półksiężyców. Cieniutki wąsik prawnika i równy przedziałek pośrodku głowy nadawały mu staroświecki wygląd, czym nieraz wprowadzał w błąd swoich przeciwników, którzy sądząc go po wyglądzie, dochodzili do wniosku, że nie jest on zbyt bystry. Wielokrotnie sir Matthew dziękował losowi za to, że Bernard nie jest dobrym mówcą, gdyby bowiem był adwokatem,

Matthew nie miałby szans pokonać go przed sądem.

Tuż za Cassonem stał młodszy asystent sir Matthew, Hugh Witherington. W dniu stworzenia Witheringtona Bóg musiał być wyjątkowo skąpy, ponieważ nie obdarzył go ani urodą, ani rozumem.

Jeśli natomiast obdarował go jakimiś innymi cnotami, to te jeszcze się nie ujawniły. Po kilku podejściach Witherington został przyjęty do palestry, ale po kilkunastu sprawach, które prowadził, stało się oczywiste, że bardziej korzystnym finansowo rozwiązaniem byłoby dla niego zarejestrowanie się jako bezrobotny i pobieranie zasiłku. Tak więc gdy padło jego nazwisko jako młodszego asystenta sir Matthew, sekretarz uniósł ze zdumienia brwi, ale sam sir Matthew uśmiechnął się tylko łagodnie i niczego nie wyjaśnił.

Sir Matthew wstał, zgniótł papierosa w popielniczce i uroczyście wskazał przybyłym krzesła po drugiej stronie biurka. Zanim przystąpił do rzeczy, odczekał, aż obaj mężczyźni zajmą wskazane miejsca.

- To bardzo uprzejmie z pana strony, panie Casson, że zgodził się pan do nas dołączyć - oświadczył sir Matthew, jakkolwiek obaj świetnie wiedzieli, że prawnik stosuje się wyłącznie do wymogów tradycji Izby Adwokackiej.

- Cała przyjemność po mojej stronie, sir Matthew - odparł Casson, chyląc uprzejmie głowę, żeby pokazać, jak wysoko sobie ceni ową staroświecką kurtuazję.

- Nie sądzę, żeby znał pan mego młodszego asystenta, pana Hugh Witheringtona - powiedział sir Matthew, wskazując niepozornego, młodego adwokata.

Witherington dotknął nerwowo jedwabnej chusteczki w butonierce.

- Nie, nie miałem dotychczas przyjemności poznać pana Witheringtona. Spotkaliśmy się po raz pierwszy przed chwilą w korytarzu - odparł Casson. - Chciałbym wyrazić swoją radość z faktu, że podjął się pan tej sprawy, sir Matthew.

Sir Matthew uśmiechnął się pod nosem na tak oficjalne zachowanie się przyjaciela. Wiedział, że Bernard nigdy nie pozwoliłby sobie w obecności młodszego asystenta zwrócić się do niego po imieniu.

- A ja ze swojej strony jestem bardzo rad, że znów będę z panem pracował, panie Casson. Nawet jeśli w tej sprawie rzuci mi pan wyzwanie.

Kiedy skończyli ceremonialne grzeczności, starszy prawnik wyjął z podniszczonej torby „Gladstone” brązową teczkę z aktami.

- Od czasu, gdy widzieliśmy się po raz ostatni, odbyłem jeszcze jedną rozmowę z moją klientką - oświadczył otwierając akta - oraz miałem okazję zapoznać się z pańskimi opiniami. Niestety, pani Banks stanowczo nie przyznaje się do winy.

- Upiera się, że jest niewinna?

- Zgadza się, sir Matthew. Pani Banks utrzymuje, że nie była w stanie zamordować męża, gdyż on ją oślepił na kilka dni przed swoją śmiercią. Gdy został zabity, ona przebywała w miejscowym szpitalu.

- Raport patologa wyjątkowo nieprecyzyjnie określa czas śmierci - przypomniał przyjacielowi sir Matthew. - Ostatecznie ciało znaleziono w kilka tygodni po morderstwie. Z tego co wiem, policja sądzi, że zbrodni dokonano na dwadzieścia cztery lub czterdzieści osiem

godzin przed tym, jak pani Banks trafiła do szpitala.

- Ja również czytałem ten raport, sir Matthew - odparł Casson - i poinformowałem o jego treści panią Banks. Ale ona upiera się przy swojej niewinności i twierdzi, że zdoła przekonać o tym sędziów. „Zwłaszcza jeśli jej obrońcą będzie sir Matthew Roberts”; takie były dokładnie jej słowa, o ile dobrze pamiętam - dodał z uśmiechem.

- Trudno mnie wziąć na pochlebstwa, panie Casson - odparł sir Matthew i zapalił kolejnego papierosa.

- Obiecał pan Wiktorii... - przerwał mu prawnik opuszczając tarczę; ale tylko na chwilę.

- A więc mam ostatnią szansę, żeby ją przekonać - odparł Matthew puszczać mimo uszu uwagę przyjaciela.

- A pani Banks ma ostatnią szansę, żeby przekonać pana - powiedział cicho Casson.

- *Touche* - mruknął sir Matthew chyląc głowę przed zgrabną ripostą prawnika i zgniótł papierosa, którego zaledwie przed chwilą zapalił.

Zrozumiał, że w słownej szermierce ze starym przeciwnikiem ustępuje mu pola i nadszedł czas, aby przejść do ataku.

Zagłębił się w rozłożonych na biurku papierach.

- Po pierwsze - odezwał się po chwili patrząc prosto na Cassona, zupełnie jakby jego kolega zeznawał w charakterze świadka. - Gdy wykopano zwłoki, na kołnierzu denata odkryto ślady krwi pańskiej klientki.

- Moja klientka nie zaprzecza temu - odparł Casson spokojnie wertując notatki. - Ale...

- Po drugie - ciągnął sir Matthew nie dając Cassonowi dojść do słowa. - Gdy następnego dnia znaleziono narzędzie mordu, siekiere, na jej trzonku znaleziono włosy pani Banks.

- Temu również nie przeczy my - odparł Casson.

- Nie mamy wielkiego wyboru - powiedział sir Matthew, wstał z krzesła i zaczął przechadzać się po gabinecie. - I po trzecie. Gdy znaleziono łopate, za pomocą której zakopano ciało, na jej stylisku były wyraźne odciski palców pańskiej klientki.

- To również potrafimy wyjaśnić.

- Ale czy sędziowie przyjmą nasze wyjaśnienia? - zapytał sir Matthew podnosząc głos. - Wiadomo, jakim awanturnikiem był zamordowany, a pańska klientka często pokazywała się w wiosce pobita, z fioletowymi sińcami wokół oczu. Czasami miała głowę poranioną do krwi, a raz nawet zgłosiła się do lekarza ze złamaną ręką.

- Zawsze utrzymywała, że obrażeń tych doznała podczas pracy na farmie, której zarządcą był jej mąż.

- To już łatwowierność, która nie wytrzyma próby - odparł sir Matthew wracając na krzesło za biurkiem. - Nie pomaga nam również fakt, że jedyną znaną osobą, która regularnie odwiedzała farmę, był listonosz. Najwyraźniej wszyscy w wiosce bali się nawet przekroczyć bramę tej posiadłości.

Przejrzał kolejną kartkę z notatkami.

- Ta okoliczność mogła ułatwić mordercy dostanie się na farmę i zabicie Banksa - zasugerował Witherington.

Sir Matthew nie potrafił ukryć zdziwienia, gdy spojrział na młodszego asystenta. Na śmierć zapomniał o jego obecności.

- Ciekawa uwaga - stwierdził, nie przejawiając ochoty wprowadzenia do rozmowy Witheringtona, ponieważ miał stanowić jego potężną kartę atutową.

- Teraz kolejny problem, z którym musimy się uporać - ciągnął. - Pańska klientka utrzymuje, że straciła wzrok po tym, jak mąż uderzył ją rozpaloną patelnią. To bardzo wygodna wymówka, nie sądzi pan, panie Casson?

- Moja klientka do dzisiaj ma na twarzy wyraźną bliznę - wyjaśnił prawnik. - A lekarze twierdzą, że naprawdę straciła wzrok.

- Łatwiej przekonać lekarzy niż oskarżycieli i zmęczonych życiem sędziów, panie Casson - zauważył sir Matthew, odwracając kolejną stronicę akt. - Sekcja zwłok, Bóg jeden wie, komu chciało się tym zajmować, wykazała we krwi ofiary dawkę strychniny, która zabiłaby słonia.

- Tego zdania są tylko patolodzy Korony - stwierdził Casson.

- Ale przed sądem trudno będzie ten fakt obalić - burknął sir Matthew. - Oskarżyciel niewątpliwie zapyta panią Banks, dlaczego tuż przed śmiercią swego męża zakupiła u dostawcy artykułów rolniczych w Reading cztery gramy strychniny. Ja na jego miejscu zadawałbym to pytanie bez przerwy.

- Zapewne - powiedział Casson przeglądając notatki. - Ale ona wyjaśniła, że dotknęła ich plaga szczurów, które atakowały drób, i pani Banks obawiała się o inne zwierzęta na farmie, nie wspominając już o jej dziewięcioletnim synu.

- Ach tak, Rupert. Ale on w tym czasie przebywał w szkole z internatem, prawda? - Sir Matthew przez chwilę milczał. - Widzi pan, panie Casson, mam po prostu jeden wielki problem. - Zamknął akta. - Ja jej nie wierzę.

Casson uniósł brwi.

- W przeciwieństwie do swego męża - ciągnął sir Matthew - pani Banks jest bardzo rezolutną osobą. Proszę wziąć pod uwagę to, że wystrychnęła już na dudka wiele osób, które uwierzyły w jej nieprawdopodobną historię. Ale powiem panu, panie Casson, jedno: mnie na dudka nie wystrychnie.

- Ale co zrobimy, jeśli pani Banks uprze się przy swojej wersji i zechce, abyśmy zgodnie z tym ją bronili? - zapytał Casson.

Sir Matthew ponownie wstał zza biurka i zaczął w milczeniu krążyć po pokoju. Po długiej chwili zatrzymał się przed prawnikiem.

- Zgadzam się, że nie mamy wielkiego pola manewru - powiedział bardziej pojednawczo. - Ale chciałbym przekonać tę panią, że powinna przyznać się do zabójstwa. Po tym, przez co musiała przejść, z całą pewnością zdobędzie sympatię ławy sędziowskiej. Oprócz tego zawsze możemy liczyć na pewne ugrupowania kobiece i pikietowanie sądu podczas rozprawy. Każdy sędzia, który wyda na Mary Banks surowy wyrok, zostanie oskarżony przez całą prasę o dyskryminowanie płci przeciwnej. Po paru tygodniach wypuszczą ją z więzienia. Nie, panie Casson, koniecznie musimy skłonić panią Banks do zmiany zeznań.

- Ale jak tego dokonać, skoro z takim uporem obstaje przy swojej niewinności? - zapytał Casson.

Na twarzy sir Matthew pojawił się lekki uśmiech.

- Pan Witherington i ja mamy pewien plan, prawda Hugh? - powiedział, zwracając się po raz drugi do młodszego asystenta.

- Tak jest, sir Matthew - odparł młody adwokat zadowolony, że poproszono go o opinię, nawet w tak bezpośredniej formie. Ale ponieważ sir Matthew nie wyjaśniał bliżej tego planu, Casson nie naciskał.

- Kiedy zatem będę mógł osobiście spotkać się z naszą klientką? - zapytał sir Matthew, zwracając się do starego prawnika.

- Czy odpowiada panu godzina jedenasta przed południem w poniedziałek?

- Gdzie obecnie przebywa oskarżona?

- W Holloway - odrzekł Casson.

- A więc w poniedziałek o jedenastej rano w Holloway - zakończył sir Matthew. - I szczerze mówiąc, nie mogę się już doczekać spotkania z panią Mary Banks. Ta kobieta rzeczywiście jest obdarzona hartem ducha, nie wspominając już o wyobraźni. Niech pan zapamięta moje słowa, panie Casson. Jeszcze okaże się godnym przeciwnikiem dla każdego oskarżyciela.

Kiedy sir Matthew przekroczył próg pokoju przesłuchań w więzieniu Holloway i ujrzał Mary Banks, po raz pierwszy w życiu zaskoczenie odebrało mu mowę. Z akt sprawy wiedział, że pani Banks liczy sobie trzydzieści siedem lat, ale krucha kobieta o rzadkich, siwych włosach, siedząca z rękami złożonymi na podołku, wyglądała na pięćdziesiątkę. Dopiero gdy przyjrzał się delikatnym rysom jej twarzy i smukłej sylwetce, dostrzegł, że kiedyś musiała być bardzo piękna.

Sir Matthew pozwolił Cassonowi zająć miejsce naprzeciwko pani Banks przy pokrytym laminatem stole, stojącym pośrodku pustego pokoju o ceglanych ścianach pomalowanych na kremowo. Światło płynące przez niewielkie, zakratowane okno, umieszczone w połowie wysokości ściany, padało prosto na ich klientkę. Sir Matthew i jego młodszy asystent zajęli miejsca po obu stronach prawnika, który hałaśliwie nalał sobie kawy.

- Dzień dobry, pani Banks - odezwał się Casson.

- Dzień dobry, panie Casson - odparła odwracając lekko głowę w jego stronę. - Rozumiem, że kogoś pan ze sobą przyprowadził.

- Zgadza się, pani Banks. Towarzyszy mi sir Matthew Roberts, adwokat i doradca Jej Królewskiej Mości, który podjął się pani obrony.

Kobieta lekko skłoniła głowę. Sir Matthew podniósł się z krzesła i dał krok w jej stronę.

- Dzień dobry, pani Banks.

I nieoczekiwanie wyciągnął prawą rękę.

- Witam pana, sir Matthew - odparła z kamiennym obliczem nie odwracając twarzy od Cassona. -

Cieszę się, że będzie pan mnie reprezentował.

- Sir Matthew, zanim ustali najlepszą linię obrony, chciałby zadać pani kilka pytań - odezwał się Casson. -

Będzie pełnił rolę obrońcy, więc za chwilę się pani zorientuje, jak to będzie wyglądać, gdy zasiądzie pani na miejscu dla świadków.

- Rozumiem - odparła pani Banks. - Z największą ochotą odpowiem na wszystkie pytania sir Matthew. Jestem przekonana, że ktoś tak wybitny bez trudu udowodni, iż słaba, niewidoma kobieta nie była w stanie zarząbać siekierą ważącego sto kilogramów mężczyzny.

- Pod warunkiem, że ten ważący sto kilogramów mężczyzna nie został przed porąbaniem otruty - dodał cicho sir Matthew.

- Byłby to rzeczywiście wyczyn dla kogoś, kto w tym czasie leżał w szpitalu odległym o osiem kilometrów od miejsca zbrodni - odpaliła pani Banks.

- Jeśli wtedy właśnie została dokonana zbrodnia - zripostował sir Matthew. - Utrzymuje pani, że utratę wzroku spowodowało uderzenie w twarz?

- Tak jest. Kiedy przygotowywałam śniadanie, mój mąż porwał z pieca patelnię i uderzył mnie w głowę. Uchyliłam się, ale patelnia trafiła mnie w lewą stronę twarzy. - Dotknęła blizny nad okiem.

Szrama z całą pewnością miała już pozostać jej do końca życia.

- Co było dalej?

- Straciłam przytomność i upadłam na podłogę. Kiedy odzyskałam świadomość, wyczułam w kuchni czyjaś obecność. Nie miałam zielonego pojęcia, kto to jest, dopóki ta osoba się nie odezwała.

Po głosie poznałam Jacka Pembridge'a, naszego listonosza. Zaniósł mnie do swojej furgonetki i odwiózł do miejscowego szpitala.

- A ciało pani męża policja odkryła, kiedy leżała pani w szpitalu?

- Tak właśnie było, sir Matthew. Po dwóch tygodniach pobytu w Parkmead poprosiłam pastora, który codziennie mnie odwiedzał, żeby udał się do mego domu i sprawdził, jak wiedzie się beze mnie Bruce'owi.

- Czy nie dziwiło to pani, że mąż ani razu nie pojawił się w szpitalu? - zapytał sir Matthew, powoli przesuwając filiżankę z kawą na brzeg stolika.

- Nie. Kilkakrotnie groziłam mu, że od niego odejdę, i nie sądzę... - Filiżanka spadła ze stołu i hałaśliwie rozbiła się o kamienną podłogę. Sir Matthew nie spuszczał wzroku z pani Banks.

Kobieta drgnęła nerwowo, ale nie odwróciła wzroku w stronę potłuczonego naczynia.

- Czy wszystko w porządku, panie Casson? - zapytała.

- To moja wina - szybko wyjaśnił sir Matthew. - Czasami jestem taki niezdarny.

Casson stłumił uśmiech. Witherington nie poruszył się.

- Proszę mówić dalej - powiedział sir Matthew schylając się, żeby pozbierać z podłogi potłuczoną porcelanę. - Zaczęła mówić pani: „Nie sądzę...”

- Ach, tak. Nie sądzę, żeby Bruce kiedykolwiek dbał o to, czy wrócę na farmę, czy nie.

- No właśnie, właśnie - odezwał się sir Matthew, kiedy już pozbierał wszystkie skorupy i ostrożnie położył je na stole. - Ale jak wyjaśni pani fakt, że na trzonku siekiery, którą porąbano ciało męża, znaleziono pani włosy?

- Zaraz to zrobię, sir Matthew. Przed śniadaniem musiałam narąbać trochę drewna na opał.

- A więc dlaczego nie znaleziono na tym samym trzonku pani odcisków palców?

- Ponieważ pracowałam w rękawicach. Gdyby kiedykolwiek pracował pan na farmie w połowie października, wiedziałby, jak zimno jest na dworze o piątej rano.

Tym razem Casson pozwolił sobie na szerszy uśmiech.

- Więc skąd się wzięła na kołnierzu zamordowanego pani krew? Biegły sądowy ustalił bez najmniejszych wątpliwości, że jest to pani grupa krwi.

- Gdyby dokładniej zbadał pan dom, ślady mojej krwi znalazłby w wielu innych miejscach.

- A łopata? Na niej było mnóstwo pani odcisków palców. Czy przed śniadaniem również coś pani kopała?

- Nie, ale codziennie używałam tej łopaty.

- Rozumiem - mruknął sir Matthew. - Zajmijmy się zatem czymś, czego z całą pewnością nie robiła pani codziennie. Konkretnie chodzi mi o zakup strychniny. Po pierwsze, pani Banks, do czego była potrzebna pani tak duża ilość tej trucizny? I po drugie, dlaczego pofatygowała się pani aż do odległego o trzydzieści parę kilometrów Reading, żeby ją nabyć?

- Co drugi wtorek robię zakupy w Reading - wyjaśniła pani Banks. - Blżej nie ma żadnego dostawcy artykułów rolniczych.

Sir Matthew zmarszczył brwi i wstał z krzesła. Zaczął wolno spacerować wokół pani Banks, a Casson uważnie obserwował jej twarz. Gałki oczne kobiety ani razu nie drgnęły.

Kiedy sir Matthew znalazł się dokładnie za plecami swojej klientki, spojrzął na zegarek.

Wskazywał jedenastą siedemnaście. Zdawał sobie sprawę, że musi wszystko bardzo precyzyjnie zgrać w czasie. Dręczyła go przykra myśl, że ma do czynienia nie tylko z wyjątkowo bystrą kobietą, ale z nieprzeciętnym umysłem. Nie zapominaj - napominał się w duchu, że każdy, komu wypadłoby żyć przez jedenaście lat z kimś takim jak Bruce Banks, musiałby wykazać wiele przebiegłości, żeby przetrwać.

- Wciąż jeszcze nie wiem, do czego potrzebowała pani tyle strychniny - przypomniał, stojąc ciągle za jej plecami.

- Traciliśmy masę drobiu - wyjaśniła pani Banks nie ruszając głową. - Mój mąż sądził, że to sprawka szczerów, więc polecił mi, żebym kupiła dużo tej trucizny i zrobiła z tym koniec. „Raz na zawsze” - tak dokładnie powiedział.

- Ale ostatecznie to jego spotkał koniec; raz na zawsze... i niewątpliwie za sprawą tej właśnie trucizny - stwierdził cicho sir Matthew.

- Obawiałam się również o bezpieczeństwo Ruperta - dodała pani Banks, nie dostrzegając sarkazmu w głosie prawnika.

- Ale przecież, o ile się orientuję, pani syn przebywał wówczas w szkole z internatem.

- Niewątpliwie ma pan rację, ale w połowie kwartału miał wrócić do domu.

- Czy pani zawsze dokonywała zakupów u tego dostawcy?

- Zawsze - odparła pani Banks, a sir Matthew znów zaczął chodzić po pokoju. Tym razem

zatrzymał się przed kobietą. - Bywałam u niego co najmniej raz w miesiącu. Jestem pewna, że właściciel firmy potwierdzi moje słowa.

Odwróciła nieco głowę i skierowała twarz w prawo.

Sir Matthew milczał, powstrzymując się przed zerknięciem na zegarek. Wiedział, że teraz jest to już wyłącznie kwestia sekund. Kilka chwil później drzwi w głębi pokoju przesłuchań otworzyły się i wszedł chłopiec w wieku około dziewięciu lat. Kiedy dziecko w milczeniu zbliżało się do pani Banks, trzech prawników bacznie obserwowało klientkę. Rupert stanął przed matką i uśmiechnął się, ale kobieta nie oddała mu uśmiechu. Dzieciak czekał dalszych dziesięć sekund, po czym odwrócił się i ruszył w stronę wyjścia; dokładnie tak, jak było ustalone. Pani Banks kierowała cały czas niewidzące oczy w jakiś punkt między sir Matthew a Cassonem.

Na twarzy starego prawnika pojawił się prawie triumfalny uśmiech.

- Czy jest jeszcze ktoś w pokoju? - zapytała pani Banks. - Słyszałam dźwięk otwieranych drzwi.

- Nie - odparł sir Matthew. - Jestem tylko ja i pan Casson.

Witherington ciągle siedział nieporuszony.

Sir Matthew znów zaczął chodzić wokół pani Banks wiedząc, że została mu jeszcze ostatnia szansa. Prawie już przyznawał sam przed sobą, że niewłaściwie ocenił klientkę. Gdy znów znalazł się dokładnie za jej plecami, skinął na swego młodszego asystenta, który nieruchomo siedział naprzeciwko kobiety.

Witherington wyjął jedwabną chusteczkę z butonierki i powoli rozłożył ją na stole. Pani Banks nie reagowała. Witherington rozprostował palce prawej ręki, lekko pochylił głowę i przez chwilę trzymał w bezruchu dłoń przy lewym oku. Nagle wyjął sobie to oko i położył je na jedwabnej chusteczce. Leżało tam przez dobre pół minuty, a następnie Witherington zaczął polerować chusteczką szklaną gałkę o kształcie migdała. Sir Matthew wrócił na swoje krzesło i obserwował grube krople potu, jakie pojawiły się na czole pani Banks. Kiedy Witherington skończył, uniósł twarz, popatrzył czujnie w oczy kobiety, po czym umieścił szklany przedmiot w oczodole. Pani Banks na moment odwróciła głowę. Natychmiast jednak odzyskała panowanie nad sobą, ale naturalnie było już za późno.

Sir Matthew wstał i z uśmiechem popatrzył na klientkę. Kąciki jej ust uniosły się nieznacznie.

- Muszę pani wyznać, pani Banks - powiedział - że będę się czuł dużo pewniej, jeśli przyzna się pani do zabójstwa.

Co jednemu wyjdzie na zdrowie, drugiemu zaszkodzi

Czy może istnieć ktoś aż tak piękny? Mijałem właśnie Aldwych w drodze do pracy, gdy po raz pierwszy ją ujrzałem. Wchodziła po schodach Aldwych Theatre. Gdybym choć chwilę dłużej się na nią gapił, uderzyłbym w samochód, który właśnie zatrzymał się przede mną. Ale zanim zdążyłem ponownie spojrzeć w jej stronę, żeby utrwalić przelotne wrażenie, zniknęła już w tłumie ludzi tłoczących się przed teatrem.

Po lewej stronie kątem oka dostrzegłem wolne miejsce, w którym mogłem zaparkować samochód i bez zastanowienia, nie włączając kierunkowskazów, skręciłem tam powodując, że jadący za mną samochód zaczął wściekle trąbić. Wyskoczyłem z auta i pobiegłem do teatru, doskonale zdając sobie sprawę z tego, jak niewielkie mam szanse odnaleźć ją w takim tłoku. A gdyby nawet udała mi się ta sztuka, ona zapewne spotkała się już ze swoim chłopakiem mierzącym metr dziewięćdziesiąt wzrostu i przypominającym Harrisona Forda.

Kiedy znalazłem się w foyer, obrzuciłem wzrokiem gwarny tłum. Powoli obróciłem się o trzysta sześćdziesiąt stopni, lecz jej nigdzie nie było. Może powinienem kupić bilet? - pomyślałem. Ale na dobrą sprawę ona mogła siedzieć wszędzie: na parterze, w łoży lub na balkonie. Gdybym zaczął cierpliwie chodzić między rzędami foteli, z pewnością w końcu bym ją odszukał. Lecz należało zapłacić za wstęp, gdyż bez biletu nikt nie wpuściłby mnie do środka.

I wtedy ją ujrzałem. Stała przed kasą z napisem: „Bilety na dzisiaj” i od okienka dzieliła ją tylko jedna osoba. Za nią była młoda kobieta i mężczyzna w średnim wieku. Szybko zająłem miejsce na końcu kolejki, ale dziewczyna w tym czasie znalazła się już przy okienku. Nastawiłem bacznie uszu, żeby usłyszeć, które miejsce wybierze, jednak dotarł do mnie wyłącznie głos kasjera:

- Niewielka szansa, ponieważ lada chwila podnosimy kurtynę. Ale jeśli zostawi pani ten bilet, zobaczę, co się da zrobić.

Podziękowała i ruszyła w kierunku parteru. Potwierdziło się moje pierwsze wrażenie. Nieistotne, czy patrzyło się na nią od kostek w górę czy od głowy w dół; dziewczyna była czystą doskonałością.

Nie mogłem oderwać od niej oczu i zauważyłem, że to samo czuje kilku innych mężczyzn w foyer.

Chciałem im powiedzieć, żeby nie robili sobie próżnych nadziei. Czyż nie widzą, że ona jest ze mną?

A raczej, że będzie pod koniec wieczora.

Kiedy zniknęła mi z oczu, wyciągnąłem szyję i zajrzałem do kasy. Jej bilet leżał z boku.

Odetchnąłem z ulgą, gdy młoda kobieta okazała kartę kredytową i wzięła cztery bilety do łoży.

Modliłem się w duchu, żeby mężczyzna stojący przede mną nie wykupił pojedynczego biletu.

- Czy dostanę jeszcze bilet? - zapytał z nadzieją w chwili, kiedy zabrzmiał dzwonek

oznajmiający, że za trzy minuty rozpocznie się przedstawienie.

Popatrzyłem na niego wilkiem. Czy powinienem wbić mu nóż w plecy? A może kopnąć w krocze lub obrzucić wyzwiskami?

- Gdzie pan chce siedzieć? - z uśmiechem zapytał kasjer. - W loży czy na parterze?

Tylko nie na parterze - modliłem się w duchu. - W loży... w loży... w loży...

- Na parterze - powiedział mężczyzna.

- Mam jedno skrajne miejsce w rzędzie H - odparł kasjer, spoglądając na ekran stojącego przed nim komputera.

Westchnąłem w duchu, uświadamiając sobie, że teatr zapewne postara się najpierw sprzedać resztę biletów, zanim zajmie się zwrotami. Ale w takim razie, jak poradzę sobie z problemem?

Zanim stojący przede mną mężczyzna wykupił skrajne miejsce w rzędzie H, wszystko sobie dobrze obmyśliłem. Wiedziałem, że nie muszę się spieszyć.

- Chwała Bogu, już myślałem, że nie zdążę - wysapałem udając zadyszkę. Kasjer popatrzył na mnie, ale najwyraźniej mój wstęp nie zrobił na nim najmniejszego wrażenia. - Utknąłem w korku. A później miałem kłopot z zaparkowaniem samochodu. Moja dziewczyna zapewne postawiła już na mnie kreskę. A może zwróciła panu bilet?

Kasjer patrzył na mnie nieruchomym wzrokiem. Najwyraźniej moja przemowa w dalszym ciągu nie robiła na nim wrażenia.

- Czy mógłby pan opisać swoją dziewczynę? - zapytał podejrzliwie.

- Krótko obcięte, ciemne włosy, orzechowe oczy. Miała na sobie czerwoną jedwabną sukienkę, która...

- Ach, tak, przypominam sobie - odparł, prawie westchnął i wręczył mi bilet.

- Dziękuję - powiedziałem, starając się nie okazywać zadowolenia, że tak zgrabnie ułożyłem pierwszą scenę mego prywatnego przedstawienia.

Idąc w kierunku parteru, chwyciłem ze stosu leżących obok kasy kopert jedną, z nadrukiem teatru.

Sprawdziłem cenę biletu: dwadzieścia funtów. Wyjąłem z portfela dwa dziesięciofuntowe banknoty i wsunąłem je w kopertę, którą następnie zakleiłem.

Bileterka u wejścia na parter sprawdziła mój bilet.

- F-II. Szósty rząd. Miejsce po prawej stronie.

Powoli szedłem między fotelami, aż wreszcie ją dostrzegłem. Siedziała w środku rzędu, a obok niej było wolne miejsce. Kiedy przeciskałem się wzdłuż foteli zajętych już przez widzów, dziewczyna przesłała mi uśmiech świadczący o tym, że jest zadowolona, iż ktoś nabył jej bilet.

Odwzajemniłem uśmiech, wręczyłem jej kopertę z dwudziestoma funtami i zająłem miejsce.

- Kasjer prosił, żebym to pani przekazał - oświadczyłem.

- Dziękuję - powiedziała chowając kopertę do torebki. Miałem właśnie rozpocząć pierwszą kwestię drugiej sceny mego prywatnego przedstawienia, ale zgasły światła, kurtyna poszła w

górze i rozpoczął się akt pierwszy prawdziwego przedstawienia. Wtedy dopiero uświadomiłem sobie, że nawet nie znam tytułu sztuki, którą miałem oglądać. Rzuciłem okiem na okładkę programu, który dziewczyna trzymała na kolanach, i przeczytałem: *Inspektor dzwoni* J. B. Priestleya.

Przypomniałem sobie, że po premierze tej sztuki w National Theatre krytycy prześcigali się w pochwałach, a szczególnie wynosili pod niebiosa odtwórcę głównej roli, Kennetha Cranhama.

Skoncentrowałem uwagę na akcji.

Tytułowy inspektor zaglądał do domu, w którym edwardiańska rodzina przygotowywała się do uroczystej kolacji z okazji zaręczyn córki.

- Myślałem o kupnie nowego samochodu - przez kłęb cygarowego dymu odezwał się ojciec do przyszłego zięcia.

Na dźwięk słowa „samochód” natychmiast stanął mi przed oczyma mój, który zostawiłem przed teatrem. Czy przypadkiem nie zaparkowałem go na podwójnej żółtej linii? Albo jeszcze gorzej? Do diabła z tym! Chętnie wymieniłbym swój samochód na model, który siedział w sąsiednim fotelu.

Publiczność wybuchnęła śmiechem. Przyłączyłem się udając, że wciągnęła mnie rozgrywająca się na scenie akcja. Ale co z moim pierwotnym planem spędzenia wieczoru? W pracy z pewnością wszyscy się już zastanawiają, dlaczego mnie nie ma. Uświadomiłem sobie, że jeśli mam rozegrać własną intrygę, nawet w przerwie nie będę mógł opuścić teatru, żeby sprawdzić, co się dzieje z moim samochodem, oraz zadzwonić do pracy i usprawiedliwić swoją nieobecność.

Sztuka oczarowała widzów, ale ja zacząłem już układać w głowie własny scenariusz, który zamierzałem odtworzyć w przerwie między aktem pierwszym i drugim. Zdawałem sobie sprawę z tego, że będzie musiał mi wystarczyć tylko kwadrans, a druga okazja może się nie trafić.

Kiedy skończył się pierwszy akt i opadła kurtyna, miałem gotowy tekst. Odczekałem, aż ucichnie burza oklasków, i zwróciłem się do swej sąsiadki:

- Cóż za oryginalna sztuka - zacząłem. - Po prostu modernistyczna. - Jak przez mgłę pamiętałem, że tak właśnie określił ją jeden z krytyków. - Cieszę się, że udało mi się w ostatniej chwili zdobyć ten bilet.

- Ja również - odparła. Poczulem przyływ odwagi. - Chodzi mi o to, że jestem zadowolona, iż ktoś kupił mój drugi bilet.

Skinąłem głową.

- Nazywam się Michael Whitaker.

- Anna Townsend - odparła, obdarzając mnie ciepłym uśmiechem.

- Może chciałaby się pani czegoś napić? - zapytałem.

- Dziękuję, bardzo chętnie - odparła.

Wstałem i zacząłem torować drogę w tłumie kierującym się w stronę baru. Co chwila odwracałem się, żeby sprawdzić, czy dziewczyna idzie za mną. Cały czas, sam nie wiem dlaczego, odnosiłem wrażenie, że Anna nie istnieje, ale kiedy oglądałem się, napotykałem jej

promienny uśmiech.

- Czego się pani napije? - zapytałem, kiedy już znaleźliśmy się przy barze.

- Wytrawne martini.

- Proszę więc na mnie tutaj chwileczkę poczekać. Za sekundę wracam - obiecałem, zastanawiając się, ile drogocennych sekund stracę czekając w kolejce do baru.

Wyjąłem pięciofuntowy banknot i trzymałem go obiecująco w górze, mając nadzieję, że obietnica wysokiego napiwku skieruje uwagę barmana we właściwym kierunku. Dostrzegł banknot, ale musiałem jeszcze odczekać, aż obsłuży czterech innych klientów, nim dostałem wytrawne martini oraz porcję szkockiej z lodem, cytryną i wodą sodową. Barman nie zasłużył na napiwek, który mu jednak zostawiłem, gdyż nie chciałem marnować czasu i czekać na resztę.

Zaniosłem drinki w odległy kąt foyer, gdzie czekała Anna i studiując program. Na tle okna stanowiła niewyraźną sylwetkę, a wytworna, czerwona, jedwabna sukienka podkreślała jeszcze jej smukłą, elegancką figurę.

Świadom tego, że prawie już wyczerpałem limit przysługującego mi czasu, wręczyłem dziewczynie wytrawne martini.

- Dziękuję - powiedziała obdarzając mnie kolejnym, olśniewającym uśmiechem.

- Jak to się stało, że miała pani zbywający bilet? - zapytałem, kiedy upiła pierwszy łyk martini.

- Mój partner w ostatniej chwili został wezwany do nagłego wypadku - wyjaśniła. - Tak to już jest z lekarzami.

- Wielka szkoda. Ominęło go wspaniałe widowisko - powiedziałem pospiesznie mając nadzieję, że dowiem się, czy ten partner był kobietą czy mężczyzną.

- No właśnie - powiedziała Anna. - Wybierałam się na tę sztukę jeszcze wtedy, gdy grano ją w National Theatre, ale wszystkie bilety zostały już sprzedane, więc kiedy znajomy w ostatniej chwili zaproponował mi te dwa, natychmiast je wzięłam. Niedługo już zdejmą tę sztukę z afisza. - Upiła łyk martini. - A ty, Micheal? - zapytała, kiedy rozległ się dzwonek zapowiadający, że za trzy minuty rozpocznie się drugi akt.

Tego w scenariuszu nie miałem.

- Ja?

- Tak, ty - odparła z lekką kpinką w głosie. - Dlaczego w ostatniej chwili zdecydowałeś się na pójście do teatru?

- Sharon Stone miała zajęty wieczór, a druga w kolejce, księżna Diana, oświadczyła mi, że bardzo chętnie by się ze mną wybrała, ale nie chce na siebie zwracać uwagi. - Anna wybuchnęła śmiechem. - A tak poważnie, czytałem niedawno bardzo dobrą recenzję, więc postanowiłem zorganizować sobie bilet.

- Przy okazji zorganizowałeś sobie wolną kobietę - odparła Anna, kiedy zadzwonił dzwonek oznajmiający, że za dwie minuty rozpoczyna się drugi akt przedstawienia.

Nie mogłem przegapić tak śmiałego tekstu, ale nie byłem pewien, czy w orzechowych oczach Anny nie dostrzegam kpiny.

- No właśnie - odparłem beztrąsko. - A więc również jesteś lekarzem?

- Jak to, również?

- Tak jak twój partner - odparłem niepewny, czy nie stroi sobie ze mnie żartów.

- Tak, prowadzę praktykę na Fulham. Jest nas tam troje, ale tylko mnie udało się dziś wyrwać z pracy. A co ty robisz w wolnych chwilach, kiedy nie gawędzisz z Sharon Stone albo nie prowadzisz księżnej Diany do teatru?

- Pracuję w branży gastronomicznej - odparłem.

- To jedno z niewielu zajęć cięższych od mojego zawodu. No i nieludzkie godziny pracy - odparła Anna i w tej samej chwili rozległ się trzeci dzwonek mówiący, że przedstawienie zacznie się za minutę.

Popatrzyłem w jej orzechowe oczy i nagle ogarnęła mnie chęć, żeby powiedzieć: Anno, dajmy sobie spokój z drugim aktem. Wiem, że to wspaniałe przedstawienie, ale po prostu mam ochotę spędzić ten wieczór tylko z tobą, a nie na zatłoczonej widowni, gdzie otacza nas osiemset osób.

- Nie wydaje ci się, że mam rację?

Z trudem sobie przypomniałem, o czym poprzednio mówiła.

- Myślę, że dostaję więcej zażaleń od swoich klientów niż ty od swoich.

Na żadną sensowniejszą odpowiedź nie było mnie w tej chwili stać.

- Wątpię - odparła trochę ostrzej. - Jeśli jest się lekarzem-kobietą i nie wyleczy się pacjenta w ciągu kilku dni, chory natychmiast zaczyna podejrzewać, że brak mi kwalifikacji.

Wybuchnąłem śmiechem i dokończyłem drinka. W tej samej chwili rozległ się tubalny głos z głośnika:

- Prosimy widzów o powrót na salę. Za chwilę podnosimy kurtynę.

- Musimy wracać - zauważyła Anna odstawiając pustą szklankę na parapet okna.

- Chyba tak - dodałem niechętnie i poprowadziłem Annę w przeciwną stronę niż ta, w którą naprawdę chciałbym z nią pójść.

- Dziękuję za martini - powiedziała, kiedy wchodziliśmy na widownię.

- Marna rekompensata - odrzekłem, a kiedy spojrzała na mnie pytająco, dodałem: - Za bilet na takie przedstawienie.

Obdarzyła mnie uśmiechem i zaczęliśmy przepychać się między fotelami, bezlitośnie deptając po nogach siedzących już widzów. Miałem właśnie coś powiedzieć, kiedy przygasło światło.

Podczas drugiego aktu, kiedy na widowni rozlegały się salwy śmiechu, odwracałem się w stronę Anny. Kilkakrotnie nagrodziła mnie jasnym spojrzeniem. Ale chwilę największego triumfu przeżyłem pod koniec sztuki, kiedy na scenie detektyw pokazał córce bohaterów fotografię martwej kobiety.

Dziewczyna krzyknęła przeraźliwie i raptownie pogasły na scenie wszystkie światła.

Anna chwyciła mnie mocno za rękę, ale natychmiast cofnęła dłoń i szeptem przeprosiła.

- Nie ma za co - odrzekłem cicho. - Sam z najwyższym trudem powstrzymałem się, żeby

nie zrobić tego samego.

Nie wiem, jak Anna zareagowałaby na taki gest w pograżonym w ciemności teatrze.

W chwilę później na scenie zadzwonił telefon i cała widownia wiedziała, że to dzwoni detektyw, ale nikt nie był pewien, co zamierza powiedzieć.

Była to najmocniejsza scena w całej sztuce.

Rozbłyły światła i ponownie przygasły. Na scenę wyszli aktorzy. Otrzymali gromkie brawa i trzykrotnie byli wywoływani przez publiczność.

Kiedy wreszcie kurtyna opadła na dobre, Anna stwierdziła:

- Wspaniałe przedstawienie. Tak się cieszę, że obejrzałam tę sztukę. A jeszcze bardziej się cieszę, że nie oglądałam jej sama.

- Ja również - powiedziałem przemilczając fakt, że zasadniczo nigdy bym się nie zdecydował spędzać wieczora w teatrze.

Kierowaliśmy się do wyjścia w tłumie widzów sunących niczym fale jakiejś wielkiej, leniwie płynącej rzeki. Straciłem kilka drogocennych minut, dyskutując o obsadzie aktorskiej, o reżyserii, o oryginalnym, makabrycznym wątku, a nawet o tych edwardiańskich kostiumach. Później przekroczyliśmy podwójne drzwi, za którymi znajdował się zwykły świat.

- Do widzenia, Michael - powiedziała Anna, ujmując moją dłoń. - Dziękuję za towarzystwo.

- Do widzenia - odparłem, po raz ostatni zaglądając w jej orzechowe oczy.

Odwróciła się, żeby odejść, a ja zastanawiałem się, czy jeszcze kiedykolwiek ją zobaczę.

- Anno - odezwałem się. Obejrzała się w moją stronę.

- Jeśli nie masz żadnych innych planów, może dałabyś się namówić na kolację...

Słowo od Autora

W tym miejscu daję Czytelnikowi do wyboru cztery różne zakończenia.

Możesz, drogi Czytelniku, przeczytać wszystkie cztery opowiadania, lub też wybierać tylko jedno i potraktować je jako swoje własne zakończenie. Jeśli zdecydujesz się poznać wszystkie cztery, powinieneś uczynić to w takiej kolejności, jak ja je pisałem:

1. Ten jeden raz
2. Spalony
3. Przesada
4. Strzał w dziesiątkę

Ten jeden raz

- Dziękuję, Michael, bardzo chętnie. - Uśmiechnąłem się nie mogąc ukryć zadowolenia.
- Doskonale. Niedaleko stąd jest mała restauracja, która z pewnością ci się spodoba.
- Brzmi to obiecująco - odparła Anna biorąc mnie za rękę.

Poprowadziłem ją wśród opuszczającego teatr tłumy.

Kiedy szliśmy wzdłuż Aldwych, Anna nieustannie mówiła o innym przedstawieniu tej samej sztuki, jakie przed kilku laty oglądała na Haymarket.

Kiedy wreszcie dotarliśmy do Strandu, wskazałem wielkie, szare, podwójne drzwi po drugiej stronie ulicy.

- To tu - oświadczyłem.

Akurat zapaliło się zielone światło, więc szybko przeszliśmy przez jezdnię. Pchnąłem drzwi i przepuściłem Annę przodem. W chwili kiedy przekraczaliśmy próg, zaczęło padać. Poprowadziłem ją schodami w dół do mieszczącej się w podziemiach restauracji wypełnionej gwarem rozmów ludzi, którzy też wyszli z teatrów. Między stolikami krążyli kelnerzy z tacami.

- Zaimponujesz mi, jeśli uda ci się znaleźć wolny stolik - oświadczyła Anna, mierząc wzrokiem grupę zniecierpliwionych osób tłoczących się przy barze w oczekiwaniu, aż zwolnią się jakieś miejsca.

Podszedłem do biurka z rezerwacjami. Starszy kelner, który odbierał właśnie zamówienie od klienta, natychmiast ruszył w moją stronę.

- Dobry wieczór, panie Whitaker. Na ile osób życzy pan sobie stolik?

- Jesteśmy we dwoje.

- Proszę za mną - powiedział Mario i poprowadził nas do mego stałego stolika w odległym końcu sali.

- Jeszcze jedno wytrawne martini? - zapytałem, kiedy już zajęliśmy miejsca.

- Nie, dziękuję. Do kolacji wypiję kieliszek wina. Skinąłem głową i Mario wręczył nam karty.

Anna dłuższą chwilę studiowała menu. W końcu zapytałem, czy wybrała już coś, na co ma ochotę.

- Tak - odparła patrząc mi w oczy. - Zdecyduję się na *fettucini* oraz kieliszek czerwonego wina.

- Doskonały pomysł - stwierdziłem. - Wezmę to samo. Czy jesteś pewna, że nie chcesz przekąsek?

- Dziękuję, Michael. Osiągnęłam już wiek, kiedy nie mogę pozwalać sobie na wszystko, na co mam ochotę.

- Ja też - wyznałem. - Żeby zachować linię, trzy razy w tygodniu grywam w squash - dodałem, gdy ponownie pojawił się Mario.

- Poprosimy dwa razy *fettucini* i butelkę...

- Pół butelki - przerwała mi Anna. - Ja wypiję tylko jeden kieliszek. Jutro zaczynam wcześniej pracę i nie powinnam przesadzić.

Skinąłem głową i Mario odszedł. Popatrzyłem ponad stołem w oczy Anny.

- Zawsze byłem ciekaw kobiet-lekarzy - oświadczyłem i natychmiast pojąłem, że nie jest to najlepszy temat.

- Zastanawiasz się, czy kobiety-lekarze są normalnymi ludźmi?

- Coś w tym rodzaju.

- Cóż, jesteśmy normalne poza tym, że codziennie oglądamy nagich mężczyzn. Zapewniam cię, Michael, że większość z nich jest otyła i kompletnie nieatrakcyjna.

W jednej chwili zapragnąłem być o trzy kilogramy lżejszy.

- Czy naprawdę aż tylu mężczyzn decyduje się na wizytę u lekarza-kobiety?

- Niewielu - odparła Anna. - Większość moich pacjentów to kobiety. Ale istnieją również rozsądni, inteligentni panowie, którzy doskonale wiedzą, że kobieta potrafi równie skutecznie leczyć jak mężczyzna.

Kiedy na stole pojawiły się talerze z *fettucini*, uśmiechnąłem się, a Mario pokazał mi etykietkę butelki wypełnionej do połowy winem. Skinąłem z uznaniem głową. Wybrał rzeczywiście znakomity rocznik.

- A ty? - zapytała Anna. - Co dokładnie znaczy „branża gastronomiczna”?

- Zarządzam restauracjami - wyjaśniłem i skosztowałem wina. Skinąłem głową i Mario napełnił kieliszki, najpierw Annie, a następnie mnie.

- To robię teraz, ale zaczynałem jako kelner - dodałem.

- Wspaniałe wino - zauważyła Anna. - Z przyjemnością zakończę ten wieczór drugim kieliszkiem.

- Cieszę się, że ci smakuje. To barolo.

- Co mówiłeś, Michael? Że zaczynałeś jako kelner...

- Tak, później przez blisko pięć lat pracowałem w kuchni, w końcu wyłądowałem w zarządzie.

Jak ci smakuje *fettucini*?

- Pyszne. Rozpływa się w ustach. - Znów upiła łyk wina. - A więc skoro już nie gotujesz ani nie pracujesz jako kelner, to co konkretnie robisz?

- Cóż, prowadzę trzy restauracje na West Endzie, co w praktyce oznacza, że nieustannie krążę między nimi w zależności od tego, w której mamy danego dnia kłopoty.

- Przypomina mi to ostry dyżur - stwierdziła Anna. - A gdzie dziś są największe problemy?

- Dzisiejszy dzień jest nietypowy - odparłem z przejęciem.

- Aż tak źle?

- Obawiam się, że gorzej. Straciłem jednego z kierowników, który z rana odciął sobie nożem czubek palca i przez co najmniej dwa tygodnie nie pojawi się w pracy. W drugiej restauracji nie stawił się starszy kelner, który twierdzi, że złapał gripę, a w trzeciej musiałem

wyrzucić z pracy barmana, ponieważ kombinował z rezerwacjami. Barmani zawsze kombinują, ale kiedy klienci zaczynają się w tym orientować, nie ma dla takiego miejsca... - Urwałem. - Ale i tak tę pracę lubię najbardziej.

- Dziwię się, że w takiej sytuacji mogłeś pozwolić sobie na wolny wieczór.

- Rzeczywiście powinienem być w pracy, ale... - zawiesiłem głos, pochyliłem się w stronę Anny i delikatnie dotknąłem jej kieliszka.

- Ale? - zapytała.

- Chcesz poznać prawdę? - zapytałem nalewając sobie resztę wina z butelki.

- Właśnie próbuję się tego dowiedzieć od samego początku - odparła.

Odstawiłem pustą butelkę na skraj stolika i przez chwilę milczałem.

- Wybrałem się dzisiaj do jednej z moich restauracji nieco wcześniej i wtedy ujrzałem ciebie, jak wchodziłaś do teatru. Tak długo się na ciebie gapiłem, że o mały włos nie spowodowałem karambolu, wpadając na jadący przede mną samochód. Następnie gwałtownie skręciłem na najbliższe wolne miejsce, żeby zaparkować auto, i z kolei jadący z tyłu pojazd o mało nie wjechał na mnie. Wskoczyłem i jak wariat pobiegłem do teatru. Długo się za tobą rozglądałem, aż w końcu cię dostrzegłem przed kasą. Zająłem miejsce w kolejce. Widziałem, jak oddajesz bilet. Kiedy już zniknęłaś mi z oczu, oświadczyłem kasjerowi, że myślałaś, iż nie zdążę na przedstawienie i zapewne zwróciłaś nie wykorzystany bilet. Gdy opisałem cię, a zrobiłem to szczegółowo, kasjer bez zbędnych ceregieli wręczył mi twój bilet.

Anna odstawiła kieliszek i popatrzyła na mnie z niedowierzaniem.

- Cieszę się, że kasjer uwierzył w tę historyjkę - powiedziała po chwili. - Nie wiem tylko, czy powinnam się cieszyć.

- Naturalnie, że powinnaś. Następnie wsunąłem do teatralnej koperty dwa banknoty dziesięciofuntowe i zająłem miejsce obok. Resztę już znasz.

Ciekaw byłem, jak Anna zareaguje na moje wyznanie.

Przez długą chwilę milczała.

- Pochlebiasz mi - odezwała się w końcu i dotknęła mojej ręki. - Nie wiedziałam, że istnieją jeszcze na świecie tacy staroświeccy romantycy. - Ucisnęła mi lekko dłoń i popatrzyła w oczy. - Czy mogę zapytać, co zaplanowałaś a resztę wieczora?

- Jak dotąd nic - przyznałem. - Twoje towarzystwo jest tak odświeżające.

- Brzmi to tak, jakbym była miętową czekoladką After Eight - odparła ze śmiechem.

- Na twoje pytanie mogę dać co najmniej trzy odpowiedzi - powiedziałem, kiedy znów pojawił się Mario.

Na widok do połowy tylko zjedzonych *fettucini* na jego twarzy pojawił się wyraz rozczarowania.

- Czy wszystko w porządku? - zapytał z niepokojem.

- Nie mogłoby być lepiej - odrzekła Anna nie spuszczać ze mnie wzroku.

- Czy napiłabyś się kawy? - zapytałem.

- Chętnie. Ale możemy to zrobić w jakimś mniej zatłoczonym miejscu.

Byłem tak zaskoczony, że zaniemówiłem. Poczułem, że zaczynam tracić nad sobą kontrolę. Anna wstała od stolika i popatrzyła na mnie.

- Czy możemy wyjść? - zapytała.

Skinąłem głową do Maria, który tylko się uśmiechnął. Kiedy znaleźliśmy się na ulicy, Anna wzięła mnie pod rękę i ruszyliśmy wzdłuż wielkich schodów teatru na Aldwych.

- To był cudowny wieczór - oświadczyła, kiedy podeszliśmy do miejsca, gdzie zostawiłem samochód. - Aż do chwili, w której się pojawiłeś, dzień był bardzo ponury. Dopiero ty wszystko zmieniłeś.

- I dla mnie nie był on najlepszy - wyznałem. - Ale nie pamiętam, kiedy po raz ostatni spędziłem równie uroczy wieczór. Gdzie chciałabyś wstąpić na kawę? Do Annabels? A może do Dorchester Club?

- Jeśli nie masz żony, możemy pójść do ciebie. Skoro...

- Nie mam żony - odparłem po prostu.

- A więc postanowione - zdecydowała, kiedy otwierałem drzwi BMW.

Gdy siedziała już w środku, obszedłem pojazd i zająłem miejsce za kierownicą. Odkryłem, że zostawiłem zapalone światła i kluczyk w stacyjce.

Włączyłem silnik, który bez kłopotów zaskoczył.

- To będzie mój dzień - mruknąłem.

- Słucham? - Anna odwróciła się.

- Zdaje się, że w ostatniej chwili uciekliśmy przed deszczem - powiedziałem, kiedy na przednią szybę spadło kilka pierwszych kropel. Włączyłem wycieraczki.

W drodze do Pimlico Anna opowiedziała mi o dzieciństwie spędzonym na południu Francji, gdzie jej ojciec uczył angielskiego w szkole dla chłopców. Jej stwierdzenie, że była jedyną dziewczynką wśród kilkuset francuskich nastolatków niebywale mnie rozbawiło. Towarzystwo Anny wprawiało mnie w coraz większą euforię.

- Ale wróciłaś do Anglii - stwierdziłem.

- Moja matka była Angielką, a ojciec Francuzem. Kiedy się rozwiedli, wróciliśmy do Anglii, gdzie chciałam studiować medycynę.

- I nie tęsknisz za południową Francją, zwłaszcza w takie wieczory jak dzisiejszy? - zapytałem, kiedy niebo przecięła błyskawica i rozległ się grzmot.

- Och, sama nie wiem - odrzekła. Chciałem coś wtrącić, ale nie dała mi dojść do słowa. - Tak czy owak, kiedy Anglicy nauczyli się wreszcie jako tako gotować, kraj ten stał się dużo bardziej cywilizowany.

Uśmiechnąłem się zastanawiając, czy przypadkiem Anna ponownie nie stroi sobie ze mnie żartów. Natychmiast zorientowałem się, że nie.

- A swoją drogą - ciągnęła - czy restauracja, w której jedliśmy kolację, nie była przypadkiem jedną z tych trzech twoich?

- Dokładnie tak - odparłem lekko zakłopotany.

- No właśnie, teraz już wiem, jakim cudem dostałeś stolik w zatłoczonym lokalu, dlaczego

kelner, nie pytając nawet, wiedział, że chcesz barolo, i jak to się stało, że wyszliśmy nie płacąc rachunku.

Zacząłem się zastanawiać, czy kiedykolwiek dorównam Annie.

- Czy to był lokal, w którym zachorował kelner, kierownik ma u dłoni cztery i pół palca, a barman szachrował z rezerwacjami?

- Barman-szachraj - wybuchnąłem śmiechem. - Musiałem go wyrzucić, ale podejrzewam, że ten, który przyszedł na jego miejsce, niezbyt dobrze sobie radzi - wyjaśniłem, kiedy skręciłem w prawo, w Millbank. Zacząłem rozglądać się za miejscem do parkowania.

- A ja, naiwna, myślałam, że zwracasz uwagę tylko na mnie - westchnęła Anna. - Cały czas zerkałeś nad moim ramieniem patrząc, jak sprawuje się nowy barman.

- Wcale nie cały czas - odrzekłem wprowadzając samochód w jedyne wolne miejsce przed domem, w którym mieszkałem.

Wysiadłem z auta, obszedłem je, wypuściłem Annę i zgodnie weszliśmy do środka.

Kiedy przekroczyliśmy próg mieszkania i zamknąłem za nami drzwi, Anna zarzuciła mi ręce na szyję i spojrzała głęboko w oczy. Pochyliłem się i po raz pierwszy ją pocałowałem. Kiedy oderwaliśmy się od siebie, szepnęła:

- Nie zawracaj sobie głowy kawą, Michael.

Zdjąłem kurtkę i zaprowadziłem Annę na górę, do sypialni. Miałem nadzieję, że gospoia tego dnia dokładnie posprzątała dom. Kiedy otworzyłem drzwi, z ulgą stwierdziłem, że łóżko jest starannie posłane, a pokój lśni czystością.

- Za chwilę wrócę - powiedziałem i ruszyłem do łazienki.

Szorując zęby zastanawiałem się, czy wszystko to nie jest snem. Może gdy wejdę do sypialni, przekonam się, że żadna Anna nie istnieje? Odstawiłem szczoteczkę do szklanki i zajrzałem do pokoju. Gdzie jest Anna? Zauważyłem rządę porozrzucanej garderoby prowadzący prosto do łóżka.

Nt poduszce dostrzegłem głowę Anny. Ciało przykryła prześcieradłem.

Szybko zrzuciłem ubranie, zostawiając je na podłodze tam, gdzie upadło, i wyłączyłem górne światło. Paliła się tylko mała lampka przy łóżku. Wsunąłem się pod prześcieradło. Przez kilka chwil spoglądałem Annie w twarz, po czym wziąłem dziewczynę w ramiona. Powoli poznawałem każdy szczegół jej ciała. Ona mnie całowała. Nie mieściło mi się w głowie, że ktoś może być tak podniecający, a zarazem czuły i delikatny. Kiedy w końcu zaczęliśmy się kochać, pojąłem, że nie chcę, żeby Anna kiedykolwiek mnie opuściła.

Długo milczeliśmy leżąc przytuleni do siebie. Później zacząłem chaotycznie opowiadać o wszystkim, co przychodziło mi do głowy. Mówiłem o swoich najskrytszych nadziejach, marzeniach, a nawet o kompleksach tak swobodnie, jak nigdy dotąd. Chciałem dzielić z Anną wszystko.

Gdy ponownie zaczęła mnie całować, najpierw w usta, później w szyję, w tors i schodząc ustami coraz niżej, myślałem, że wybuchnę. Ostatnią rzeczą, jaką zapamiętałem, było to, że kiedy zadzwonił stojący na stoliku w holu zegar, zgasłem światło.

Po przebudzeniu ujrzałem, że przez koronkowe firanki wpadają do pokoju pierwsze promienie słońca. Natychmiast odżyły wspomnienia cudownych chwil, jakie przeżyłem

ostatniej nocy. Leniwie odwróciłem się, żeby wziąć Annę w ramiona, ale jej już nie było.

- Anno! - zawołałem podrywając się jak rażony prądem.

Nie doczekałem się odpowiedzi. Włączyłem lampkę przy łóżku i popatrzyłem na zegarek.

Wskazywał siódmą dwadzieścia dziewięć. Miałem właśnie wstać i poszukać Anny, kiedy mój wzrok padł na kartkę leżącą na stoliku.

Podniosłem ją powoli, przeczytałem i uśmiechnąłem się.

- Ja również - szepnąłem, położyłem się na plecach i zacząłem się zastanawiać, co powinienem zrobić.

Postanowiłem, że pošlę jej rankiem tuzin róż; jednaście białych i jedną czerwoną. Później będę jej wysyłał co godzinę jedną czerwoną tak długo, aż ponownie ją zobaczę.

Ogoliłem się, ubrałem, po czym zacząłem bez celu krążyć po domu. Zastanawiałem się, ile czasu zajmie mi przekonanie Anny, że powinna się do mnie sprowadzić, i jakich zmian zechce dokonać w moim domu. Bóg jeden wie, pomyślałem wchodząc do kuchni z jej liścikiem w dłoni, jak to miejsce będzie wyglądało, kiedy zamieszka w nim kobieta.

Podczas śniadania, zamiast czytać gazetę, przeglądałem książkę telefoniczną poszukując jej numeru. Znalazłem - doktor Townsend; lekarz, z którym należało się kontaktować między dziewiątą a osiemną. Adres: Parsons Green Lane. Podano tam również inny numer, ale zaznaczono, że należy się z nim łączyć jedynie w nagłych wypadkach.

Jakkolwiek uważałem, że stan, w jakim się znajduję, kwalifikuje się jako nagły wypadek, zadzwoniłem pod pierwszy numer. Chciałem jedynie powiedzieć: „Dzień dobry, kochanie, znalazłem twój liścik. Czy nasza ostatnia noc może być pierwszą z wielu następnych?” W telefonie odezwał się poważny głos jakiejś matrony:

- Klinika Townsendsów.

- Czy jest może doktor Townsend?

- Który? - zapytał głos po drugiej stronie. - Mamy ich troje: doktora Jonathana, doktor Annę i doktor Elizabeth.

- Proszę mnie połączyć z doktor Anną Townsend - odparłem bez namysłu.

- Och, przykro mi, ale w tej chwili jest nieosiągalna. Odwiozła właśnie dzieci do szkoły, a później miała się udać na lotnisko na spotkanie męża. Doktor Jonathan wraca dziś z konferencji naukowej w Minneapolis. Doktor Anna wróci najwcześniej za kilka godzin. Czy mam przekazać jakąś wiadomość?

Po długiej chwili milczenia dostoyny, damski głos zapytał:

- Czy słyszy mnie pan?

Bez słowa odłożyłem słuchawkę i popatrzyłem smutno na liścik spoczywający obok telefonu.

Spalony

Dziękuję, Michael, bardzo chętnie. - Uśmiechnąłem się nie mogąc ukryć zadowolenia.

- Cześć, Anno! A już myślałem, że się rozminiemy. Odwróciłem się i spojrzałem na wysokiego mężczyznę ze strzeżą jasnych włosów, który najwyraźniej nic sobie nie robił z płynącego tłumu ludzi, którzy próbowali go wymijać. Anna obdarzyła go uśmiechem, jakiego jeszcze u niej dotąd nie widziałem.

- Witaj, kochanie - odparła. - To jest Michael Whitaker. Mieliśmy szczęście; on kupił twój bilet i gdybyś się nie pojawił w ostatniej chwili, byłam gotowa przyjąć jego zaproszenie na kolację.

Michael, to jest Jonathan, mój mąż... ten, którego zatrzymano w szpitalu. Ale jak widać jakoś udało mu się wyrwać.

Nie potrafiłem wymyślić żadnej sensownej odpowiedzi. Jonathan serdecznie uścisnął mi dłoń.

- Dziękuję, że dotrzymał pan towarzystwa mojej żonie - powiedział. - Co pan powie o wspólnej kolacji?

- To bardzo miło z państwa strony - odparłem - ale właśnie przypomniałem sobie, że muszę natychmiast załatwić pewną sprawę. Najlepiej będzie, jeśli już sobie pójdę.

- Wielka szkoda - powiedziała Anna. - Miałam nadzieję, że dowiem się czegoś o prowadzeniu restauracji. Być może jeszcze się kiedyś spotkamy, jeśli mój mąż ponownie zostawi mnie na lodzie.

Do widzenia, Michael.

- Do widzenia, Anno.

Obserwowałem ich, jak wsiadają do taksówki, i modliłem się w duchu, żeby Jonathan padł w tej chwili trupem. Tak się jednak nie stało, więc skierowałem kroki w stronę, gdzie zostawiłem samochód.

- Jesteś szczęśliwcem, Jonathanie Townsend - mruknąłem pod nosem, ale nikt nie usłyszał mojej uwagi.

Następnymi słowami, jakie wyszły z moich ust, były: „Cholera jasna!” Powtórzyłem przekleństwo kilkakrotnie, ponieważ miejsce, gdzie zostawiłem auto, było teraz puste.

Przeszedłem się wzdłuż ulicy na wypadek, gdybym nie pamiętał dokładnie, gdzie zaparkowałem, ponownie zakląłem i ruszyłem na poszukiwanie budki telefonicznej nie wiedząc, czy samochód został skradziony, czy odholowany.

Na rogu z Kingsway znalazłem automat. Podniosłem słuchawkę i wcisnąłem trzy dziesiątki.

- Czym możemy służyć? - zapytał czyjś głos. - Czy chce pan połączyć się ze strażą ogniową, policją czy też wezwać karetkę pogotowia?

- Policję, proszę - odparłem i prawie natychmiast w słuchawce rozległ się inny głos:

- Tu posterunek policji Charing Cross. Czym możemy służyć?
- Podejrzewam, że skradziono mi samochód.
- Proszę podać jego markę, kolor i numer rejestracyjny.
- Czerwony ford fiesta, numer rejestracyjny HI07 SHV. W słuchawce dłuższą chwilę panowała głucha cisza, którą mącił jedynie szmer czyichś rozmów w tle.
- Pański samochód nie został skradziony - odezwał się policjant po drugiej stronie. - Samochód był nieprawidłowo zaparkowany na podwójnej, żółtej linii. Został odholowany na parking w Vauxhall Bridge.
- Czy mogę go natychmiast odebrać? - zapytałem ponuro.
- Naturalnie. Jak zamierza się pan tam dostać?
- Taksówką.
- Proszę więc powiedzieć szoferowi, żeby pojechał na parking w Vauxhall Bridge. Musi pan mieć ze sobą dokument tożsamości i czek na sto pięć funtów oraz kartę bankową; chyba że chce pan zapłacić gotówką.
- Sto pięć funtów? - zapytałem z niedowierzaniem.
- Dokładnie tyle.

Kiedy odłożyłem słuchawkę, zaczęło padać. Pobiegłem na róg Aldwych, żeby złapać taksówkę, ale jak na złość wszystkie były zajęte. Przed teatrem ciągle kłębił się tłum widzów.

Postawiłem kołnierz i ruszyłem przez jezdnię, klucząc między posuwającymi się w żółtym tempie pojazdami. Po drugiej stronie ulicy zacząłem biec i w ostatniej chwili znalazłem wystarczająco szeroki gzyms nad głową, który osłonił mnie przed gwałtownie siekącym deszczem.

Zanim pojawiła się wolna taksówka, zdążyłem solidnie zmarznąć. Kilkakrotnie kichnąłem.

- Parking w Vauxhall Bridge - poleciłem kierowcy i wskoczyłem do środka.
- Miał pan niefart, kolego - stwierdził kierowca. - Dzisiaj jest już pan drugą osobą, którą tam wiozę.

Zmarszczyłem brwi.

Kiedy taksówka sunęła powoli przez most Waterloo w zmywanym deszczem sznurze pojazdów, kierowcy nie zamykały się usta. Odpowiadałem monosylabami na podnoszone przez niego kwestie o pogodzie, o Johnie Majorze, o angielskiej reprezentacji krykieta oraz o zagranicznych turystach. Z każdym kolejnym tematem opinie kierowcy stawały się coraz bardziej pesymistyczne.

Kiedy dotarliśmy na parking, wręczyłem mu banknot dziesięciofuntowy i czekałem na deszczu na resztę. Ruszyłem w kierunku niewielkiej budki zarządu parkingu, gdzie po raz drugi tego wieczora musiałem odstać swoje w kolejce. Ta była znacznie dłuższa i gdy dotarłem do okienka i zapłaciłem karę, wiedziałem, że nie czeka mnie żadna nagroda w postaci interesującego przedstawienia, które zapamiętam na długo. Tęgi policjant wskazał mi blankiet przyklejony do blatu biurka taśmą samoprzylepną.

Szybko go przestudiowałem, okazałem swoje prawo jazdy, a następnie wypisałem czek na sto pięć funtów, które miały zostać przelane na konto policji miejskiej. Wręczyłem go

policjantowi.

Jedynie okazała postura stróża porządku powstrzymała mnie przed wyrażeniem opinii, że powinien się zabrać do jakiejś pożytecznej pracy, na przykład łapiąc handlarzy narkotyków. Ewentualnie złodziei samochodów.

- Pański pojazd stoi na końcu parkingu - powiedział policjant wskazując na długie szeregi aut.

- Dziękuję - burknąłem.

Wyszedłem z budki na deszcz i wymijając kałuże pobiegłem między rzędami zaparkowanych aut.

Zatrzymałem się dopiero na samym końcu parkingu. Zajął mi kilka minut, zanim odnalazłem mojego czerwonego forda fiestę. Kolejna niedogodność wynikająca z faktu posiadania najbardziej popularnego samochodu w Wielkiej Brytanii.

Otworzyłem drzwi, wsunąłem się do środka i ponownie kichnąłem. Przekręciłem kluczyk w stacyjce, ale z silnika dobiegł jedynie głuchy klekot, który po chwili kompletnie ucichł.

Przypomniałem sobie, że kiedy niespodziewanie zostawiłem auto, żeby pójść do teatru, zapomniałem wyłączyć światła. Słowa, które wyrwały mi się z ust, w niewielkim tylko stopniu wyrażały rzeczywisty stan moich uczuć.

Ujrzałem, że w kierunku zaparkowanego w sąsiednim rzędzie rangę rovera ktoś biegnie. Szybko otworzyłem okno, ale zanim zdążyłem krzyknąć magiczne słowa: „Czy mogę odpalić od pańskiego akumulatora?”, postać zniknęła i rangę rover odjechał. Wsiadłem z forda, wyciągnąłem z bagażnika kable, podłączyłem je do akumulatora i czekałem na kolejną okazję.

Nie przestawałem myśleć o Annie, ale już pogodziłem się z tym, że jedynym osiągnięciem tego wieczora będzie silna grypa.

Po czterdziestu minutach moknięcia na deszczu minęły mnie obojętnie trzy osoby i dopiero młody Murzyn zatrzymał się przy moim samochodzie.

- Człowieku, jakieś kłopoty? - zapytał.

Wyjaśniłem mu, w czym rzecz, a on natychmiast podjechał do mnie starą furgonetką, podniósł maskę wozu i podłączył kable do swego akumulatora. Jak tylko włączył silnik, mój również zaczął pracować.

- Dzięki! - zawołałem trochę bez sensu, ponieważ w tym samym czasie wprowadzałem silnik na najwyższe obroty.

- Cała przyjemność po mojej stronie, człowieku! - odkrzyknął Murzyn i jego pojazd zniknął w mroku.

Kiedy już wyjechałem z parkingu, włączyłem radio, z którego dobiegło mnie bicie Big Bena.

Była północ. Natychmiast sobie przypomniałem, że nie pojawiłem się w pracy. Przede wszystkim, żeby utrzymać się na posadzie, musiałem wymyślić jakąś wiarygodną wymówkę. Ponownie kichnąłem i zdecydowałem się na grypę. Jakkolwiek przyjęto już pewnie ostatnie zamówienia, Gerald nie powinien jeszcze zamknąć kuchni.

Wyglądałem przez okno wypatrując budki telefonicznej. W końcu dostrzegłem trzy przed

urzędem pocztowym. Zatrzymałem samochód, wyskoczyłem z kabiny, ale okazało się, że wszystkie trzy aparaty są zdewastowane. Wróciłem więc do auta i dalej prowadziłem poszukiwania. Kilkakrotnie jeszcze wyskakiwałem na deszcz, aż w końcu na rogu Warwick Way dostrzegłem pojedynczy czynny automat.

Wykręciłem numer restauracji i długo czekałem, aż ktoś się zgłosi.

- Tu Laguna 50 - dobiegł mnie dziewczęcy głos z włoskim akcentem.

- Czy to ty, Janice? Mówi Michael.

- Tak, to ja, Mikę - odparła szeptem wracając do londyńskiego akcentu. - Muszę cię ostrzec, że przez cały wieczór, kiedy padało twoje imię, Gerald sięgał po najbliższy tasak do rąbania mięsa.

- Dlaczego? - odparłem pytaniem. - Przecież jest jeszcze w kuchni Nick.

- Nick wczesnym wieczorem odciął sobie czubek palca i Gerald wysłał go do szpitala.

Wszystkim musiałam się sama zająć. Gerald nie będzie zachwycony.

- Och, cholera - mruknąłem. - Ale ja jestem...

- Wywalony - dobiegł mnie inny głos; i nie był to wcale szept.

- Gerald, chciałbym wyjaśnić...

- Dlaczego nie pojawiłeś się w pracy? Kichnąłem i wytarłem nos.

- Złapałem okropną grypę. Jeślibym się pojawił, zaraziłbym połowę klientów.

- Naprawdę? - spytał Gerald. - No cóż, sądzę, że byłaby to mniejsza tragedia, niż gdybyś zaraził tę dziewczynę, która siedziała obok ciebie w teatrze.

- O co ci chodzi? - zapytałem pociągając nosem.

- Dokładnie to, co mówię, Mikę. Widzisz, tak się dla ciebie niefortunnie złożyło, że pewna para naszych stałych klientów siedziała dwa rzędy za wami w teatrze na Aldwych. Sztuka podobała się im tak, jak i tobie, a jedno z nich dodało, że twoja panienska „absolutnie ścinała z nóg”.

- Musieli mnie z kimś pomylić - odparłem nadając głosowi beztrouski ton.

- Oni mogliby się pomylić, ale nie ja. Mikę, jesteś wywalony i nawet nie próbuj pojawiać się po pieniądze, ponieważ główny kelner, który woli teatr z panienką od pracy w nocy, nie ma na co liczyć.

Donośny trzask powiedział mi, że Gerald przerwał rozmowę.

Ja również odwiesiłem słuchawkę i klnąc ordynarnie pod nosem ruszyłem powoli w stronę samochodu. Dzielilo mnie od niego najwyżej dwanaście kroków, kiedy jakiś młodzieniec wskoczył do środka, przekręcił kluczyk w stacyjce i ciężko ruszył z trzeciego biegu. Popędziłem za odjeżdżającym autem, ale chłopak przyspieszył i zniknął w ciemnej ulicy.

Wróciłem do budki telefonicznej i ponownie nacisnąłem trzy dziesiątki.

- Straż ogniowa, policja czy karetka pogotowia? - zadano mi po raz drugi tego wieczora pytanie.

- Policja - odparłem i w chwilę później odezwał się inny głos.

- Posterunek policji Belgravia. Czym możemy służyć?

- Właśnie ukradziono mi samochód! - krzyknąłem.
- Proszę podać markę, kolor i numer rejestracyjny.
- Czerwony ford fiesta, numer rejestracyjny: HI07 SHV.

Czekałem niecierpliwie.

- On nie został skradziony. Zaparkował go pan nieprzepisowo na podwójnej...
- Nie, to nie to! - krzyknąłem jeszcze głośniejszym głosem. - Niecałe pół godziny temu zapłaciłem już sto pięć funtów, żeby wykupić ten cholerny samochód z parkingu w Vauxhall Bridge. Przed chwilą jakiś młodziak ukradł mi auto, kiedy rozmawiałem przez telefon z budki.
- Gdzie pan się w tej chwili znajduje?
- Na rogu Vauxhall Bridge Road i Warwick Way.
- W jakim kierunku odjechał złodziej?
- Na północ Vauxhall Bridge Road.
- Jaki jest numer pańskiego telefonu domowego?
- 081 290 4820.
- A w pracy?
- To samo co z samochodem. Straciłem także pracę.
- W porządku. Natychmiast się tym zajmujemy. Jak tylko będziemy coś wiedzieli, skontaktujemy się z panem.

Odwiesiłem słuchawkę i zacząłem się zastanawiać, co powinienem teraz zrobić. Nie miałem wielkiego wyboru. Zatrzymałem taksówkę i kazałem się zawieźć na dworzec Victoria. Na szczęście ten szofer nie przejawiał skłonności do wyrażania swoich opinii na różne tematy. Na miejscu podałem mu ostatni banknot i cierpliwie czekałem, aż wyda mi reszty z dokładnością do jednego pensa. Mruknął pod moim adresem kilka cierpkich uwag. Za pozostałe pieniądze kupiłem bilet do Bromley i zacząłem szukać właściwego peronu.

- Miał pan szczęście - poinformował mnie kontroler biletów. - Lada chwila podjedzie ostatni pociąg.

Musiałem jednak czekać prawie dwadzieścia minut na zimnym, opustoszałym peronie, zanim wreszcie wagony wtoczyły się na stację. Oczekując na ich przyjazd, obejrzałem wszystkie reklamy, od Guinnessa poczynając na Mates kończąc. Kichałem już regularnie.

Kiedy wreszcie pociąg się zatrzymał i otworzyły się drzwi wydając dźwięk przypominający mlaśnięcie, zająłem miejsce w pierwszym wagonie. Po dziesięciu minutach pociąg ruszył i po dalszych czterdziestu dotarłem do Bromley.

Kilka minut przed pierwszą wysiadłem w noc Kentu i ruszyłem w stronę swego niewielkiego, o płaskim, tarasowym dachu domu.

Dwadzieścia pięć minut później wlokłem się krótką dróżką wiodącą do frontowych drzwi.

Sięgnąłem po klucze, ale wtedy przypomniałem sobie, że zostawiłem je w samochodzie. Nie miałem nawet siły kląć i zacząłem czołgać się w ciemności po ziemi szukając zapasowego klucza, który trzymałem schowany pod jednym z kamieni. Ale pod którym? W końcu namacałem go, otworzyłem drzwi i wszedłem do środka. Kiedy przekroczyłem próg,

zadzwoił stojący w holu telefon.

Sięgnąłem po słuchawkę.

- Pan Whitaker?

- Przy telefonie.

- Tu posterunek policji Belgravia. Znaleźliśmy pański samochód i...

- Dzięki Bogu - przerwałem oficerowi. - Gdzie on jest?

- W tej chwili na lorze do transportu aut jadącej do Chelsea. Młodziak, który ukradł pański samochód, przejechał tylko około półtora kilometra i przy szybkości stu dziesięciu kilometrów na godzinę wjechał na krawężnik, a następnie uderzył w mur. Przykro mi, ale pański samochód został kompletnie rozbity.

- Kompletnie rozbity? - wybąkałem z niedowierzaniem.

- Tak jest. Przekazaliśmy numer pańskiego telefonu do warsztatów, gdzie samochód będzie odstawiony. Skontaktują się z panem z samego rana.

Nie miałem nic do powiedzenia.

- Dobrą wiadomością jest to, że schwytaliśmy chłopaka - ciągnął oficer policji. - Złą natomiast, że liczy sobie tylko piętnaście lat, nie ma prawa jazdy i oczywiście nie jest ubezpieczony.

- To nie problem. Ja jestem ubezpieczony.

- Chcę panu zadać pytanie, sir. Czy zostawił pan kluczyki w stacyjce?

- Tak, zostawiłem. Wyskoczyłem tylko na dwie minuty, żeby zatelefonować.

- A więc nie sądzę, żeby ubezpieczenie za samochód zostało panu wypłacone.

- Jak to? O czym pan mówi?

- Obecnie polisy nie są realizowane, jeśli właściciel zostawia w stacyjce kluczyki. Ale niech pan to jeszcze sprawdzi - poradził oficer i wyłączył się.

Odłożyłem słuchawkę zastanawiając się, jakie jeszcze nieszczęścia spadną na mnie tej nocy.

Zdjąłem kurtkę i ruszyłem schodami na górę, ale gwałtownie się zatrzymałem, gdyż na podeście ujrzałem żonę.

- Maureen... - zacząłem.

- Wyjaśnisz mi później, dlaczego samochód jest kompletnie rozbity - przerwała. - Najpierw wytłumacz, dlaczego nie poszedłeś wieczorem do pracy i kim jest ta „oszałamiająca dziewczyna”, z którą widziano cię w teatrze.

Przesada

Nie mam żadnych planów - odparła Anna. Uśmiechnąłem się nie mogąc ukryć zadowolenia.

- Doskonale. Niedaleko stąd jest mała restauracja, która z pewnością ci się spodoba.

- Brzmi to obiecująco - odparła Anna, przepychając się przez zbity tłum opuszczających teatr widzów. Szybko ruszyłem za nią.

- Dokąd? - zapytała.

Wskazałem kierunek, w którym znajdował się Strand, i Anna ruszyła w tamtą stronę. Cały czas rozmawialiśmy o przedstawieniu.

Kiedy już znaleźliśmy się na Strandzie, pokazałem wielkie, szare, podwójne drzwi po drugiej stronie ulicy.

- To tutaj - oświadczyłem i chciałem wziąć dziewczynę za rękę, ale Anna szybko ruszyła przez jezdnię, wymijając stojące na światłach pojazdy. Na drugą stronę dotarła pierwsza i tam dopiero na mnie zaczekała.

Pchnęła drzwi i znów ruszyła przodem. Zeszliśmy po schodach do mieszczącej się w podziemiach restauracji wypełnionej gwarem rozmów ludzi, którzy też wyszli z teatrów. Między stolikami krążyli kelnerzy z tacami.

- Podejrzewam, że jeśli nie masz rezerwacji, nie dostaniemy stolika - oświadczyła Anna, mierząc wzrokiem dużą grupę zniecierpliwionych osób tłoczących się przy barze w oczekiwaniu, aż zwolnią się jakieś miejsca.

- Tym się nie martw - powiedziałem z pewnością siebie i ruszyłem do stolika, przy którym robione były rezerwacje.

Wielkopańskim gestem skinąłem na starszego kelnera, który właśnie przyjmował zamówienia od jednego z gości. Miałem nadzieję, że kelner mnie pozna.

Odwrociłem się i przesłałem Annie uśmiech. Najwyraźniej nie zrobiło to na niej żadnego wrażenia.

Kiedy kelner przyjął zamówienie, podszedł powoli do mnie.

- Czym mogę panu służyć? - zapytał.

- Victorze, czy mógłbyś załatwić stolik dla dwóch osób?

- Victor ma dzisiaj wolne. Czy ma pan rezerwację?

- Nie, ale...

Kelner przejrzał listę rezerwacji, a następnie popatrzył na zegarek.

- Mogę dać państwu stolik najwcześniej około dwudziestej trzeciej piętnaście, dwudziestej trzeciej trzydziści - odparł bez specjalnego entuzjazmu.

- I nic wcześniej? - zapytałem. - Nie sądzę, żebyśmy mogli tak długo czekać.

Anna zgodnie kiwnęła głową.

- Obawiam się, że nie - odparł starszy kelner. - Do tej pory wszystkie stoliki mamy zarezerwowane.

- Tak też myślałam - stwierdziła Anna kierując się do wyjścia.

I znów musiałem przyspieszyć kroku, żeby się z nią zrównać. Kiedy wyszliśmy na zewnątrz, powiedziałem:

- Znam niewielką włoską restaurację, kawaleczek stąd. Mam tam zawsze stolik. Może zaryzykujemy?

- Nie mamy innego wyboru - odrzekła Anna. - W którą stronę tym razem?

- Prosto przed siebie i w prawo - odparłem, kiedy nagle po niebie przetoczył się grzmot.

- Do licha! - mruknęła Anna nakrywając torebką głowę, żeby uchronić włosy przed pierwszymi kroplami deszczu.

- Przepraszam - powiedziałem spoglądając na czarne chmury. - Powinienem...

- Michael, nie przepraszaj. Przecież to nie twoja wina, że pada.

Zaczerpnąłem tchu i powiedziałem desperacko:

- Lepiej pospieszmy się. Nie sądzę, żeby przy takiej pogodzie udało się nam złapać taksówkę.

Anna przytaknęła z entuzjazmem. Zacząłem biec ulicą; Anna tuż za mną. Padał coraz większy deszcz i choć do celu mieliśmy nie więcej niż siedemdziesiąt metrów, gdy dotarliśmy na miejsce, przemokliśmy do suchej nitki.

Westchnąłem z ulgą, kiedy po wejściu do restauracji spostrzegłem, że połowa stolików jest wolna; choć już samo to powinno było mi dać dużo do myślenia. Odwróciłem się i przesłałem Annie ciepły uśmiech, ale ona ciągle marszczyła brwi.

- Coś nie tak? - zapytałem.

- Nie, wszystko w porządku. Po prostu przypomniała mi się teoria mego ojca o restauracjach, które o tej porze świecą pustką.

Popatrzyłem z uśmiechem na dziewczynę, ale wstrzymałem się od wszelkich komentarzy na temat jej rozmazanego na policzkach makijażu i mokrych, potarganych włosów.

- Muszę się chyba doprowadzić do porządku - stwierdziła Anna. - Zajmie mi to tylko chwilę - dodała kierując się w stronę drzwi z napisem: „Signorinas”.

Kiwnąłem ręką na Maria, który akurat nie miał nic do roboty. Podszedł do mnie natychmiast.

- Panie Whitaker, był do pana telefon - powiedział prowadząc mnie do mego stałego stolika. -

Proszono, żeby natychmiast skontaktował się pan telefonicznie z Geraldem. Kiedy z nim rozmawiałem, odniosłem wrażenie, że jest zdenerwowany.

- To może poczekać. Ale jeśli jeszcze raz zadzwoni, proszę mnie o tym natychmiast powiadomić.

W tej chwili podeszła Anna. Makijaż już był w porządku, ale fryzura pozostawiała to i owo do życzenia. Wstałem, żeby podprowadzić ją do stolika.

- Nie musisz robić aż takich ceregieli - powiedziała.

- Czy czegoś się napijesz? - zapytałem, kiedy już oboje zajęliśmy nasze miejsca.

- Nie, chyba nie. Jutro zaczynam wczesnie pracę i nie powinnam przesadzić. Po prostu wypiję do kolacji kieliszek wina.

Obok Anny pojawił się kolejny kelner.

- Czy już się pani na coś zdecydowała? - zapytał uprzejmie.

- Nie miałam jeszcze okazji zajrzeć do karty - odrzekła Amia nie spoglądając w jego stronę.

- Doradzałbym *fettucini* - powiedział kelner wskazując danie na końcu listy. - To nasza specjalność.

- Świetnie, chętnie spróbuję - stwierdziła Anna wręczając mi kartę.

Skinąłem głową.

- Ja również proszę to samo - powiedziałem, po czym zamówiłem pół butelki czerwonego wina.

Kelner zabrał kartę i oddalił się.

- Czy...?

- Czy mogłabym...?

- Ty pierwsza - przerwałem siląc się na uśmiech.

- Czy zawsze na pierwszej randce zamawiasz pół butelki wina? - zapytała.

- Jestem przekonany, że będzie ci smakować - odparłem zgnębiony.

- Michael, ja tylko żartowałam. Nie traktuj wszystkiego tak poważnie.

Przyjrzałem się dokładnie swojej towarzyszce. Błysnęła mi myśl, że popełniam okropny błąd.

Mimo wszelkich wysiłków, jakie Anna włożyła w swoją toaletę, nie była już tą dziewczyną, którą ujrzałem po raz pierwszy przed teatrem - to prawda, że z dużej odległości - kiedy to o mało nie doprowadziłem do kraksy.

Och, Boże, samochód! Przypomniałem sobie nagle, gdzie go zostawiłem, i dyskretnie spojrzałem na zegarek.

- Michael, czyżby już nudziło cię moje towarzystwo? - zapytała Anna. - A może ten stół jest zarezerwowany przez kogoś innego?

- Tak. To znaczy nie. Przepraszam. Po prostu przypomniałem sobie o czymś, co powinienem był sprawdzić, zanim ruszyliśmy na kolację. Przepraszam - powtórzyłem.

Anna nachmurzyła się, a ja zaprzestałem dalszych przeprosin.

- Już za późno? - zapytała.

- Za późno na co?

- Zrobić to coś, co powinieneś był zrobić, zanim ruszyliśmy na kolację.

Wyjrzałem przez okno i wcale nie ucieszyło mnie to, że przestało padać. Pozostawała mi tylko nadzieja, że policja drogowa nie będzie w nocy zanadto czujna.

- Nie, jestem pewien, że wszystko będzie dobrze - udajęm beztroskę.
- Tak? To świetnie - odparła Anna z lekką złościwością.
- No dobrze. Jak to jest być lekarzem? - zapytałem próbując zmienić temat.
- Michael, to mój wolny wieczór i jeśli nie masz nic przeciwko temu, nie rozmawiajmy o sprawach zawodowych.

Przez chwilę panowało niezręczne milczenie. I znów spróbowałem:

- Czy masz do czynienia z wieloma pacjentami-mężczyznami? - zapytałem, gdy pojawił się kelner z *fettucini*.

- Nie wierzę własnym uszom - odparła Anna znużonym tonem. - Kiedy wreszcie tacy ludzie jak ty pogodzą się z faktem, że istnieją kobiety, które czekają w życiu na coś więcej niż tylko na mężczyznę.

Kelner nalał mi do kieliszka wino.

- Tak. Oczywiście. Masz rację. Nie przyszło mi do głowy, że mogło to tak zabrzmieć ... -

Skosztowałem wina i skinąłem na kelnera, że może napełnić kieliszek Anny.

- A jak miało to zabrzmieć? - zapytała wbijając energicznie widelec w *fettucini*.

- No cóż, niewielu mężczyzn decyduje się na wizytę u lekarza-kobiety - odparłem i po chwili zrozumiałem, że wpadłem jak śliwka w kompot.

- Wielkie nieba, Michael! Żyjemy w oświeconych czasach.

Widziałam zapewne więcej nagich mężczyzn niż ty; i muszę stwierdzić, że nie jest to atrakcyjny widok. - Wybuchnąłem śmiechem mając nadzieję, że rozładuję napiętą atmosferę. - Ale tak czy siak - dodała Anna - bardzo niewielu mężczyzn jest w stanie pogodzić się z faktem istnienia kobiet - lekarzy.

- Masz rację - odrzekłem. - Po prostu pomyślałem...

- Nie pomyślałeś, Michael. Tak jest zawsze z mężczyznami twojego pokroju. Założę się, że nigdy nawet nie wpadło ci do głowy, żeby udać się do lekarza-kobiety.

-/-Nie, ale... Tak, ale...

- Nie, ale, tak, ale... Lepiej zmień temat, zanim naprawdę mnie zirytujesz - powiedziała Anna odkładając widelec. - A czym ty się zajmujesz, Michael? Nie wydaje mi się, żeby w twoim zawodzie panowało równouprawnienie kobiet i mężczyzn.

- Pracuję w branży gastronomicznej - odparłem żałując, że *fettucini* jest takie tłuste.

- Ach, prawda, mówiłeś mi to w czasie przerwy. Co dokładnie znaczy „branża gastronomiczna”?

- Zarządzam restauracjami. To robię teraz. Zaczynałem jako kelner, później prawie przez pięć lat pracowałem w kuchni, aż w końcu...

- ...doszedłeś do wniosku, że ani w tym, ani w tym nie jesteś dobry i zabrałeś się za kierowanie innymi.

- Coś w tym stylu - odparłem lekko.

Ale słowa Anny przypomniały mi, że w jednej z moich restauracji nie ma tego wieczora kierownika i że tam właśnie jechałem, kiedy zwróciłem sobie głowę Anną.

- Znow zboczyliśmy z tematu - powiedziała rozgniewana. - Miałaś mi powiedzieć o tym zarządzaniu restauracjami.

- Tak, to prawda. A swoją drogą, jak ci smakuje *fettucini*?

- Biorąc wszystko pod uwagę, nie najgorsze.

- Biorąc wszystko pod uwagę?

- Biorąc pod uwagę, że ten lokal wybrałeś w drugiej kolejności.

I znow zapomniałem języka w gębie.

- Nie najgorsze - powtórzyła, niechętnie nabierając na widelec kolejną porcję.

- Może wolisz coś innego? Zawsze możemy...

- Nie trzeba, Michael. Ostatecznie jest to jedyna potrawa, którą kelner odważył się nam polecić.

Nie potrafiłem wymyślić jakiegokolwiek zgrabnej odpowiedzi, więc milczałem.

- Michael, co z tobą? Jeszcze mi nie wyjaśniłeś, na czym polega zarządzanie restauracjami - nalegała Anna.

- Cóż, prowadzę trzy restauracje na West Endzie, co w praktyce oznacza, że nieustannie krążę między nimi w zależności od tego, w której mamy danego dnia kłopoty.

- Przypomina mi to ostry dyżur - powiedziała Anna. - A gdzie dziś są największe problemy?

- Dzisiejszy dzień jest nietypowy - odparłem z przejęciem.

- Aż tak źle? - zapytała Anna.

- Obawiam się, że gorzej. Straciłem jednego z kierowników, który z rana odciął sobie nożem czubek palca i przez co najmniej dwa tygodnie nie pojawi się w pracy. W drugiej restauracji nie stawiał się starszy kelner, który twierdzi, że złapał grypę, a w trzeciej musiałem wyrzucić z pracy barmana, ponieważ kombinował z rezerwacjami. Barmani zawsze kombinują, ale kiedy sami klienci zaczynają się w tym orientować, nie ma dla takiego miejsca... - Urwałem zastanawiając się, czy powinienem zaryzykować kolejny kęs *fettucini*. - Ale i tak tę pracę lubię najbardziej.

- Dziwię się, że w tej sytuacji mogłeś pozwolić sobie na wolny wieczór.

- Rzeczywiście, powinienem być w pracy, ale... - zawiesiłem głos, pochyliłem się w stronę Anny i delikatnie dotknąłem jej kieliszka.

- Ale...?

- Chcesz poznać prawdę? - zapytałem nalewając sobie resztę wina z butelki.

- Właśnie próbuję się tego dowiedzieć od samego początku - odparła.

Odstawiłem pustą butelkę na skraj stolika i przez chwilę milczałem.

- Wybrałem się dzisiaj do jednej z moich restauracji nieco wcześniej i wtedy ujrzałem, jak wchodzisz do teatru. Tak długo się na ciebie gapiałem, że o mały włos nie spowodowałem karambolu, wpadając na jadący przede mną samochód. Następnie gwałtownie skręciłem na najbliższe wolne miejsce, żeby zaparkować, i z kolei jadący z tyłu pojazd o mało nie wjechał na mnie. Wskoczyłem i jak wariat pobiegłem do teatru. Długo się za tobą rozglądałem, aż w

końcu cię dostrzegłem przed kasą. Zająłem miejsce w kolejce. Widziałem, jak oddajesz bilet. Kiedy już zniknęłaś mi z oczu, oświadczyłem kasjerowi, że myślałaś, iż nie zdążę na przedstawienie i zapewne zwróciłaś nie wykorzystany bilet. Gdy ciebie opisałem, a zrobiłem to szczegółowo, kasjer bez zbędnych ceregieli wręczył mi twój bilet.

- Zrobiłeś z niego głupka - orzekła Anna odstawiając kieliszki spoglądając na mnie jak na niespełna rozumu.

- Wziąłem kopertę z nadrukiem teatru, wsunąłem w nią dwa banknoty i zająłem miejsce obok ciebie - ciągnąłem. - Resztę znasz.

Zamilkłem i czujnie obserwowałem dziewczynę, chcąc poznać jej reakcję.

- Pochlebiasz mi - powiedziała Anna po chwili zastanowienia. - Ale sama nie wiem, czy mam się śmiać, czy gniewać. Jednego jestem tylko pewna, kobieta, z którą żyję od dziesięciu lat, pomyśli, że to śmieszne, zwłaszcza, że zapłaciłeś za bilet.

Pojawił się kelner, który zabrał do połowy opróżnione talerze.

- Czy wszystko w porządku? - zapytał z lekkim niepokojem.

- Naturalnie - odparłem niezbyt przekonywująco. Anna skrzywiła się, ale się nie odezwała.

- Może ma pani ochotę na kawę?

- Nie, chyba nie zaryzykuję - odparła spoglądając na zegarek. - Tak czy owak, powinnam już wracać. Elizabeth będzie się zastanawiać, gdzie się podziewam.

Wstała i ruszyła w kierunku drzwi. Posłusznie poszedłem za nią. Kiedy znaleźliśmy się przed restauracją, odwróciła się do mnie i zapytała:

- Czy nie powinieneś uregulować rachunku?

- To zbyteczne.

- Dlaczego? - zapytała wybuchając śmiechem. - Czyżby była to twoja restauracja?

- Nie. Ale jest jedną z trzech, którymi zarządzam. Anna oblała się rumieńcem.

- Przepraszam, Michael. Wykazałam tak mało taktu... - Urwała i po chwili dodała: - Ale sam przyznasz, że jedzenia, jakie podają, nie zapamięta się na całe życie.

- Może chcesz, żebym odwiózł cię do domu? - zapytałem bez szczególnego entuzjazmu.

Anna popatrzyła na ciemne chmury.

- Byłoby nieźle - odparła. - Pod warunkiem, że nie będziesz musiał zbaczać z drogi. Gdzie trzymasz samochód? - dodała, zanim zdążyłem zapytać o jej adres.

- Zostawiłem go niedaleko.

- Ach, tak, pamiętam - odparła Anna. - Wskoczyłeś z niego jak wariat, nie mogąc oderwać ode mnie wzroku. Ale obawiam się, że tym razem trafiłeś na niewłaściwą dziewczynę.

Była to jedyna rzecz, co do której oboje byliśmy wreszcie zgodni. Bez słowa ruszyliśmy w stronę teatru, przed którym zostawiłem samochód. Anna ograniczyła się do stwierdzenia faktu, że znów zaczyna padać, oraz do pochwały wina. Odetchnąłem z ulgą, kiedy zobaczyłem, że moje volvo stoi dokładnie tam, gdzie je porzuciłem.

Właśnie szukałem w kieszeniach kluczyków, kiedy spostrzegłem dużą nalepkę na

przedniej szybie. Popatrzyłem pod nogi. Przednie koło auta blokowała żółta klamra.

- Masz dzisiaj pecha - stwierdziła Anna. - Ale mną się nie przejmuj. Złapię taksówkę.

Uniosła rękę i przy krawężniku zatrzymał się pojazd. Anna odwróciła się w moją stronę.

- Dziękuję za kolację - powiedziała zdawkowo i dodała bez przekonania: - Może się kiedyś spotkamy.

Zanim zdążyłem cokolwiek odpowiedzieć, wsiadła do taksówki i zatrzasnęła za sobą drzwi.

Kiedy spoglądałem za oddalającym się autem, ponownie zaczęło lać.

Jeszcze raz rzuciłem okiem na unieruchomiony samochód i doszedłem do wniosku, że z tym problemem uporam się następnego dnia.

Miałem właśnie ruszyć przed siebie, kiedy pojawiła się kolejna taksówka. Żółte światło wskazywało, że jest wolna. Gwałtownie machnąłem ręką. Auto zatrzymało się przed moim samochodem.

- Ma pan niefart, kolego - oświadczył taksówkarz spoglądając na żółtą klamrę. - Jest pan już dzisiaj trzeci.

Zmusiłem się do uśmiechu.

- No to dokąd jedziemy, kolego?

Podąłem mu adres w Lambeth i zająłem miejsce na tylnym siedzeniu.

Kiedy taksówka sunęła powoli przez most Waterloo w zmywanym deszczem sznurze pojazdów, kierowcy nie zamykały się usta. Odpowiadałem monosylabami na podnoszone przez niego kwestie o pogodzie, o Johnie Majorze, o angielskiej reprezentacji krykieta oraz o zagranicznych turystach. Z każdym kolejnym tematem opinie kierowcy stawały się coraz bardziej pesymistyczne.

W końcu zatrzymaliśmy się przed moim domem na Fentiman Road. Zapłaciłem i ponuro uśmiechnąłem się na myśl, że po raz pierwszy od wielu tygodni pojawiając się w domu przed północą.

Powoli przebyłem krótką dróżkę wiodącą do frontowych drzwi.

Przekręciłem klucz w zamku i po cichu otworzyłem drzwi, żeby nie obudzić żony. Gdy byłem już w środku, zacząłem swój nocny rytuał zdejmowania marynarki i butów, by następnie bezszelestnie wejść po schodach.

Zanim dotarłem do sypialni, zrzuciłem z siebie resztę ubrania. Po latach wracania do domu o pierwszej lub o drugiej w nocy potrafiłem się rozebrać, poskładać schludnie odzież i wsunąć się pod kołdrę obok Judy nawet jej nie budząc. Ale teraz, kiedy odchyliłem kołdrę, żona odezwała się sennym głosem:

- Nie wiedziałam, że tak wcześnie wrócisz po tym, co się stało. - Przez chwilę zastanawiałem się, czy aby nie mówi przez sen. - Jak duże szkody poczynił ogień?

- Ogień? - zapytałem stojąc nago obok łóżka.

- Na Davies Street. Parę minut po twoim wyjeździe dzwonił Gerald z wiadomością, że w kuchni wybuchł pożar, który się rozprzestrzenił na całą restaurację. Chciał sprawdzić, czy już jedziesz do pracy. Odwołał wszystkie rezerwacje na dwa tygodnie naprzód, ale jest

przekonany, że przez najbliższy miesiąc nie otworzycie interesu. Powiedziałam mu, że wyjechałeś o szóstej i lada chwila będziesz na miejscu. Więc jakie są szkody?

Zanim Judy rozbudziła się na tyle, żeby zapytać, dlaczego nie dotarłem do restauracji, ponownie byłem ubrany. Zbiegłem jak wariat po schodach na ulicę i zacząłem rozglądać się za taksówką.

Zjawiała się prawie natychmiast.

- Dokąd tym razem, kolego?

Strzał w dziesiątkę

Dziękuję, Michael, bardzo chętnie. - Uśmiechnąłem się nie mogąc ukryć zadowolenia.

- Cześć, Gadułko! A już myślałem, że się rozminiemy. Odwróciłem się i spojrzałem na wysokiego mężczyznę ze strzeżą jasnych włosów, który najwyraźniej nic sobie nie robił z płynącego tłumu ludzi, którzy próbowali go wymijać. Anna obdarzyła go uśmiechem, jakiego jeszcze u niej dotąd nie widziałem.

- Cześć, Jonathanie - odparła Anna. - To jest Michael Whitaker. Mieliliśmy szczęście; on kupił twój bilet i gdybyś nie pojawił się w ostatniej chwili, byłam gotowa przyjąć jego zaproszenie na kolację. Michael, to jest Jonathan, mój brat... ten, którego zatrzymano w szpitalu. Ale jak widać jakoś udało mu się wyrwać.

Nie potrafiłem wymyślić żadnej sensownej odpowiedzi. Jonathan serdecznie uściśnął mi dłoń.

- Dziękuję, że dotrzymał pan towarzystwa mojej siostrze. Co pan powie o wspólnej kolacji?

- To bardzo miło z państwa strony - odparłem - ale właśnie sobie przypomniałem, że muszę natychmiast załatwić pewną sprawę. Najlepiej będzie, jeśli już sobie pójde.

- Nic nie musisz w tej chwili załatwiać - przerwała mi Anna, obdarzając takim samym uśmiechem jak brata. - Nie bądź taki delikatny. - Ujęła mnie za rękę. - Tak czy owak oboje chcemy zjeść z tobą kolację.

- Dziękuję - powiedziałem.

- Niedaleko stąd jest restauracja, o której słyszałem, że jest niezła - odezwał się Jonathan i we trójkę ruszyliśmy w kierunku Strandu.

- Cudownie - oświadczyła Anna. - Wprost umieram z głodu.

- Ale najpierw coś o przedstawieniu - odezwał się Jonathan, gdy Anna wzięła go pod rękę.

- Jest tak dobre, jak twierdzą krytycy - stwierdziła.

- Straciłeś naprawdę świetną sztukę - dodałem.

- Ale ja raczej cieszę się z tego - odezwała się Anna, kiedy dotarliśmy do Strandu.

- To chyba tu - odezwał się Jonathan, wskazując podwójne, szare drzwi po drugiej stronie ulicy.

Ruszyliśmy przez jezdnię, na której samochody zatrzymały się na światłach.

W wejściu Jonathan przepuścił nas przodem. Ruszyliśmy schodami w dół do mieszczącej się w podziemiach restauracji wypełnionej gwarem rozmów ludzi, którzy też wyszli z teatrów. Między stolikami krążyli kelnerzy z tacami.

- Zaimponujesz mi, jeśli uda ci się znaleźć wolny stolik - oświadczyła Anna bratu mierząc wzrokiem grupę zniecierpliwionych osób tłoczących się przy barze w oczekiwaniu, aż zwolnią się jakieś miejsca. - Powinieneś był wcześniej zrobić rezerwację - dodała, kiedy pomachał ręką w kierunku głównego kelnera, który przyjmował akurat zamówienie.

Trzymałem się metr za nimi, a kiedy pojawił się Mario, przyłożyłem palec do ust i porozumiewawczo skinąłem głową.

- Obawiam się, że nie znajdziecie wolnego stolika dla trzech osób? - odezwał się Jonathan.

- Ależ skądże! Proszę za mną - odrzekł Mario prowadząc nas na koniec sali.

- Mieliśmy dużo szczęścia - oświadczył Jonathan.

- Z pewnością - zgodziła się Anna.

Jonathan wskazał mi krzesło z boku, tak że jego siostra usiadła między nami.

Kiedy już zajęliśmy miejsca, Jonathan zapytał, czego chciałbym się napić.

- A ty? - zapytałem z kolei Annę. - Czy jeszcze jedno wytrawne martini?

Jonathan popatrzył na nas ze zdumieniem.

- Przecież nie piłaś wytrawnego martini od czasu... Anna popatrzyła na niego ostro i szybko powiedziała:

- Mam ochotę na kieliszek wina.

Od kiedy nie piłaś wytrawnego martini? - pomyślałem, ale nie zadałem tego pytania głośno.

- Ja również - powiedziałem.

Ponownie pojawił się Mario i wręczył nam karty. Anna i jej brat dłuższą chwilę studiowali je w milczeniu, po czym odezwał się Jonathan:

- Czy mamy jakieś pomysły?

- Wszystko to wygląda bardzo kusząco - odezwała się Anna. - Myślę, że zdecyduję się na *fettucini* i kieliszek czerwonego wina.

- A może na początek coś mocniejszego? - zaproponował Jonathan.

- Nie, dziękuję. Jutro zacznam wcześniej dyżur... chyba że weźmiesz go za mnie.

- O nie, Gadułko, nie po tym, co przeszedłem dzisiaj wieczora. Ale również obejść się bez drinka - odparł Jonathan. - A ty, Michael? Nie zwracaj na nas uwagi.

- Wystarczy mi *fettucini* i czerwone wino.

- Poprosimy trzy *fettucini* i butelkę najlepszego chianti - polecił Jonathan, kiedy ponownie pojawił się Mario.

Anna pochyliła się konspiracyjnie w moją stronę.

- To jedyna nazwa włoskiego wina, którą potrafi poprawnie wymówić - oświadczyła.

- Więc co by było, gdybyśmy zdecydowali się na rybę? - zapytałem.

- Ooo, słyszał o *frascati*, ale nigdy nie wie, co zrobić, kiedy ktoś zamówi kaczkę.

- O czym tak ze sobą szepczecie? - zapytał Jonathan który właśnie oddał karty Mariowi.

- Pytałem twoją siostrę o waszego trzeciego kolegę z kliniki.

- Nie najgorzej, Michael. Powinieneś pracować w dyplomacji - powiedziała Anna.

- Tym trzecim lekarzem jest moja żona, Elizabeth - wyjaśnił Jonathan, nieświadom tego, co mówiła w teatrze Anna. - Niestety, biedactwo ma dzisiaj całonocny dyżur.

- Zauważ, dwie kobiety i mężczyzna - odezwała się Anna w chwili, gdy przy Jonathanie pojawił się kelner z winem.

- No właśnie, kiedyś było nas czworo - powiedział Jonathan, ale niczego bliżej nie wyjaśnił.

Chwilę z uwagą studiował etykietkę na butelce, a następnie z uznaniem skinął głową.

- Jonathanie, nikogo tu nie oszukasz. Michael natychmiast się domyślił, że nie jesteś znawcą win - powiedziała Anna, jakby chciała zmienić temat.

Kelner wyciągnął z butelki korek i nalał odrobinę wina do kieliszka Jonathana, który skosztował trunka.

- A ty, Michael, czym ty się zajmujesz? - zapytał Jonathan, kiedy skinął głową kelnerowi z winem. - Tylko nie mów mi, że jesteś lekarzem, ponieważ nie szukam kolejnego mężczyzny, który by dołączył do naszej grupy.

- Michael pracuje w branży gastronomicznej - wyjaśniła Anna, kiedy stanęły przed nimi talerze z *fettucini*.

- Rozumiem, że w przerwie przedstawienia dokładnie opowiedzieliście sobie życiorysy - stwierdził Jonathan. - Co dokładnie znaczy „branża gastronomiczna”?

- Zarządzam restauracjami - wyjaśniłem. - To robię teraz. Zaczynałem jako kelner, później prawie przez pięć lat pracowałem w kuchni. W końcu wylądowałem w zarządzie.

- A na czym polega twoja praca? - zaintrygowała się Anna.

- Widzę, że przerwa między aktami była zbyt krótka, żebyście wyjaśnili sobie wszystkie szczegóły - domyślił się Jonathan i wbił widelec w *fettucini*.

- Cóż, prowadzę trzy restauracje na West Endzie, co w praktyce oznacza, że nieustannie krążę między nimi w zależności od tego, w której mamy danego dnia kłopoty.

- Przypomina mi to ostry dyżur - stwierdziła Anna.

- A w której dziś macie największe problemy?

- Dzisiejszy dzień jest nietypowy - odparłem z przejęciem.

- Aż tak źle? - zapytał Jonathan.

- Obawiam się, że gorzej. Straciłem dzisiaj jednego z kierowników, który z rana odciął sobie nożem czubek palca i przez co najmniej dwa tygodnie nie pojawi się w pracy. W drugiej restauracji nie stawiał się starszy kelner, który twierdzi, że złapał grype, a w trzeciej musiałem wyrzucić z pracy barmana, ponieważ kombinował z rezerwacjami. Barmani zawsze kombinują, ale kiedy sami klienci zaczynają się w tym orientować, nie ma dla takiego miejsca... - Urwałem. - Ale i tak tę pracę lubię najbardziej.

Przerwał mi ostry dźwięk, ale nie potrafiłem określić, skąd dochodzi, dopóki Jonathan nie wyciągnął z kieszeni niewielkiego, komórkowego telefonu.

- Przepraszam - powiedział. - Ale taką już mam pracę. - Nacisnął guzik i przyłożył aparat do ucha. Słuchał chwilę, a następnie zmarszczył brwi. - Tak, podejrzewam, że tak. Pojawię się najprędzej, jak będę mógł.

Wyłączył telefon i schował go do kieszeni.

- Przepraszam - powtórzył. - Akurat u jednego z moich pacjentów nastąpił nawrót

choroby.

Obawiam się, że muszę was opuścić.

Wstał i zwrócił się do siostry:

- Jak zamierzasz wrócić do domu, Gadułko?

- Jestem już duża - odparła Anna. - Rozejrzę się za jednym z tych czarnych obiektów na czterech kołach i z napisem T-A-X-I na dachu. Wtedy tylko machnę ręką.

- Nie martw się o nią, Jonathanie - wtrąciłem szybko. - Odstawię twoją siostrę do domu.

- To bardzo miło z twojej strony - powiedział Jonathan - ponieważ jeśli ciągle będzie padać, Anna może nie znaleźć żadnego z tych czarnych obiektów, na który machnęłaby ręką.

- Niezależnie od wszystkiego, po tym jak udało mi się kupić twój bilet, zostać zaproszony na kolację i poznać twoją siostrę, za skarby nie puściłbym jej samej w deszczową noc.

- Uczciwa transakcja - roześmiał się Jonathan, gdy spiesznie zbliżył się do nas Mario.

- Czy wszystko w porządku? - zapytał.

- Niestety nie. Dostałem pilne wezwanie telefoniczne i muszę już iść. - Wręczył kelnerowi kartę kredytową American Express. - Gdyby był pan uprzejmy wsunąć ją do swojej maszyny, ja podpiszę czek, a pan później wstawi odpowiednią kwotę. I proszę dopisać sobie piętnaście procent.

- Dziękuję, panu - powiedział Mario.

- Mam nadzieję, że się jeszcze spotkamy - oświadczył Jonathan.

Podniosłem się z miejsca i uściśnąłem mu dłoń.

- Ja także mam taką nadzieję - odparłem.

Kiedy Anna machała bratu na pożegnanie, popatrzyłem w kierunku baru i potrząsnąłem lekko głową. Mario podarł niewielki pasek papieru i wrzucił go do kosza na śmieci.

- Dla Jonathana również nie był to najłatwiejszy dzień - stwierdziła Anna odwracając się w moją stronę. - Jestem zdumiona, że mając tyle problemów na głowie, mogłeś pozwolić sobie na wolny wieczór.

- Rzeczywiście, powinienem być w pracy, ale... - zawiesiłem głos, pochyliłem się w stronę Anny i delikatnie dotknąłem jej kieliszka.

- Ale...? - zapytała.

- Chcesz poznać prawdę? - spytałem nalewając sobie resztkę wina z butelki.

- Właśnie próbuję się tego dowiedzieć od samego początku - powiedziała.

Odstawiłem pustą butelkę na skraj stolika i chwilę milczałem.

- Wybrałem się dzisiaj do jednej z moich restauracji nieco wcześniej i wtedy ujrzałem ciebie, jak wchodziłaś do teatru. Tak długo się na ciebie gapiłem, że o mały włos nie spowodowałem karambolu, wpadając na jadący przede mną samochód. Następnie gwałtownie skręciłem na najbliższe wolne miejsce, żeby zaparkować auto, i z kolei jadący z tyłu pojazd o mało nie wjechał na mnie. Wskoczyłem z samochodu i jak wariat pobiegłem do teatru. Długo się za tobą rozglądałem, aż w końcu dostrzegłem cię przed kasą. Zająłem miejsce w kolejce. Widziałem, jak oddajesz bilet.

Kiedy już zniknęłaś mi z oczu, oświadczyłem kasjerowi, że myślałaś, iż nie zdążę na przedstawienie i zapewne zwróciłaś nie wykorzystany bilet. Gdy ciebie opisałem, co zrobiłem szczegółowo, kasjer bez zbędnych ceregieli wręczył mi twój bilet.

Anna odstawiła kieliszek i popatrzyła na mnie z niedowierzaniem.

- Cieszę się, że kasjer uwierzył w twoją historyjkę - powiedziała. - Nie wiem tylko, czy powinnam się cieszyć.

- Naturalnie, że powinnaś. Następnie wsunąłem do teatralnej koperty dwa banknoty dziesięciofuntowe i zająłem na widowni miejsce obok ciebie - ciągnąłem. - Resztę już znasz.

Ciekaw byłem, jak Anna zareaguje na moje wyznanie. Przez dłuższą chwilę milczała.

- Pochlebiasz mi - powiedziała w końcu. - Nie podejrzewałam, że istnieją jeszcze na świecie tacy staromodni romantycy. - Pochyliła lekko głowę. - Czy mogę zapytać, co zaplanowałeś na dalszą część wieczora?

- Jak dotąd nic - przyznałem. - Twoje towarzystwo jest tak odświeżające.

- Brzmi to tak, jakbym była miętową czekoladką After Eight - odparła ze śmiechem Anna.

- Na twoje pytanie mogę dać co najmniej trzy odpowiedzi - powiedziałem w chwili, kiedy znów pojawił się Mario. Na widok do połowy tylko zjedzonych *fettucini* na jego twarzy pojawił się wyraz rozczarowania.

- Czy wszystko w porządku, sir? - zapytał z niepokojem.

- Nie mogło być lepiej - odparła Anna nie spuszczać ze mnie wzroku.

- Może ma pani ochotę na kawę? - zapytał Mario.

- Nie, dziękuję - odparła zdecydowanie. - Musimy udać się na poszukiwania porzuconego samochodu.

- Bóg jeden wie, czy po tak długim czasie jeszcze stoi tam, gdzie go zostawiłem - powiedziałem.

Wziąłem Annę za rękę i poprowadziłem w kierunku wyjścia. Wspięliśmy się po schodach i wyszliśmy na ulicę. Ruszyłem w kierunku miejsca, gdzie zaparkowałem samochód. Gdy gawędząc wędrowaliśmy po Aldwych, czułem się, jakbym przebywał w towarzystwie starego przyjaciela.

- Nie musisz mnie odwozić, Michael - powiedziała Anna. - Mieszkasz zapewne po przeciwnej stronie miasta. Ponadto przestało padać i mogę w każdej chwili złapać taksówkę.

- Ależ ja chcę ciebie odwiedzić - powiedziałem. - Dzięki temu będę mógł przebywać z tobą trochę dłużej.

Uśmiechnęła się, ale w tej samej chwili dotarliśmy do miejsca, gdzie zostawiłem samochód; teraz było puste.

- Cholera jasna - mruknąłem.

Szybko zlustrowałem wzrokiem ulicę. Kiedy znów spojrzałem na Annę, na jej twarzy malował się uśmiech.

- Czy to jeden z twoich sposobów, żeby dłużej przebywać w moim towarzystwie? - zażartowała.

Szybko otworzyła torebkę, wyjęła słuchawkę przenośnego telefonu, wykręciła trzy dziesiątki i wręczyła mi urządzenie.

- Czynji możemy służyć? Pragnie się pan połączyć ze strażą ogniową, z policją, czy wezwać karetkę pogotowia?

- Z poiiąg, proszę - powiedziałem i prawie natychmiast w słuchawce odezwał się inny głos:

- Posterunek policji Charing Cross. Czym możemy służyć?

- Podejrzewam, że skradziono mi samochód.

- Proszę podać jego markę, kolor i numer rejestracyjny.

- Niebjeski rover 600, numer rejestracyjny K857 SHV. W słuchawce dłuższą chwilę panowała głucha cisza, którą mącił jedynie szmer czyichś rozmów w tle.

- Pańsji samochód nie został skradziony - odezwał się policjant po drugiej stronie drutów.

-

Samochód był nieprawidłowo zaparkowany na podwójnej, żółtej linii. Został odholowany na parking w Vauxhall Bridge.

- Czy mogę go natychmiast odebrać? - zapytałem.

- Naturalnie. Jak zamierza się pan tam dostać?

- Taksówką.

- Proszę więc powiedzieć szoferowi, żeby pojechał na parking w Vauxhall Bridge. Musi pan mieć ze sobą dokument tożsamości i czek na sto pięć funtów oraz kartę bankową; chyba że chce pan zapłacić gotówką.

- Sto pięć funtów? - zapytałem cicho.

- Dokładnie tyle.

Anna po raz pierwszy tego wieczora zmarszczyła brwi.

- To warte każdej ceny.

- Słucham?

- Nie, nic, dobranoc.

Oddałem Annie telefon i powiedziałem:

- Teraz muszę ci znaleźć jakąś taksówkę.

- Nie trzeba, Michael. Zamierzam ci towarzyszyć. Ostatecznie obiecałeś memu bratu, że dostarczysz mnie do domu osobiście.

Wziąłem ją za rękę i zatrzymałem taksówkę, która akurat powoli przejeżdżała ulicą.

- Na parking w Vauxhall Bridge - powiedziałem.

- Niefart, kolego - odparł taksówkarz. - Jest pan już czwarty dzisiejszego wieczora.

Obdarzyłem go szerokim uśmiechem.

- Podejrzewam, że tamta trójka również ściagała ciebie w teatrze, ale w kolejce pierwszy byłem ja - oświadczyłem Annie wsiadając za nią do auta.

Kiedy taksówka sunęła powoli przez most Waterloo w zmywanym deszczem sznurze

pojazdów, Anna powiedziała:

- Czy nie uważasz, że to ja powinnam wybierać między waszą czwórka? Ostatecznie któryś z nich mógł siedzieć za kierownicą rolls-royce'a.

- To niemożliwe.

- Dlaczego niemożliwe?

- Bo w tamtym miejscu rolls-royce nie zmieściłby się.

- Ale gdyby miał szofera, nie byłoby problemów.

- W takim wypadku po prostu przegoniłbym jegomościa.

Zapadła dłuższa chwila milczenia.

- Czy mogę zadać ci osobiste pytanie? - zapytała w końcu Anna.

- Jeśli ma być to, o co ja chcę ciebie zapytać, to wiem, o co ci chodzi.

- Więc proszę, pytaj pierwszy.

- Nie... nie jestem żonaty - odparłem. - Niewiele wprawdzie brakowało, ale w ostatniej chwili dałem drapaka. - Anna wybuchnęła śmiechem. - A ty? - spytałem.

- Miałam męża - powiedziała cicho. - Był to ów czwarty lekarz w naszym zespole. Umarł trzy lata temu. Opiekowałam się nim dziewięć miesięcy, ale w końcu musiałam się poddać.

- Tak mi przykro - odparłem zawstydzony. - Wykazałem tak mało taktu. Nie powinienem był poruszać tego tematu.

- To ja go poruszyłam, Michael. To ja powinnam ciebie przeprosić.

Na kilka chwil znów zapadło milczenie, które przerwała Anna:

- Przez ostatnie trzy lata, od czasu kiedy umarł Andrew, zatopiłam się w pracy, a cały wolny czas spędzałam z Jonathanem i Elizabeth, których zadręczałam swoimi problemami. Wykazywali wiele zrozumienia, ale obecnie chyba już umierają z nudów. Nie zdziwiłabym się, gdyby Jonathan specjalnie wziął dzisiaj nocny dyżur, żeby ktoś inny mógł zabrać mnie do teatru. Może był to zwykły podstęp. Wiele osób chciałoby się ze mną umówić - dodała, kiedy wjeżdżaliśmy na parking.

Wręczyłem taksówkarzowi dziesięć funtów i poszliśmy przez deszcz w kierunku niewielkiego biura, gdzie pobierano mandaty.

Zbliżyłem się do kasy i przeczytałem informację napisaną na kartce przymocowanej taśmą samoprzylepną. Wyciągnąłem portfel, wyjąłem z niego prawo jazdy, a następnie zacząłem liczyć pieniądze.

Gotówką miałem tylko osiemdziesiąt funtów, a nigdy nie nosiłem ze sobą książeczki czekowej.

Anna z uśmiechem wyjęła z torebki kopertę, którą wręczyłem jej w teatrze. Rozdarła ją i wyjęła dwa banknoty dziesięciofuntowe, dodała pięć własnych funtów i wsunęła mi do ręki pieniądze.

- Dziękuję - powiedziałem czując się niezręcznie.

- To warte każdej ceny - odparła z uśmiechem. Policjant flegmatycznie przeliczył pieniądze i włożył je do niewielkiego pudełka, po czym wypisał rachunek.

- Pański samochód stoi bardzo blisko, w pierwszym rzędzie - oświadczył wskazując palcem okno. - Jeśli mogę coś powiedzieć, to postąpił pan bardzo nierozważnie zostawiając kluczyki w stacyjce. Gdyby ktoś skradł panu samochód, firma ubezpieczeniowa nie wypłaciłaby ubezpieczenia.

Wręczył mi kluczyki.

- To moja wina - odezwała się do policjanta Anna. - Powinnam od razu posłać go po te kluczyki, ale nie wiedziałam, o co w tym wszystkim chodzi. Zapewniam pana, że nigdy już więcej tego nie zrobi.

Posterunkowy uniósł głowę i popatrzył na mnie. Wzruszyłem ramionami, wyprowadziłem Annę z biura i ruszyliśmy rażno w stronę samochodu. Otworzyłem drzwi, wpuściłem dziewczynę do środka, po czym obszedłem auto. Anna w tym czasie pochyliła się i odblokowała drzwi z mojej strony.

Zająłem miejsce za kierownicą i popatrzyłem na nią.

- Przepraszam - powiedziałem. - Deszcz kompletnie zmoczył ci sukienkę. - Z czubka nosa Anny skapnęła kropla wody. - Ale zapewniam cię, że bez względu na to, czy jesteś mokra czy sucha, jesteś równie piękna.

- Dziękuję, Michael - odparła z uśmiechem. - Tylko, jeśli pozwolisz, wolałabym być sucha.

Roześmiałem się.

- Zatem dokąd mam cię zawieźć? - zapytałem uświadamiając sobie, że nie mam zielonego pojęcia, gdzie Anna mieszka.

- Na Fulham. Parsons Green Lane pod numerem czterdzieści dziewięć. To niedaleko.

Włożyłem kluczyki do stacyjki. Nic a nic nie obchodziło mnie, jak daleko mieszka Anna.

Wstrzymując oddech próbowałem uruchomić silnik. Rozległ się głośny klekot, ale silnik nie zaskoczył. Przypomniałem sobie, że opuszczając samochód, zapomniałem wyłączyć światła.

- Nie, tylko nie to! - jęknąłem i Anna wybuchnęła śmiechem.

Ponownie zakręciłem kluczykami i tym razem silnik zapalił. Odetchnąłem z ulgą.

- Było blisko - oświadczyła Anna. - Gdybyś nie uruchomił samochodu, spędzilibyśmy tę noc razem. A może właśnie na tym polegał twój lajdacki plan?

- Aż tak daleko myślą nie sięgałem - wyjaśniłem wyjeżdżając z parkingu, a po chwili dodałem: -

Muszę jednak przyznać, że sprawy mogły potoczyć się inaczej.

- Chodzi ci o to, że mogłam nie okazać się dziewczyną z twoich marzeń?

- Coś w tym rodzaju.

- Ciekawa jestem, co sądziliby o mnie tamci trzej mężczyźni? - odezwała się z zadumą.

- A kogo to obchodzi? Oni na pewno już tego nie sprawdzą.

- Jest pan bardzo pewny siebie, panie Whitaker.

- Wcale nie - odparłem. - Ale chciałbym się z tobą ponownie spotkać, Anno. Jeśli tylko

zgodzisz się podjąć takie ryzyko.

Odniosłem wrażenie, że upłynęły wieki, zanim doczekałem się jej odpowiedzi.

- Tak, ja również - przemówiła w końcu. - Ale pod warunkiem, że odwieziesz mnie do domu, żebym mogła sama sprawdzić, że prawidłowo parkujesz samochód i wyłączasz światła.

- Przyjmuję twoje warunki - zgodziłem się. - I nie postawię własnych, jeśli zgodzisz się spotkać ze mną jutro wieczorem.

I znów Anna nie odpowiedziała od razu.

- Nie jestem pewna, co będę robić jutro wieczorem.

- Ja też nie - odparłem. - Ale wszystko odwołam.

- To i ja zrobię tak samo - przyrzekła Anna, kiedy skręcałem w Parsons Green Lane.

Zacząłem rozglądać się za numerem czterdzieści dziewięć.

- Sto metrów dalej. Po lewej stronie. Zatrzymałem samochód przed jej drzwiami.

- Ale teraz już nic nie kombinuj z teatrem - powiedziała. - Przyjedź do mnie około dwudziestej.

Przygotuję kolację.

Nachyliła się w moją stronę, pocałowała w policzek i otworzyła drzwi. Błyskawicznie wyskoczyłem z samochodu, obiegłem go i wyprowadziłem Annę na chodnik.

- A więc do jutra. O dwudziestej - powtórzyła.

- Nie wiem, jak doczekam tej chwili... - Zawahałem się, po czym wziąłem ją w ramiona. -

Dobranoc, Anno.

- Dobranoc, Michael - odparła, kiedy wypuściłem ją z objęć. - Dziękuję ci, że kupiłeś ten bilet, nie mówiąc już o kolacji. Cieszę się, że tamtym zalotnikom została tylko wyprawa na policyjny parking.

Uśmiechnąłem się i włożyłem klucz do zamka od jej drzwi.

Odwróciła się w moją stronę.

- A tak swoją drogą, Michael, czy restauracja, w której jedliśmy kolację, to była ta z kelnerem, który zachorował na grypę, z kierownikiem, któremu zostało tylko dziewięć i pół palca u rąk czy też z barmanem-szachrajem?

- Z barmanem-szachrajem - odparłem z uśmiechem. Zamknęła za sobą drzwi, a na wieży pobliskiego kościoła zegar wybił pierwszą w nocy.